

JEFERY

DEAVER

KRWAWA

RZEKA

Nakładem C&T

St

powieści Jeffery'ego

Deavera:

KOLEKCJONER

KOŚCI

ŁZY DIABŁA LEKCJA

JEJ ŚMIERCI

MODLITWA O SEN

PŁYTKIE GROBY

Przekład:
ALEKSANDRA
WOLNICKA

C&T
TORUŃ

Tytuł oryginału: BLOODY RIVER BLUES

Copyright © 1993 by Jeffery Wilds Deaver
Copyright © for the Polish edition by „C&T,
Toruń 2009

Copyright © for the Polish translation by
Aleksandra Wolnicka

Opracowanie graficzne: EWELINA
BARCICKA

Redaktor wydania: PAWEŁ MARSZALEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK Skład i łamanie:
KUP „BORGIS” Toruń, tel. (056) 654-82-04

ISBN 978-83-7470-146-4

Wydawnictwo
„C&T” ul. Św.
Józefa 79, 87-
100 Toruń,
tel./fax (056)
652-90-17
Toruń 2009.
Wydanie I. Druk
i oprawa:
Wąbrzeskie
Zakłady
Graficzne Sp. z
o.o., ul.
Mickiewicza 15,
87-200
Wąbrzeźno.

Dla Moniki Derham

Jean-Luc Godard

1965-1966, 1967, 1968, 1969, 1970, 1971, 1972, 1973, 1974, 1975, 1976, 1977, 1978, 1979, 1980, 1981, 1982, 1983, 1984, 1985, 1986, 1987, 1988, 1989, 1990, 1991, 1992, 1993, 1994, 1995, 1996, 1997, 1998, 1999, 2000, 2001, 2002, 2003, 2004, 2005, 2006, 2007, 2008, 2009, 2010, 2011, 2012, 2013, 2014, 2015, 2016, 2017, 2018, 2019, 2020, 2021, 2022, 2023, 2024, 2025

1965-1966, 1967, 1968, 1969, 1970, 1971, 1972, 1973, 1974, 1975, 1976, 1977, 1978, 1979, 1980, 1981, 1982, 1983, 1984, 1985, 1986, 1987, 1988, 1989, 1990, 1991, 1992, 1993, 1994, 1995, 1996, 1997, 1998, 1999, 2000, 2001, 2002, 2003, 2004, 2005, 2006, 2007, 2008, 2009, 2010, 2011, 2012, 2013, 2014, 2015, 2016, 2017, 2018, 2019, 2020, 2021, 2022, 2023, 2024, 2025

1965-1966, 1967, 1968, 1969, 1970, 1971, 1972, 1973, 1974, 1975, 1976, 1977, 1978, 1979, 1980, 1981, 1982, 1983, 1984, 1985, 1986, 1987, 1988, 1989, 1990, 1991, 1992, 1993, 1994, 1995, 1996, 1997, 1998, 1999, 2000, 2001, 2002, 2003, 2004, 2005, 2006, 2007, 2008, 2009, 2010, 2011, 2012, 2013, 2014, 2015, 2016, 2017, 2018, 2019, 2020, 2021, 2022, 2023, 2024, 2025

Chodziło mu tylko o karton piwa.

A wyglądało na to, że sam będzie musiał go sobie przywieźć.

Stile wyjaśnił to w ten sposób: — Cholernie trudno jest upchnąć karton Labattsów na bagażniku yamaha.

— Nie ma sprawy — mruknął Pellam do telefonu komórkowego.

— Gdybyś chciał sześciopak, proszę bardzo. Ale bagażnik trochę się chwieje. Co chyba tobie zawdzięczam. Mam na myśli bagażnik. Przykro mi, stary.

Motor należał do wytwórni, ale udostępniono go Pellamowi, który z kolei pożyczył go Stile'owi. Stile był kaskaderem. Pellam wolał nie zastanawiać się nad tym, co robił, kiedy popsuł ten bagażnik.

— Nie ma sprawy — powtórzył do słuchawki. — Załatwię cały karton.

Rozłączył się. Z szafki w przyczepie wyciągnął brązową kurtkę lotniczą i spróbował przypomnieć sobie, gdzie widział jakiś tani

sklep monopolowy. Delikatesy Riverfront miał niemal w zasięgu ręki, w przeciwieństwie do kolejnego czeku z wypłatą, a Pellam nie miał ochoty bulić dwadzieścia sześć i pół dolara za karton piwa, nawet jeśli importowano je z samej Kanady.

Przeszedł do niedużej kuchenki, zamieszał w garnku chili i włożył chleb kukurydziany do piekarnika, żeby się podgrzał. Myślał o tym, żeby choć raz dla odmiany ugotować coś innego. Ale jakoś nikt nie zwracał uwagi na to, że na ich pokerowe spotkania Pellam zawsze przygotowuje chili. Czasami podawał je z hot dogami, czasami z ryżem, ale tak czy owak zawsze jedli chili. I słone krakersy. Było to mniej więcej wszystko, co potrafił przyrządzić. Przyszło mu do głowy, że może obędą się bez piwa; już chciał zadzwonić do Stile'a i powiedzieć mu, żeby jednak przywiózł tego sześćcio-paka, ale dokonał w myślach szybkich obliczeń i doszedł do wniosku,

że potrzebny jest cały karton. Będą grać w pięciu, przez sześć godzin a to oznaczało, że nawet cały karton może im nie wystarczyć. I w te; sytuacji będzie musiał wyciągnąć mezczał i whisky.

Wyszedł na zewnątrz, zamknął drzwi przyczepy i ruszył przed siebie drogą biegnącą wzdłuż szeroko rozlanej, szarej Missouri.

Właśnie zapadł jesienny zmierzch i biorąc pod uwagę fakt, że był to zwykły dzień tygodnia, akurat powinna się była zacząć godzina szczytu. Jednak wznosząca się i opadająca przed nim droga była zupełnie pusta. Pellam zaciągnął suwak kurtki. Był wysoki i szczupły. Tego wieczoru miał na sobie džinsy i roboczą koszulę, która dawniej była czarna, a ostatnio zrobiła się szara w ciemniejsze cętki.

Podeszwy jego kowbojskich butów głośno stukały o mokry asfalt. Żałował, że nie założył czapki z daszkiem z logo Lakersów albo kapelusza; od rzeki wiał zimny wiatr o słonym, rybim zapachu. A jego piekły oczy i bolały uszy.

Szedł szybkim krokiem. Głównie w obawie, że Danny — scenarzysta filmu, który właśnie kręcili — przyjedzie wcześniej. Pellam podrzucił mu niedawno do hotelowej wanny czteroipółkilogramowego suma, a teraz Danny

odgrażał się, że w odwecie zaspawa mu drzwi do przyczepy.

Ich czwartym partnerem do gry był ich główny oświetleniowiec z San Francisco, wyglądający dokładnie jak marynarz floty handlowej, którym kiedyś był, pokryty od stóp do głów tatuażami. Piątym graczem był prawnik z St. Louis, mężczyzna o jastrzębim profilu i obwisłych policzkach. Wytwórnia zatrudniła go przez swoje biuro w Los Angeles do negocjowania umów z lokalnymi statystami oraz właścicielami nieruchomości. Gość bez przerwy mówił o polityce Waszyngtonu w taki sposób, jakby sam ubiegał się o prezydenturę i przegrał tylko dlatego, że spośród wszystkich kandydatów był tym jedynym uczciwym. Jego gadulstwo bywało męczące, ale pioruńsko dobrze grało się z nim w pokera. Obstawiał wysoko i potrafił przegrywać z klasą.

Z rękoma w kieszeniach Pellam skręcił w Adams Street i zostawiając rzekę za sobą, przyjrzał się uważnie ponuremu, opuszczonemu budynkowi z czerwonej cegły należącemu dawniej do huty żelaza w Maddox.

Myślał o tym, że powietrze przesycone jest wilgocią i może się rozpadać.

Zastanawiał się, czy przekroczą termin

wyznaczony na realizację zdjęć w tym cholernym mieście.

Zastanawiał się, czy chili się nie przypali i czy pamiętał, żeby zgasić gaz.

I myślał o kartonie piwa.

No więc tak: Gaudia będzie szedł Trzecią, zgadza się? Zazwyczaj pracuje do szóstej albo szóstej trzydzieści, ale dziś wieczorem umówił się na drinka z jakąś lalą. Nie wiem, co to za jedna.

Philip Lombro zapytał Ralpha Balesa: — A co go sprowadza do Maddox?

— Właśnie mówię. Wybiera się na drinka do Wesołego Łajdaka. Kojarzy pan? A potem do Callaghana na stek.

Philip Lombro, zasłuchany, przechylił głowę i podparł policzek dwoma palcami ułożonymi w kształt litery „V”. Miał pociągłą, opaloną twarz. Od pozostałych członków swojej rodziny różnił się tym, że jego cera nie zbrązowiała, lecz miała srebrzysty, prawie platynowy odcień pasujący do gęstych, siwych włosów, starannie ułożonych przy pomocy lakieru.

Odezwał się: — A co z ochroniarzem Gaudii?

— Nie będzie go. Gaudia uważa, że w Maddox nic mu nie grozi. No, a tę rezerwację ma na siódmą trzydzieści. Czeka ich

pięciominutowy spacer — zmierzyłem czas — więc wyjdą kwadrans po.

Ralph Bales siedział na przednim siedzeniu granatowego lincolna i nachylał się do Lombro. Miał trzydzieści dziewięć lat, był muskularny i owłosiony w każdym miejscu ciała poza głową. Jego twarz była nieproporcjonalnie nalana, jakby miał na sobie lateksową maskę przygotowaną przez specja od efektów specjalnych. Nie był brzydki, ale jego twarz — zwłaszcza jeśli patrzyło się na niego *en face* — przypominała księżyc w pełni. Tego wieczoru miał na sobie koszulkę do gry w rugby w czarno-czerwone pasy, niebieskie džinsy i skórzaną kurtkę. — Więc pójdzie Trzecią, tak? Jest tam taka boczna uliczka odchodząca na zachód. Ciemna jak cholera. Stevie może tam na niego poczekać. Będzie udawał bezdomnego.

— Bezdomnego? W Maddox nie mają bezdomnych.

— No to włóczęgę. Włóczęgów na pewno tam mają — odparł Ralph Bales.

— W porządku.

— Będzie miał małą berettę, dwudziestkę dwójkę. Nawet nie potrzeba tłumika. Ja będę miał rugera. Stevie coś do niego zawoła, on się zatrzyma i odwróci. Stevie załatwi go z

bliska. Ja będę ubezpieczał tyły, tak na wszelki wypadek. Raz, dwa, a po wszystkim ładujemy się do bryki Steviego, przejeżdżamy rzekę i tyle nas widzieli.

— W takim razie ja będę czekał przy wylocie tej uliczki — powiedział Lombro. — Na rogu Trzeciej.

Ralph Bales milczał przez chwilę, nie spuszczać wzroku ze swojego rozmówcy. Widział jego haczykowaty nos, łagodne oczy, elegancki garnitur, krawat w tureckie wzory... Dziwne, ale to było wszystko, co dawało się zauważyć. Wydawać by się mogło, że łatwo go zaszufładować, tak jakby siwe włosy, wypolerowane na wysoki połysk brązowe mokasyny z frędzlami i wysłużony rolex mogły cokolwiek powiedzieć o tym, jakim człowiekiem jest Philip Lombro. Ale nie, na tym sprawa się kończyła. To były tylko detale i nic poza tym. Zupełnie, jakby się patrzyło na czyjeś zdjęcie w magazynie „People”. Lombro, który spokojnie odwzajemnił spojrzenie Ralpha Balesa, odezwał się:— O co chodzi? Masz jakiś problem? Ralph Bales uznał, że wygrałby ten wzrokowy pojedynek, gdyby tylko chciał, i zaczął dla odmiany przyglądać się kępce włosów porastających wierzch jego dłoni. — Po prostu

nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.
Ale już to panu mówiłem.

— Owszem, mówiłeś.

— I nadal uważam, że to kiepski pomysł.

— Chcę go zobaczyć martwego, i tyle.

— Zobaczy pan na zdjęciach. Będą w „Post-Dispatch”. I w „Reporterze”. Kolorowe...

— Będę czekał od siódmej piętnaście.

Ralph Bales bębnił palcami w skórzaną tapicerkę lincolna. — Tutaj chodzi też o mój tyłek.

Lombro spojrzał na zegarek. Szkiełko było ukraszone i pożółkłe. Szósta pięćdziesiąt. — Mogę poszukać kogoś innego, kto wykona tę robotę.

Ralph Bales odczekał chwilę. — To nie będzie konieczne. Jeśli chce pan tam być, to pańska sprawa.

— Faktycznie, moja.

Nic już nie mówiąc, Ralph Bales z rozmachem otworzył drzwiczki samochodu.

I wtedy to się stało. *Kurwa mać...*

Głuche stuknięcie, brzęk szkła, stłumiony syk.

Ralph Bales ujrzał mężczyznę — chudego faceta w brązowej skórzanej kurtce — stojącego przed nim na chodniku i spoglądającego w dół z gorzkim uśmiechem — uśmiechem, który zdawał się mówić:

„Wiedziałem, że coś takiego mnie dzisiaj spotka”. Spienione piwo wyciekało z leżącego na chodniku kartonu.

Mężczyzna popatrzył na Ralpa Balesa, a potem za niego, do wnętrza samochodu.

Ralph Bales zatrzasnął drzwiczki i odszedł.

Mężczyzna zawołał za nim, uśmiechając się z żalem: — Halo, proszę pana, moje piwo...

Ralph Bales zignorował go i szedł dalej przed siebie wzdłuż Adams Street.

— Halo, moje piwo!

Ralph Bales nadal go ignorował.

Mężczyzna postąpił krok za nim. — Mówię do pana! Halo!

Ralph Bales odwarknął: — Wal się. — I skręcił za róg.

Wysoki mężczyzna stał przez chwilę nieruchomo, śledząc go wzrokiem, z ustami zaciśniętymi z oburzenia, po czym pochylił się i zajrzał przez szybę do wnętrza lincolna.

Ostłonił oczy dłońmi. Zastukał w szybę. —

Halo, twój kumpel... Halo... — Znowu zastukał.

Lombro wrzucił bieg. Samochód ruszył z

miejsca. Mężczyzna w samą porę zdążył odskoczyć. Patrzył, jak lincoln znika mu z oczu.

Następnie przykucnął nad okaleczonym kartonem, z którego piwo lało się do rynsztoka jak woda z ciekącego hydrantu.

Donald Buffett, oficer patrolowy z wydziału policji w Maddox, patrzył, jak ostatnie strużki piwa spływają na chodnik, i myślał, że gdyby coś takiego wydarzyło się na osiedlu Cabrini w zachodniej części miasta, tuzin gości wylizywałoby już piwo z rynsztoka albo walczyło na noże o każdą rozbitą butelkę. Buffett stał oparty o ceglany mur i przyglądał się, jak facet — Buffett stwierdził, że wygląda na kowboja — otwiera karton i usiłuje cokolwiek ocalić, jak dzieciak grzebiący w pudle pełnym zabawek. Wreszcie kowboj wstał i przeliczył dwanaście, a może piętnaście ocalałych butelek. Kartonowe pudło było całkiem przemoczone i rozpadało się na kawałki.

Buffett spodziewał się, że mężczyzna rzuci się na tamtego, który wysiadł z lincolna. Był taki czas, zanim wstąpił na służbę — zanim nawet poszedł do akademii — kiedy bójki były tym, co lubił najbardziej. Teraz patrzył, jak kowboj ustawia ocalałe butelki w cieniu magazynu meblowego Neumana, ukrywając je przed wzrokiem osób niepowołanych. Widocznie zamierzał wrócić do sklepu. Na razie wyrzucił karton do śmieci i wytarł ręce o spodnie. Buffett oderwał się od muru i przeciął ulicę. — Dobry wieczór panu — zagadnął.

Kowboj spojrział na niego i pokręcił głową. —
Widział pan coś podobnego? — odezwał się.
— Po prostu nie do wiary.

Buffett odparł: — Mogę ich popilnować, jeśli
chce pan skoczyć po torbę czy coś w tym
rodzaju.

— Naprawdę?

— Pewnie.

— Dzięki. — Zniknął na końcu opustoszałej
ulicy.

Wrócił po dziesięciu minutach, niosąc dużą,
plastikową torbę na zakupy, w której
znajdowały się dwa sześciopaki. W drugiej
ręce trzymał papierową torebkę, którą wręczył
Buffettowi.

— Zaproponowałbym panu piwo, ale
pewnie macie jakieś przepisy co do picia na
służbie. Dlatego dostanie pan kawę i pączka.
W torebce jest też cukier.

— Dziękuję panu — odparł Buffett
oficjalnym tonem. Był skrępowany i
zastanawiał się, dlaczego. — Nie trzeba było.
Kowboj zaczął zbierać butelki z chodnika i
pakować je do torby. Buffett nie zaproponował,
że mu pomoże. W końcu kowboj wyprostował
się i przedstawił: — John Pellam.

— Donnie Buffett.

Skinęli sobie głowami, ale nie wymienili

uścisków dłoni.

Buffett podniósł w górę kubek z kawą, jakby wznosząc toast, i odszedł, nasłuchując pobrząkiwania butelek, które cichło w miarę, jak mężczyzna oddalał się w stronę rzeki.

Tego samego wieczoru, dwadzieścia po siódmej, Vincent Gaudia zajął w głęboko wycięty dekolt białej sukienki, którą miała na sobie towarzysząca mu blondynka, i oznajmił: — Pora coś zjeść.

— Na co miałbyś ochotę? — spytała zmysłowym głosem; uśmiechnęła się, a w odrobinę zbyt grubej warstwie pudru koło jej oczu pojawiły się ledwie zauważalne kurze łapki.

Gaudia był uzależniony od kobiet takich jak ona. Chociaż traktował je jak towar, starał się nie zachowywać względem nich protekcjonalnie. Niektóre te jego przyjaciółki były bardzo inteligentne, inne bardzo uduchowione, a jeszcze inne poświęcały wiele godzin na działalność dobroczynną. I choć nie pożywał ich z powodu stanu ich intelektu, duszy czy sumienia, uważnie przysłuchiwał się, gdy opowiadały mu

O swoich zainteresowaniach, i robił to z autentycznym zaciekawieniem.

Z drugiej jednak strony najbardziej cenił sobie

te chwile, gdy zabierał dziewczynę do siebie, mówił, żeby się wreszcie zamknęła i przestała pieprzyć o duchach opiekuńczych, a następnie kazał jej chodzić na czworakach, podczas gdy sam chwycił jej pas do pończoch w obie ręce, jak lejce. W tej chwili niby przypadkiem dotknął piersi swojej towarzyszki uniesionym łokciem i odparł: — Póki co, mam na myśli kolację.

Dziewczyna zachichotała.

Wyszli z Wesołego Łajdaka, przecięli River Road i ruszyli pod górę Trzecią w stronę centrum Maddox, mijając po drodze ponure magazyny, wystawy sklepowe pełne poplamionych i pleśniejących używanych mebli, parterowe biura, obskurne kafejki. Kobieta przytuliła się do niego mocniej, szukając ochrony przed zimnem. Chłodne powietrze przypomniało Gaudii jego chłopięce lata w Cape Girardeau, dni, kiedy wracał ze szkoły do domu w swoich eleganckich, biało-czarnych trzewikach, szurając liśćmi i pogryzając jabłko w cukrze albo cukierka na Halloween. W przeddzień Wszystkich Świętych wycinał zawsze niezłe numery i do tej pory zapach zimnego, jesiennego powietrza budził w nim najlepsze wspomnienia z dzieciństwa. Odezwał się do dziewczyny: — Jak spędzałaś Halloween, kiedy byłaś mała?

Zamrugnęła oczami, zastanawiając się nad odpowiedzią. — No wiesz, świetnie się bawiliśmy. Najczęściej przebierałam się za księżniczkę, albo coś w tym rodzaju. A raz byłam prawdziwą wiedźmą.

— Wiedźmą? Niemożliwe. Nawet gdybyś się bardzo starała, nie wyglądałabyś jak wiedźma.

— Kochany jesteś... A potem zносиłyśmy do domu tony cukierków

1 batoników. Najbardziej lubiłam takie z orzeszkami i nugatem i jak znalazłam jakiś dom, gdzie je dawali, wracałam tam nawet kilka razy. Pamiętam takie Halloween, kiedy nazbierałam ich cały tuzin... Ale musiałam bardzo uważać, bo w dzieciństwie miałam straszne pryszczki.

— Teraz już dzieciaki nie chodzą tyle po domach. To niebezpieczne. Słyszałaś o tym gościu, który wbijał igły w jabłka?

— Nigdy nie lubiłam jabłek, tylko batoniki.

— Z orzeszkami i nugatem — przypomniał jej Gaudia.

— Dokąd idziemy? Ta okolica przyprawia mnie o gęsią skórkę.

— Całe to miasto może człowieka przyprawić o gęsią skórkę. Ale podają tutaj najlepsze steki w całym stanie, poza Kansas

City. U Cal-laghana. Lubisz steki?

— Owszem, lubię. A najbardziej befsztyk z owocami morza. Ale to drogie danie — dodała skromnie.

— Myślę, że podają tam też befsztyk z owocami morza. Możesz go zamówić, jeśli masz ochotę. Możesz wziąć, co tylko zechcesz.

Ralph Bales stał na rogu ulicy, ukryty we wnęcie przy Missouri National Bank i obserwował nadchodzącą wolno parę w słabym świetle ulicznej latarni; trzy z czterech miały przepalone żarówki. Dziewczyna wisiała mężczyźnie na ramieniu, co stanowiło zdecydowany plus; gdyby Gaudia miał przy sobie broń, uniemożliwiłoby mu to szybkie oddanie strzału.

Ciemny lincoln Philipa Lombro, wielki niczym lotniskowiec, stał z włączonym silnikiem po drugiej stronie ulicy. Ralph Bales podziwiał doskonałą linię nadwozia, nieskazitelną chromowaną karoserię. Następnie spojrział na sylwetkę Lombro siedzącego za kierownicą. Ten facet to wariat. Ralph Bales nie mógł zrozumieć jego potrzeby przyglądania się egzekucji. Wiedział, że niektórych ludzi podnieca wykańczanie innych — czerpią z tego jakąś chorą, perwersyjną przyjemność.

Miał jednak wrażenie, że dla Lombro było to coś, co *musiał*, a nie co *chciał* zrobić.

W chłodnym powietrzu rozległ się niewyraźny bełkot Steviego Flo-ma, współnika Ralpa Balesa, który odstawiał swój numer z bezdomnym wariatem. — I tak to wygląda, właśnie tak to *wyglądał* Czytam te gazety... Czytam je, żeby zapomnieć, co czytam, rozumiecie, zapomnieć, co czytam...

Nagle Ralphowi Balesowi wydało się, że słyszy, jak Stevie odbezpiecza swoją berettę, chociaż równie dobrze mogła to być tylko jego wyobraźnia; w chwilach takich jak ta człowiek słyszy i widzi rzeczy, których normalnie nie słyhać i nie widać. Każdy nerw w jego ciele drżał jak sportowy wóz w oczekiwaniu na zielone światło. Żałował, że nie potrafi zachować zimnej krwi.

Stukot skórzanych podeszew na asfalcie wydał mu się naraz bardzo głośny. Stukot obcasów, powłóczenie stopami po wilgotnym, wyludnionym chodniku.

Śmiech.

Stukot obcasów.

Światło odbijało się w butach Gaudii. Ralph Bales znał jego upodobanie do modnych strojów i domyślił się, że Gaudia ma na nogach buty za co najmniej pięćset dolców.

Choć buty Ralpa Balesa też miały wewnątrz metkę z informacją „ręcznie robione cholewki”, on zaś wiedział, że ręce, które je wykonały, należały do pracowitych Tajwańczyków. Kroki przybliżające się już wyraźnie.

Pomruk silnika lincolna.

Głuche uderzenia serca Ralpa Balesa.

Stevie nawijający jak pijany świr. Spiera się sam ze sobą.

Blondynka chichocze.

Nagle Stevie zagaduje: — Da pan ćwierć dolara? Bardzo proszę.

I niech Balesa piorun trzaśnie, jeśli Gaudia nie zatrzymał się i nie wyciągnął do włóczędzy ręki z banknotem.

Ralph Bales ruszył w ich stronę przez ulicę, trzymając w dłoni ru-gera — wielki pistolet o grubej lufie. Powietrze przeciął przeraźliwy krzyk kobiety; nagły ruch, szamotanina i Gaudia zasłonił się dziewczyną jak tarczą, ustawiając ją pomiędzy sobą a Steviem. Jedno ciche puknięcie. Drugie. Blondynka osunęła się na ziemię.

A Gaudia uciekał. Biegł szybko. Był coraz dalej.

Cholera jasna...

Ralph Bales uniósł swój ciężki pistolet i wypalił dwa razy. Przynajmniej jedna z kul dosięgła

Gaudii. Wydało mu się, że trafił go w kark. Mężczyzna potknął się i upadł na chodnik, uniósł lekko dłoń, potem znieruchomiał. Lincoln Philipa Lombro ruszył z miejsca i przyspieszył z głuchym rykiem silnika. Przez chwilę panowała cisza.

Ralph Bales zrobił krok w stronę Gaudii.

— Stać!

Ten krzyk rozległ się nie więcej jak półtora metra od niego. Bales prawie puścił pawia z przerażenia; serce skoczyło mu tak, jakby właśnie dostał zawału.

— Do *ciebie* mówię!

Ralph Bales opuścił dłoń z wycelowanym w dół pistoletem. Z trudem łapał oddech.

Przełknął ślinę.

— Rzuć broń! — Głos drżał od z trudem hamowanej hysterii.

— Już rzucam. — Ralph Bales upuścił pistolet. Zmrużył odruchowo oczy, gdy broń uderzyła o ziemię. Ruger jednak nie wypalił.

— Połóż się na ziemi! — Policjant kucał i trzymał broń wycelowaną prosto w głowę Ralpa Balesa.

— Okej, okej! — zawołał Ralph Bales. — Niech pan nie strzela. Już się kładę.

— Natychmiast!

— Właśnie to robię! Już się kładę! — Ralph

Bales uklęknął, a następnie położył się na brzuchu. Poczł woń smaru i psich sików. Policjant zbliżył się do niego ostrożnie; kopnął w bok rugera, nie przestając mówić do krótkofalówki: — Tutaj Buffett. Jestem w centrum Maddox. Była strzelanina, dwie osoby ranne. Proszę o karetkę i wsparcie na... Centralny dyspozytor policji i straży pożarnej w Maddox nie dowiedział się jednak, na jaki adres wysłać Donniemu Buffettowi karetkę oraz wsparcie — a przynajmniej nie od razu. Raport policjanta został bowiem brutalnie przerwany w momencie, gdy Stevie Flom wychylił się z bocznej alejki i opróżnił magazynek swojej beretty prosto w jego plecy. Buffett jęknął i osunął się na kolana. Próbował jeszcze sięgnąć za siebie, po czym upadł twarzą na ulicę. Ralph Bales wstał i podniósł rugera. Podszedł do nieprzytomnego gliniarza i wycelował mu w głowę swój wielki pistolet. Odbezpieczył go. Gruba, stalowa lufa powoli dotknęła wilgotnych włosów policjanta. Lewą ręką Ralph Bales zasłonił sobie oczy. Policzył osiem uderzeń serca. Jego dłoń napięła się, po czym rozluźniła. Zrobił krok do tyłu, odwrócił się od leżącego nieruchomo mężczyzny i zadowolili

oddaniem pojedynczych strzałów w głowę Gaudii i tej jego blondynki.

Kiedy już było po wszystkim, Ralph Bales i Stevie — jak dwóch kumpli marzących o zimnym piwie po meczu baseballu — podeszli szybkim krokiem do skradzionego czarnego pontiaca z biegnącym wzdłuż obu boków czerwonym, sportowym pasem. Stevie odpalił silnik. Ralph Bales rozsiadł się wygodnie. Krótkim palcem wskazującym dotknął górnej wargi i poczuł kwaśną woń prochu oraz dymu ze spłonki. Gdy wolno oddalali się w kierunku rzeki, Ralph Bales patrzył na widoczną na południu jasną poświatę nad St. Louis. Pomyślał, że teraz musi jeszcze tylko zająć się świadkiem — tamtym facetem od piwa — i sprawa będzie załatwiona.

*Żółte światło blednie i znów się pojawia,
zmienia się w czerń, czerń robi się żółta;
jakieś zamieszanie, krzyki, znowu ciemno,
straszliwy ból, nie mogę oddychać, nie mogę
przetykać... Odblaski żółtego światła. Znowu
znikają, już po nich... Nie odchodźcie, nie
zostawiajcie mnie samego...*

Przez chwilę Donnie Buffett widział nad sobą przerażoną twarz Penny. Błądą, w otocze ciemnych włosów. Przeraziło go przerażenie, które dostrzegł w jej oczach. Spróbował wziąć

ją za rękę. Zemdlał.

Kiedy ponownie otworzył oczy, jego żony przy nim nie było, a w pokoju panowały egipskie ciemności. Nigdy jeszcze nie czuł takiego zmęczenia.

Ani takiego pragnienia.

Po kilku minutach zaczęło do niego docierać, że został postrzelony. W tym samym momencie, gdy zdał sobie z tego sprawę, wszystko inne uleciało mu z pamięci — Penny, to okropne uczucie, że nic nie jest na swoim miejscu w jego plecach i brzuchu, palące pragnienie — on zaś skupił się, próbując coś sobie przypomnieć. Jedno słowo. Krótkie. Słowo, od którego zależało całe jego życie.

Jedno słowo. Jakie? Ponownie stracił przytomność. Kiedy po raz kolejny otworzył oczy, zobaczył nad sobą filipińską pielęgniarkę.

— Wody — wyszeptał.

— Proszę tylko przepłukać usta i wypluć — powiedziała.

— Pić.

— Przepłukać i wypluć. — Nalała mu do ust nieco wody z plastikowej butelki. — Nie połykać.

Donnie połknął wodę i zaraz zwymiotował.

Pielęgniarka ciężko westchnęła i przemyła mu

twarz.

— Nie czuję nóg. Obcięli mi nogi?

— Nie. Po prostu jest pan zmęczony.

— Aha.

Jedno słowo. Co to u diabła było? Błagam cię, Przenajświętsza Panienko, spraw, żebym sobie przypomniał...

Zasnął, usiłując przypomnieć sobie to słowo, a gdy po krótkim czasie znowu się obudził, nadal starał się wydobyć je z głębin pamięci. Tym razem przy jego łóżku siedziało dwóch mężczyzn w wymiętych garniturach. Donnie spojrział na nich i uśmiechnął się.

— Patrz, uśmiecha się. — Mężczyzna, który to powiedział, był blondynem o kwadratowej szczęce.

— Siemasz, Donnie — odezwał się drugi.

— Nie zapytam, jak się czujesz, bo powiesz: „Co za durne pytanie, czuję się jak kupa gówna”. — Miał ciemną karnację i krótkie, przyлизane włosy. Patrzył na Buffet-ta z niekłamaną sympatią. Serdecznie ścisnął jego dłoń.

— Zaszli mnie od tyłu. Był jeszcze jeden, za moimi plecami.

Bob Gianno, detektyw o ciemnej karnacji, mówił dalej: — Burmistrz wybiera się do ciebie z wizytą. Chce ci życzyć powodzenia.

Powodzenia¹? Dlaczego ktoś miałby mi życzyć powodzenia? Mnie już się powiodło. Nie potrzebuję żadnych życzeń. Muszę tylko wstać z tego łóżka.

Wargi Buffetta poruszały się.

— Co mówisz? — Richard Hagedorn, detektyw o jasnych włosach, pochylił się nad nim.

— Dlaczego nie mogę... — Donnie pokręcił głową i dodał z urazą w głosie: — Miałem przecież kamizelkę.

— Trafił cię poniżej. Tak mówili na konferencji prasowej.

— Och. — *Na konferencji prasowej? Zorganizowali konferencję prasową z mojego powodu?*

Gianno rzucił: — Poznaliśmy twoją żonę, Donnie. Śliczna kobitka. Buffett skinął głową w roztargnieniu.

Detektyw ciągnął: — Chyba się domyślasz, dlaczego tu jesteśmy. Co możesz nam powiedzieć o tej strzelaninie?

Obraz szybko się zacierał, znowu zastępowały go miliony czarnych plamek. Żółte światło, białe światło. Miał wrażenie, że wnętrzości unoszą mu się w brzuchu i falują. Czuł ból tym bardziej przerażający, że tak naprawdę wcale go nie odczuwał. Usiłował przypomnieć sobie

tamto słowo. *Słowo. SŁOWO. Cała odpowiedź zawarta jest w tym jednym słowie.*

— Ja... — wychrypiał. Głęboko wciągnął powietrze.

— Może lepiej my już... — zaczął Hagedorn, ale Buffett otarł kocem pot z twarzy i dokończył:

— Ja widziałem tylko jednego sprawcę. Biały, łysiejący, ciemne włosy. Stał tyłem do mnie, nie widziałem twarzy. Mógł mieć ze trzydzieści pięć lat. — Urwał. Powietrze z sykiem wydobywało się z jego spierzchniętych warg i paliło go żywym ogniem. — Metr siedemdziesiąt osiem. Waga około osiemdziesięciu pięciu kilo. Ciemna kurtka, koszula, dżinsy. Chyba. Nie pamiętam za dobrze. Miał wielką spluwę.

— Czterdziestkę czwórkę.

— Czterdziestkę czwórkę — powtórzył wolno Buffett. — A ten drugi, ten, który mnie trafił...

— Widziałeś go?

Buffett przecząco pokręcił głową. Po chwili zapytał: — Kim była ofiara?

— Vince Gaudia i jakaś lala.

— Cholera — westchnął z podziwem Buffett. — Gaudia. — Zamknął oczy i pokręcił głową. — Peterson się wścieknie.

Hagedorn odparł: — Do diabła z Petersonem.

Dorwiemy tego gnoja, który cię tak załatwił, Donnie.

— Trzeciego też nie widziałem — rzekł Donnie.

— Trzeciego? — powtórzył Hagedorn. On i Gianni wymienili spojrzenia.

— Faceta w lincolnie.

— W jakim lincolnie?— Gianni znowu zaczął notować.

— Ciemny lincoln. Stał zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Nie zauważyłem numeru rejestracyjnego ani modelu. — Buffett zakaszał. — Dajcie mi trochę wody.

Hagedorn poszedł do toalety i przyniósł pełną szklanekę. Podał ją Buffettowi, który zawahał się, po czym ostrzegł: — Mogę rzygać.

Gianno roześmiał się. — Widziałem w życiu gorsze rzeczy od rzygającego gliniarza.

Tym razem Buffett nie zwymiotował i triumfalnie oddał pustą szklanekę Hagedornowi.

— Najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek miałem w ustach.

Mężczyźni roześmieli się; nie było potrzeby wypowiadać na głos żadnej z puent, które jednocześnie zmaterializowały się w ich umysłach.

Gianno zapytał: — Tamten gość w lincolnie. Kierowca. Czekał na tamtych?

— Nie, odjechał sam. Może to był ktoś, kto miał zidentyfikować cel zamachu.

— E, tam — mruknął Gianni. — Wszyscy wiedzą, jak wygląda Gaudia. To znaczy *wyglądał*. Jak chłopak z okładki.

Buffett odparł: — W takim razie może to on wynajął tego łysego.

— Jakaś gruba ryba? Może i tak... Ale ty, Donnie, nie domyślasz się, kto to mógł być?

— Nie, chociaż wiem, kto go widział.

— Mamy świadka?

Buffett opowiedział im o incydencie z rozbitym piwem. — Ten facet mówił coś do kierowcy.

— Fantastycznie — uśmiechnął się Hagedorn.

Gianno odwrócił stronę w swoim notesie. — Jak wyglądał? Buffett już miał mu podać rysopis, gdy nagle doznał olśnienia.

Przypomniał sobie tamto słowo. Magiczne słowo. Cały się rozpromienił. — Pellam — wyszeptał.

— Że co? — spytał Gianni i marszcząc brwi, spojrzał na Hage-dorna.

— Ten facet nazywa się Pellam. —

Uśmiech na ustach Buffetta był coraz szerszy i coraz bardziej promienny.

— Znasz jego nazwisko? — Gianni pałał entuzjazmem. — Mieszka gdzieś w okolicy?

— Nie wiem. — Donnie wzruszył ramionami i natychmiast poczuł przeszywający ból w karku. Przez chwilę leżał nieruchomo jak głaz, dopóki ból z wolna nie ustąpił.

— Znajdziemy go — zapewnił go Gianni. Uśmiech zniknął z twarzy Donniego, gdy spróbował poruszyć nogą i odkrył, że nie jest w stanie tego zrobić. Domyślił się, że zbyt ciasno otulono go kołdrą. W roztargnieniu odgarnął przykrycie i klepnął się po udzie. — Trzeba przywrócić krążenie. Za długo już się wyleguję.

— Znajdziemy go, Donnie. — Gianni zatrzaskał swój notes.

— To jeszcze mało — rzekł Buffett. — Wiecie, jak to jest ze świadkami. A już zwłaszcza przy takiej sprawie jak ta. Facet z miejsca dostanie amnezji. Mogę się założyć. Gianni prychnął z pogardą. — O nic się nie martw, Donnie. Będzie śpiewał jak trzeba. Najwyraźniej nie smakowało im jego chili. Po piwie i whisky nie było już śladu, lecz garnek chili był praktycznie nietknięty. Po skończonej partyjce pokera, kiedy pozostali gracze wyszli, Dan-ny i Stile zostali w przyczepie i pomogli Pellamowi posprzątać. Danny, dwudziestodzieciolatek o szerokim nosie, gładkiej cerze i czarnych włosach do

ramion, przypominał wojownika ze szczepu Nawaho.

— Co jest z tym chili? — spytał, marszcząc nos, po czym opróżnił popielniczki, wsypując ich zawartość do worka na śmieci. Chociaż często bywał bezpośredni, ludzie rzadko się na niego obrażali.

Jak to — z chili?

Stile wrzucił puste butelki po piwie do drugiego worka i podkręcił sumiastego węża. Mimo iż Pellam wywodził się w prostej linii — przynajmniej według rodzinnej tradycji — od autentycznego rewolwerowca, osobiście uważał, że to Stile jest bliźniaczo podobny do jego rzeczzonego przodka, Dzikiego Billa Hickoka. Stile był chudy jak patyk i miał opadające w dół wąsy wietnamskiego weterana w odcieniu ciemno-blond, takim samym, jak włosy. Mówił właśnie: — Pamiętam, jak pracowałem przy jednym westernie... Nieważne, czym. Spadałem w nim z urwiska, mogło mieć ze trzydzieści metrów wysokości... Aż tu nagle popsuł się kompresor i nie mogli napompować poduszki powietrznej tak, jak sobie tego życzył szef kaskaderów...

— Hm — mruknął Pellam. Przeszedł do kuchni i spojrzał na garnek z chili. On sam

zjadł dwa talerze, z dodatkiem cebuli i plastrów żółtego sera. Wydawało mu się, że smakuje jak trzeba.

— O nie — poprawił się Stile. — To urwisko miało prawie czterdzieści metrów.

Danny mruknął znudzony: — No jasne.

Będąc nominowanym do Oskara scenarzystą, Danny spędzał większość czasu w luksusowych hotelowych apartamentach przed swoim laptopem firmy NEC, wymyślając sceny, w których ludzie tacy jak Stile spadali z czterdziestometrowych urwisk; takie numery nie robiły na nim żadnego wrażenia.

Stile ciągnął swoją opowieść: — Wyobraźcie to sobie: jesteśmy na środku pustyni, a ja wczuвам się w Indianina i sami wiecie...

Co jest z tym chili?

Pellam spróbował jeszcze jedną łyżkę. Fakt, przypalone. Smak potrawy skojarzył mu się z dymnym aromatem szkockiej whisky. Ale *oprócz tego* jego potrawie nie można było nic zarzucić. Oryginalny smak można było wręcz uznać za zamierzony, jak gdyby eksperymentował z nowym przepisem. Pewnie gdyby użył jakiejś egzotycznej przyprawy, nikt nie powiedziałby ani słowa. Ewentualnie: „Świetne chili, Pellam...”

Wstawił naczynia do maleńkiego

zlewozmywaka i opłukał część pod słabiutkim strumieniem wody ciurkającej z kranu.

— Tak czy owak, wylądowałem z takim impetem, że moje szlufki od paska zrobiły ślady w błocie pod poduszką powietrzną!

— No tak. To się czasami zdarza — odparł ospale Danny.

Pellam otworzył szeroko drzwi, żeby przewietrzyć przyczep* Chciał pozbyć się nie tylko woni przypalonego chili. Ten prawni z St. Louis palił papierosa za papierosem. Jak zauważył Pellam, ludzie ze Środkowego Zachodu zdawali się nie rozumieć, że taki nałóg może być szkodliwy.

Danny i Stile spierali się teraz o to, który z nich ma bardziej niebezpieczną pracę — czy Stile, spadający z wysokich urwisk, czy Danny zmuszony w ciągu kilkadziesiąt sekund prezentować swoje pomysły na scenariusze filmowe producentom i ludziom od marketingu. Stile stwierdził, że to mało oryginalny dowcip, i próbował namówić Dan-ny'ego, żeby skoczył z nim kiedyś ze spadochronem z jakiegoś mostu albo drapacza chmur.

— Weź takie „Życ i umrzeć w Los Angeles” — szepnął przy tym nabożnie. — Genialna scena. Ten skok z mostu.

Stojący w otwartych drzwiach Pellam zmrużył

oczy. W niedużej odległości od przyczepy zauważył w trawie duży, kanciasty kształt. Co to mogło być? Jeszcze raz zmrużył oczy, ale niewiele to pomogło. Przypomniał sobie, jak ten teren wyglądał za dnia — duże pole zarośnięte kępami palusznika i chwastami. Co mogło tkwić o tej porze na samym środku zakichanego pola? Dziwne, ale wyglądało to zupełnie jak...

Cień wydał z siebie ściszony warkot.

...samochód.

Wóz przyspieszył, spod jego kół posypały się ziemia i kamienie. Maską roztrącała wysoką trawę, podwozie zazgrzytało, gdy auto pokonywało ostry spadek terenu przed wjazdem na autostradę.

Zakochani, pomyślał Pellam. Pewnie się obściskiwali. Czy zresztą ludzie jeszcze to robią? Na Środkowym Zachodzie chyba tak. Pellam mieszkał w Los Angeles, gdzie żadna z kobiet, z jakimi się umawiał, nie lubiła się obściskiwać.

Dopiero kiedy się odwrócił i miał wejść z powrotem do przyczepy, zdał sobie sprawę z tego, że samochód włączył przednie światła dopiero znalazłszy się daleko od kempingu, na River Road; z tego też powodu jego tablice rejestracyjne nie były podświetlone, dopóki

znajdował się w zasięgu wzroku Pellama.
Dziwne...

— Szkoda, że tego nie widziałem —
powiedział dobitnie Danny.

— To tylko jakiś samochód — mruknął
Pellam, obserwując znikające w oddali tylne
światła wozu.

Obaj mężczyźni wytrzeszczyli na niego oczy.

— Miałem na myśli — wyjaśnił Danny —
skok z tamtego mostu.

— Och.

Danny podziękował Pellamowi za grę i
towarzystwo, ale nie za chili. Po jego wyjściu
Stile wszedł do niewielkiej kuchni i zaczął
zmywać naczynia.

— Nie musisz tego robić.

— Nie ma sprawy.

Pozmywał wszystko z wyjątkiem garnka po
chili.

— Stary, przypaliłeś dno. Sam będziesz
musiał sobie z tym poradzić.

— To przez to, że miałem przygodę w
drodze ze sklepu...

— Jak długo zamierzasz tkwić w tej
cholernej dziurze? — przerwał mu Stile.

— Do końca zdjęć. A Tony powtarza co
drugą scenę.

— Faktycznie. No cóż, jeśli będziemy tu

jeszcze w przyszłym tygodniu, zapraszam cię na partyjkę w zajeździe Quality Inn. Mam tam elektryczną kuchenkę, usmażę filadelfijskie steki z serem. I cebulą. A przy okazji, jutro odbieram furę od Hertza. Oddam ci wreszcie twój motor.

Stile był w mieście od trzech tygodni i już zdążył spalić sprzęgło w wypożyczonym wozie. Wypożyczalnie samochodów powinny pytać klientów o zawód i nie wynajmować swoich pojazdów kaskaderom.

Pellam odprowadził go do drzwi. —A widziałeś jakiś samochód zaparkowany w pobliżu, kiedy tu dziś zajeżdżałeś?

— Gdzie? Tam? To dzikie zarośla, Pellam. Dlaczego ktoś miałby tam parkować?

Stile wyszedł na zewnątrz, wciągnął w płuca powietrze. Następnie stawiając duże kroki i gwizdząc — pod swoim wąsem rewolwerowca — piosenkę Steviego Wondera, ruszył w stronę poobtłukiwanej yamahy, której bagażnik przekrzywił się niebezpiecznie nad tylnym błotnikiem.

To ten?

— Nie zauważyłem.

— Widział nas?

— Skoro ja nie mogłem go dojrzeć, to jak on miał nas zobaczyć? Ale jeśli rozwalifeś

skrzynię biegów, to zapłacisz mi za to, stary. Rozumiemy się? — warknął Ralph Bales do Steviego Floma. Porzucili gdzieś skradzionego pontiaca i jechali teraz cadillakiem należącym do Ralphi Balesa. Stevie siedział za kierownicą.

Flom miał dwadzieścia pięć lat. Był blondynem z północy Włoch, z fantastycznymi mięśniami i skórą gładką jak u niemowlęcia. Jego okrągłej twarzy nigdy nie oszpecił żaden pryszcz. W swoim krótkim życiu zaliczył już 338 kobiet. Pracował na przystani przy rozładowywaniu towaru, ale najczęściej był na zwolnieniu i w tym czasie wykonywał różne dziwne zlecenia dla ludzi, dla których niewielu podjęłoby się pracować. Był żonaty i miał trzy kochanki. Zarabiał około sześćdziesięciu tysięcy rocznie, z czego prawie trzydzieści przegrywał w Reno albo grając w pokera we wschodnim St. Louis czy Memphis.

— Jedź prosto — polecił mu Ralph Bales, oglądając się do tyłu na przyczepę. — Tak, jakby na nas patrzył...

— A patrzył?

— Co?

— Patrzył na nas?

— Jedź i nie gadaj.

Noc była bezchmurna. Na lewo od nich

rozpościerała się wielka płaszczyna Missouri, płynącej wolno na południowy wschód. Ta sama woda, która wczoraj wyglądała na czarną i błotnistą, kiedy planowali akcję, dzisiaj sprawiała wrażenie złotej — podświetlona przez światła niedużej fabryki stojącej na południowym brzegu.

Ralph Bales od razu założył, że odnalezienie świadka to bułka z masłem. Wystarczy odszukać sklep, w którym kupił piwo, i w ten sposób go namierzyć.

Zapomniał jednak, że znajdowali się w Maddox w stanie Missouri, gdzie większość mieszkańców jest bezrobotna i spędza całe dnie, pijąc, ewentualnie ćwiczy mięśnie na przystani albo zgina kark na okolicznych farmach i przepija całe noce. Ralph Bales przekartkował książkę telefoniczną i znalazł ponad dwadzieścia sklepów spożywczo-monopolowych w okolicy miejsca, w którym wysiadając z samochodu Philipa Lombro, zderzył się ze świadkiem.

Porzucili więc pontiaca, pozbyli się rugera, który miał odtąd spać snem wiecznym dwanaście metrów pod pofałdowaną powierzchnią rzeki, i pomknęli do domu, żeby się przebrać, a następnie wrócili do miasta prywatnym samochodem Ralphi Balesa.

Bales zgolił wąsy; miał teraz okulary, pogniecioną irlandzką czapkę z tweedu, rozpiętą pod szyją, wyprasowaną niebieską koszulę oraz sportową marynarkę w jodełkę. Przedstawiając się jako prawnik agencji ubezpieczeniowej, reprezentujący postrzelonego policjanta, dopóty chodził od sklepu do sklepu, dopóki nie znalazł sprzedawcy, który pamiętał, że tego wieczoru około siódmej sprzedał karton piwa chudemu mężczyźnie w lotniczej kurtce.

— Powiedział, że ma przyczepę zaparkowaną „Przy drodze”.

— Hm, tak... A co to znaczy? — spytał Ralph Bales.

— Wie pan, na tym polu kempingowym. W pobliżu cementowni. I jeszcze jedno — ostrzegł go z powagą sprzedawca. — Niech go pan nie prosi o rolę w filmie. Nie lubi tego.

— *W filmie?*

Ralph Bales i Stevie przejechali wolno nad rzekę i zaparkowali na zarośniętej działce przylegającej do kempingu Bella „Przy drodze”. Udało im się nawet zajrzeć do przyczepy przez małe okienko, ale Ralph Bales nie był pewien, czy w środku widać tego gościa od piwa, czy nie. Potem drzwi przyczepy otworzyły się, a Stevie ubzdurał

sobie, że facet zgłosił właśnie policji podejrzany samochód, i wcisnął gaz do dechy. Ralph Bales krzyczał: — Uważaj na sprzęgło! — ale Stevie nie zwracał na niego uwagi. Pędzili teraz przez noc, jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, zostawiając za sobą w tyle światła Maddox.

— Jutro rano złożymy mu wizytę.

— A jeśli do tej pory zdąży już podać glinom twój rysopis? Ralph Bales rozważał przez chwilę tę możliwość. W końcu pokręcił głową. — Przecież on nawet nic nie wie o akcji. Chryste, mieli tam regularną imprezkę. Człowiek, który był świadkiem zamachu, nie urządzałby sobie imprez z kumplami. Nie sądzisz?

Stevie niechętnie przyznał mu rację i wsunął do odtwarzacza kasetę Metalliki.

O siódmej rano następnego dnia obudziło go walenie młotem w drzwi przyczepy.

Hałas wyrwał go ze snu o staroświeckich samochodach, które wolno zataczały koła na planie filmowym. W tym śnie ktoś pytał Pellama, czy nie chce się przejechać; chciał, ale ten, kto go pytał, nigdy nie zatrzymywał się na tyle długo, żeby Pellam mógł wsiąść. W końcu znudziło go czekanie na samochód, który miał go zabrać.

Nie był to rewelacyjny sen, ale przynajmniej spał, śniąc go, a kiedy rozległo się walenie młotem, obudził się. Usiadł i spuścił nogi z wąskiego łóżka w głąbi przyczepy. Odszukał zegarek. O siódmej rano często bywał na nogach, ale rzadko *budził się* o tej godzinie. Między jednym a drugim była ogromna różnica.

Młot nadal walił w jego drzwi.

Wstał i wciągnął dżinsy oraz czarny podkoszulek. Spojrzał w lustro. Przez całą noc spał w jednej pozycji — na brzuchu, jak małe dziecko — i jego czarne włosy sterczały teraz na wszystkie strony. Pellam przygładził je i potarł odgniecenia, jakie zmięte prześcieradło pozostawiło na jego policzku. Potem poszedł zobaczyć, kto bawi się młotem o tak wczesnej porze.

— Cześć, stary — powitał go Stile. Minał go w progu i wszedł do kuchni. — Przysłali mnie po ciebie.

Pellam nastawił czajnik. Stile stanął przy jedynym stoliku w przyczepie, na którym wciąż jeszcze leżały karty do gry wraz z nędzną wygraną Pellama. Popatrzył na garnek po chili i poskrobał paznokciem przypalone dno. Następnie zbadał zawartość miniaturowej lodówki. — Nie masz tu nic do jedzenia.

— Dlaczego przyjechałeś? — wymamrotał Pellam.

— Twój telefon. Jest wyłączony. — Stile znalazł starego bajgla i przełamał go na pół. Podał połówkę Pellamowi, który przecząco pokręcił głową i wsypał dwie łyżeczki kawy rozpuszczalnej do styropianowego kubka.

— Kawy? — zaproponował.

— Nie. Mam już z powrotem swoje cztery kółka. Możesz zabrać motor. Jest w bagażniku. Na jednym błotniku ma malutkie wgniecenie. Poza tym jest w świetnym stanie. No, może trochę ubłocony. No i ten bagażnik. Pellam wlał wodę do kubka i siadł ciężko na kuchennej ławie. Stile poinformował go, że jest potargany.

— Co ty tu robisz? — zapytał znowu Pellam i przygładził włosy.

— Tony cię potrzebuje. Zachowuje się, jakby dostał apopleksji — to chyba właściwe słowo? — a ty wyłączasz telefon.

— Chciałem pospać dłużej niż do siódmej.

— Ja jestem na nogach od godziny. — O świcie Stile ćwiczył tai chi. Zamyślony chrupał bajgla. — Wiesz, John, muszę przyznać, że trochę mnie ciekawi, dlaczego zgodziłeś się pracować dla Tony'ego...

Pellam pociągnął trzy łyki parzącej kawy. Było

coś w tych kawach rozpuszczalnych: miały paskudny smak, ale utrzymywały temperaturę. W odpowiedzi na pytanie Stile'a potarł kciukiem o palec wskazujący, co miało oznaczać pieniądze.

Stile chrząknął, co równało się wzruszeniu ramionami — jakby przypuszczał, że kryło się za tym coś więcej. Z drugiej strony sam należał do związku zawodowego kaskaderów, był związkowcem o wieloletnim stażu i dobrze zarabiał, nawet jak na minimum oferowane w kontraktach Stowarzyszenia Aktorów Filmowych. Był jednak dublerem jednego z głównych aktorów i z tego powodu, jak również ze względu na jego doświadczenie, agent wynegocjował mu wyższe honorarium. Dlatego też dobrze rozumiał motywację, jaką daje projekt

O dużym budżecie.

— No cóż, Herr Eisenstein cię wzywa, a ja cię o tym informuję. — Skończył jeść bajgla.

— Powiedział ci, o co chodzi?

— Chce wysadzić w powietrze rafinerię ropy. W finałowej scenie.

— Co takiego? — Pełnam potarł zaspane oczy.

— Przysięgam na Boga. Zamierza zbudować replikę starego DC-7

1 pociągnąć ją za helikopterem, a potem...
— Stile odegrał pantomimę, pokazując, jak samolot uderza w piekarnik. — Wielkie bum... Pellam pokręcił głową. — On zwyczajnie... Och, ty sukinsynu! Zjadasz człowiekowi jego ostatniego bajgla, nabijasz się z niego, a dzień jeszcze się nawet na dobre nie zaczął. Stile roześmiał się. — Cholernie łatwo zrobić cię w balona, Pellam. No, dobra. Pobudka. Nasz pan naprawdę nas wzywa.

Na kempingu Bella „Przy drodze” stały dwa namioty, wóz kempingowy zaparkowany w części najbliższej drogi oraz ford taurus, z którego bagażnika sterczał fragment żółtego motocykla.

Przyczepę otaczały puste miejsca parkingowe oznaczone galwanizowanymi stalowymi rurami, ze skrzynkami rozdzielczymi, do których podłączano przyczepy; ciągnęły się one daleko w stronę rzeki, niczym miejsca w miniaturowym samochodowym kinie.

Stevie Flom skręcił z River Road i przejechał pół przecznicy obok jedno- i dwupiętrowych domów oraz sklepów, których okna i witryny były pozabijane dyktą. Właśnie miał zaparkować tyłem w bocznej uliczce pomiędzy dwoma opuszczonymi sklepami, gdy Ralph powiedział mu, żeby się nie wygłupiał. Miał

normalnie zaparkować przy krawężniku i czytać gazetę albo coś w tym rodzaju — tyle że z włączonym silnikiem.

Potem Ralph Bales wrócił pieszo na River Road. Był ranek, ale mimo to w przyczepie zobaczył światło. W środku zauważył poruszającą się sylwetkę mężczyzny. Bales wszedł wtedy do pobliskiej budki telefonicznej, której podłoga pokryta była maleńkimi niebieskimi odłamkami szkła z czterech wybitych szyb. Ze sterty szkła wyrastały trzy wysokie chwasty. Podniósł słuchawkę przez chusteczkę higieniczną i udawał, że rozmawia, przyglądając się jednocześnie przyczepie. Popatrzył dalej, na rzekę. Tego ranka wyglądała jeszcze inaczej — nie była szarosrebrna ani złota, jak ubiegłej nocy. Tym razem powierzchnia wody połyskiwała rdzawo, odbijając czerwień nieba, która — jak sądził Ralph Bales — brała się z tych wszystkich spalin wypuszczanych w powietrze przez rafinerie w okolicach Wood River, po drugiej stronie Missisipi. Jednostajny powiew wiatru przyginał w dół trawę i chwasty porastające brzeg rzeki, nie robiąc jednak prawie żadnych fal na powierzchni rdzawej wody, majestatycznie płynącej na południe. Ralph Bales przypomniał sobie piosenkę, o

której przez długi czas nie pamiętał, kawałek ze ścieżki dźwiękowej filmu sprzed dwudziestu pięciu lat — finałowy numer zespołu The Byrds z „Easy Ridera”. Wyraźnie słyszał w głowie muzykę, ale nie mógł przypomnieć sobie słów piosenki, jedynie jakieś strzępy tekstu o człowieku, który pragnie wolności, o rzece płynącej skądś daleko, ku morzu...

Drzwi przyczepy otworzyły się.

Tak, to był on. Facet od piwa, świadek. Za nim pojawił się wysoki, tyczkowaty **gość** z sumiastym wąsem. Mężczyźni podeszli do taurusa i wspólnymi siłami wydobyli z bagażnika motocykl.

Spod poły płaszcza Ralpa Balesa wyłonił się colt. Bales powoli rozejrzał się dokoła. Jakies półtora kilometra od niego ciężarówka z naczą zredukowała bieg, wypuszczając przy tym bezgłośnie kłąb dymu z rury wydechowej. Obok przemknęło stado szarych ptaków. Na środku błotnistej rzeki pokancerowany i połatany holownik zmagął się z nurtem, sunąc w górę Missouri.

Mężczyźni rozmawiali, stojąc nad motocyklem. Facet z wąsami pokazał temu drugiemu coś, co wyglądało jak wgniecenie w błotniku, a następnie szarpnął chromowany bagażnik. Gość od piwa wzruszył ramionami i

wyprowadził motocykl na drogę.
Ralph Bales czekał,
aż umpe lamtegD^sía^iAfe^Yw^^^^Ł-dzie.
W końcu jednak zdecydował, że powinien
zabić ich obu. Uniósł colta i ustawił go tak,
żeby celownik był wymierzony w klatkę
piersiową faceta od piwa. Drogą nadjechała
srebrna ciężarówka. Bales opuścił broń.
Ciężarówka przemknęła obok z rykiem silnika,
a dwaj mężczyźni zginęli w tumanie kurzu i
wirujących śmieci.
Ralph Bales ponownie uniósł pistolet. Tym
razem droga była zupełnie pusta. Żadnych
ciężarówek, żadnych samochodów. Nic nie
stało pomiędzy nim a jego dwoma celami,
oddalonymi o dziesięć metrów od budki
telefonicznej z podłogą zasłaną potłuczonym
szkłem.

3

Mężczyzna wsiadł na poobijany, ubłocony,
żółty motocykl i odpalił silnik, a następnie kilka
razy go przegazował. Na głowę włożył czarny
kask i gwałtownie zwolnił sprzęgło. Motocykl
stanął dęba i chwiejąc się niebezpiecznie,
przejechał jakieś trzy metry na tylnym kole,

zanim przednie z powrotem opadło na jezdnię. Wtedy zahamował z piskiem i zawrócił w stronę swojego wąsatego przyjaciela.

Ralph Bales podtrzymał broń lewą dłonią i przyłożył cztery kilogramy nacisku potrzebnego, aby zwolnić spust.

Gość od piwa założył okulary przeciwsłoneczne w czarnych oprawkach, podciągnął suwak kurtki, po czym przez jedną długą chwilę siedział nieruchomo, całkowicie wyprostowany, z ciałem zwróconym prostopadle do Ralpa Balesa, stanowiąc cel, którego nie można chybić.

W tym samym momencie Ralph Bales opuścił broń.

Mrużąc oczy, przyglądał się, jak mężczyzna nachyla się nad kierownicą i czubkiem buta wrzuca pierwszy bieg. Motocykl ruszył z piskiem opon i popędził w dół River Road; jego dynamiczny silnik wydawał przy tym ogłuszający warkot piły łańcuchowej. Kumpel mężczyzny zawołał coś za nim i pogroził mu pięścią, po czym wskoczył do taurusa.

Zostawiając za sobą chmurę spalin i strzelając spod kół żwirem, pokonał z rykiem krawężnik i pognał River Road w ślad za motorem, zostawiając na asfalcie ciemne ślady spalonej gumy.

Ralph Bales zwolnił kurek i opuścił go na pustą komorę, a następnie schował broń do kieszeni. Rozejrzył się po opustoszałej drodze, po czym zawrócił, ruszył biegiem w stronę mrocznych uliczek nabrzeża i zanurzył się w ich cieniu. Podszedł do zaparkowanego tam cadillaca i zastukał w szybę po stronie kierowcy.

— Jezu, nic nie słyszałem! — wrzasnął Stevie, odrzucając gazetę na tylne siedzenie; jej strony rozsypały się po całym samochodzie. Błyskawicznie wrzucił bieg. — Człowieku, w ogóle nie słyszałem wystrzału! — Obejrzał się do tyłu. — Kompletnie nic!

Ralph Bales spokojnie strzelił mu palcami przed nosem.

— No wiem, jedziemy! — zawołał tamten.

— O co ci chodzi? Co jest?

— Przesiądź się — powiedział bezgłośnie Ralph Bales.

— Co?! — krzyknął Stevie.

— Ja poprowadzę.

Stevie ponownie się obejrzał, jak gdyby ścigał go tuzin wozów patrolowych drogówki z Missouri.

— Wrzuć na luz — polecił mu Ralph Bales.

— Co?!

— Wrzuć na luz i przesiądź się — powtórzył

zirytowany. — Ja poprowadzę. — Wsiadł do samochodu, włączył kierunkowskaz i bardzo wolno zawrócił.

— Co się stało?

— Trzeba zaczekać.

— Nie zrobiłeś tego?

— Słucham? — spytał Ralph Bales, udając zaskoczenie. — Sam przed chwilą powiedziałeś, że nie słyszałeś żadnych wystrzałów.

— Człowieku! Ale mnie przestraszyłeś! To pukanie w szybę — stuk, stuk, stuk. Myślałem, że to gliny. Co się u diabła wydarzyło?

Ralph Bales milczał przez chwilę. — W okolicy kręcili się jacyś ludzie.

— Tak? — Właśnie mijali opustoszały kemping. Stevie obruszył się: — Nikogo nie widziałem.

— Miałem to zrobić przy świadkach? Stevie odwrócił się do niego. — Mijał was autobus czy coś takiego?

— Tak. Coś takiego.

Samuel Clemens gościł kiedyś w Maddox w stanie Missouri i podobno napisał tutaj część „Przygód Tomka Sawyera”. Członkowie miejscowego Towarzystwa Historycznego twierdzą nawet, że jaskinie za miastem były pierwotnym groty Indianina Joe, wbrew

zapewnieniom znacznie bardziej wiarygodnego biura turystyki (w Hannibal w stanie Missouri). Innych powodów do historycznej dumy nie ma wiele. W 1908 roku William Jennings Bryan wygłosił tu przemówienie (stojąc na autentycznej skrzynce po mydle), o miasteczku wspominał także w wieczornym programie radiowym sam Franklin D. Roosevelt, wymieniając regiony zdziesiątkowane przez Wielki Kryzys. Zaś jedna z nieczynnych obecnie wytwórni części metalowych miała zaszczyt wyprodukować fragmenty korpusu trzeciej bomby atomowej zrzuconej przez Amerykanów w czasie drugiej wojny światowej.

Pomijając jednak owe pretensje do chwały, Maddox nie jest niczym więcej jak niedorozwiniętym Detroit.

W przeciwieństwie do stołecznego Jefferson City, elegancko i majestatycznie ulokowanego na poszarpanym, skalistym urwisku nad Missouri, Maddox przysiadło na jej błotnistym brzegu kawałek na północ od miejsca, w którym szeroka na tym odcinku rzeka wpada do jeszcze szerszej Missisipi. Nie ma tam żadnych centrów handlowych, żadnej kliniki odwykowej w centrum miasta, żadnych podmiejskich osiedli gustownie wtopionych w

krajobraz.

W chwili obecnej Maddox jest miastem liczącym około trzydziestu tysięcy mieszkańców. Jego centrum stanowi ponurą zbieraninę sklepów pamiętających czasy powojenne oraz dwupiętrowych budynków biurowych, z których większość świeci pustkami. Wokół posępnego śródmieścia ulokowało się kilkadziesiąt fabryk, z których połowa nadal funkcjonuje ze zmienną wydajnością. Bezrobocie sięga dwudziestu ośmiu procent, dochód na jednego mieszkańca należy do najniższych w całym stanie, a alkoholizm i przestępczość biją wszelkie rekordy. Miasto nieustannie chwieje się na krawędzi niewypłacalności, a jedyny oddział straży pożarnej musi czasami podejmować dramatyczne decyzje dotyczące tego, który z dwóch lub trzech jednoczesnych pożarów należy najpierw gasić. Mieszkańcy gnieźdzą się w zrujnowanych blokach lub maleńkich dziewiętnastowiecznych parterowych domach, otoczonych przez inne budynki, nieskoszoną trawę oraz zarośla ołownika łatkowatego. Na podwórkach walają się pozbawione drzwi lodówki, zardzewiałe trzykołowe rowerki i tekturowe pudła. Na każdej posesji widnieją

wypalone w trawie kręgi, niczym prymitywne ołtarze ofiarne, na których nielegalnie pali się śmiecie, których zbiorce miasto często nie jest w stanie podjąć.

Maddox w stanie Missouri to ciemna rzeka obmywająca jeszcze ciemniejszą rdzę nadbrzeżnych zbiorników. Maddox to szczury śmiało pałętające się po zatłuszczonym, niezniszczalnym amerykańskim stuletnim bruku; Maddox to szorstka trawa wyrastająca pomiędzy gnijących desek drewnianych ramp załadunkowych, z zagłębień pełnych rozbitego szkła i dziur w wałących się silosach. Maddox to — ni mniej, ni więcej — dokładnie to, co widzi się zaraz po przekroczeniu granicy miasta, tuż za tablicą z napisem „Witamy w...” przy River Road: ważący przeszło tonę, przedziewiały szkielet chevroleta pickupa, nie przedstawiający sobą żadnej wartości, nawet jako złom.

Jednak dla Johna Pellama Maddox było rajem. Miesiąc wcześniej skończył dokumentację do filmu kręconego w Montanie. Siedział wtedy przed swoją przyczepą, z wyciągniętymi nogami i czubkami brązowych kowbojek wycelowanymi mniej więcej w to miejsce, gdzie rozbuchane ego George'a Armstronga Custer zgotowało mu ostateczny koniec. Pił

akurat piwo, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy.

Ledwo zdążył otworzyć usta, gdy jego rozmówca zasypał go gradem informacji; Pellam zdołał wyłowić coś o parze młodych kochanków, którzy napadają na bank. Nieznajomy mężczyzna nadawał jak karabin maszynowy — zupełnie jakby podjął rozmowę dopiero co przerwana przez namolnego petenta. Pellam miał wrażenie, że nazwisko dzwoniącego padło gdzieś na początku, ale nie zwrócił na nie uwagi, przytłoczony lawiną słów i faktów.

— Hm, a kto mówi? Bo chyba nie dosłyszałem.

— Tony Sloan — odparł z zaskoczeniem dobitny głos po drugiej stronie słuchawki.

— Okej. — Nie znali się, ale Pellam oczywiście słyszał o Sloanie. Jak zresztą każdy, kto czytał takie pisma, jak „Premierę”, „People” czy „Newsweek”. W przeszłości reżyser reklam telewizyjnych, twórca ubiegłorocznego przeboju kinowego „Człowiek robot” — thrillera science fiction rozgrywającego się w świecie polityki i komputerów — który zdobył Oscary za najlepsze efekty specjalne i najlepszy dźwięk. Jego realizacja kosztowała siedemdziesiąt

osiem milionów dolarów, a już w pierwszy weekend wyświetlania zarobił trzydzieści sześć milionów.

Pellam widział dwa pierwsze filmy Tony'ego Sloana i żadnego więcej. Wolał nie pracować z reżyserami jego pokroju — jego zdaniem większą wagę przykładali do efektów specjalnych niż do gry aktorów — lecz tamtego dnia w Montanie słuchał go z pewnym zainteresowaniem z dwóch powodów. Po pierwsze, po ostatnim sukcesie Sloan mógł wypisywać hojne czeki swoim współpracownikom i żadna wytwórnia nie ośmieliłaby się tego zakwestionować. Po drugie, z powagą całkiem nietypową dla dziecka telewizji, którym przecież był, Sloan wyjaśnił mu, że chciałby nakręcić mocny film. — Chcę to rozwinąć artystycznie. Coś w klimacie „Badlands”, wiesz, co mam na myśli? Minimalizm. Tylko to, co niezbędne. Pellamowi podobał się „Badlands”, a wszystkie jego ulubione filmy były minimalistyczne w formie i treści. Poczul, że powinien jednak wysłuchać Sloana. — Zrobiłem rozpoznanie, John. Ludzie mówią, że zjeździłeś kraj wzdłuż i wszerz. Podobno jesteś chodzącym katalogiem gotowych plenerów.

Bez przesady. Pellam miał jednak całe mnóstwo notesów wypełnionych polaroidami przedstawiającymi dziwne, malownicze miejsca w sam raz do filmu, jaki opisał mu Sloan. Co więcej, Sloan miał mniej doświadczenia z plenerami niż większość reżyserów, jako że jego produkcje stanowiły z reguły połączenie zdjęć kręconych w hali z wymyślną grafiką komputerową. Potrzebował porządnego dokumentalisty, żeby zrealizować to, co sobie zamierzył.

— Mów dalej — zachęcił go.

— Dwoje głównych bohaterów napada na banki — podjął zatem Sloan. — Mają być młodzi, nieopatrzeni — coś jak Aidan Quinn i Julia Roberts, zanim stała się *tą* Julią Roberts. Nie chcę nikogo, kto chociaż raz był na okładce „People”. Żadnych kasowych nazwisk. Muszę coś zmienić, chociaż boję się jak diabli. Tak między nami, to czuję, że ten system mnie dusi. Wiesz, o czym mówię?

Pellam wiedział i poinformował o tym Sloana.

— Nikt ich nie rozumie. Są wściekli, zniechęceni...

Słuchając wówczas Sloana, Pellam spoglądał na wzgórze, które — jak sądził — nosiły nazwę Czarnych. Tak naprawdę wcale nie były czarne, ale ciemnoniebieskie. Majaczyły

daleko przed nim, a na tle górującego nad nimi, niesamowicie czystego nieba, robiły jednocześnie majestatyczne i niepokojące wrażenie.

— Coś mi to przypomina, Tony.

— Wiem, o czym myślisz. „Bonnie i Clyde”

— odparł Sloan. *No tak*. Pellam właśnie o tym filmie myślał.

— To będzie coś zupełnie innego — uciał reżyser. — Scenariusz zatytułowany jest „Missouri River Blues”. Mówi ci to coś? Kilka lat temu przymierzał się do niego Orion, zanim zbankrutował. Tyle że moi bohaterowie będą *prawdziwi*. To postacie z krwi i kości. Dunaway i Be-atty byli... po prostu sobą. Co jeszcze mogę powiedzieć? To był dobry film, jeden z tych, które mnie ukształtowały. Ale ja chcę pójść *dalej*. Bo wiesz, historia wygląda tak: Ross, czyli ten chłopak, siedzi w więzieniu i zaczyna świrować. Chce się zabić. Jest pewien, że nie wytrzyma w zamknięciu ani chwili dłużej. Na początek mamy fantastyczne zdjęcia systemu więziennych zabezpieczeń. A zaraz potem... Bo rozumiesz, w tym więzieniu...

— Wiem, zamykają na noc cały blok o zaostrzonym rygorze.

— Właśnie. Skąd wiesz?

- Mów lepiej dalej, Tony.
- Mój operator pracuje na specjalnym obiektywie do zdjęć mikro. Ujęcia wewnątrz zamków, zatraskujące się zasuwę. Piękna sprawa. Tak stworzymy wrażenie klaustrofobicznego zamknięcia. Nasz bohater jest osaczony. W końcu jednak Ross ucieka. On i Dehlia...
- Dehlia?
- No tak, on i Dehlia rozbijają się po kraju i napadają głównie na opancerzone półciężarówki. Jakby współcześni rozbójnicy. Rossem powoduje strach przed więzieniem, Dehlią — strach przed konwencją, która zamyka kobiety w domach. Oboje cierpią więc na pewien rodzaj klaustrofobii. Taki kontrast niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą wolność, z lękiem przed uwięzieniem. Co jest gorsze? Więzienie, z całym systemem zabezpieczeń, czy wolność pełna różnych zagrożeń?
- Bardzo mi to przypomina historię Bonnie i Clyde'a.
- Nie, nie, bohaterowie są całkiem inni. Do tego wolność w miłości kontra ograniczenia, jakie ona ze sobą niesie. Aha, a jeszcze tym dzieciakom zależy na środowisku naturalnym.
- Sloan dodał z naciskiem: — Mamy

początek lat pięćdziesiątych. Bohaterowie są zaniepokojeni testowaniem broni jądrowej.

— Broni jądrowej — powtórzył Pellam. — Faktycznie, obywatelska postawa. — Sloan zupełnie nie wyczuł ironii, więc Pellam zapytał: — Domyślam się, że akcja toczy się gdzieś w Missouri?

— W średniej wielkości miasteczku — przytaknął Sloan. — Takim, które ominą powojenny boom.

— Akcja filmu „Bonnie i Clyde” też rozgrywa się w Missouri — zauważył Pellam. — A przynajmniej pewna jej część...

— Ta historia nie ma nic wspólnego z Bonnie i Clydem — odparł Sloan lodowatym tonem.

Pellam przejrzał szybko w pamięci swój katalog plenerów na Środkowym Zachodzie.

— Kilka lat temu robiłem dokumentację w Kansas. W takim niedużym nadrzecznym miasteczku. Kansas może być?

— Chcę Missouri. Nie zapominaj o tytule.

— Odróżniłbyś Kansas od Missouri? — spytał Pellam.

— Wychowałem się w Van Nuys. Nie odróżniłbym Ohio od Kolorado. Ale nie o to chodzi. Chcę mieć Missouri i już.

— Rozumiem.

Sloan zamilkł na moment. — John, problem w tym, że gonią mnie terminy.

Ostatnie słowo zawisło w powietrzu.

— Terminy...

— Wiesz, od początku mam z tym projektem same kłopoty. Pamiętasz, co napisał o mnie „Time”? W ubiegłym roku?

— Chyba mi to umknęło — przyznał się Pellam.

— Nazwali mnie wtedy wizjonerem nowoczesnej techniki. Pellam odparł, że tak czy owak artykuł umknął jego uwadze.

— Wytwórnice Sony i Disney były gotowe wystawić czek na sumę równą dochodowi narodowemu Francji, gdybym tylko zgodził się nakręcić drugą część.

Zatytułowaną „Syn człowieka robota”, pomyślał Pellam i zaraz zmienił zdanie. — „Reaktywacja człowieka robota” — podsunął.

— Cha, cha, John. Nieźle. Bardzo śmieszne. Ale „Missouri River”? Nawet sobie nie wyobrażasz, jaką walkę stoczyłem, żeby dostać zielone światło. To kino akcji, ale kino akcji osadzone w latach pięćdziesiątych, i to na dodatek inteligentne. Ludzie boją się takich rzeczy.

Albo też boją się konkurować z Kurosawa, Altmanem, Johnem Fordem — i Arthurem

Pennem, reżyserem klasyka „Bonnie i Clyde”.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Tony?

— Chcę powiedzieć, że mam poważny problem. Wczoraj dostałem zgodę i najpóźniej za dwa tygodnie muszę mieć plener.

Najpóźniej.

Pellam roześmiał się śmiechem, który przyprawia producentów i reżyserów o ciarki na plecach. Taki śmiech oznacza: nie tylko prosisz mnie o coś niemożliwego, ale przede wszystkim nie zależy mi na tej robocie aż tak bardzo, żeby znosić to całe gówno. A wiem, że będę musiał je znosić, żeby dać ci to, co chcesz.

— Za sześć tygodni chyba — powiedział. W rzeczywistości był gotów wyruszyć w drogę jeszcze tej samej nocy — jak tylko Czarne Wzgórza zrobią się naprawdę czarne, a jemu skończy się piwo. Ale niemożliwością było znalezienie w dwa tygodnie plenerów dla setek ujęć do pełnometrażowego filmu.

Była to chwila, w której jeden z nich powinien był powiedzieć: „Cztery tygodnie”, po czym uścisnęliby sobie dłonie — co prawda wirtualnie — na znak kompromisu.

Tony Sloan odrzekł jednak: — Znajdź mi plenery w dwa tygodnie, a zapłacę ci dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Pellam poczuł gorąco spływające mu z czubka głowy aż do gardła. Był pewien, że zrobił się czerwony na twarzy. — No cóż...

— Trzydzieści pięć. *Trzydzieści pięć tysięcy?*

— Jestem zdesperowany, Pellam. Nie będę ci wciskał kitu.

Po chwili milczenia Pellam zapytał: — Tony, hm, powiedz mi jedną rzecz — czy pod koniec filmu teksański strażnik wpada na ich trop i wykańcza serią z karabinu maszynowego?

— Pellam, to zupełnie inny film, do cholery.

— W porządku, umowa stoi. Prześlij mi scenariusz kurierem na adres poczty w Kansas City.

Cztery dni później Pellam minął granicę miasta Maddox w stanie Missouri, zahamował i zatrzymał swój wóz kempingowy, czując, że właśnie zarobił naprawdę niezłą kasę.

MISSOURI RIVER BLUES

SCENA 34 — PLENER, WIECZÓR, ULICA PRZED BANKIEM PÓŁZBLIŻENIE *Rossa i Dehlii, ubranych, jakby wybierali się „na niewinną przechadzkę”. Mają za zadanie przeprowadzić rekonesans przed skokiem, ale Ross jest zamyślony. Przystaje.*

ZBLIŻENIE AGENCJI NIERUCHOMOŚCI I

SAMOCHODU

ROSSA

ZBLIŻENIE OFERT DOMKÓW

JEDNORODZINNYCH UJĘCIE twarzy Rossa.

UJĘCIE twarzy Dehlii patrzącej na niego.

PODWÓJNE UJĘCIE ich obojga.

ROSS

Dawno temu chciałem żyć jak wyjęty spod prawa. Ale teraz jest inaczej. (ZBLIŻENIE jego twarzy). Od kiedy wyruszyliśmy razem w drogę, skarbie, wszystko się zmieniło. Teraz mam ciebie i chcę być częścią tego świata, który dotąd był dla nas niedostępny.

Przyglądaliśmy mu się tylko z zewnątrz przez długi, bardzo długi czas...

Filmowa para kochanków napadających na banki trafia do nadrzecznego miasteczka na Środkowym Zachodzie, pełnego nieczynnych fabryk i ludzi, których życie zrujnował bezlitosny kapitalizm. Decydują się na jeszcze jeden, ostatni skok, po którym zamierzają pójść w ślady wszystkich weteranów drugiej wojny światowej — kupić domek na przedmieściach i płodzić dzieci.

Bardziej niż filmy minimalistyczne i oszczędne w środkach Pellam cenił sobie filmy dobre; jednak w tym wypadku wcale nie był przekonany, że „Missouri River Blues” jest takim

filmem. W scenariuszu kryło się za dużo bomb z opóźnionym zapłonem — przydługie monologi, strzelaniny, pościgi samochodowe i stylowe ujęcia. Z drugiej strony, scenariusz stanowił jedynie zapowiedź tego, co mogło na jego podstawie powstać. Co Sloan z nim zrobi, tego w tym momencie nie wiedział nikt, prawdopodobnie nawet sam Sloan.

Tak czy owak, nie do Pellama należało doradzać wizjonerom w kwestiach dotyczących ich kariery. Zrobił po prostu to, za co mu zapłacono. Dziesięć razy przeczytał scenariusz, wczuł się w atmosferę, rozpiisał kolejne sceny i pogrupował je według ich podobieństwa, żeby ograniczyć konieczność podróżowania między plenerami. Następnie przejechał swoim wozem kempingowym ponad tysiąc kilometrów, zwiedzając Maddox i okolice, wypstrykał sześć paczek polaroidów, spotkał się z burmistrzem oraz przedstawicielami miejscowego ubezpieczyciela, a na koniec spisał sprawozdanie i wysłał je do wytwórni.

Następnego dnia Sloan i operator filmowy przylecieli do St. Louis i przejechali samochodem na północ, gdzie Sloan zaaprobował większość lokalizacji, po czym jeszcze tej samej nocy obaj wrócili do Kalifor-

nii, żeby dokończyć casting.

Przez kolejny tydzień Pellam pomagał szefowi obsługi technicznej w przygotowywaniu planu zdjęciowego; wspólnie też decydowali, jaki sprzęt będzie potrzebny do realizacji filmu. Sloan, aktorzy oraz ekipa filmowa swoim pojawieniem się w mieście wywołali istne szaleństwo. Wozy techniczne, dźwigi, przyczepy kempingowe, furgonetki ze sprzętem. Jeśli chodzi o mieszkańców Maddox, zdjęcia do filmu okazały się ważniejsze niż Franklin D. Roosevelt i William Jennings Bryan razem wzięci.

Jak to się dzieje na większości planów zdjęciowych, przez pierwszych kilka dni atmosfera była niezwykle ożywiona. Pellam dobrze się bawił. Ponieważ dokumentaliści są zwykle pierwsi na miejscu, nowoprzybyli członkowie ekipy proszą ich często o rady — gdzie warto zjeść, co warto zobaczyć. Młody, bufonowaty aktor, grający jednego z gangsterów Rossa, zapytał Pellama bez ogródek, gdzie tu można coś zaliczyć i ile to kosztuje. Po chwili zastanowienia Pellam przypomniał sobie ogłoszenie, które widział wkrótce po przyjeździe do Maddox. — Będzie tanio, ale musisz przejechać spory kawałek — odparł i podał aktorowi skomplikowane wskazówki,

dzięki którym tamten po przejechaniu szesnastu kilometrów znalazł się na totalnym zadupiu. Kiedy po godzinie wrócił i wpadł na plan, gotując się ze złości, Pellam i reszta ekipy powitali go głośnym chrząkaniem i pokwikiwaniem.

Pellam wysłał go bowiem do Muzeum Tuczniaków i Szynki w St. Charles County. Ale od tamtej chwili minął już miesiąc i żarty się skończyły. Realizacja „Missouri River Blues” mocno się opóźniała, budżet został znacznie przekroczony. Producent z wytwórni finansującej film przysłał nawet na plan swojego przedstawiciela — Sloan nazywał go „kapusiem” — żeby pchnął produkcję do przodu. Zdaniem Pellama problem polegał na tym, że choć Sloan potrafił wydobyć to, co najlepsze z postaci walczących na śmierć i życie przy użyciu broni laserowej oraz aktorów zmieniających się w wyładowania elektryczne, niezbyt dobrze radził sobie w mniej apokaliptycznych scenach, zwłaszcza tych, w których pojawiały się takie tematy jak miłość, zdrada, przyjaźń, tęsknota... W związku z tym introspekcja była stopniowo wypierana przez strzelaniny, pościgi samochodowe, jak również maksymalne zbliżenia ładowanej broni, konstruowanych bomb oraz rozbijanych lub

wysadzanych w powietrze zamków opancerzonych półciężarówek.

A przez cały ten czas Sloan zużywał kolejne rolki taśmy. W końcu osiągnął średnią ponad trzech tysięcy metrów dziennie — równoważność niemal dwóch godzin filmu, z których do montażu nadawały się może dwie minuty.

— To robota głupiego — skarżył się Pellamowi szczipły, łysiejący szef obsługi technicznej.

Miał na myśli to, że film nie powstanie w miarę kręcenia zdjęć, na planie filmowym, lecz po zakończeniu pracy zostanie pocięty i skleiony na stole montażowym. Zdesperowany Tony chciał nakręcić tyle materiału, ile wlezie, z czego później zamierzał skleić swój film.

(Hitchcock nigdy nie pracował w ten sposób, szepnął Pellamowi na ucho szef obsługi technicznej).

Po tym, jak rozpoczęły się właściwe zdjęcia, Pellam sądził, że będzie miał mnóstwo czasu dla siebie. Na tym etapie większość prac organizatora produkcji w plenerze była zwykle zakończona. Musiał jedynie nadzorować terminowe regulowanie płatności za wynajem lokali oraz pilnować różnego rodzaju zezwoleń i tymczasowych dokumentów ubezpieczeniowych. W istocie jednak coraz częściej łapał się na tym, że wyczekuje

telefonów od coraz bardziej zdenerwowanego Sloa-na — takich, jak ten dzisiejszego ranka, wzywający go natychmiast na plan, po którym pędził stową na godzinę przez opustoszałe ulice Mad-dox. Takie telefony mogły być zmorą biznesmenów, ale przynajmniej pozwalały spełnić marzenia każdego motocyklisty

4

Pellam zostawił za sobą ponadtrzyipółmetrowy ślad hamowania na asfalcie, biegnący od krawężnika aż do wózka cateringowego na planie „Missouri River Blues”, po czym zeskoczył ze swojej yamaha dokładnie w tym samym momencie, w którym zakurzony ford taurus zatrzymał się z piskiem opon jakieś piętnaście centymetrów od jego uda.

Pellam wzruszył ramionami, widząc, że Stile wygrzebuje się z forda całkiem nie w sosie. Przegrał wyścig, bo przystanął na czerwonym świetle, które Pellam zupełnie zignorował.

— Nie wiedziałem, że wolno było łamać przepisy — burknął Stile, mijając go i idąc do garderoby. — Dorwę cię następnym razem. Pellam podszedł do rusztowania wznoszącego

się nad przygotowanym na ten dzień ujęciem. Tony Sloan był muskularnym mężczyzną o agresywnym wyglądzie i bardzo wąskiej twarzy okolonej ciemną brodą. Miał na sobie niebieskie dżinsy i spłowiwały zielony podkoszulek. Przyprószone siwizną czarne włosy zaczesywał do tyłu i wiązał w kucyk. Czasami wyrzucał z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego, a czasami milczał jak głaz. Spojrzenie reżysera, być może odzwierciedlające jego myśli, często bywało rozbiegane; równie często jednak ospały wzrok Sloana zawisał gdzieś w próżni, by na chwilę tylko zagościć na twarzy rozmówcy. Teraz wbił się ze złością w Pellama.

— John, musisz coś zrobić z tym swoim telefonem... Słuchaj, wymyśliłem, jak ma wyglądać zakończenie filmu. Chcę, żeby ostatecznie kupili ten domek, rozumiesz? — Sloan bawił się swoim pagerem.

— Mówisz o Rossie i Dehlii?

— Wiem dokładnie, jak on powinien wyglądać. Mam to w głowie. Znajdziesz mi taki dom? Coś z lat pięćdziesiątych. Może być parterowy. — Wzrok Sloana odplynał w górę, zatoczył kilka kółek, po czym ponownie spoczął na twarzy Pellama, który tymczasem usiłował przypomnieć sobie ostatnią oficjalną

wersję zakończenia.

— I co ten dom miałby w finale zastąpić?

— Dworzec autobusowy — odparł Sloan. — Nie potrzebujemy już dworca autobusowego.

— W porządku. Łatwizna. Chcesz mieć dom. Będziesz tam chciał też urządzić jakieś wnętrza?

— Nie, nie będę *chciał*. — W głosie Sloana pojawiło się rozdrażnienie. — Dlaczego miałbym *chcieć*?

— Źle się wyraziłem, Tony. Chodziło mi o to, czy robimy tam jakieś wnętrza?

Sloan wzniosł oczy ku niebu. — *Chciałbym* zbudować przyzwoity plan, w hali zdjęciowej. Me *chcę* upychać tego całego cholernego sprzętu w saloniku trzy na cztery metry. Ale chyba nie mam wyboru.

— Chcesz więc parterowy dom z salonem trzy na cztery.

— Hm, *zależałoby mi* na czymś większym. Jeżeli oczywiście uda ci się coś takiego znaleźć.

— Załatwię...

Tuż przy uchu Pellama rozległ się nagle obcy głos: — Przepraszam. — Pellam drgnął zaskoczony. On i Sloan odwrócili się.

— Czy jeden z panów nazywa się John Pellam? Pellam uśmiechnął się na powitanie.

— Jestem detektyw Gianni, a to jest detektyw Hagedorn. Z posterunku policji w Maddox.

Pellam zerknął na dwa identyfikatory i dwie złote odznaki, po czym natychmiast zapomniał oba nazwiska. Włoski policjant miał ciemną cerę i był niski. Drugi najwyraźniej pochodził z linii białych anglosaskich protestantów, miał jasne włosy, był wysoki i muskularny. Miał też wybitnie kwadratową szczękę. Pellam wyczuł woń wody po goleniu. Jakiś ostry zapach. W swoim życiu wielokrotnie miał do czynienia z glinami i nie pamiętał, aby od któregośkolwiek stróża prawa nie wyczuł zapachu wody po goleniu.

— O co chodzi? — spytał ich Sloan i utkwiał nieruchome tym razem spojrzenie w twarzy włoskiego detektywa.

Policjant odpowiedział pytaniem: — A pan kim jest?

— Tony Sloan. — Nie widząc z ich strony żadnej reakcji, dodał: — Jestem reżyserem. Detektyw o jaśniejszej cerze odwrócił się do niego plecami. — Jeśli można, chcielibyśmy porozmawiać z panem Pellamem.

— Jeśli jest jakiś problem, ja jestem odpowiedzialny za...

— Nie będzie żadnego problemu, proszę

pana — policjant spojrział na Sloana tak, jakby ten był natrętnym żebrakiem — jeżeli tylko pozwoli nam pan porozmawiać przez kilka minut z panem Pellamem sam na sam.

Sloan popatrzył na niego ze zdumieniem, po czym zwrócił się do Pellama, który wzruszył ramionami.

— Załatwię ci ten dom, Tony.

Reżyser oddalił się w stronę dźwigu Chapman Apollo, z potężnym wysięgnikiem i platformą operatora kamery uniesioną na wysokość prawie trzech metrów. Przystanął w jej cieniu i stamtąd popatrywał na policjantów stojących teraz po obu bokach Pellama. Kilku członków ekipy obsługującej sprzęt i oświetleniowców zauważyło marsową minę reżysera i przerwało swoje zajęcia, żeby obserwować rozmawiających mężczyzn.

Biały policjant przysunął się do Pellama.

Zapach limonki stał się bardzo wyraźny. —

„Post-Dispatch” dał artykuł o waszym filmie — odezwał się tym samym pełnym wyższości, oficjalnym tonem, który na całym świecie charakteryzuje wymiany zdań pomiędzy cywilami a stróżami prawa.

— To będzie kryminał? O szajce napadającej na banki? — Włoski gliniarz powiedział to takim tonem, jakby ludzie tylko

dlatego łamali prawo, bo naoglądali się niewłaściwych filmów.

— Na opancerzone furgonetki bankowe — poprawił go Pellam.

— Jeszcze nigdy nie mieliśmy ekipy filmowej w Maddox — dodał tamten uroczyście. — Mam nadzieję, że pokażecie nasze miasto od jak najlepszej strony. Przechodzimy teraz trudny okres, ale to raczej nie nasza wina...

— Na pewno nie — dorzucił blondyn.

— Czego właściwie panowie sobie życzą?
— zapytał Pellam.

— Wczoraj wieczorem była tutaj strzelanina. Mieliśmy nadzieję, że będzie nam pan mógł coś na ten temat powiedzieć.

— Tutaj?

— Na rogu Trzeciej, w pobliżu rzeki.

Pellam zastanowił się, czy cokolwiek słyszał. Nic sobie nie przypominał, ale z drugiej strony przy włączonym magnetofonie, telewizyjnej transmisji z meczu Cardinalsów i hałasie, jaki robi pięciu facetów grających w pokera, trudno byłoby usłyszeć jakikolwiek dźwięk dobiegający spoza przyczepy. Pokręcił głową. — Przykro mi. Chyba nie mogę panom pomóc. — I już chciał odejść.

Biały Anglosas chwycił go mocno za ramię i

roześmiał się z zaskoczeniem, niczym obrażony przez ucznia nauczyciel. — Hola, hola, niech pan chwilkę zaczeka. Jeszcze nie skończyliśmy.

Pellam strącił jego dłoń i odwrócił się. — Nie mogę panom pomóc.

— A nam się wydaje, że jednak pan może. Postrzelono policjanta, który jest teraz w ciężkim stanie, a dwie osoby zginęły na miejscu. Vin-cent Gaudia i panna Sally Ann Moore.

— Bardzo mi przykro. Te nazwiska nic dla mnie nie znaczą.

— Ludzie giną, a pana to nic nie obchodzi?
— spytał blondyn, unosząc w górę otwarte dłonie.

— Nie o to mi chodziło. Po prostu te nazwiska nic mi nie mówią. Teraz odezwał się Włoch: — A samochód? Lincoln? To panu coś mówi?

— Nie. Ja... Chociaż... Chwileczkę. Jakiś facet *faktycznie* wysiadł z dużego samochodu, to mógł być lincoln. Nie zwróciłem uwagi na markę. Chwilę wcześniej kupiłem piwo. Ten gość wpadł na mnie.

— Mógłby go pan opisać?

— Czy to właśnie on zginął?

— Jak wyglądał?

— Niezbyt wysoki, krępy, łysiejący, wydaje mi się, że miał brodę albo wąsy. Pod czterdziestkę.

— Rasa?

— Biały.

— Jakież blizny, znaki szczególne?

— Nie przypominam sobie.

— W co był ubrany?

— Chyba w kurtkę. I dżinsy. Raczej na ciemno.

— W lincolnie był sam?

— Nie. Był tam ktoś jeszcze. Po chwili odjechał.

— Mężczyzna?

— Tak, mężczyzna.

— Potrafi go pan opisać?

— W ogóle go nie widziałem.

Detektywi nie tyle wymienili spojrzenia, co popatrzyli na siebie znacząco.

Sloan zawołał: — Pellam, znajdziesz mi ten dom czy nie? Włoski policjant odkrzyknął: —

To oficjalna sprawa, proszę pana. *A niech to.*

Pellam bezradnie przechylił głowę i zawołał do Sloana: — Panowie chcą mi tylko zadać parę pytań.

Sloan przyglądał im się jeszcze przez chwilę; tym razem jego spojrzenie nie błądziło z artystycznym roztargnieniem, lecz wściekle

świdrowało twarze trzech mężczyzn stojących w cieniu dźwigu.

— Panie Pellam, chodzi o to... — ciągnął włoski policjant — że postrzelony funkcjonariusz...

— Dostał kilka razy w plecy — wtrącił jego partner.

— Boże, to okropne.

— ...zecznał, że widział, jak rozmawiał pan z kierowcą samochodu. On...

— To on oberwał? Tamten policjant? Danny? Jak on się nazywał?

— Donnie Buffett.

— To straszne. My zamieniliśmy parę słów. Wylize się z tego?

— Nie wiadomo — odparł włoski gliniarz. W ciężkiej ciszy, jaka zapadła po tych słowach, policjanci przyglądali mu się z powagą. Pod ich pełnym potępieniem wzrokiem Pellam poczuł się winny. — Nie widziałem go. Mam na myśli kierowcę. Zajrzałem do środka. Zajrzałem do samochodu, ale tak naprawdę mówiłem w powietrze. Nie zwracałem się do nikogo konkretnie. Trudno to nazwać rozmową.

— To skąd pan wie, że to był mężczyzna? Pellam zastanawiał się przez chwilę. — Dobrze pytanie. Nie wiem. Po prostu tak założyłem.

— Sprawiał pan wrażenie przekonanego, że to był mężczyzna — zauważył policjant o jasnej karnacji. — Mówił pan tak pewnie.

— Założyłem, że kierowcą był mężczyzna. Włoski policjant odezwał się: — To trochę też dziwne, nie sądzi pan? Stać tak blisko człowieka i nie zauważyć, w co jest ubrany? Jakiej jest płci? Nie wiedzieć, czy był biały, czy czarny?

— Nie wiem, czy to jest dziwne, czy nie, ale tak właśnie było. Był już wieczór...

— Adams Street jest oświetlona jak Gateway Park — zauważył Włoch. Anglosaski gliniarz zerknął na swojego partnera. — To przez te wszystkie wypadki. Dlatego zainstalowali tam lampy sodowe.

— To światło mnie oślepiło — wyjaśnił Pellam. — Na tym polegał kłopot. Odbijało się od szyb samochodu. Nic nie widziałem.

— A więc fakt, że był już *wieczór*, nie stanowił problemu — rzekł ten o jaśniejszej karnacji. — Wcześniej powiedział pan, że był już wieczór, tak jakby chciał pan powiedzieć, że było za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Teraz jednak mówi pan, że wcale nie było za ciemno, tylko za *jasno*...

— I chyba tak właśnie było — odparł Pellam.

— Jaki to był model lincolna?
— Czarny.
— Jaki *model*?
— To znaczy?
— Zwykły sedan? Continental?
— Nie zwróciłem uwagi. Przykro mi, ale jedyne, co zapamiętałem, to to, że był duży i czarny.

— Jest pan pewien, że wóz był czarny?

— No cóż, było ciemno. Mógł być granatowy.

Wypytywali go jeszcze o numery rejestracyjne, wgniecenia, zadrapania i uszkodzenia karoserii, naklejki na zderzakach... Pellam nie był w stanie im pomóc. Wreszcie policjanci zamilkli.

— Myślicie, że kłamię?

— To po prostu dosyć dziwne, to wszystko.

— Co jest dziwne? — Pellam zakłósał się na obcasach.

— To, że był pan tak blisko i niczego nie zauważył — odparł blondyn. — To jest dziwne.

— Było ciemno. — Pellam usiłował naśladować ich sfrustrowany ton.

— I jeszcze te oślepiające światła — dodał Włoch. Kpiąco? Pellam nie był pewien.

— A nasz Buffett twierdzi, że widział, jak

rozmawiał pan z osobą siedzącą za kierownicą samochodu...

— Już wam mówiłem, że nie *rozmawiałem* z nim... Czy też z nią.

— Pellam zobaczył z daleka, że w oknie przyczepy Sloana drgnęła zasłonka, odsłaniając na chwilę ciemną szczelinę. Pellam wyobraził sobie parę śledzących go zmrużonych, oszalałych oczu zniecierpliwionego reżysera-wizjonera. Zwrócił się do policjanta o jaśniejszej karnacji, który

— chociaż większy — sprawiał wrażenie rozsądniejszego: — Niech mnie pan zrozumie, jestem teraz bardzo zajęty. To naprawdę kiepski moment.

W odpowiedzi blondyn jedynie powtórzył: — Hm, a Buffett twierdzi, że rozmawiał pan z kierowcą. Co pana zdaniem mamy na ten temat sądzić?

Pellam westchnął. — Byłem zdenerwowany. Mówiłem, co mi ślina na język przyniosła, do siebie, żeby się uspokoić. Nie pamiętam dokładnie, co. Coś tam mamrotałem.

— Dlaczego był pan zdenerwowany?

— Facet, o którym wam mówiłem, ten, który wysiadł z samochodu, wpadł na mnie. Przez niego upuściłem karton z piwem.

— Dlaczego to zrobił?

- To był przypadek. Nie zrobił tego celowo.
- Jeśli to był przypadek — powiedział wolno blondyn — to dlaczego zdenerwował się pan do tego stopnia, żeby zacząć mówić sam do siebie?
- Mamrotać, jak pan właśnie zeznał — podsunął włoski gliniarz.
- Dobra, starczy tego. Nie mam nic więcej do powiedzenia. — Pellam zrobił krok, żeby odejść, i napiął wszystkie mięśnie, spodziewając się, że któryś z policjantów znowu spróbuje go zatrzymać.
- Jednak żaden z nich nawet nie drgnął.
- Blondyn rzucił tylko: — Dwie osoby nie żyją, a policjant dostał strzał w plecy.
- Jego partner dodał: — Czasami ludzie po prostu się boją. Nie chcą zgłaszać się na ochotnika, jako świadkowie. Ale nie ma powodów do niepokoju. Ochronimy pana.
- Nie widziałem żadnej strzelaniny.
- Jedynie, co widziałem, to gościa, który prawie ściął mnie z nóg.
- Bardziej interesuje nas ten człowiek w samochodzie. Podejrzewamy, że to on zlecił zabójstwo.
- Przykro mi. A teraz, jeśli nie macie panowie więcej pytań... — Pellam uniósł w górę ramiona w geście telewizyjnego

kaznodziei przytłoczonego nadmiarem ludzkich grzechów.

— Czy mógłby pan przynajmniej pomóc nam naszkicować portret pamięciowy mężczyzny, który na pana wpadł?

— Jasne. Oczywiście. Ale nie w tej chwili. Policjant o jaśniejszej karnacji przestąpił z nogi na nogę, niczym zniecierpliwiony uczeń. Teraz nie sprawiał już wrażenia rozsądnego.

— Chyba nie będzie z nami współpracował.

— Współpracował?

Jego partner wykrzywił się, a blondyn dodał:

— Chodźmy stąd. To typowy WS. — Policjanci schowali notesy do kieszeni.

— Co to znaczy — WS? — chciał wiedzieć Pellam.

— Oficjalny termin, jakiego używamy w stosunku do opornych świadków.

— Nie jestem oporny. Po prostu niczego nie widziałem.

Schodzili już z planu, gdy włoski gliniarz odwrócił się nagle i powiedział: — Wie pan, wielu tutejszych mieszkańców współpracował z wami, żebyście mogli kręcić tutaj ten swój cholerny film. Nie będ zbyt zachwyceni, słysząc, że w zamian nie mogą liczyć na żadną porno z waszej strony.

Jasnowłosa policjant machnął ręką. — Daj

spokój, to WS. Szkód, naszego zachodu. —

Po czym obaj zeszli z planu. W oknie przyczepy Sloana opadła zasłonka.

Akt oskarżenia głosił, co następuje:

Zarzuty numer 1-2: zmowa w celu sprzedaży kontrolowanych substancji.

Zarzuty numer 3-32: oszustwo podatkowe karane przez prawo federalne.

Zarzut numer 33: zmowa w celu złamania praw obywatelskich. Zarzuty numer 34-35: krzywoprzysięstwo. Zarzut numer 36: wymuszenie.

Zarzuty numer 37-44: karalne naruszenie przepisów Federalnej Ustawy o Organizacjach Przestępczych i Skorumpowanych.

Peter Crimmins nie znał całej treści dokumentu na pamięć, ale powyższe zdania — w wielkim skrócie — stanowiły esencję oskarżeń stawianych mu przez władze federalne.

Crimmins (nazwisko zawdzięczał ojcu, który pod wpływem nagłego impulsu postanowił zmienić oryginalnie brzmiące „Crzniolak” na bardziej swojskie „Crimmins”) miał pięćdziesiąt cztery lata. Jego ciało kształtem przypominało gruszkę, a twarz wyglądała jak kartofel. Włosy nosił zaczesane do przodu, z grzywką w stylu Franka Sinatry opadającą na wysokie czoło,

na którym widniało pojedyncze, ciemne znamię, umiejscowione tuż nad lewą brwią niczym zabłąkane trzecie oko. W tej chwili siedział w swoim gabinecie z widokiem na parking należącej do niego firmy przewozowej; okna w przeciwległej ścianie pokoju wychodziły na duże pomieszczenie pełne szarych biur i segregatorów, oświetlone jarzeniówkami, po którym kręcił się tuzin pracowników sprawiających jednocześnie wrażenie znudzonych i podenerwowanych.

Peter Crimmins powinien być właśnie podejmować tysiące decyzji biznesowych, lecz jedyne, o czym mógł w tym momencie myśleć, to słowa aktu oskarżenia.

Jego treść doprowadzała go do furii.

Fakt, kilka zarzutów było całkowicie bezsensownych, dorzuconych w ostatniej chwili przez to nadgorliwe chuchro, asystenta prokuratora stanowego. Łamanie praw obywatelskich, też mi coś. Zmowa, dobre sobie. Zarzuty o handel narkotykami były wręcz absurdalne. Nigdy w życiu nie sprzedał choćby mikrograma jakiegokolwiek substancji kontrolowanej. Jeśli chodzi o wymuszenia, to cóż, było w tym trochę prawdy, ale tylko trochę.

Zarzutem, który najbardziej go wkurzał, był ten najbardziej uzasadniony — zarzut naruszenia

przepisów FUoOPiS.

Peter Crimmins uważał się za chłopskiego filozofa — jego zdaniem w życiu obowiązywały pewne proste zasady, które można było poznać bez czyjejkolwiek pomocy. Nie dziesięcioro przykazań, które były zbyt naiwne nawet jak dla takiego porządnego, prawosławnego Rosjanina jak on, lecz proste zasady: szanuj godność drugiego człowieka, troszcz się o tych, którzy sami nie mogą się o siebie zatroszczyć, wypełniaj swoje obowiązki, dbaj o rodzinę, nie krzywdź niewinnych...

Żyj tak, a los będzie ci sprzyjał. Crimmins wypełniał więc swoje obowiązki, dbał o rodzinę, nikogo nie krzywdził (a przynajmniej nikogo niewinnego), zarabiając przy tym na życie, a nawet chodząc od czasu do czasu do kościoła — i co mu to dało? Rozbił sobie głowę o inny zbiór zasad. Zasad, które jego zdaniem były całkowicie pozbawione sensu.

Po prostu czysty idiotyzm.

Problem niestety polegał na tym, że zasady te figurowały w dziale 18. Kodeksu Stanów Zjednoczonych. I jeśli ktoś je *tamał*, inni ścigali go i usiłowali wsadzić do więzienia.

Lecz najbardziej frustrująca była dla niego świadomość, że musi zmagać się z tymi czterdziestoma czterema zarzutami wyłącznie

na skutek jednego, jedyne go błędu, polegającego na tym, że zatrudnił u siebie wariata, Vincenta Gaudię, w tej chwili już nieżyjącego, zastrzelonego poprzedniego dnia przez nieznaną sprawców.

On i Gaudia stanowili całkowite przeciwieństwa. Crimmins od razu to zauważył, już podczas ich pierwszego spotkania w niemieckiej restauracji w Webster Groves w stanie Missouri. Crimmins nie lubił się popisywać. Latami zdobywał doświadczenie jako negocjator, zanim na dobre porzucił związki zawodowe i otworzył własną firmę. Pił wódkę w sposób umiarkowany, palił camele, nosił bokserki i białe koszule, każdego dnia wcierał we włosy specjalną odżywkę, uwielbiał też grać w bilard i bule ze starymi przyjaciółmi. Od trzydziestu trzech lat dochowywał wierności żonie oraz zasiadał w komisji planowania przestrzennego w swojej podmiejskiej dzielnicy. Crimmins był człowiekiem opanowanym, zdyscyplinowanym, *solidnym*.

Tymczasem Gaudią rządziły jego zachcianki. Pożądał kobiecych ciał, soczystych pokarmów i słodkich drinków z parasolkami. Najważniejszymi organami były dla niego język i penis.

Crimmins robił jednak w tym biznesie wystarczająco długo, żeby wiedzieć, iż słabości jednego człowieka mogą stanowić o sukcesach drugiego.

Zwrócił uwagę na żądze targające Gaudią i natychmiast go zatrudnił, jako że był on kimś więcej niż tylko przeciętnym żulem o zbyt ruchliwym języku. Był przede wszystkim jednym z najlepiej ustawionych ludzi we wschodnim Missouri i południowym Illinois. Crimmins zrobił małe rozpoznanie i szybko zorientował się w labiryncie układów, w jakie uwikłany był Vince Gaudia. To było naprawdę fascynujące. Znajomości Gaudii nie sięgały co prawda Waszyngtonu i — o dziwo — nie był on w stanie załatwić takiego drobiazgu, jak anulowanie mandatu za złe parkowanie w St. Louis. Lecz pomijając ten fakt, setki ludzi — pisarzy sądowych, sędziów, radnych, urzędników samorządu hrabstwa, członków komisji bankowych, pracowników administracji państwowej w St. Louis, Jeff City i Springfield — siedziały u niego w kieszeni. Zaś wiedza Gaudii nie ograniczała się tylko do tego *kto*, lecz obejmowała również *jak*. Miał wyjątkowe wyczucie etyki pracy: wiedział, kto przyjmie w prezencie skrzynkę whisky, ale z oburzeniem odmówi przyjęcia koperty z pieniędzmi, kto

chętnie zabawi się na koszt podatników, kogo skusi oferta pracy dla jego pociechy, kogo zmiana decyzji komisji planowania przestrzennego, a kto zadowolony się sezonowym apartamentem w górskim kurorcie Vail. Gaudia był ekspertem, jeśli chodzi o handel wymienny, a produktem, którym handlował, były wpływy.

Crimmins, twórca najbardziej skomplikowanego i wydajnego przedsiębiorstwa zajmującego się praniem brudnych pieniędzy na Środkowym Zachodzie, doszedł do wniosku, że Vince Gaudia mógłby wnieść znaczący wkład w jego firmę.

Wydawało się, że trudno o lepszych partnerów w interesach niż Gaudia i Crimmins, i chociaż pod względem temperamentu stanowili wzajemne przeciwieństwa, ich współpraca od początku układała się wyjątkowo dobrze.

Crimmins rozszerzył swoją działalność na Kansas City, a teraz marzyło mu się Chicago. W pionierski sposób wykorzystywał organizacje typu non-profit do prania brudnych pieniędzy i był chyba jedynym człowiekiem na świecie, a na pewno jedynym chrześcijaninem, który prał pieniądze zarówno za pośrednictwem cerkwi prawosławnej w University City, jak i meczetu Nation of Islam*

we wschodnim St. Louis, przy czym obie te instytucje nie miały o niczym zielonego pojęcia. Przedsiębiorstwo Crimmins, z Gaudią w roli jego przybocznego, mogłoby stać się jednym z najbardziej dochodowych w metropolii i jej okolicach, gdyby nie dwa wydarzenia, które przypadkowo zbiegły się ze sobą w czasie.

Pierwszym z nich był materiał zaprezentowany w wiadomościach telewizyjnych — w programie „60 minut”, a jakże — poświęcony skandalowi w biurze prokuratora stanowego we wschodnim dystrykcie Missouri. Natrafiono na ślad szeregu spartaczonych dochodzeń w sprawach o handel narkotykami. Wiadomo, że niełatwo jest zamykać złych, a dobrzy często mogą liczyć na pobłażliwość sądu, lecz te przypadki były tak wybitnie naciągane — i tak smakowicie przedstawione przez krajową sieć telewizyjną — że w sprawę zaangażował się sam prokurator generalny. Zadzwoił do prokuratora stanowego na wschodni dystrykt, Ronalda Petersona, i ściągnął go do Waszyngtonu na poważną rozmowę o spapranych śledztwach. Peterson zachował swój stołek, lecz wrócił ze stolicy zdeterminowany, aby wsadzać do więzienia takich ludzi jak Peter Crimmins.

Drugą sprawą było to, że Vince Gaudia przespał się z niewłaściwą kobietą. Prawdopodobnie on sam tak by jej nie określił. Była to nadąsana brunetka o długich, połyskujących czerwonym lakierem paznokciach i okrągłych, zielonych oczach. Mówiła śpiewnym głosem małej dziewczynki, który sprawiał, że mózg Gaudii przestawał pracować, w przeciwieństwie do jego fiuta, który ożywał we wręcz błyskawicznym tempie. Spotkali się tylko jeden raz, wtedy też popili się i kochali przez cztery godziny z rzędu. Ona twierdziła później, że Gaudia zaproponował jej wspólne zamieszkanie w jego nadrzecznej willi. Gaudia nie przypominał sobie podobnej propozycji, podobnie jak nie mógł przypomnieć sobie jej imienia, kiedy w końcu wytropiła go po tygodniu bezskutecznych prób dodzwonienia się do niego.

Jak się okazało, kobieta miała o wiele lepszą pamięć niż Gaudia i w liście skierowanym do

* Separatystyczny i nacjonalistyczny ruch czarnych muzułmanów.

prokuratora stanowego Petersona opisała niemal słowo w słowo liczne tajemnice, którymi podzielił się z nią pijany Vincent Gaudia.

Prokurator stanowy Peterson natychmiast dojrzał w tym swoją szansę odkupienia

grzechów i zawiadomił agenta FBI, który odegrał rolę skorumpowanego sędziego. Spotkał się on z Gaudią w kiepskiej włoskiej knajpie w pobliżu Gateway Arch. Po krótkich targach agent przyjął łapówkę w wysokości pięciu tysięcy dolarów, w zamian za którą zgodził się przymknąć oko na naruszenie przepisów o ochronie środowiska przez jednego z klientów Gaudii. Chwilę później Gaudię aresztowano, a po mniej więcej godzinie zawarto z nim układ: będzie mógł ubiegać się o wyrok w zawieszeniu, ale w zamian dostarczy im jaja Petera Crimminsa na półmisku z czternastokaratowego złota. Teraz jednak Gaudia był martwy jak głaz i Peter Crimmins wiedział, że prokurator stanowy Peterson tylko marzy o tym, żeby do listy czterdziestu czterech zarzutów z aktu oskarżenia dodać jeszcze jeden: zabójstwo świadka koronnego.

Właśnie o tym rozmyślał, gdy drzwi jego gabinetu otworzyły się nagle i do środka wszedł jego prawnik. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i gość usiadł. Był dobrze zbudowany i miał sztuczny uśmiech, który pojawiał się i znikał bez wyraźnego powodu, jakby za naciśnięciem automatycznego pilota. Ostro grał w tenisa i jeździł porsche. Mówił

rzeczy w rodzaju: „Pete, staruszk, na twoim miejscu przyjrzałbym się tej umowie od dupy strony” albo: „Jako twój prawnik i przyjaciel radziłbym ci...”

A Crimmins nigdy nie powiedział mu, że jest jego przyjacielem. Teraz prawnik zwrócił się do niego bez ogródek: — Gdzie byłeś w piątek wieczorem?

— Dlaczego pytasz?

— Muszę to wiedzieć, Pete. Byłeś z kimś?

— Myślisz, że to *ja* zabiłem Gaudię? — upewnił się Crimmins.

— Nie pytam moich klientów, czy są winni, czy nie. Chcę ustalić twoje alibi, a nie twoją niewinność.

— No, to właśnie ci odpowiadam — odrzekł Crimmins. — Nikogo nie zabiłem.

Prawnik poprawił i tak już doskonały węzeł swojego jedwabnego krawata. — A czy wspomniałeś może komuś, żeby...?

Crimmins podniósł głos. — Nie zrobiłem tego. Prawnikiem rozejrzał się na boki, najwyraźniej nie wierząc jego słowom. — Nie chodzi o to, co *ja* myślę, tylko o to, co pomyśli sobie prokurator stanowy. A mogę cię zapewnić, że teraz, po śmierci Gaudii, Peter-son trzyma cię za jaja o wiele mocniej niż jeszcze dwa dni temu.

Crimmins wiedział o tym, rzecz jasna. —
Myślisz, że zmienią akt oskarżenia?
— Peterson to zarozumiały gówniarz.
Skazanie ciebie to jego przepustka do
Waszyngtonu. W głębi duszy jest przekonany,
że zabiłeś Gaudię, i zamierza cię, kurwa...
— Nie podoba mi się twoje słownictwo —
mruknął Crimmins.
— ...wypatroszyć. Jeśli twoja sprawa
zostanie odrzucona, straci oskarżonego, który
mógłby zainteresować media.
— Może sobie znaleźć innego.
Prawnik powoli tracił cierpliwość. — Ale chce
ciebie. To ciebie publicznie obiecał schwytać.
To ciebie miał już na widelcu. Będzie się uwijał
jak kotka w rui. Przekonasz się.
— To by było selektywne ściganie. —
Crimmins uważał, że wystarczająco dobrze
zna się na prawie, żeby samemu być
prawnikiem.
— Mam już gotową twoją mowę końcową,
Pete. Nie muszę jej słuchać w twoim
wykonaniu.
Crimmins sam nie wiedział, dlaczego powierza
swoje życie — a przynajmniej swoją wolność i
przyszłe szczęście — temu śliskiemu
człowieczkowi o głośnych jelitach i wrednym
bekhendzie.

— Gdyby — czysto teoretycznie — zdarzyło się, że musiałbyś mieć alibi...

— Już ci...

— Zrób to dla mnie, Pete. Jeżeli — jeżeli, powiadam — więc *jeżeli* musiałbyś mieć alibi na wieczór, kiedy zginął Gaudia, jakie by ono było?

Crimmins nie odpowiedział.

Jego prawnik westchnął. — W porządku. Popytam trochę po ludziach. Zobaczę, kto co wie. Przekonamy się, co zrobi Peterson. Mam paru znajomych gliniarzy. Mają u mnie dług wdzięczności. Podobno jest jakiś świadek, którego nikt dotąd nie namierzył.

— Świadek?

— To tylko plotki. Jakiś facet widział zabójcę. — Prawnik podniósł się. — ■ I jeszcze jedno: myślą, że zamachowcy odjechali lincolnem.

Crimmins milczał przez chwilę. Potem powiedział cicho: — Ja jeżdżę lincolnem.

— Podobno chodzi o ciemnego lincolna. Peter Crimmins wybrał odcień lakieru Midnight Blue. Uważał, że granatowy działa na niego uspokajająco.

Prawnik podszedł do drzwi, wkładając jednocześnie na głowę kapelusz w kształcie naboju, z wąskim rondem.

— Zaczekaj — odezwał się Peter Crimmins. Prawnik przystanął i odwrócił się.

— Ten świadek. Nie dbam o to, co będziesz musiał zrobić. Ani ile to będzie kosztowało... Nagle prawnik poczuł się bardzo nieswojo. Dłonią dotknął brzucha i potarł miejsce, w którym najprawdopodobniej trawione było właśnie jego obfite śniadanie. — Chcesz, żebym...

— Dowiedz się, kto to jest.

— A potem?

— Po prostu się dowiedz — niemal niedosłyszalnie szepnął Peter Crimmins, jakby w każdym abażurze i ramce każdego zdjęcia w jego gabinecie był ukryty mikrofon.

5

On kłamie — rzucił do słuchawki Donnie Buffett.

Detektyw Bob Gianni przytaknął: — Nie mam co do tego wątpliwości.

— Było tak, jak powiedziałem — ciągnął Buffett. — Nachylił się i zajrzał do samochodu z odległości niecałego metra... Nawet mniej. Trzydziestu centymetrów. Jeżeli twierdzi, że nikogo nie widział, to zwyczajnie kłamie.

Gianno odparł: — Wystarczy, żeby zaczął mówić, a sprawa będzie zamknięta. Niczego więcej nie trzeba. Bułka z masłem.

— Przyciśnięcie go? — spytał Buffett.

— Jasne, Donnie. Możesz być tego pewien. Rozłączyli się. Z brzucha Buffetta dobiegało regularne burczenie, ale on nie odczuwał głodu. Podawano mu coś z grubej plastikowej torebki, jakiś przezroczysty płyn, ściekający rurką do igły w jego żyłę. Może glukozę. Zastanawiał się, czy to dobry pomysł: glukoza była przecież cukrem, a on akurat przed tą strzelaniną postanowił zrzucić parę kilogramów.

Pomyślał o pączku i kawie, które dostał od Pellama. Czy to rzeczywiście wydarzyło się wczoraj? A może dwa dni temu? Równie dobrze od tego czasu mógł minąć tydzień. Dlaczego Pellam skłamał, mówiąc, że nie widział współnika zabójcy? Pewnie ze strachu. Drzwi otworzyły się szerzej i do sali wszedł lekarz. Był to masywny mężczyzna około czterdziestki, z czarnymi, gęstymi włosami, szczupły, lecz o muskularnych przedramionach. Na ich widok Buffett pomyślał, że ma przed sobą ortopedę. Buffett uwielbiał sport, różne jego dyscypliny i znał wielu lekarzy sportowych — zawsze byli w

świetnej kondycji. Lekarz przysunął sobie krzesło bliżej łóżka, usiadł i przedstawił się. Nazywał się Gould. Miał niski głos o przyjemnym brzmieniu.

— Chyba już się poznaliśmy — zauważył Buffett. — To pan mnie operował?

— Owszem, jestem jednym z neurochirurgów.

Gould zdjął z wieszaka kartę chorego.

Otworzył ją, przejrzał, po czym znowu usiadł.

Nachylił się nad Buffettem i zajrzał mu w oczy, przyświecając sobie małą latarką. Potem poprosił, żeby podązał wzrokiem za jego palcem kreślącym w powietrzu ósemki. A następnie wyciągnął przed siebie ramiona i dotknął swojego nosa.

Donnie Buffett zrobił, co mu kazano.

Wreszcie lekarz powiedział: — Dobrze. — Co nie znaczyło ani „dobrze”, ani nic innego, a następnie zapytał: — Jak pan się czuje?

— Chyba nieźle. Boli mnie ramię.

— Aha. — Lekarz ponownie zerknął do karty Buffetta i bardzo długo — tak przynajmniej wydawało się Buffettowi — studiował jej treść.

— Panie doktorze...? — zaczął i urwał.

Lekarz nie zachęcił go, żeby dokończył pytanie. Zatrzasnął metalowe okładki karty i

rzekł: — Proszę pana, chciałbym porozmawiać z panem o pańskim urazie, wyjaśnić, co się dokładnie stało, co zrobiliśmy i co zamierzamy jeszcze zrobić.

— Oczywiście.

— Został pan postrzelony w plecy. Kilka pocisków trafiło w kamizelkę kuloodporną. Nie były duże — kaliber 0,22 — i od razu się roztrzaskały. Trzecia kula trafiła w górną część kamizelki, z boku. Odbiła się, ale drasnęła kość zwaną *scapula*, to znaczy łopatkę. Dlatego odczuwa pan w tym miejscu ból. Z łatwością usunęliśmy pocisk. Istnieje pewne ryzyko wystąpienia sepsy — zakażenia — ale jego prawdopodobieństwo jest raczej znikome. Gould wyjął z kieszeni długopis — bajerancki gadżet z elementami złota i laki — i na odwrocie recepty zaczął rysować coś, co wyglądało jak dolna połowa ludzkiego szkieletu.

— Donnie, trzy kule trafiły pana poniżej kamizelki. Weszły tędy, o, w tym miejscu, gdzie lędźwiowa część rdzenia kręgowego przechodzi w część krzyżową. Jedna z nich eksplodowała i zatrzymała się tutaj. — Odwrócony drugą stroną długopis pełnił teraz funkcję wskaźnika. — Pozostałe dwie utkwily w pańskim jelicie, omijając nerki i pęcherz.

Usunęliśmy wszystkie odłamki i naprawiliśmy uszkodzenia przy pomocy szwów, które wchłoną się w tkankę. Nie będzie pan wymagał dalszego leczenia operacyjnego, chyba że wda się zakażenie.

— Świetnie — odparł z uśmiechem Buffett. Mrużąc oczy, przyglądał się rysunkowi, jakby miał być później z niego odpytywany.

— Donnie, kula, która eksplodowała, w tym miejscu trafiła w pański rdzeń kręgowy. Buffett potakiwał. Był przecież gliną. Widział śmierć i ból. Sam również go *zaznał*. Był całkowicie spokojny. Jego uraz nie mógł być poważny. Gdyby tak było, podłączono by go do potężnych urządzeń. Respiratorów i innych wynalazków, które wyglądały jak deska rozdzielcza w kabinie odrzutowca.

Tymczasem miał założony tylko cewnik i kroplówkę, która tłoczyła w niego tuczący cukier. To tyle, co nic. Właśnie w tej chwili czuł ból, cudowny ból przenikający jego nogi, ból, który ustępował równie nagle, jak się pojawiał. Gdyby był sparaliżowany, nie odczuwałby przecież żadnego bólu.

— Donnie, zbada pana doktor Weiser, jeden z najlepszych neurologów i terapeutów w St. Louis zajmujących się uszkodzeniami rdzenia kręgowego.

- Ale nic mi nie jest, prawda?
- Nic nie zagraża pana życiu. W przypadku urazów górnych partii rdzenia kręgowego istnieje ryzyko niewydolności serca lub oddychania... co może być groźne.

Groźne.

— Lecz w pana przypadku uraz nastąpił w dolnej części rdzenia kręgowego. To dobrze z punktu widzenia szans na przeżycie.

— Panie doktorze, ale będę mógł chodzić, prawda? Chodzi o moją pracę, o to, że jestem *policjantem*. Muszę chodzić. — Buffett rozłożył dłonie; sprawiał wrażenie zażenowanego faktem, że musi tłumaczyć komuś coś tak oczywistego.

— Hm, Donnie — odparł wolno lekarz — pański uraz nie nadaje się do leczenia w trybie ambulatoryjnym.

Nie nadaje się do leczenia w trybie ambulatoryjnym.

— Co to...? — Głos odmówił Buffettowi posłuszeństwa i nie był w stanie dokończyć pytania. Ponieważ tak naprawdę dokładnie *wiedział*, co to oznacza.

— Pański rdzeń kręgowy został niemal całkowicie przerwany — wyjaśnił Gould. Buffett patrzył mu prosto w oczy, nie zauważając jednak całego ogromu

współczucia, jakie się w nich odmalowało. — Obawiam się, że przy obecnym stanie wiedzy medycznej nic się nie da na to poradzić. Nie będzie mógł pan chodzić. Niestety.

— Och. No cóż, rozumiem.

— Proszę pana, miał pan wielkie szczęście. Mógł pan zginąć. Albo być całkowicie sparaliżowany od szyi w dół.

Jasne. To wszystko prawda.

Gould wstał. Karta została odłożona na łóżko, a szykowny długopis powędrował z powrotem do kieszeni koszuli. — Doktor Weiser jest osobą o wiele bardziej kompetentną ode mnie, jeśli chodzi o tego typu urazy. Nie znajdzie pan lepszego specjalisty. Pielęgniarka umówi pana później na wizytę. — Uśmiechnął się i ucisnął dłoń Buffetta. — Zrobimy dla pana wszystko, co w naszej mocy. Proszę się o nic nie martwić.

Minęło kilka minut, zanim Donnie Buffett odpowiedział: — Nie będę. — Wtedy dopiero zdał sobie sprawę z tego, że doktora nie ma już w sali.

Philip Lombro miał już taki nawyk. Pastował buty co najmniej dwa razy dziennie. W swoim biurku w pracy przechowywał dyplomatkę, a w niej dużą szczotkę z końskiego włosia i mniejszą ze świńskiej szczeciny wraz z

kawałeczkami giemzy. Czasami pastował swoje buty trzy, cztery, pięć razy dziennie. Często używał pasty Kiwi, ale jego ulubioną marką był Meltonian. *Creme a chaussures*. Nie miał obsesji na tle samych butów — posiadał zaledwie siedem par — i nie był fetyszystą stóp (nie był nawet pewien, kim jest fetyszy-sta i co właściwie robi ze stopami). Lubił po prostu błyszczące, wypolerowane buty i lubił doprowadzać je do takiego stanu. Kiedy wsuwał stopy w świeżo wypastowane obuwie, czuł się jak król.

Tego ranka siedział w biurze firmy Lombro i Wspólnicy, która narodziła się jako Maddox Omnibus and Carriage Company konstruująca konne autobusy i powozy, a następnie przez pokolenia produkowała kolejno samochody o napędzie elektrycznym i sprzęgła samochodowe, aby w końcu zostać filią Fujitomo Limited zajmującą się maszynami ciężkimi.

Kilka sztywnych włosów wysunęło się ze szczotki i spadło na podłogę. Lombro pochylił się, zebrał je i wyrzucił do kosza na śmieci. Następnie wytarł palce w papierową chusteczkę zwilżoną śliną. Za oknem przeleciał kawałek gazety i zaraz zniknął. Lombro popatrzył na ściany budynku firmy

Maddox Omnibus. Przypomnił sobie zdjęcie prasowe sprzed dziesięciu lat opublikowane przez „Reportera”, przedstawiające młodego człowieka, który zabił się, skacząc z jednego z olbrzymich kominów fabryki. Ubrany w garnitur, zginął na miejscu po tym, jak wbił się w dach wozu dostawczego. Blacha otuliła go niczym koc.

Z tym właśnie kojarzył mu się budynek firmy Maddox Omnibus and Carriage Company — ze śmiercią. Skojarzenie to sprawiło, że pomyślał o Ralphie Balesie.

Lombro poznał Ralpha Balesa na weselu swojej siostrzenicy. Sam Lombro nigdy się nie ożenił i żałował, że nie dane mu było być ojcem. Swoich bratanków, bratanice i siostrzenice z okolic St. Louis traktował jak przybrane dzieci. Troszczył się o nich, rozpieszczał ich, zabierał ze sobą na wycieczki. Kiedy dorastali, fakt ten był dla niego większym zaskoczeniem niż dla ich rodziców. A kiedy jego szwagier nie był w stanie pokryć kosztów wesela swojej córki, Lombro z własnej kieszeni zapłacił za przyjęcie.

Ralph Bales był jednym z gości weselnych i tym, co zwróciło na niego uwagę Lombro, była broń, z którą Ralph Bales zjawił się na uro-

czystości.

Późnym wieczorem, stojąc przy pisuarze w męskiej toalecie restauracji Orsini, Lombro wyczuł za sobą jakiś ruch; ktoś wszedł do kabiny. Zaraz potem Lombro usłyszał metaliczny szczęk czegoś uderzającego o posadzkę i spojrzał w dół. Pod drzwiami kabiny dojrzał czyjąś dłoń, która błyskawicznie podniosła pistolet. Lombro szybko umył ręce i wyszedł z toalety. Ukryty za stojącą w holu rośliną doniczkową czekał, chcąc zobaczyć intruza. Kilka minut później z toalety wyłonił się Ralph Bales, przyglądający wilgotnymi dłońmi przerzedzone włosy. Lombro nie wiedział, co robić. Ralph Bales został zaproszony jako znajomy znajomego ze strony pana młodego, więc najprawdopodobniej nie był rabusiem. Z drugiej jednak strony Lombro czuł się odpowiedzialny za bezpieczeństwo swoich czterystu gości.

W końcu, po półgodzinie bicia się z myślami, Lombro podszedł do Ralpha Balesa w chwili, gdy dzieci kroїły akurat tort, i zagaił rozmowę. Dowiedział się, że Ralph Bales pochodzi z St.Louis. Wcześniej został sierotą — podobnie jak Lombro — i zarabiał na życie, imając się różnych robót portowych. Rozmawiali o pracy, nieruchomościach, zarabianiu i utracie

pieniędzy. Ralph Bales niejasno wspominał o związkach zawodowych, firmach przewozowych, usługach portowych i kierowcach ciężarówek. Mieszkał we własnym domu, nieopodal Lambert Field, i lubił pracować w ogrodzie. Lombro powiedział, że również to lubi, ale nie znosi słońca.

Ralph Bales odparł, że uwielbia słońce.

Wreszcie Lombro uznał, że mężczyzna nie stanowi żadnego zagrożenia, i pożegnał się.

Na pożegnanie Ralph Bales w znaczący sposób dotknął jego ramienia i wręczył mu wizytówkę. — Mówi pan, że zajmuje się nieruchomościami — powiedział z naciskiem. — Gdyby kiedykolwiek potrzebował pan konsultacji w sprawie ochrony, niech mi pan da znać.

W ten sposób wizytówka z informacją „Ralph Bales, konsultant” znalazła się w odpowiedniej przegródce skorowidza Philipa Lombro.

Pomyślał, że być może kiedyś rzeczywiście będzie potrzebował konsultanta.

Miesiąc temu nadszedł ten moment.

Teraz zaś Lombro odłożył szczotkę do butów na dno szuflady i wpatrując się nieobecny wzrokiem w gazety fruujące za oknem jego biura, pomyślał, że transakcja, będąca wynikiem tamtego spotkania na weselu, może

okazać się jedynym poważnym błędem, jaki popełnił w całym swoim życiu.

— No więc tak: jest pewien problem — mówił właśnie Ralph Bales.

Philip Lombro słuchał go z nieruchomą twarzą; jego spojrzenie wolno wędrowało po twarzy gościa.

— Ten gliniarz nas zaskoczył. Podkradł się od tyłu. Lombro odparł: — Nie można było nic zrobić?

Ralph Bales okazywał swoim klientom szacunek. Tylko dlatego nie przewrócił teraz oczami ani nie westchnął ze zniecierpliwieniem. Zamiast tego odparł: — Nie, on zjawił się całkiem niespodziewanie. Lombro otworzył biurko. Wyjął z szuflady cienką kopertę zawierającą dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i podał ją Ralphowi Balesowi.

— Dziękuję — powiedział Ralph Bales. Lombro skinął głową.

Żaden z nich nie sprawiał wrażenia wdzięcznego ani usatysfakcjonowanego tą wymianą.

— Jak duży jest to problem? — spytał spokojnie Lombro. Ludzie tacy jak on zachowywali spokój w obliczu kłopotów. Ralph Bales zagryzł wąskie wargi przecinające jego okrągłą, nalaną twarz. — No cóż, do

policjanta lepiej nie strzelać. Cokolwiek się zdarzy, lepiej tego nie robić.

Lombro utkwiał spojrzenie w gładko wygolonym miejscu nad górną wargą Ralph Balesa.

Dopiero teraz zauważył, że tamten zgolił wąsy.

— Nie żartuję — ciągnął Ralph Bales. —

Gliny nie wkurzają się, kiedy ktoś zastrzeli im świadka oskarżenia, bo świadkowie to zwykłe śmieci. Ale co innego, jeżeli ktoś zastrzeli gliniarza. Wtedy inni gliniarze są wściekli jak osy.

— No i?

— No i trzeba teraz coś z tym zrobić.

— To znaczy?

— Musimy znaleźć faceta, który nas wtedy widział.

— Kogo?

— Tego gościa, który wpadł na mnie, kiedy wysiadałem z pańskiego samochodu. Tego od piwa.

Lombro oparł stopę na kolanie drugiej nogi i bezwiednie potarł piętę.

— On mnie widział — dodał Ralph Bales. — Widział też pana.

— Policja może wcale go nie namierzyć.

— Niby tak, ale...

Lombro przerwał mu, kontynuując swój wywód, który zdawał się go uspokajać. —

Dlaczego miałby zgłaszać się na ochotnika?
Dlaczego miałby to robić?

— Może tego nie zrobić — zgodził się Ralph Bales. — Ale niektórzy ludzie są dziwni. Robią dziwne rzeczy.

Lombro odparł: — Mówisz tak, jakbyś już coś postanowił.

— Przepraszam. Tu w sumie nie chodzi o decyzję, tylko o to, że chyba nie mamy innego wyboru, prawda?

„Płatny zabójca strzela policjantowi w plecy”.
Gazeta z tym sensacyjnym tytułem na pierwszej stronie zajmowała poczesne miejsce na biurku Lombro. Ralph Bales nie miał racji. Nie zamieścili zdjęcia ciała Vince'a Gaudii. Tylko ślubną fotografię postrzelonego policjanta.

— Wcale mi się to nie podoba.

— Z całym szacunkiem, panie Lombro. Kiedy ktoś... — Ralph Bales szukał słów, które nie brzmiałyby oskarżycielsko — angażuje się w podobny projekt, musi brać pod uwagę potencjalne ryzyko. Nie mam racji? Kupuje pan dom, a potem okazuje się, że są w nim termyty czy inne robactwo. Takie rzeczy się zdarzają. Nie można przed nimi uciec.

— I jeszcze ta kobieta. Zabiliście kobietę.

— Stevie mówi, że to był wypadek przy

pracy. Gaudia się nią zastonił.

Lombro pokiwał głową. — Ona mnie nie obchodzi. Wiedziała, z jakim draniem się zadaje.

Za oknem na szczycie ceglanej fasady usadowił się kos. Jego czarna, błyszcząca główka poruszała się nerwowo we wszystkie strony. Nagle wystrzelił prosto w niebo niczym szara strzała.

Ralph Bales odezwał się: — Wykonaliśmy pańskie zlecenie i zdarzyła się mała wpadka. Ale prawda jest taka, że ani ja, ani Stevie Flom nie mieszkamy w tej okolicy, a pan owszem. Dlatego ta wpadka to w pewnym sensie pański problem.

Lombro rozważył to obojętnie. — Co proponujesz?

— Mogę w tej chwili stąd wyjechać, a pan zaryzykuje i poradzi sobie sam. Albo też może mi pan zapłacić, a ja zajmę się tamtym facetem.

— Nie, to wykluczone.

— W takim razie... — Ralph Bales pozwolił, aby te dwa słowa zawisły w powietrzu niczym dym z papierosa. — Jest jeszcze jedno wyjście.

— Jakie? Słucham.

— Mógłbym go odszukać. Zagrozić mu.

Trochę go nastraszyć.

— Czy to podziała?

— Zwykle działa. Ale wolałbym tego nie robić. To o wiele bardziej ryzykowne, niż zwykle, hm, pozbycie się go.

— Chcesz więcej pieniędzy. O to chodzi?

— Tak, właśnie o to chodzi. To wyłącznie kwestia ryzyka. Dziesięć tysięcy i gość zniknie raz na zawsze. Dwadzieścia tysięcy, odnajdę go i postraszę.

— Dwadzieścia?

— A co mam powiedzieć? Dziewiętnaście dziewięćdziesiąt pięć?

Lombro milczał przez chwilę. Popatrzył na gazetę, potem zamknął oczy i machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

— Zgoda. — Spojrzał na Ralpa Balesa. — Ale masz mi dać słowo, że nic mu nie zrobisz. Ralph Bales zmarszczył brwi. — Nie mówię pan, żeby mu nic nie robić...

— Chodzi o to — wyjaśnił Lombro — żebyś go nie *zabił*. Nie zrobisz tego, prawda?

Ralph Bales skinął głową i patrząc Lombro prosto w oczy, powiedział: — Oczywiście, że nie. Przecież obiecałem. — Wiedział z doświadczenia, że patrząc komuś prosto w oczy, można sprawić, iż ten uwierzy we wszystko, co mu się powie.

Auto wolno minęło przyczepę kempingową. Zanim Pellam znalazł się w kuchni i wyjrzał przez okno, wóz skręcił już w River Road i zniknął mu z oczu. Mimo to nadal stał przy oknie i wyglądał przez żaluzje, którym — jak właśnie zauważył — przydałoby się solidne czyszczenie.

Maddox nie posiadało nocnego parkingu i Pellam zmuszony był trzymać swoją przyczepę na tym żaloznym podmiejskim kempingu. Jego właściciele, Annie i Fred Bellowie, oferowali przyjezdnym pięćdziesiąt miejsc postojowych i być może w okresie wakacyjnym wszystkie faktycznie bywały zajęte. Lecz i tak musiało to dotyczyć czasów, zanim w sąsiedztwie kempingu ulokowała się cementownia i zniszczyła prawie półkilometrowy pas sielankowego, trawiastego nabrzeża, na którym z dnia na dzień wyrosły magazyny i stalowe doki. Obecnie na kempingu „Przy drodze” stała jedynie przyczepa Johna Pellama oraz dwa namioty, których właścicielom najwyraźniej — i w sposób jak najbardziej zrozumiały — obrzydł malowniczy widok zabudowań firmy Ochner Cement & Stone, w związku z czym właśnie się pakowali.

Początkowo ta pustka wcale mu nie

przeszkadzała. Ale tak było, dopóki nie stał się świadkiem w sprawie o zabójstwo. A raczej prawie świadkiem. W tej chwili tęsknił za anonimowością. Spojrzał na zegarek. Była dopiero jedenasta rano, a tymczasem widział już lub słyszał cztery — nie, co najmniej pięć — samochodów, które zwalniając, minęły parking. Podejrzał, że ich kierowców nie sprowadziła tutaj chęć rozejrzenia się po kempingu przed nadchodzącym urlopem, który zamierzali spędzić w Maddox; bardziej interesowała ich jego skromna osoba. Kolejny samochód zatrzymał się dokładnie naprzeciwko przyczepy. Był to stary, poobijany sedan z błotnikami oklejonymi szeroką taśmą samoprzylepną. Kierowca był tylko ciemną sylwetką za zatłuszczonej przednią szybą. Stan wozu upewnił go, że to nie policja postanowiła złożyć mu powtórny wizytę. Pellam, który dotąd bezskutecznie usiłował oczyścić garnek z grubej warstwy przypalonego chili, wytarł ręce i przeszedł do przedniej części przyczepy. Otworzył znajdujący się przy wejściu schowek na mapy. W niewielkiej skrytce *rzeczywiście* znajdowały się mapy, w sumie chyba ze trzydzieści, wszystkie sfatygowane i przetarte na zgięciach. Był tam także Colt Peacemaker

kaliber 0,45 ze stalową lufą i palisandrową kolbą. Pellam wyjął go i kciukiem otworzył bębenek.

Wolno opuścił kurek, załadował naboje do pięciu z sześciu komór, a następnie opuścił kurek na pustą komorę. Wsunął broń za pasek spodni, włożył swoją kurtkę lotniczą, wyszedł na zewnątrz i długimi krokami ruszył w stronę tamtego samochodu.

Dlaczego wszyscy w Maddox jeździli takimi ponurymi brykami?

Kierowca wozu — Pellam nie rozpoznał go — miał około czterdziestki, kwadratową twarz i oczy, które wpatrywały się w niego ze spokojem. Wcześniej Pellam miał nadzieję, że widząc go nadchodzącego i gotowego do konfrontacji, tamten wciśnie gaz do dechy i zwieje.

Tymczasem mężczyzna zgasił silnik i wysiadł z samochodu.

Dłoń Pellama odruchowo dotknęła suwaka kurtki.

Intruz był prawdziwym olbrzymem. Z hukiem zatrzasnął drzwiczki i nadal wpatrywał się w Pellama. Po chwili ruszył przez ulicę. Miał włosy ścięte na jeża jak rekrut i luźne fałdy skóry pod oczami.

Pellam rozpiął kurtkę i przystanął na poboczu

drogi. Opierając dłoń na pasku, pocierał metalową sprzączkę. Palcem wskazującym dotykał drewnianej kolby rewolweru.

Kiedy tamten dotarł na pobocze, przystanął w odległości około sześciu metrów od Pellama i patrząc mu prosto w oczy, wypalił: — Nie potrzeba wam młodych chłopców?

Pellam zmrużył oczy i przechylił głowę.

Mężczyzna powtórzył: — Młodych chłopców.

— Co proszę?

— Słuchaj pan — odparł sztywno tamten. — Wie pan pewnie, że niektórzy z naszych nie są zachwyceni tym, że mają u siebie w mieście ekipę filmową, a to dlatego, że opowiadacie w tym filmie o Maddox różne rzeczy, które nie są miłe. No, ale ode mnie nie usłyszysz pan złego słowa. Ja tak nie uważam.

— Aha. To dobrze.

— A teraz do rzeczy — podjął mężczyzna. — Mój chłopak Larry ma siedemnaście lat i grał ostatnio w szkolnym przedstawieniu. Takim poważnym, bez muzyki. „I Remember Mama”. Był niezły — twierdziłbym tak nawet, gdyby nie był moim synem — ale w filmie byłby pierwsza klasa, bo tam powtarza się kwestie po parę razy, a potem wybierają tę najlepszą. Byłby pierwsza klasa, słowo honoru.

— Ale ja nie zajmuję się castingiem, proszę pana.

— Zrobiłby to naprawdę tanio. Wie pan, chodzi tylko o to, żeby dać się zauważyć. Mógłby nawet pracować fizycznie, dopóki nie trafi się jakaś rólka. Larry to kawał chłopca. Pellam pokręcił głową.

— Bierze też lekcje gry.

— Przykro mi. — Pellam zasunął suwak kurtki. — Naprawdę chciałbym panu pomóc, ale nie mogę.

Mężczyzna stał nieruchomo; ramiona mu obwisły, a twarz silnie poczerwieniała. Z tyłu za nim widać było walący się budynek, dawniej perełkę wiktoriańskiego przepychu. Porzucono go w połowie nieudanej przebudowy. Mężczyzna odezwał się przez zaciśnięte zęby: — Od trzech lat jestem bez pracy. Byłem ładowaczem na śródlądowym holowniku. Mam nóż na gardle.

— Przykro mi.

— Nie szukam współczucia. Pracowałbym, gdybym mógł znaleźć pracę, ale tutaj niczego nie ma. Larry to nasza jedyna szansa na jakiś zarobek.

Pellam pokręcił głową. — Żałuję, że sprawy nie mają się inaczej.

— Jasne. — Mężczyzna jeszcze przez

chwilę nie ruszał się z miejsca. — Dzięki, że poświęcił mi pan czas. — Odwrócił się w milczeniu i podszedł do samochodu. Spojrzał jeszcze raz na przyczepę, po czym zapalił silnik. Pellam patrzył, jak jego wóz oddala się wolno, grzecho-cząc przerdzewiałym tłumikiem.

Następnie powlókł się z powrotem do przyczepy, wyjął broń z za paska i odwiesił kurtkę na miejsce. Potem wrócił do kuchni. Pół godziny później wciąż siedział przy małym stoliku, przeglądając dokumentację plenerów w Maddox, pełną polaroidowych fotek. Zgodnie z poleceniem Tony'ego Sloana sfotografował kilka opuszczonych domów — w niektórych dzielnicach miasta co drugi dom był opuszczony — a teraz zawęził wybór do czterech parterowych budynków: dwa z nich były urocze, dwa zrujnowane. Właśnie sprawdzał ich lokalizację na porwanym planie Maddox.

Wtedy też usłyszał niepewne kroki na żwirowanej ścieżce. Jego dłoń zawisła nieruchomo nad sprawozdaniem.

Czyżby tato Larry'ego wrócił na kolejne przesłuchanie?

Wstał, przeszedł na tył przyczepy i ostrożnie wyrzwał na zewnątrz. Nie, tym razem to był

inny samochód. Ciemnoczerwony sedan. Dokładnie taki, jakim mogliby przemieszczać się detektywi o włoskich i anglosaskich korzeniach.

Okazało się jednak, że nie miał racji i to nie byli tamci dwaj gliniarze. Do przyczepy wtargnął bez pukania mniej więcej trzydziestopięcioletni mężczyzna o ciemnej karnacji. Rozejrzał się szybko, jakby chcąc się zorientować w sytuacji. Miał na sobie elegancki, dwurzędowy garnitur w kolorze ciemnego grafitu i okulary przeciwsłoneczne o niebieskich, lustrzanych szklach.

Odezwał się: — Wiem, na co liczysz. Ale zapomnij o tym. Nie wydostaniesz się stąd. — Drzwiczki przyczepy zatrzasnęły się za nim, a on wolnym ruchem zdjął okulary i wsunął je do górnej kieszeni marynarki.

6

Pellam zacisnął usta i pokręcił głową.

— Coś nie tak? — zapytał intruz.

— Powinieneś być powiedzieć: „Wiem, o czym myślisz. Ale jest już za *późno*. Nie wydostaniesz się stąd”.

— Nie. — Mężczyzna zmarszczył brwi. —

Jestem pewien, że dobrze zapamiętałem. —
Położył teczkę na siedzeniu kierowcy i
otworzył

ją-

— Tak czy owak, postanowiłem wyciąć ten
dialog. Załatwimy to obrazem. Chcesz kawy?
Rozpuszczalna.

Z teczki wyłonił się scenariusz, a tamten
zaczął go kartkować. — Nie, Pellam, nie
wycinaj tego. To świetna kwestia. „Ale
zapomnij o tym”. To takie — jak to się mówi?
— anachroniczne. No dobrze, masz rację. —
Uważnie przeczytał tekst. — Wykreślamy.

— Siadaj — rzucił Pellam i postawił czajnik
na gazie.

Marty Weller z łatwością uplasował swoje
chude członki na wąskiej kuchennej ławie.
Miłośnik jogi, dzięki swojej budowie ciała do-
skonałe nadawał się do życia w ciasnej
przyczepie. Miał sztuczną opaleniznę i mięśnie
w takich miejscach, w których człowiek
nieuczęszcza-jący na siłownię nigdy by ich
sobie nie rozwinął. U nasady nosa, tam, gdzie
kończyły się jego starannie wydepilowane
brwi, widać było tak zwane kalifornijskie
zmarszczki — dwie krótkie, pionowe bruzdy,
efekt ustawicznego mrużenia oczu w ostrym
słońcu.

— Zrób mi herbaty. Ziołowej. — Postukał w otwarty scenariusz. — Musiałem chyba myśleć o pierwszej wersji. Albo o drugiej. O którejś z nich. Wprowadzasz sporo zmian, John.

— Lipton?

Weller rozejrzał się, jakby szukał ukrytego gdzieś pudełka rumianku firmy „Niebiańskie przyprawy”. — Może być — odparł z wahaniem. Po chwili dodał: — A masz miód?

— Mam słodzik.

— Racja, w końcu *jesteśmy* na prowincji. — Weller uśmiechnął się chytrze i zapytał: — No i?

— No i co?

— Wiesz, o co pytam. Co to za bomba? W związku ze *Sloanem*. Niezależny producent Marty Weller był takim samym plotkarzem, jak każdy w Hollywood — chociaż nie aż tak wpływowym, żeby wykorzystywać zasłyszane plotki z korzyścią dla siebie. Miał na koncie szereg oryginalnych filmów, które odniosły umiarkowany sukces. Fakt ten otwierał przed nim wiele drzwi, ale nie załatwiał automatycznie wszystkich spraw związanych z realizacją jego pomysłów. Mimo to każda plotka dotycząca Tony'ego Sloana, nawet nieszczerólnie użyteczna dla Wellera, była w jego mniemaniu na wagę złota. Pożądał ich na

tej samej zasadzie, na jakiej pożądał francuskiego szampana i kawioru. Jednak obecność Wellera tutaj, w małym miasteczku w stanie Missouri, przypomniała Pellamowi o niepisanych zasadach obowiązujących w Los Angeles. Wspominając zatem swoje nieprzyzwoicie wysokie honorarium, przywołał w myślach najważniejszą z nich: zawsze zakładaj, że cokolwiek powiesz, nawet w największej tajemnicy, zostanie natychmiast zacytowane w „Hollywood Reporter” i przypisane tobie. Dlatego też teraz bardzo ogólnikowo opowiedział Wellerowi o kłopotach związanych z produkcją filmu.

— Mówi się, że Sloan spala się jak meteoryt w stratosferze... — Weller zmarszczył brwi, lecz nie zdołał ukryć rozradowania.

Pellam wzruszył ramionami. — No dobrze, Marty, nie trzymaj mnie dłużej w niepewności. Mamy to czy nie?

Weller wziął do ręki podniszczony scenariusz w czarnej okładce, którego fragment przed chwilą błędnie zacytował. Tytuł brzmiał „Czas środkowoamerykański”. — Jesteśmy blisko, John. Cholernie blisko. Mam już prawie osiemdziesiąt procent funduszy. — Umilkł i przez chwilę przerzucał kartki scenariusza. W

swoim poprzednim życiu — co w Hollywood znaczyło zaledwie kilka lat temu — Pellam był jednocześnie scenarzystą i reżyserem niezależnych filmów. „Czas środkowoamerykański” był filmem, nad którym pracował, gdy jego życie i kariera wyrzuciły się nagle do góry nogami.

Później nikt nie interesował się scenariuszem aż do chwili, gdy na jego progu zjawiał się Marty Weller ze swoją nieskazitelną opalenizną i oznajmił ze szczerością, na jaką mógł się zdobyć wyłącznie hollywoodzki producent, że zamierza zrobić z „wizji” Pellama klasyk kina artystycznego w duchu gatunku *noir*.

Teraz Weller napomknął delikatnie: — Pytali mnie o to, co się stało wcześniej... — Mówiąc to, wyglądał na zakłopotanego. — Zdażyliście wejść w fazę produkcji?

— Mieliśmy za sobą dwa tygodnie zdjęć. Weller nie podnosił wzroku znad scenariusza; wyglądało to tak, jakby usiłował wyczytać coś z gładkiej, czarnej okładki. — A potem on zachorował.

Zachorował. Pellam przytaknął. — Zgadza się. Tommy Bernstein — aktor grający główną rolę w „Czasie środkowoamerykańskim”, a jednocześnie najlepszy przyjaciel Pellama —

wcale nie „zachorował”, tylko umarł na zawał serca po przedawkowaniu kokainy na planie zdjęciowym, co spowodowało wstrzymanie produkcji i sprawiło, że życie Pellama — takie, jakie wiódł do tamtej pory — gwałtownie dobiegło końca.

Weller znowu kartkował scenariusz, wzbijając w powietrze stęchłą woń starego papieru. — Ktoś... Hm, ja tłumaczę ci po prostu, dlaczego to tak długo trwa. Wiem, że to wszystko bzdury. Ale ktoś rozpuszcza pogłoski o kłątwie.

Pellam zaśmiał się. — Jak ta, która miała prześladować ekipę „Egzorcysty”? Co to za pierdoły?

— Jeśli chodzi o pieniądze, ludzie są bardziej przesądni, niż gdyby w grę wchodziło ich własne życie. Więcej producentów decyduje się wsiąść do *samolotu* w piątek trzynastego, niż wypisać czek, możesz mi wierzyć.

— No cóż, nic na to nie poradzę.

— I nadal upierasz się przy tym, żeby reżyserować?

Pellam już wcześniej zauważył w głosie Wellera ostrożny ton, który nie zniknął. Odpart więc twardo: — Tak.

— Chodzi o to, John... Sam wiesz, że

trochę wypadłeś z obiegu.

— Albo reżyseruję, albo nie dostaną tego scenariusza. Wóz albo przewóz.

— Mówią, że jeśli nie będą mogli sami wybrać reżysera, odtwórców głównych ról i autora zdjęć, nie dostaniemy ani centa. Oni...

— No to mamy pat.

— ...pozwolą ci być współproducentem. Może nawet dadzą ci udział w zyskach, skoro jesteś autorem scenariusza.

— Produkcja nic dla mnie nie znaczy.

— Produkcja oznacza kupę szmalu i tyle.

Posłuchaj, John, budżet tego filmu wynosi siedem milionów. — Postukał palcem w scenariusz. — To murowany klasyk gatunku *noir*. Nakręcimy go na czarno-białej taśmie, na litość boską. Ten film na siebie zarobi. Me *może* być inaczej...

— Marty — upomniał go cierpliwie Pellam. Szeroko otwarte oczy Wellera zwężyły się na moment do normalnej wielkości. — Wybacz, zapomniałem, z kim mam do czynienia. W porządku, pomyślmy o innej alternatywie. Dałbyś radę wyłożyć sto, powiedzmy sto dwadzieścia tysięcy?

— A jeśli tak?

— Obciąlibyśmy budżet filmu do czterech milionów, sami go sfinansowali, zatrudnili

nieznanych aktorów, a potem spróbowali podlizać się dystrybutorom. Ty będziesz reżyserować...

Pellam zdał sobie sprawę, że czajnik wypełnia niedużą wnękę kuchenną gorącą parą. Zrobił sobie kawę, a Wellerowi herbatę, podliczając jednocześnie w myślach sumy, jakie uzyskałby, zaciągając drugą hipotekę na dom, sprzedając swojego starego porsche'a i inkasując honorarium za „Missouri River Blues”.

— Dałbym radę wyłożyć sto dwadzieścia, może nawet sto pięćdziesiąt tysięcy.

Weller szybko dokonał własnych kalkulacji. — Musiałbym trochę podzwonić, ale myślę, że gdybyś tyle zainwestował, daliśmy radę. Coś za coś — reżyserujesz, ale nie masz udziału w zyskach. Musiałbyś pracować za niewiele ponad związkową stawkę, a może nawet odpalić ekipie część pieniędzy.

— Chcę tylko zrobić ten film. Nigdy nie miałem ambicji, żeby się wzbogacić.

— Zawsze byłeś zwariowanym sukinsynem, Pellam. — Weller pociągnął łyk gorącej herbaty, trzymając kubek kilka centymetrów nad blatem i nachylając się nad nim. — Powinienem ci jednak o czymś powiedzieć. Szczęście uśmiechnęło się i do mnie.

Paramount zainteresował się scenariuszem, który kupiłem w ubiegłym roku. Terrorysty porywają samolot, takie tam bzdury. Banał, banał i jeszcze raz banał, wiem. *Mea culpa*. Budżet czterdzieści pięć milionów. Nic z tego nie będzie, ale i tak muszę jechać do Londynu i spotkać się w tej sprawie z paroma ludźmi.

— A jeśli jednak coś z tego będzie?

— *Chcę* zrobić twój film, John. — Przez krótką chwilę pasja przebijająca przez gładką opalenizną wydawała się być autentyczna. W typowy dla siebie zawołowany sposób Weller dawał mu do zrozumienia, że wołałby raczej być bogatym producentem, który jest jednocześnie kultowym artystą, niż producentem komercyjnym, ale za to nieprzeważnie bogatym.

Pellam zdawał sobie sprawę z tego, że Hollywood to kuźnia kompromisów.

— I co dalej? — spytał. Pociągnął łyk kawy i wylał resztę do zlewu. Miał zaciśnięty żołądek. Nieczęsto otrzymuje się propozycję reżyserowania własnego filmu za cenę jednoczesnego zadłużenia się po same uszy.

— Jutro wieczorem lecę do Londynu. Teraz podzwonię i zobaczę, co się da zrobić. Ale daję ci słowo, że jeśli nasz plan wypali, nakręcę z tobą „Czas”. Nie będzie to łatwe, ale

pomacham tym z Paramount na do widzenia. I nieważne, iloma pieprzonymi zerami będą mnie kusić. Czy to cię szokuje, John?

Powiedz.

Pellam był faktycznie zszokowany, ale odparł: — Nie, Marty, to robi na mnie wrażenie.

Parterowe domy okazały się do niczego. Ich wnętrza były zbyt ciasne, żeby zmieścić w nich jednocześnie kamerę, sprzęt oświetleniowy, ekipę i aktorów. Sloan życzył sobie skomplikowanego ujęcia, w którym będąca „oczyma bohatera” kamera podążałaby na wózku z podwórza do salonu. Ostatecznie jednak przyznał rację Pellamowi i szefowi obsługi technicznej, którzy twierdzili, że scenę tę trzeba będzie zmontować. Część ujęć zrobi się przed domem (najbardziej zrujnowanym z czterech wybranych), a wnętrza nakręci w salonie i pokoju dziennym stojącej po sąsiedzku dwupiętrowej willi kolonialnej.

Pellam zostawił Tony'ego Sloana wyszczekującego instrukcje kościstemu szefowi obsługi technicznej, który dawno już zatracił zdrowe poczucie humoru z pierwszych kilku tygodni zdjęć i obecnie uginał się pod ciężarem niemożliwych zadań, takich jak przygotowanie w sześć godzin planu zdjęciowego, który normalnie budowałoby się

dwa dni. Pellam wskoczył na motor i pojechał do banku będącego właścicielem obu domów. Ubrany w jasnozielony garnitur bankier uważnie przeczytał standardową umowę na wynajem obiektu zdjęciowego i podpisał ją, z lekkim zażenowaniem przyjmując czek na sześćset dolarów.

— To największa kwota, jaką te domy przyniosły w ciągu ostatnich dwóch lat.

— Widać, że nie jest wam tu lekko.

— Święte słowa, proszę pana. Chciałbym, żeby ta recesja wreszcie się skończyła. Ale przetrwamy złe czasy, zobaczy pan.

Pellam wrócił do zaparkowanego przed bankiem motoru i odpalił silnik. Jadąc przez miasto, zauważył jakiś samochód, który podążał za nim, utrzymując stale tę samą odległość. Wydawało mu się, że widzi siedzące z przodu dwie osoby. Na próbę skręcił dwa razy. Samochód wybrał tę samą trasę. Zahamował i udał, że patrzy na sklepową wystawę pełną zakurzonych antyków; kierowca samochodu również się zatrzymał i udawał, że studiuje mapę. Nie odrywając wzroku od wystawy, Pellam wrzucił nagle pierwszy bieg i odjechał z piskiem opon, a potem skręcił w wąskie przejście pomiędzy dwoma opuszczonymi budynkami. Po obu

stronach kierownicy miał akurat dwa i pół centymetra wolnego miejsca. Nie mógł wcisnąć przedniego hamulca ani sprzęgła, żeby nie zedrzeć sobie jednocześnie skóry z kłykci o ceglany mur.

Wyjechał z uliczki i ostro zahamował, widząc u jej wylotu śledzący go samochód. Kierowca gwałtownie wcisnął hamulec. Pellam natychmiast skręcił w jednokierunkową ulicę i ruszył ku brązowej, szeroko rozlanej rzece.

Minąwszy przecznicę doznał silnego uczucia déjà vu i zwolnił, redukując biegi do jedynki. Śledzący go samochód zniknął, więc Pellam skręcił w prawo i zaparkował, ulegając własnemu instynktowi. Znajdował się na Trzeciej, tuż obok szeregu niskich zabudowań fabrycznych i magazynów.

Z miejsca, w którym stał, widać było tętniące dawniej życiem nabrzeże w Maddox. Obecnie były tam tylko puste witryny sklepowe, nudne galerie ze starociami, kilka barów i specjalizująca się w stekach restauracja U Callaghana.

Było to też miejsce, w którym postrzelono Donniego Buffetta. Na ziemi, tuż przy swoim bucie, zauważył ciemne ślady. Krew, pomyślał, chociaż równie dobrze mógł to być po prostu rozlany płyn chłodniczy albo mleko

czekoladowe.

Mogę ich popilnować, jeśli chce pan skoczyć po torbę czy coś w tym rodzaju.

— *Naprawdę?*

— *Pewnie.*

— *Dzięki.*

Pellam zaparkował motocykl i poszukał budki telefonicznej. Zaskoczyło go, że automat działał. A kiedy dodzwonił się do informacji, był równie zaskoczony, słysząc, że ulica, która go interesuje, znajduje się zaledwie jedną przecznicę dalej.

Pellamowi nie przeszkadzał zapach tego miejsca.

Woń środków dezynfekujących — przypominająca tanie perfumy woń tego zimnego w dotyku specyfiku, którym przeciera się skórę przed jej rozcięciem albo zszyciem. Wystrój był równie przygnębiający, jak zapach: aluminium, jasny winyl, linoleum. Z jakiegoś powodu kolor pomarańczowy cieszył się tutaj dużym powodzeniem. Pomarańczowy i fioletowy. Do tej pory Pellam bywał wyłącznie w starych szpitalach, gdzie na każdym kroku niemal namacalnie wyczuwało się obecność *Wielkiej Medycyny* — ciemne drewno, mosiądz i blada zieleń ścian. Zupełnie jakby za który-miś masywnymi drzwiami o złotych

okuciacz ktoś dokonywał właśnie odkrycia środka znieczulającego albo penicyliny. Szpital główny w Maddox przypominał życie i śmierć w supermarkecie.

Pellam wpisał się do księgi odwiedzających. Pielęgniarka skierowała go na koniec korytarza. Minął stojącego przy wejściu policjanta, który przyjrzał mu się uważnie. — Proszę się zatrzymać.

— Chciałbym zobaczyć się z oficerem Buffettem.

— To pan jest tym świadkiem... — Kamienna twarz policjanta pozostała niewzruszona, a oczy zmierzyły Pellama surowym spojrzeniem.

— Chcę się tylko dowiedzieć, jak on się czuje.

— Proszę rozchylić kurtkę.

— Ja...

— Jeżeli chce się pan z nim zobaczyć, proszę pokazać, co pan ma pod kurtką. Pellam rozchylił jej poły. Policjant przeszukał go pobieżnie, a następnie skierował do właściwej sali.

W telewizji nadawano akurat jakiś teleturniej. Dźwięk był ściszony i jedynymi odgłosami, jakie dało się wyłapać, były głośne owacje publiczności. Odbiór był nie najlepszy i przez

środek ekranu telewizora przesuwano się szerokie pasmo zakłóceń. Gospodarz programu oraz jego uczestnicy bez przerwy się uśmiechali.

W przeciwieństwie do Buffetta.

— Jak się pan czuje? — zagadnął Pellam i przedstawił się.

— Pamiętam pana.

Pellam podszedł do szarego krzesła i stanął, jakby zastanawiając się, czy wypada mu usiąść. — Coś panu przyniosłem. — Położył na stoliku książkę, najnowszy bestseller. — Kryminał. Nie wiem, czy pan lubi.

Buffett nie spuszczał z niego wzroku.

Pellam odchrząknął. Milczenie przedłużało się. Powiedział więc: — Nie byłem pewien, czy nie wolałby pan czegoś do picia. Co pan właściwie pija? Piwo?

— Nic. Postrzelili mnie w plecy.

— Słyszałem. Jak pan się czuje?

— A jak mam się czuć?

Znowu cisza. Pellam doszedł do wniosku, że nie ma co liczyć na niefrasobliwą pogawędkę czy żarty. Odsunął się od krzesła i skrzyżował ręce na piersiach. — Niech pan posłucha. Przykro mi z powodu tego, co się stało. Ale chciałbym pana o coś poprosić. Pańscy kumple dają mi się we znaki. A konkretnie

takich dwóch z dochodzeniówki. Wie pan, łążą za mną krok w krok. Uważają, że widziałem tamtego gościa w samochodzie...

Buffett, wpatrując się dla odmiany w ekran telewizora, wybuchnął: — Bo *widział* go pan.

— Nie widziałem — odparł spokojnie Pellam. — Wiem, że pana zdaniem go widziałem. Ale tak nie było.

Buffett z uporem wbijał spojrzenie w telewizor. Jego oczy pociemniały, malowało się w nich zdenerwowanie. Czubkiem języka dotknął kącika warg. Wszystko to powodowało, że sprawiał wrażenie osaczonego zwierzęcia. — Jak mógł go pan nie widzieć? Przecież siedział z przodu.

— Oślepiało mnie światło.

— Gówno prawda.

Pellam poczerwieniał. — Myśli pan, że coś ukrywam. Nie. Opisałem wam przecież faceta, który na mnie wpadł.

— Och, jak to ładnie z pana strony. Ja też go widziałem. Nie potrzebujemy *jego* rysopisu. Zresztą, dawno już zwiął. Wynajęli go do mokrej roboty, a teraz jest już pewnie z powrotem w Miami albo w Chicago.

— Myśli pan, że mnie przekupili?

— Myślę, że jest pan taki sam jak wszyscy. Nie chce się pan angażować.

Pellam westchnął. — Lepiej już sobie pójdę.

— Moim zdaniem, jeśli ktoś zagląda do samochodu, to — do cholery — widzi tego, kto siedzi z przodu. A jeśli ktoś rusza ustami, to znaczy, że z kimś *rozmawia*

— Ja wcale...

— Widziałeś go! Widziałem, że patrzyłeś mu prosto w twarz!

— Jeżeli tyle pan widział, to dlaczego sam go pan nie opisze, do diabła?!

— Ile ci zapłacili?

— Ja wcale...

— Posłuchaj mnie — przerwał mu brutalnie Buffett. — Będziesz miał gliny na karku dwadzieścia cztery godziny na dobę! Nie dadzą ci spokoju. Nie dadzą ci się spokojnie wysrać, dopóki im nie powiesz...

Pellam machnął ręką zrezygnowany i podszedł do drzwi.

— Ty sukinsynu! — Twarz Buffetta zrobiła się sina, żyły na jego szyi nabrzmiały, a w kącikach ust pojawiła się ślina. Głos uwiązł mu w gardle i przez chwilę Pellam obawiał się, że tamten właśnie dostał ataku serca. Gdy zorientował się, że Buffett stracił mowę z wściekłości, na dobre już rozeźlony wypadł z sali.

Prosto na wchodzącą do niej młodą kobietę.

— Przepraszam — mruknął.
Zamrugnęła powiekami i nieśmiało odsunęła się na bok. — Och, to ja przepraszam.
Była to chuda blondynka, pod trzydziestkę, ubrana w stonowany, niekrzykliwy strój. Wyglądała jak sekretarka i uśmiechała się nieśmiało, z zażenowaniem. Pellam uznał, że jest żoną postrzelonego policjanta i pomyślał, że tamten miał sporo szczęścia, żeniąc się z tak ładną istotą. Pomyślał też, że jeszcze przez długi czas będzie z nim miała prawdziwe piekło.
Kobieta odezwała się: — Szukam doktora Albertsona.
Pellam pokręcił głową, wzruszył ramionami i minał ją.
Był w już w holu, gdy usłyszał, jak Buffett krzyczy za nim: — No jasne, idź sobie! Tak po prostu! Nie krępuj się, ty sukinsynu!
Krzyk cichł w miarę, jak Pellam oddalał się od sali. Stojący na warcie policjant też coś powiedział — coś, czego Pellam nie dosłyszał — chociaż sądząc po złośliwym uśmieszku, musiało być to równie niemiłe, jak pożegnalne słowa Buffetta. Po chwili stał już przy windzie, wyłamując palce i czując, że szczęki zaciskają mu się ze złości. Siedem razy wcisnął przycisk windy, zanim zdał sobie sprawę, że lampka się

świeci, a dźwig jest już w drodze.

Drgnął, słysząc za sobą kobiecy głos: —
Przepraszam. Nie chciałam panom
przeszkodzić.

Obejrzał się i zobaczył idącą ku niemu tamtą
blondynkę. Spojrzała na numery pięter
pojawiające się na wyświetlaczu ponad
drzwiami windy.

Pellam zacisnął zęby. — Nie ma sprawy.

— Wyglądał mi znajomo. — Zerknęła w tył,
w głąb korytarza.

— Kto?

— No, pański kolega. Mężczyzna w sali, z
której pan wychodził.

— *Me zna go pani?*

Wyjaśniła, że nie. Szukała lekarza
prowadzącego jej matkę i pielęgniarki ją tutaj
skierowały. Skinęła głową w kierunku sali
Buffetta. — Kto to jest?

Pellam odparł: — Ten policjant, którego
postrzelili.

— No tak, oczywiście! Czytałam o nim w
„Post-Dispatch”. Zamieścili jego zdjęcie. Jak
on się nazywa?

— Donnie Buffett.

— To pana przyjaciel?

Pellam machnął ręką. — Chyba pani
słyszała... Nie sądzę; aby można nas było

uznać za przyjaciół.

Przyjechała winda. Weszli do środka. Z tyłu za nimi stanął mężczyzna w szlafroku, zaciskający dłoń na wysokim stojaku z kroplówką przypominającym chromowany wieszak na kółkach.

— A lekarz właśnie wyszedł na lunch. — Kobieta zrobiła zabawną minę. — Miałam się z nim spotkać w sprawie mamy. Teraz muszę tu znowu wrócić za godzinę.

— Pani mama jest tutaj pacjentką?

— Po histerektomii. Nic jej nie jest. Co prawda bez przerwy narzeka, ale to właśnie znaczy, że nic jej nie jest.

Winda, z wolna wypełniająca się owocowym aromatem jej perfum, zatrzymała się na parterze. — No to jesteśmy — powiedział, gdy znaleźli się w przestronnym holu. Owiało ich chłodne powietrze.

— Tak.

— Nazywam się John Pellam. Uścisnęła jego dłoń. — Nina Sassower.

Kiedy znaleźli się na ulicy przed szpitalem, Nina rozejrzała się. Miała przepiękny profil; jej twarz była... Jak najlepiej można by ją opisać? Wolna od ciężaru trosk.

Zaraz jednak uśmiechnął się z goryczą. *Wolna od ciężaru trosk.* Za dużo filmowego

słownictwa, za dużo artystycznych skojarzeń. Nie, ta kobieta była po prostu *zmysłowa*, *ładna*. *Seksowna*.

Spojrzał na zegarek. Miał dużo rzeczy do zrobienia i niewiele czasu, żeby ze wszystkim zdążyć: trzeba było załatwić ubezpieczenie tymczasowe na domy, w których mieli kręcić, jak każdego dnia przejrzeć z tuzin zezwoleń na realizację zdjęć i upewnić się, że żadne z nich się nie zdezaktualizowało w związku z przedłużającym się czasem produkcji, zadzwonić do banku w Sherman Oaks w sprawie hipoteki na sfinansowanie jego własnego filmu „Czas środkowoamerykański”, wreszcie sprawdzić pozostałe weksle i zastanowić się, do kogo by tu jeszcze uderzyć w sprawie pożyczki — a wszystko to w czasie, gdy będzie próbował zgubić policyjny ogon. Ostatecznie nie zrobił żadnej z wyżej wymienionych rzeczy. Zapytał za to Ninę: — Masz ochotę na lunch?

I jak się okazało, miała.

○ trzeciej po południu Pellam był z powrotem w przyczepie, gotów wyruszyć na plan, kiedy zadzwonił telefon. Chwycił słuchawkę i przytrzymując ją między uchem a uniesionym barkiem, wkładał jednocześnie skórzaną kurtkę. — Tak?

— Jutro kolacja.

— Okej. To ty, Marty?

— Może lepiej usiądź. Siedzisz?... Telorian. Pellam na chwilę zaniemówił. — Jesteś pewien?

— Daj spokój. Czy jestem *pewien*? — powtórzył sarkastycznie Weller.

Ahmed Tellorian. Pięćdziesięcioletni inwestor pochodzenia ormiańsko-irańskiego (po aferze z zakładnikami zaczął się podawać za Persa) uwielbiał amerykańskie kino w takim samym stopniu, w jakim uwielbiał zarabiać miliony na sprzedaży podzespołów elektronicznych. Wraz z żoną Telorian zakupił, przebudował i odremontował stare kino w Westwood, z którego wspólnie uczynili kultowy bastion niezależnego kina, gdzie pokazywano najdziwniejsze filmy. Wiele z nich należało do gatunku *noir*, ulubionego gatunku Johna Pellama.

Przed kilkoma laty Telorian i Pellam spędzili razem wieczór, pijąc i rozmawiając o Claire Trevor, Glorii Grahame, Robercie Mitchumie i Edzie Dmytryku. Nad szklaneczkami mocnego ouzo spierali się głośno, z zaciśniętymi pięściami.

Powodem tamtego spotkania przed paru laty było poboczne zajęcie Teloriana — a

mianowicie produkcja niskobudżetowych filmów. Przeczytał on „Czas środkowoamerykański” Pellama i był zainteresowany kupnem praw do scenariusza. Przypadło to na czas, kiedy Pellam nie życzył sobie mieć do czynienia z wytwórniami filmowymi, chyba że zlecały mu przygotowywanie dokumentacji do swoich filmów. Bez mrugnięcia okiem odrzucił więc hojną propozycję Teloriana, który wściekły wybiegł ze spotkania. Od tamtej pory Pellam nigdy o nim nie myślał. Teraz poczuł, że jego puls przyspiesza, gdy zadawał pytanie: — Telorian jest w Maddox?

Bardziej prawdopodobne byłoby zobaczyć Elvisa przepychającego się do stolika w Hard Rock Cafe.

— Przypadkiem był w Chicago. Moja sekretarka go namierzyła. Mówi, że kilka lat temu go spławiłeś.

— Kilka lat temu wszystkich spławiałem.

— Nie, żeby wziął to sobie do serca. A w każdym razie nie za bardzo. Nadal uważa, że „Czas środkowoamerykański” może być przebojem. Pojutrze musi być w domu, ale udało mi się go przekonać, żeby po drodze wpadł do St. Louis i z tobą porozmawiał.

— A jak się zapatruje na to, żebyśmy to ja

reżyserował?

— Zero obiekcji. Chce tylko wiedzieć, co zamierzasz. To już nie te czasy, co dawniej. Teraz interesują go tylko hity. Nie ma nic przeciwko czarno-białym filmom, o ile przynoszą *zyski*. Rozumiesz?

— Kiedy ląduje jego samolot?

— Wtedy, kiedy powie swojemu pilotowi, żeby wylądował. Spotkasz się z nami o ósmej w hotelu Waterfront Sheraton. W barze w lobby. Wiesz, gdzie to jest?

— Znajdę.

— Jakies czterdzieści, pięćdziesiąt minut jazdy z Maddox.

— Dostał wstępną wersję scenariusza? — upewnił się Pellam.

— Dostał wszystko, co trzeba. Ty tylko przywieź jak najwięcej plotek o Tonym Sloanie.

W holu, którego ściany pokrywała tapeta w kwiatowy wzór, stał biały plastikowy stół, a na nim przezroczysty, plastikowy dzbanek ze sztucznymi kwiatami. Po lewej stronie zakończone łukiem drzwi prowadziły do salonu. Meble w obu pokojach pochodziły głównie z lat pięćdziesiątych i zostały zakupione w domu towarowym — stoły w kształcie nerki, krzesła z jasnego drewna,

miękkie fotele i dwuosobowe sofy z beżową tapicerką oraz całe mnóstwo plastiku. Był po prostu wszędzie. W kącie salonu młoda kobieta w białej bluzce i czarnych rybaczkach usiłowała przebrnąć przez etiudę Chopina. Młody, muskularny mężczyzna w luźnych brązowych spodniach i żółtej koszuli z krótkimi rękawami opierał się o pianino, uśmiechając się i kiwając lekko głową.

— Wiesz, pierwszy raz zobaczyłem cię wtedy wieczorem, na tańcach. Było...

— Pamiętam. — Dziewczyna przestała grać i popatrzyła na niego.

— Było gorąco jak w piekle, a ty stałaś po drugiej stronie sali pod tym japońskim lampionem.

— Pamiętam, był podarty.

— Właśnie, był podarty. Żarówka prześwitywała przez papier, a ty stałaś w jej świetle. Od razu wiedziałem, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

Przykrył jej dłoń swoją.

W drzwiach wejściowych wyrósł z wolna potężnie zbudowany mężczyzna i uniósł w górę pistolet maszynowy. Młodzi ludzie odwrócili się. Z ich twarzy zniknął uśmiech.

— Nie! — krzyknęła kobieta. Mężczyzna zrobił krok naprzód w stronę napastnika. Z

pistoletu padła głośna seria. Obrazy, wazony, lampy eksplodowały, ściany pokryły ciemne dziury, a z ciał dwojga młodych trysnęła krew, gdy rzucili się ku sobie. Wreszcie napastnik opróżnił magazynek i nastąpiła przejmująca cisza. W tej ciszy kochankowie osunęli się wolno na podłogę, a ich zakrwawione dłonie szukały siebie nawzajem. Palce ich się zetknęły, a ciała znieruchomiały.

Żaden z kilkunastu spoconych ludzi stojących w pokoju wokół nieruchomych, krwawych zwłok nie powiedział ani słowa. Żaden z nich nawet nie drgnął. Większość nie patrzyła wcale na zabitych, lecz na brodatego mężczyznę w dżinsach i zielonym podkoszulku, który stał oparty o stojak reflektora, podczas gdy jego zaczerwienione oczy błędziły w zadumie po salonie. W końcu Tony Sloan ruszył przed siebie, depcząc zużyte łuski po nabojach. Kręcił głową. Młody mężczyzna w brązowych spodniach usiadł, otarł krew z nosa i odezwał się: — Daj spokój, Tony. Było dobrze.

— Cięcie — rozległ się okrzyk zza kamery. Zakrwawiona aktorka zerwała się na nogi i uderzyła lepkimi od krwi dłońmi o biodra. — Chryste Panie — mruknęła ze złością. Znalazłszy się w samym centrum jatki, Sloan

rozejrzał się uważnie. Wreszcie wypalił: —
Wcale *nie było* dobrze.

Facet z pistoletem maszynowym wyciągnął z uszu watę i zapytał: — Co on powiedział? Aktorka wykrzywiła się. — Powiedział, że nie było dobrze.

Zabójca wzruszył ramionami.

Sloan dał znak scenarzyście Danny'emu i asystentce reżysera, młodej blondynce po trzydziestce. Cała trójka stłoczyła się w kącie pokoju, podczas gdy na plan wbiegli garderobiani i pracownicy scenografii, żeby uprzątnąć całe pobojuwisko. — Musimy to nakręcić na zewnątrz — oznajmił Sloan.

Złoty kucyk asystentki reżysera rozkołysał się, gdy jego właścicielka energicznie przytaknęła.

— Na zewnątrz? — westchnął Danny.

Zgodnie z umową podpisaną ze Stowarzyszeniem Scenarzystów Filmowych płacono mu za każdą poprawkę, jaką wprowadzał do scenariusza „Missouri River Blues”. Mimo to ta akurat metoda zarabiania pieniędzy dawno już przestała być dla niego atrakcyjna.

— To po prostu nie było wystarczająco, no, dynamiczne — myślał na głos Sloan. — Tej scenie potrzeba ruchu. *Oni* powinni być w ruchu. Myślę, że to bardzo ważne, żeby się

ruszali.

Teraz Danny wyciągnął z uszu zatyczki. — Może zapomniałeś, że zarówno w powieści, jak i w pierwszej wersji scenariusza oboje uciekają. To nie *ja* ich zabiłem.

Reżyser odparł: — Nie, nie, nie, Nie o to chodzi. Oni *muszą* umrzeć. Po prostu uważam, że powinni zginąć na zewnątrz. Wiesz, żeby było widać, jak niewiele ich dzieli od wolności. Przypomnij sobie lęki Rossa.

— Lęk przed zamknięciem — wyrecytowała asystentka reżysera, wymachując swoim sztywno sterczącym kucykiem. Trudno było stwierdzić, czy powiedziała to z szacunkiem, czy raczej z sarkazmem.

Danny owinał koniec własnego kucyka, czarnego niczym skrzydła kruka, wokół krótkich palców, a następnie strzepnął z policzka kawałek czerwonego plastiku z łuski ślepego naboju. Wyglądał na równie wyczerpanego, jak Sloan. — Powiedz mi, czego ty właściwie chcesz, Tony. Chcesz, żeby umarli, to ich uśmiercę. Chcesz, żeby umarli przed domem, uśmiercę ich przed domem. Tylko mi to powiedz.

Reżyser zawołał: — Pellam? Cholera, poszedł sobie?

Pellam, który nie miał w uszach zatyczek, lecz

siedział na frontowych schodach jakieś dziesięć metrów od miejsca strzelaniny, podniósł się i wszedł do salonu. Ominął rozbite szkło oraz ceramikę i jednym krokiem przeszedł ponad dwoma ubranymi w ochronne kombinezony specami od broni, usuwającymi splotki pirotechniczne, które nie wybuchły. Sloan zwrócił się do niego: — Mamy jakąś drogę?

— A po co ci droga?

— Chciałbym, żeby zginęli na drodze — wyjaśnił Sloan. — Albo przynajmniej w pobliżu jakiejś drogi.

Aktorka w rybaczkach zaprotestowała: — Nie chcę znowu ginąć. Wtedy jest hałas i straszny bałagan, i w ogóle mi się to nie podoba.

— Musisz umrzeć i tyle — uciął Sloan. — Przestań wreszcie narzekać.

Dziewczyna wskazała zakrwawionym palcem kasetę z filmem, którą asystent operatora wyciągał właśnie z kamery. — Ja już nie żyję. Masz to wszystko na taśmie.

Reżyser wbił wzrok w podłogę. — Musimy znaleźć drogę, która biegłaby przez las. Nie, obok pola. Dużego pola. Może w pobliżu szkoły, albo czegoś w tym rodzaju. Ross i Dehlia planują ostatni skok. Ale wpadają w zasadzkę. Goście z Agencji Pinkertona stają

zniecka w oknach i...

Pellam otworzył usta.

— Przystaniesz mnie wreszcie dręczyć „Bonnie i Clyde'em”, Pellam? — warknął Sloan. — To będzie całkiem inna scena.

Wszyscy będą myśleli, że tamci dwoje oberwą — to znaczy publiczność pomyśli o „Bonnie i Clydzie”. Będą pewni, że już to gdzieś widzieli. Ale nie, o nie. Tym razem dzieciaki się wywiną. Może pistolety się zatną albo...

Danny przerwał mu: — Oba się zatną? Mamy dwóch agentów.

— Okej, jednemu zatnie się pistolet, a drugi zwyczajnie chybi.

— Więc teraz mają przeżyć, tak? — upewnił się radośnie Danny.

— Nie, nie, nie. Chcę, żeby uciekli, a dopiero potem zginęli... W jakimś dziwnym wypadku... Już mam! Wjadą prosto pod pociąg.

Aktorka wtrąciła: — Wszystko mi jedno, byleby już do mnie nie strzelali.

Pellam odezwał się: — Ktoś już nakręcił takie zakończenie z pociągiem. Kto to był? To bardzo w stylu lat siedemdziesiątych. Elliot Gould mógł w jakimś filmie wjechać pod pociąg. Albo Donald Sutherland. W „Sugarland Express”. — Zastanawiał się, dlaczego tak go

to wkurza. „Missouri River Blues” to przecież nie był *jego* film.

Wtyczka z wytwórni, młody koleś, którego kręcone włosy wyjątkowo nie były związane w kucyk, zapalił papierosa i rzucił w przestrzeń:

— Wiecie, ile kosztuje wynajęcie pociągu? Sloan chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Po chwili odparł:

— Mógłbym się zgodzić na tira.

Pellam mruknął: — To może od razu zmienić tytuł filmu na „Córka Bonnie i syn Clyde'a”?

Danny przybił mu piątkę.

Reżyser zignorował ich zachowanie. —

Daniel, zmień tę scenę i daj egzemplarz tekstu Johnowi. Chcę, żeby to wyglądało tak, jakby za moment mieli zginąć, ale w ostatniej chwili coś się wydarza, uciekają, a potem giną w jakimś dziwnym wypadku.

Danny był już naprawdę u kresu wytrzymałości. — Tylko co? Co takiego się wydarza? Powiedz mi. Rzuć jakiś pomysł.

Reżyser wzruszył ramionami. — Zaskocz mnie. Chcę, żeby to wyglądało tak, jakby człowiek nie mógł ich zniszczyć, tylko przeznaczenie. Przeznaczenie, przyroda albo jakieś inne gówno.

Pellam wtrącił się: — Czy to ma być jakaś szczególna droga?

— Droga... — Spojrzenie Sloana znowu zaczęło błędzić po pokoju.

— Ma być blisko rzeki, a po jednej jej stronie ma być wielkie pole. Chcę, żeby samochód zjechał z drogi i wpadł do rzeki. *Do rzeki.* Pellam skrzywił się. W dzisiejszych czasach zdobycie pozwoleń na tego typu sceny najczęściej graniczyło z cudem. Nikt nie chciał, żeby benzyna, olej silnikowy i rozmaite części samochodowe zaśmiecały jego akweny. Wiele scen wypadków samochodowych kręciło się po partyzancku, w ukryciu, bez pozwolenia — ekipa zjawiała się i znikwała, zanim o wszystkim zwiedziały się władze, a ewentualne dowody pozostawały na dnie rzeki lub jeziora. Pellam pomyślał, że jeśli Sloan uprze się, żeby packard Rossa wpadł do Missouri, trzeba to będzie nakręcić właśnie w taki sposób.

Sloan oznajmił: — Obejrzę teraz materiał z całego dnia.

Pośpiesznie ruszył w stronę drzwi. Nie zdążył jednak wyjść, gdyż w holu rozległy się podniesione głosy.

Do salonu wszedł tyłem ochroniarz, usiłujący powstrzymać dwóch wysokich mężczyzn w jasnoszarych garniturach. Tamci stanowczo parli do przodu, mówiąc coś cichymi i

uprzejmymi, lecz nie znoszącymi sprzeciwu głosami. Jeden z mężczyzn spojrzał na Pellama i zwrócił się do swojego partnera: — To ten. — Minęli poczerwieniałego ze zdenerwowania ochroniarza i wdarli się na plan.

— Hola, hola — zawołał Sloan. — Co to ma być?

— Pan John Pellam?

Zanim Pellam zdołał odpowiedzieć, Sloan odparł ze zniecierpliwieniem: — To jest zamknięty plan zdjęciowy. Muszą panowie go opuścić.

Jeden z nowoprzybyłych odezwał się wysokim głosem, w którym pobrzmiwał skruszony ton: — Bardzo nam przykro z powodu tego najścia. To zajmie tylko chwilę. — Po czym zwrócił się do Pellama i powtórzył: — Czy pan John Pellam?

— Zgadza się.

Sloan popatrzył na Pellama. Na jego twarzy malowały się jednocześnie zakłopotanie i wściekłość. — John, kim są ci ludzie? Co tu się u diabła *dzieje*?

Podobnie jak poprzedniego dnia policjanci, tak i ci dwaj zignorowali Sloana, zwracając się wprost do Pellama: — Jesteśmy z Federalnego Biura Śledczego. — Mignęły mu dwa identyfikatory.

I tak jak poprzedniego dnia, kiedy na planie zjawili się gliniarze, tak i tym razem wszyscy przestali pracować i obserwowali niezwykłą scenę.

— Jestem agent specjalny Monroe, a to agent specjalny Bracken. Pozwoli pan z nami na zewnątrz? Chcielibyśmy zadać panu parę pytań... — Agenci nawet nie spojrzeli na zakrwawioną aktorkę. Pewnie w swoim życiu widzieli już sporo ofiar strzelaniny.

— Na jaki temat?

— Przystępstwa, którego mógł pan być świadkiem. Mógłby nam pan poświęcić kilka minut?

— W tej chwili jestem naprawdę bardzo zajęty.

— Rozumiem — mruknął Bracken. Monroe, ze swoimi wycienionymi włosami i starannie wypielęgnowanym wąsikiem, pasował do wizerunku agenta FBI. Bracken zaś był niechlujny i miał na sobie pognieciony garnitur. Wyglądał jak zwykły oprych. Może był tutaj w przebraniu. — To nie zajmie dużo czasu.

— On jest *bardzo* zajęty — zaprotestował Sloan. — Jak zresztą my wszyscy. Bracken odezwał się do Pellama, jakby to *on* zgłosił sprzeciw: — Proszę pana, jeśli w

dalszym ciągu będzie pan odmawiał współpracy, będziemy zmuszeni zabrać pana do St. Louis i...

Sloan podszedł do nich zdecydowanym krokiem. — Nie wiem, o co chodzi, ale nie wolno wam tutaj włączyć ot, tak sobie. Załatwcie nakaz, albo coś takiego. John, co tu się u diabła dzieje? O czym oni mówią?

— Oczywiście możemy wrócić z nakazem, proszę pana. Ale wówczas będzie to nakaz aresztowania obecnego tu pana Pellama...

— Za co?

— Za lekceważenie funkcjonariuszy państwowych i utrudnianie śledztwa. A teraz, jeśli tego właśnie panowie chcą...

— Jezu — jęknął Sloan i zamknął oczy. Wyglądało na to, że jest bardziej zdenerwowany od Pellama. — Porozmawiaj z nimi, John. — Machnął gwałtownie ręką, jakby odpędzał natrętną pszczołę. — Nie życzę sobie już więcej tego rodzaju problemów. Rozumiemy się?

— Może moglibyśmy wyjść na zewnątrz, panie Pellam? — zaproponował Monroe. — To nie potrwa długo.

Sloan dał Pellamowi znak, unosząc z irytacją brwi, i zapewnił agentów: — Zrobi to z prawdziwą przyjemnością.

Pellam pierwszy wyszedł na zewnątrz, a za nim obaj agenci. Minęli rząd przyczep, wózków pod kamery oraz agregatów prądotwórczych i znaleźli się na ulicy. Tam od razu Pellam został pokierowany na chodnik, z dala od ciekawych spojrzeń członków ekipy oraz miejscowych gapiów, którzy z fascynacją obserwowali sprzęt i od czasu do czasu machali — niektórzy nieśmiało, inni z przyjacielską życzliwością — do kręcących się po planie aktorów.

Jakiś mężczyzna w średnim wieku pokazał Pellama palcem i szepnął coś na ucho stojącej obok kobiecie. Ich twarze pociemniały i bez uśmiechu patrzyli, jak znika im z oczu za rzędami zaniedbanych żywopłotów. Gdy zgodnie z otrzymanym poleceniem skręcił w jedną z bocznych uliczek, znowu mignęło mu tamtych dwoje. Ciągłe przypatrywali mu się z nietajoną wrogością; teraz jednak dołączyło do nich jeszcze kilka innych osób.

W połowie drogi do miejsca, gdzie, jak sądził Pellam, agenci zaparkowali swój wóz, mężczyźni zatrzymali się. Miał ich teraz po

obu bokach.

— Możemy porozmawiać tutaj.

— Tutaj? — Pellam zrobił krok w tył, żeby zwiększyć dzielący go od nich dystans. Oparł się plecami o ceglana ścianę jednego z budynków. Obejrzał się i stwierdził, że jest dosłownie przyparty do muru. Odwrócił się do Brackena.

— Nie moglibyśmy...?

— Stul pysk — warknął elegancik Monroe. Bracken wbił krótki palec wskazujący w pierś Pellama i pchnął go brutalnie na ścianę. — Wiemy, że się do ciebie dobrał. Wiemy, że trzyma cię za jaja. — Choć obaj musieli się tego ranka golić, Bracken zrobił to znacznie bardziej niechlujnie. Czuć go było potem. Ci dwaj najwyraźniej nigdy nie słyszeli o wodzie kolońskiej.

Pellam machnął ręką zirytowany i ruszył w stronę wylotu uliczki. — Idźcie do diabła.

Dwie olbrzymie dłonie zacisnęły się równocześnie na jego ramionach i cisnęły nim z powrotem o ścianę. Jego głowa trafiła na szybę. Posypało się szkło.

— Chyba się nie zrozumieliśmy — powiedział Monroe.

Pellam wołał nie ryzykować przeszukania, zwłaszcza że za paskiem spodni miał nie zarejestrowaną broń. Podniósł w górę dłonie w

pojednawczym gościu. — Może po prostu powiecie mi, o co wam chodzi.

— Świadek przestępstwa federalnego, który odmawia składania zeznań albo składa fałszywe zeznania, może być uznany za winnego obrazy wymiaru sprawiedliwości, utrudniania śledztwa oraz krzywoprzysięstwa.

— Na swoim owłosionym nadgarstku Bracken miał grubą, złotą bransoletę, niezbyt odpowiednią dla agenta rządu federalnego.

— A także zmywy, jeżeli dowiedzie się istnienia powiązań pomiędzy nim a bezpośrednim sprawcą — dodał ten drugi. Bracken przysunął twarz do twarzy Pellama.

— Chodzi o to, że skoro brak ci jaj, żeby powiedzieć nam, co widziałeś tamtego wieczoru, potraktujemy cię jak współnika zbrodni.

— Aresztujecie mnie?

— Nie, proszę pana.

— W takim razie to się chyba nazywa dręczenie świadka. I to chyba dobry moment, żebym zadzwonił po swojego prawnika.

Bracken znowu chwycił go za kłapy i pchnął silnie na ceglana ścianę. Tym razem Pellam pamiętał, żeby pochylić głowę do przodu, dzięki czemu nie rozbił kolejnej szyby. —

Wiemy, że widziałeś w lincolnie Crimminsa, i

chcemy, żebyś go zidentyfikował.

— Nawet nie wiem, o kim mowa.

— O facecie, który cię przekupił.

Zapomniałeś już?

Monroe wyciągnął z kieszeni zdjęcie operacyjne. Był to kadr przeniesiony z taśmy wideo i w prawym dolnym rogu widoczne były data i godzina. Fotka przedstawiała masywnego mężczyznę o szerokiej twarzy, słowiańskich rysach i wysokich zakolach. Miał otwarte usta i odwracał się, jakby mówił coś do idącej za nim, niewidocznej na zdjęciu osoby.

— Nigdy go nie widziałem.

— Przyjrzyj się uważnie, Pellam. To jest właśnie Peter Crimmins.

— Ja go nie...

— *Przyjrzyj się, Pellam* — powtórzył Monroe. — To ten człowiek siedział w lincolnie. To on odpowiada za śmierć Vincenta Gaudii i za postrzelenie **oficera** policji z Maddox. Tego człowieka widziałeś. Chcemy tylko, żebyś to potwierdził.

— Nie mogę potwierdzić czegoś, czego nie widziałem.

— Więc nie będziesz z nami współpracował? — warknął Bracken.

— *Właśnie współpracuję. Wysłuchałem was. Prawdę mówiąc, to, co się tu dzieje,*

przekracza granice współpracy. Żegnam.
To była bardzo, bardzo długa godzina.
Peter Crimmins pocił się. Jego bawełniana koszula marki Sea Island była mokrzuteńka u nasady kręgosłupa i pod pachami. Krople potu osadzały się we włosach na jego piersi, a kiedy się poruszał, czuł ich zimny dotyk na swojej skórze. Pot zbierał się także w głębokich fałdach tłuszczu w miejscu, gdzie kończyła się klatka piersiowa, a zaczynał brzuch. Pot ściekał mu strużkami po plecach. Crimmins zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili może wyprosić agentów z biura, a wówczas oni albo go aresztują, albo dadzą mu święty spokój. Gdyby go jednak aresztowali — co z łatwością mogli zrobić — oznaczałoby to konieczność wezwania jego prawnika i przyjaciela w jednej osobie.
A tego Crimmins wolał uniknąć. Dlatego zgodził się odpowiedzieć na pytania agentów. Gestem poprosił ich, żeby zajęli miejsca w jego gabinecie z widokiem na ciasny parking z jednej strony, a ciemny pokój pełen biurek z drugiej i dotknął czubkiem palca znamienia nad okiem. Grad pytań trwał przeszło godzinę. Jego goście byli przystojnymi, ciemnoskórymi mężczyznami, wyglądającymi bardziej na absolwentów ekonomii niż na agentów

federalnych. Przypominali większość klientów Crimminsa (zarówno tych działających legalnie, jak i tych pracujących na granicy prawa) — inteligentni, uprzejmi, z rezerwą. Lecz pod tymi zewnętrznymi pozorami krył się chłód styczniowego poranka na Środkowym Zachodzie.

Jeden z agentów zadawał pytania, drugi na zmianę notował i mierzył Crimminsa nieprzeniknionym spojrzeniem.

— Czy mógłby nam pan powiedzieć, gdzie był w ostatni piątek wieczorem, proszę pana? Nie znosił tego „proszę pana”. Brzmiało to tak, jakby na koniec każdego zdania mężczyzna spluwał, żeby okazać mu swoją pogardę. Ale co mógł na to poradzić? Takie było odwieczne prawo negocjacji — nigdy nie mów niczego, co może być później zacytowane na twoją niekorzyść. Gdyby w przyszłości chciał zarzucić agentom nękanie go, gość odparłby zapewne: „Przez cały czas zwracałem się do niego grzecznie «proszę pana»... Wystarczy zajrzeć do stenogramu”.

— Większość wieczoru spędziłem w swoim biurze.

— O której pan stąd wyszedł?

— Około dziesiątej. Może za kwadrans dziesiąta.

- Był pan w biurze sam?
- Tak. Moja sekretarka wychodzi codziennie o piątej piętnaście. Ja często pracuję do późna.
- Czy w biurze jest ochroniarz?
- Mamy ochroniarzy, pewnie. Ale żadnego z nich nie widziałem tamtego wieczoru, kiedy wychodziłem z biura.
- Czy ktoś może potwierdzić miejsce pańskiego pobytu w tym czasie?
- Naprawdę myślicie, że zabiłem Vince'a Gaudię? — zapytał Crimmins, poirytowany.

- Czy ktoś może to *potwierdzić*, proszę pana? — powtórzył agent.
- Nie.
- Jest pan właścicielem samochodu marki lincoln?
- Owszem. I mercedesa kombi. Z silnikiem diesla.
- Jakiego koloru jest pański lincoln?
- Crimmins potarł wypukłość swojego trzeciego oka. Dlaczego aż tak go nienawidzili? — Granatowy. Ale to już wiecie, prawda?
- Numer rejestracyjny? Crimmins podał im go.
- Gdzie był pański samochód tamtego wieczoru, o którym mowa? Crimmins był

głodny. Miał niski poziom cukru we krwi i jeśli nie jadł regularnie — czasami nawet do pięciu razy dziennie — zdarzały mu się ataki hipoglikemii. Z pewną przyjemnością pomyślał o tym, że Vince Gaudia nie zdążył zjeść swojego ostatniego posiłku tamtego wieczoru, kiedy zginął. — Pojechałem nim do miasta.

— Gdzie go pan zaparkował, proszę pana?

— Tam, gdzie zawsze parkuję. Na krytym parkingu przy Ritzu.

— Czy posiada pan model Lincoln Continental?

— Już wam mówiłem.

— Nie mówił pan, jeśli chodzi o ścisłość. Nie znamy modelu pańskiego wozu. Czy to jest Continental?

— To zwykły sedan. Model Town Car.

— A teraz proszę mi jeszcze raz powiedzieć, gdzie pan był tamtego wieczoru. Crimmins zapytał: — Chodzi panu o to, w którym miejscu siedziałem?

— Twierdzi pan, że był u siebie w biurze?

— Nie twierdzę. Byłem tutaj. Już to wcześniej panom *mówiłem*. Czy pański kolega tego nie zapisał? Widziałem, że coś zapisywał.

— A dlaczego w biurze nie było pańskiej sekretarki?

— Wychodzi codziennie kwadrans po piątej. To też już mówiłem. Przesłuchanie ciągnęło się w nieskończoność. Agenci czepiali się każdego jego słowa.

Wreszcie podnieśli się. Zatrzasnęli swoje notesy, zabrali płaszcze i już ich nie było. Peter Crimmins siedział teraz sam przy swoim biurku, wpatrując się w dobrze znane nacięcia biegnące wzdłuż krawędzi blatu, wodząc po nich palcem, czując brzuch napierający na pasek spodni.

Ocknął się, słysząc dzwonek telefonu.

Dzwonił jego prawnik. Crimmins postanowił nie mówić mu nic o wizycie gości z FBI.

Rozmowa z nimi przebiegła gorzej, niż się spodziewał, ale gdyby powiedział o tym prawnikowi, ten wściekłby się, że Crimmins nie zorganizował spotkania w jego obecności. Na szczęście temat przesłuchania w ogóle nie wypłynął; prawnik wolał mówić, niż słuchać.

— Pete, mam dla ciebie ważne informacje. Zadzwoń do mnie z bezpiecznego telefonu, okej?

Crimmins chrząknął i rozłączył się. Zszedł na dół i przeszedł ulicą na kryty parking hotelu Ritz Carlton. Nie zadając sobie trudu, żeby okazać bilet, skinął głową młodemu parkingowemu, a ten pognął, żeby

przyprować mu jego lincolna. Crimmins popatrzył kwaśno na nadjeżdżający wóz. Wręczył chłopakowi banknot, wszedł do auta i wyjechał na szeroką ulicę. Podniósł słuchawkę samochodowego telefonu, którego numer zmieniany był tak często, że Crimmins miał 95 procent pewności, iż linia jest bezpieczna.

— Podobno masz jakieś informacje. —

Crimmins prowadził spokojnie, znacznie poniżej dozwolonej prędkości.

— Tamten świadek — rzucił prawnik. Ten akurat nie był jednocześnie jego przyjacielem.

— No.

— Świadek zabójstwa Gaudii.

— *Wiem*, o kim mowa. Co z nim? —

warknął Crimmins; był wściekły, ponieważ istniała jednak pięcioprocentowa szansa, że linia nie jest bezpieczna.

— Znalazłem go.

— Jak?

— Podzwoniłem po ludziach, którzy byli mi winni przysługę. *Przysługę?* Nonsens. Takie pijawki nie miewają długów wdzięczności. — Kto to jest?

— Jakiś gość z ekipy filmowej, która kręci w Maddox.

— Z ekipy filmowej? Nic nie wiem o żadnej

ekipie.

— Kręcą u nas film gangsterski. — W ożywionym głosie prawnika zabrzmiała ironia, lecz Crimmins ją zignorował.

— No i co dalej? Mów. Mężczyzna odparł:

— Twierdzą, że facet widział kogoś w samochodzie. Policja z Maddox i FBI. Póki co za bardzo się boi, żeby zeznawać.

— Co właściwie widział? — zapytał wolno Crimmins.

— Są pewni, że widział kierowcę — odparł prawnik, po czym dodał: — Jest jeszcze coś, o czym powinienś wiedzieć. Słyszałem od kogoś w Departamencie Sprawiedliwości, że Peterson zamierza się do niego dobrać. Rzuci się na niego i nie popuści. Będzie go cisnął tak długo, aż znajdzie na ciebie haka.

Crimmins westchnął. — Jak tamten się nazywa?

— John Pellam.

— Gdzie go znajdę? Prawnik zawahał się; może był zaskoczony, że Crimmins tak nagle zainteresował się szczegółami. Zaraz jednak powiedział: — Facet ma przyczepę. No wiesz, wóz kempingowy Parkuje go w różnych miejscach, ale najczęściej na tym starym kempingu nad rzeką, w Maddox. Niedaleko cementowni.

- Myślałem, że jest nieczynny.
 - Może otworzyli go specjalnie dla tych filmowców.
 - To dość odludne miejsce, prawda? Wahanie w głosie prawnika przerodziło się w dłuższe milczenie. Wreszcie zdołał wykrztusić:
 - Dlaczego tak cię to interesuje, Peter? Możesz mi to wyjaśnić?
- Crimmins odparł: — Przez jakiś czas nie będę cię potrzebował.

Mów, na czym stoimy, Nełs — polecił Ronald L. Peterson, prokurator stanowy we wschodnim okręgu Missouri.

Znajdowali się w przestronnym gabinecie urządzonym w funkcjonalnym stylu lat sześćdziesiątych. Same meble kosztowały fortunę. Solidne biurko zrobiono z drzewa tekowego, chociaż trudno było się tego domyślić, spoglądając na zasłany stertami papierów blat. Wzdłuż trzech ścian ustawiono regały pełne ciemnych, zaczytanych woluminów. „Przepisy prawa federalnego” Moore’a, „Kodeks karny wykonawczy”, „Kodeks postępowania cywilnego”. Orzeczenia sądowe, przeglądy prawnicze, wydawnictwa Amerykańskiego Stowarzyszenia Prawników. Młody, płowowłosy Nelson, o wyglądzie

typowego prymusa prestiżowej uczelni, otworzył teczkę wypchaną żółtymi arkuszami papieru kancelaryjnego, a następnie zaczął je kolejno wyciągać i segregować.

Peterson, wiek czterdzieści cztery lata, miał na sobie ciemnoniebieski garnitur od Brooks Brothers, już prawie dziewięcioletni, białą koszulę i żółty krawat w czarne grochy (teoretycznie do noszenia latem, ale Peterson uważał go za coś w rodzaju talizmanu; miał go na szyi w dniu, w którym posłał za kratki siedmiu szefów Cosa Nostry i od tamtej pory zakładał go zawsze, kiedy czuł, że — tak jak teraz — przydałoby mu się trochę szczęścia). Był potężnie zbudowanym mężczyzną o dużych dłoniach i gładkiej twarzy. Zaczynał tysiąc, a cienkie, białe koszule, które tak chętnie nosił, opinały lekko wystający brzuch o napiętej, różowawej skórze. Należał do ludzi, których twarze nie zmieniają się znacząco od momentu, gdy skończyli trzynaście lat. Również pod innymi względami nadal przypominał nastoletniego wyrostka, jakim kiedyś był: pewnego siebie, mściwego, bystrego, zdeterminowanego, pruderyjnego. I nadal ulegał swoim maniom.

Jego stosunek do pracy, jak również ogólne podejście do wymiaru sprawiedliwości,

charakteryzowała czarująca wręcz prostota. Ronald Peterson sprawował funkcję prokuratora w jednym z ważniejszych okręgów sądowniczych z tego samego powodu, z jakiego przez ponad dziewięć lat pracował w Departamencie Sprawiedliwości: ponieważ uważał, że ci, którzy źle postępują, powinni iść do więzienia.

Przed laty, będąc jeszcze studentem prawa targanym wątpliwościami co do wyboru ścieżki kariery, Peterson usłyszał, jak jeden z profesorów na Harvardzie mówił, że najlepsi prawnicy są najgorszymi sędziami. Miał na myśli to, że praktykujący prawo kierują się własną moralnością — prawnicy nie muszą dokonywać trudnych ocen tego, co jest dobre, a co złe; oni stosują się jedynie do litery prawa. Uwaga profesora okazała się dla Petersona objawieniem i tego samego lata podjął pracę stażysty w biurze prokuratora okręgowego, którym obecnie kierował. Od tamtej pory zawsze postępował zgodnie z prostymi zasadami. Sprawował swoje obowiązki z oddaniem szyckiego fundamentalisty, z którym łączyło go przekonanie o słuszności własnego postępowania oraz graniczący z ekstazą podziw dla abstrakcyjnych pojęć.

Obecnie Peterson prowadził dżihad skierowany przeciwko jednemu człowiekowi, który nazywał się Peter Crimmins. Kampania ta miała mniej wspólnego z niesławnym programem „60 minut”, w którym bez litości objechano jego biuro, niż można by przypuszczać. W rzeczy samej, tym, co prokurator uważał za najbardziej odrażające w sprawie Crimminsa, było to, co już dawno sam uznał za zasadniczy problem Ameryki: świadoma i na chłodno podjęta decyzja uczciwego biznesmena o wejściu w konflikt z prawem. Podobnie jak ludzie handlujący poufnymi informacjami, do których Peterson odczuwał równie silny wstręt, Crimmins doszedł do wniosku, że dochody z licznych firm przewozowych nie zaspokajają jego chciwości i przerzucił się na pranie brudnych pieniędzy oraz inne przekręty — zupełnie, jakby był to kolejny logiczny krok w podboju rynku.

Nelson, asystent prokuratora stanowego, jeszcze raz przejrzał wszystkie wydobyte z teczki papiery, po czym spojrzął w młodzieńcze oczy swojego przełożonego. — Sprawa jest śliska. — Urwał gwałtownie, natychmiast żałując niefortunnego doboru słów.

Peterson nieustannie powtarzał swoim współpracownikom, żeby unikali nieprecyzyjnych sformułowań. Liczył się konkret. Czarne i białe. Peterson znany był ze swoich napadów wściekłości. Dzisiaj jednak nie był w nastroju, żeby kogokolwiek sztorcować za tego rodzaju niewinne wpadki. Pociągnął tylko łyk kawy z kubka i zapytał: — Wiadomo nam, co robił Crimmins wieczorem w dniu zabójstwa?

— Wszystkiemu zaprzecza, ale nie ma alibi. Tego dnia nikt z naszych za nim nie chodził. Nie przechwyciliśmy żadnych rozmów telefonicznych dwie godziny przed ani dwie godziny po strzelaniu. No i jeździ lincolnem.

— Mamy dowód?

— Tylko poszlakę. Wóz, którym uciekli zamachowcy, był granatowy, tak jak samochód Crimminsa. Jak dotąd nie udało się potwierdzić numerów rejestracyjnych czy innych znaków rozpoznawczych.

— Crimmins ma ochroniarza, prawda?

— Owszem. Ale gość nie pasuje do rysopisu zamachowca.

— A materiał z wcześniejszych podsłuchów? — zainteresował się Peterson.

— Może Crimmins choćby *zająknął się* o czymś, co mogłoby świadczyć o planowanym

zamachu? Nie było mowy o żadnych *wypadkach*? O jakimś, powiedzmy, *sprzątaniu*? Nelson odparł, że niestety nie; jednocześnie przez cały czas gładził swój młodzieńczy, zaróżowiony policzek, pod którym nerwowo przygryzał język. I zaraz dodał: — Ale sam pan wie, jak trudno monitorować jego rozmowy. Crimmins połowę swoich telefonów wykonuje z parkingu, z aparatu w samochodzie...

Z niezmaconym spokojem Peterson obrócił się na swoim funkcjonalnym fotelu w stylu lat sześćdziesiątych i zlizął kroplę kawy, która ściekła z krawędzi filiżanki. Strata najważniejszego świadka, w którym pokładał tyle nadziei, była ciosem, który wzbudził w nim coś więcej niż tylko zwykłą wściekłość. Furia, jaka go ogarnęła, była tym trudniejsza do zniesienia, że Peterson mógł ją skierować jedynie przeciwko samemu sobie — w końcu to on przystał na niepoważne żądanie Gaudii, aby zdjąć mu z karku ludzi z biura szeryfa. Wolno wypuścić z płuc powietrze, spoglądając na rozciągające się w dole miasto. Czy to możliwe, żeby Crimmins osobiście pofatygował się na miejsce zbrodni? Po co miałby aż tak ryzykować? Może tylko umówili się na spotkanie. Może Crimmins próbował

dogadać się jakoś z Gaudią, ale sytuacja wymknęła mu się spod kontroli.

Peterson klepnął się po udach. Był na diecie (jedną z rzeczy, które go wkurzały, był fakt, że z wyglądu przypominał Petera Crimmins — z tym że Crimmins miał bujniejszą fryzurę). Jego głowa odwróciła się powoli, lecz zdecydowanie, jakby był automatem działającym w zwolnionym tempie. — A

tamten świadek? Jak on się nazywa? Pellam?

— Gliny nie chcą nam nic powiedzieć.

— Co za fiuty — warknął Peterson. Płasnął dłonią o udo i poczuł, jak tłuszcz faluje pod wpływem uderzenia. — Jeden z nich dostaje kulkę, a burmistrz i komisarz nie pozwalają nam tknąć najważniejszego świadka. Wiesz, dlaczego to robią? Darmowa reklama w „Post Dis-patch”, o to im chodzi. Kto się nim zajął?

— Monroe i Bracken. Nieźle go postraszyli, ale nadal nie chce zeznawać.

— Jesteś pewien, że dobrze mu się przyjrzał?

— Uhm. Nie ma mowy, żeby go nie zauważył. To po prostu niemożliwe.

— W takim razie pewnie jest przekupiony.

— Też mi się tak wydaje — przytaknął Nelson, chociaż po prawdzie wcale tak nie uważał. Jego zdaniem Crimmins po prostu

zagroził tamtemu, że zabije go, jeśli piśnie choć słówko.

No i Pellam zaniemówił.

— Bierz się ostro do roboty. Dowiedz się o nim wszystkiego, co tylko się da — polecił Peterson.

— O kim, o Crimminsie? — Ku swemu przerażeniu Nelson zdał sobie sprawę, że właśnie zadał kolejne beznadziejnie durne pytanie. Dodał więc szybko: — Oczywiście ma pan na myśli Pellama...?

— Uhm.

— I jeszcze jedno. Przekaż Monroe i Brackenowi... — Peterson zamyślił się i utkwiał nieobecne spojrzenie w stojącej na biurku nakręcanej zabawce. — Niech mu dadzą wycisk.

— Co takiego? — Nelson aż się zakrztusił. Oczy Petersona błyszcząły, gdy skierował je na swojego zakłopotanego asystenta. — Rzecz jasna w przerośni — dodał mimochodem. — Chodziło mi o to, żeby *mieli go na oku*. Rozumiemy się, prawda?

— W przerośni — powtórzył Nelson. — Jasne, od razu wiedziałem, co pan ma na myśli.

8

Pellam zdał sobie nagle sprawę, że chociaż zna Ninę Sassower już od dwudziestu czterech godzin, nie ma pojęcia, jak ta dziewczyna zarabia na życie.

— Tak się składa, że jestem bezrobotna — odparła, kiedy ją o to zapytał. Zaczerwieniła się przy tym, sprawiając wrażenie bardzo skrępowanej tym faktem.

Pellam pocieszył ją, że pracuje w branży filmowej od ponad dziesięciu lat i przez większość tego czasu też był bezrobotny. Spacerowali po tym, co pozostało z centrum Maddox. Po skończonym lunchu udali się, pod milczącym naciskiem Pellama, w stronę przeciwną do parku, gdzie Tony Sloan dopracowywał choreografię zabójstwa dwóch agentów Pinkertona, którzy natykają się na kryjówkę Rossa; słysząc odgłosy strzałów, Nina zerknęła nerwowo na boki swoimi wąskimi oczami. Strzelano ślepakami, ale i tak brzmiało to groźnie. Pellam dotknął jej ramienia i skierował się w stronę rzeki. Tego dnia miała na sobie obszerny, pomarańczowy sweter z dekoltem w serek. Falbaniasta spódnica w identycznym kolorze wydymała się jak żagiel w powiewach

rześkiego wiatru. Na nogach miała jasnobrązowe buty, a przez rękę przewiesiła płaszcz przeciwdeszczowy w tym samym odcieniu. Na Santa Monica Boulevard jej strój by szokował, ale tutaj, w Maddox, wydawał się całkiem twarzowy.

Kiedy oddalili się nieco od odgłosów strzelaniny, kobieta wyraźnie się odprężyła. — Zanim mnie zwolnili, pracowałam w poradni w podstawówce.

Pellam pamiętał swoją wizytę w poradni zawodowej. Nauczyciele w Catskill, gdzie się wychował, zachęcali go do dalszej nauki, ale testy wykazały stosunkowo niskie uzdolnienia w każdym z wymienionych kierunków (ponieważ Pellam lubił czytać, doradca uznał, że powinien sprzedawać książki, a słysząc, że lubi chodzić do kina, wydał werdykt: „Bileter, a przy dużym nakładzie pracy kierownik kina”).

— To nie była poradnia zawodowa — raczej terapeutyczna.

— Byłaś psychiatrą?

— Psychologiem. A potem zaczęli cię kosztować... Także w Illinois. Pewnie tak samo jest w całym kraju.

— Dziwię się, że w Maddox w ogóle są jeszcze jakieś szkoły.

— Właściwie to mieszkam w Cranston, tam

jest trochę lepiej. Bliżej St. Louis. Ale i tak sytuacja jest raczej kiepska. Chociaż jak człowiek ląduje na ulicy, to pewnie jest mu wszystko jedno, czy bezrobocie w kraju wynosi jeden procent, czy dwadzieścia.

— Pewnie masz rację.

Spojrzeni w kierunku wylotu szerokiej ulicy i jakieś pół kilometra w dole ujrzeni szare rozlewisko rzeki. Pomimo gęstej plątaniny przewodów wysokiego napięcia i kabli telefonicznych ulica sprawiała wrażenie głównej arterii dziewiętnastowiecznego, opustoszałego, pogranicznego miasteczka. Nie byłoby nic dziwnego w tym, gdyby nagle wypełniły ją zaprzęgi zakurzonych mułów, poganiacze bydła, kuce i robotnicy rzeczni brnący po kostki w błocie w stronę nabrzeża. Pellam zauważył kilka malowniczych budynków, jakby żywcem wziętych z 1880 roku, o fasadach pokrytych liszajami łuszczącej się farby.

— Wiesz co, zrobiłbym kilka fotek. To potrwa tylko chwilę. Wydobył mocno sfatygowany polaroid i zrobił cztery zdjęcia. Upchnął jeszcze wilgotne, nie wywołane odbitki w kieszeni koszuli, po czym ruszyli dalej, Nina i on.

— Przydadzą się do twojego filmu?

— Nie do tego, który akurat kręcimy. Prowadzę katalog budynków i miejsc, które mogłyby przydać się różnym reżyserom. Dzięki temu nie muszę zaczynać wszystkiego od zera za każdym razem, gdy zadzwoni telefon.

— Pracujesz dla jednej wytwórni czy masz własną firmę?

— Jestem wolnym strzelcem. Jak większość ludzi w tej branży. W dzisiejszych czasach wytwórnie zajmują się tylko finansowaniem i dystrybucją. Wszyscy inni są zatrudniani jako niezależni podwykonawcy. Dawniej było inaczej. W latach trzydziestych i czterdziestych wytwórnie kupowały człowieka razem z jego duszą — o ile oczywiście ją miał. Nie roześmiała się. Wyglądało na to, że usiłuje raczej dobrze zapamiętać wysłuchaną właśnie lekcję na temat robienia interesów w Hollywood, więc Pellam stwierdził, że nie opowie jej dowcipu o castingach przeprowadzanych na kanapie. Jeszcze nie teraz. Zamiast tego zajął się znowu starymi budynkami, a Nina obserwowała, jak je fotografuje.

— Jak on wygląda? Ten twój katalog. Mogłabym go zobaczyć? Pellam przechowywał koszulki z odbitkami w segregatorze wciśniętym pod łóżko w

przyczepie. Odparł: — To się da zrobić.
Szli dalej pod górę.

— Możemy tutaj wejść? — Nina wskazała mijany właśnie sklep. Pellam miał świadomość, że dokładnie w tej chwili powinien był rozglądać się za polem dla Sloana, ale mimo to się zgodził.

Weszli do ogromnego magazynu pełnego staroci wygrzebanych z okolicznych budynków. Nina powiedziała, że interesują ją kolumny i kominkowy gzyms. Znaleźli dwie spróchniałe, drewniane kolumny, niechlujnie odarte z farby; wyraźnie widać było na nich plamy farby, nacięcia i ślady przypalania lutlampą. Ninie się podobały, ale uznała, że cena czterystu dolarów za sztukę jest zbyt wygórowana. Pellam przyznał jej rację. Nie uważał zresztą, aby pasowały do jego nowoczesnego, kalifornijskiego bungalowu w Beverly Glen. — Poza tym stwarzałyby mi kłopot — zauważył. — W przyczepie. To ją rozbawiło. Przystanęła przed pociemniałym, łuszczącym się lustrem oprawionym w starą, dębową ramę i przeczesła palcami włosy.

— Powiedz mi coś więcej o sobie — poprosił Pellam. Zarumieniła się i zerknęła na mosiężne wiaderko na węgiel z wytłoczoną w

metal tuwarzą.

— To cherub — rzucił Pellam, porzucając temat, który najwyraźniej nie był dla niej wygodny.

— Zawsze myślałam, że to rodzaj cygara. Clint Eastwood palił takie w spaghetti westernach.

— Chyba masz na myśli *cheroot**

— Może i tak. Ciagle coś mi się płacze.

* Rodzaj cygara o cylindrycznym kształcie. Od francuskiego słowa *cheroute*, pochodzącego od tamilskiego *curuttu Ichuruttu Ishuruttu* i oznaczającego zwinięty tytoń.

Milczała przez chwilę, po czym odezwała się bezbarwnym głosem: — Hm, a więc mam ci coś o sobie powiedzieć. Pomyślmy. — Widać było, że przygotowuje się psychicznie na jego reakcję. — Na pewno pomyślisz, że moje życie jest strasznie nudne. Wychowałam się w Maddox. Studiowałam na Mizzou — Uniwersytecie Stanu Missouri — w St. Louis. Filologię angielską, zupełnie nieprzyszłościowy kierunek. Potem dostałam pracę w bibliotece, ale miałam wrażenie, że zmierzam donikąd, więc zrobiłam magisterkę z psychologii. Później przeniosłam się do Cranston i zamieszkałam w bezpiecznej odległości od mamy, a wtedy jeszcze i od taty. Moje zainteresowania? Astrologia, shiatsu... Masaż? — pomyślał natychmiast Pellam. Czy

ich znajomość osiągnęła już właściwy etap, aby mógł jej wspomnieć o swoim udzie? Chyba tak. Ostatecznie jednak wybrał plecy. — Tak się składa, że mam kłopoty z kręgosłupem — powiedział. I zaraz dodał. — *Lędźwiowym*. Odparła z udawanym żalem: — Niestety, kręgosłup lędźwiowy to nie moja działka. — Typowy unik.

— Widzę, że masz ściśle określoną specjalizację. — Zanim zadał następne pytanie, odczekał — jak mu się wydawało — odpowiednio długą chwilę. — A chłopaka?

— Chłopaka... — Zastanowiła się, a jemu przyszło do głowy, że może próbuje naprędce sklecić kolejne kłamstewko. — Od czasu do czasu spotykam się z takim jednym. Częściej się nie widzujemy, niż widzujemy. Wiesz, jak to jest. Kiedy byłam młodsza, ciągle się z kimś umawiałam, ale... Sama nie wiem, chyba coś takiego we mnie było — przyciągałam samych palantów. Skąd się tacy brali, naprawdę...

— Wyszłaś za męża?

— Nie. A ty byłeś żonaty?

Pellam przyznał, że jest w tej kwestii weteranem.

— Zawsze uważałam, że lepiej w ogóle nie wychodzić za męża, niż wziąć ślub, a potem

cierpieć z powodu rozwodu.

— No wiesz — mruknął Pellam — trzeba się namęczyć, żeby później mieć satysfakcję.

— Zastanawiali się przez chwilę nad tymi słowami, przyglądając się spluwaczce za dziewięćdziesiąt dolarów. Wreszcie odezwał się: — Pewnie myślisz, że to nie było zbyt mądre.

Nina przytaknęła. — Owszem. Tak, tak właśnie myślę. — Roześmiała się. Zatrzymali się przy pudłach pełnych starych płyt, po pięćdziesiąt centów sztuka. Pellam lubił dźwięk trzeszczących longplayów. Sam nie miał odtwarzacza płyt kompaktowych. Znaczną część pieniędzy przeznaczanych regularnie na zakup muzyki topił w starych winylach. Po powrocie do domu przegrywał je na kasety, których potem słuchał w samochodzie. Zaczął szperać w pudle opatrzonym etykietką „Jazz”. — Lubisz muzykę?

— O tak, muzyka to podstawa — odparła i zerknęła mu przez ramię na okładkę albumu, który właśnie oglądał.

— Kto to? — zapytała.

— Oscar Peterson. — Teraz będzie: *Co to za jeden?*

— Brzmi znajomo.

— No, Oscar Peterson — powtórzył Pellam.

— Hm... Ja najbardziej lubię łagodnego rocka. Spokojne kawałki. Relaksujące.
Oho.

— To akurat jest jazz — powiedział.

— Coś jak Stevie Wonder? — zapytała całkiem poważnie Nina.

— Coś w tym rodzaju — odparł Pellam. — Korzystają z tych samych akordów.

Kiedy wyszli na zewnątrz, ponownie dopadła go paranoja Tony'ego Sloana. Wyjaśnił Ninie, że musi wracać do pracy. Pochylił się, żeby cmoknąć ją w policzek na do widzenia, a ona ścisnęła mocno jego dłonie i nawet lekko się do niego przytuliła. Takie prawie serdeczne pożegnanie. Opuścił wzrok i bez problemu zajrzał w głęboki dekolt jej swetra. Kiedy się odsunęła, wciąż gapił się na jej jasną skórę. Nina zauważyła jego spojrzenie. Pellam odezwał się szybko: — Właśnie podziwiałem twoje kolczyki. Bardzo ciekawy wzór.

— Dostałam je w prezencie — rzuciła; może woląta myśleć, że jednak podziwiał coś innego.

Wsunął na nos okulary przeciwsłoneczne i uśmiechnął się. — Nie miałybyś ochoty poszukać ze mną kiedyś jakiegoś malowniczego pola?

Nina skinęła głową. — Jasne. Bardzo chętnie.

— Nagle spoważniała i dotknęła jego ramienia. — Ale najpierw muszę ci coś powiedzieć.

Mój chłopak w rzeczywistości nie jest *chłopakiem*. Mam przyjaciółkę, która jest moją *przyjaciółką*. Nie lubię filmowców. No wiesz, *Ten, kto kosztuje wina, nie skosztuje moich warg...* *

— I?

— Chcę ci powiedzieć, dlaczego cię zaczepiłam.

* Z wiersza George'a W. Younga.

— Nie rozumiem.

— To znaczy, nie chodzi o to, że mi się nie podobasz.

— Rozumiem.

— Widzisz, kiedy ekipa filmowa zjeżdża do miasta, zawsze zatrudnia miejscowych. Ale to nie jest *jedyny* powód, dla którego cię zagadnęłam.

Rozumiem...

— Myślisz, że mogłabym się u was zatrudnić?

Właściwie mógł się tego spodziewać. To nie był pierwszy raz. Musiała zauważyć wyraz jego oczu. Szkła jego okularów nie były aż tak ciemne.

— Przepraszam cię. — Wbiła spojrzenie w

chodnik. — Nie powinnam cię o to prosić. Po prostu...

— Nic się nie stało.

— Po prostu już od pół roku jestem bez pracy. Nie udało mi się nawet załapać do kelnerowania.

Dotknął niewiarygodnie miękkiej, pomarańczowej wełny, otulającej jej silne ramię. — Problem w tym, że właściwie już prawie skończyliśmy zdjęcia. Wszyscy statyści są obsadzeni, zresztą i tak niewiele zarabiają.

— Nie, źle mnie zrozumiałeś. — Jej twarz poróżowiła. — Wcale nie chciałabym *grać*. Nawet nie lubię kina. Moim zdaniem filmy to strata czasu.

Me lubi kina?

— Ach, tak. — *Przecież wszyscy kochają kino...* — O czym w takim razie myślałaś?

— Nie wiem. W mieście pełno jest ludzi z waszej ekipy... Trzydziestosiedmioosobowa obsada z Hollywood. Sześćdziesięciu dwóch miejscowych statystów.

Siedemdziesięciu jeden członków ekipy z Los Angeles, sześćdziesięciu siedmiu z St. Louis, dwunastu kaskaderów, ośmiu kierowców, dwóch producentów, dwóch dostawców posiłków, dwóch treserów zwierząt, jeden kapuś z Wybrzeża, jeden reżyser--wizjoner, miłośnik

efektów specjalnych. I jeden dokumentalista.
— A co właściwie potrafisz robić? — spytał.
Nina zastanawiała się przez chwilę. Rumieńce zniknęły, podobnie jak jej nieśmiałość. Pełłam pomyślał, że za tą bladą twarzą Julii Roberts kryje się ostry jak brzytwa i równie niebezpieczny umysł szkolnego psychologa.
— Jedyne, co umiem, to prowadzić gimnastykę dla dziewcząt i rozmawiać z uczniami.

Pellam ponownie ścisnął jej ramię.

— Poza tym — powiedział — potrafisz się jeszcze malować. Prychnęła z rozbawieniem.

— Teraz ze mną flirtujesz.

— Nie, mam pewien pomysł — odparł Pełłam. I zaraz dodał: — Oprócz tego na flirtowanie.

MISSOURI RIVER BLUES

SCENA 180A — WNETRZE, DZIEŃ

SAMOCHÓD ROSSA, cd. UCIECZKI ROSS

— *Wiesz, pierwszy raz zobaczyłem cię wtedy wieczorem, na tańcach. Było...*

DEHLIA

(podtrzymując zranione ramię) Pamiętam.

ROSS

Było gorąco jak w piekle, a ty stałaś po drugiej stronie sali pod tym japońskim lampionem.

UJĘCIE Dehlii; jej włosy rozwiewają się na

wietrze. Patrzy na ROSSA z miłością.

DEHLIA

(gwałtownie wciągając powietrze) Pamiętam, był podarty. ROSS

Właśnie, był podarty. Żarówka prześwitywała przez papier, a ty stałaś w jej świetle. Od razu wiedziałem, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

— Rany, ale szajs. Dosyć już tego czytania, Pełtam. — Stile i Pełtam siedzieli na urwistym brzegu Missouri. Pellam przeglądał poprawiony scenariusz. Powtórzył z uczuciem: — „Jesteśmy dla siebie stworzeni”.

— Pellam — Stile wzdrygnął się. — Błagam cię, przestań.

— Wiesz, że oni to mówią tuż przed tym, zanim wpadną do rzeki? Nie uważasz, że to cudne? Dziura w japońskim lampionie jako metafora wolności.

— Chcesz usłyszeć porządną metaforę? Gówno prawda. W tym przypadku — ruchem głowy Stile wskazał scenariusz — jedno wielkie gówno.

— Założę się, że w finałowej scenie gliny znajdują wrak samochodu, ale nie znajdują ciał. — Pellam przekartkował scenariusz i przeczytał zakończenie. — Cholera, miałem rację. Przybij piątkę.

Rozległo się plaśnięcie dłoni i kaskader

pokuśtykał w stronę swojej yamahy. Całe popołudnie strzelano do niego z bliska z czterdziestki piątki i za każdym razem musiał stoczyć się po schodach. Trzydzieści strzałów i piętnaście upadków. Później Sloan zmienił zdanie i zdecydował, że po tym, jak oberwie, Stile powinien wypaść przez okno. Jednak koordynator scen kaskaderskich nalegał, aby nakręcić tę scenę rano i dał Stile'owi wolne na resztę dnia. Spotkał się więc z Pellamem i całe popołudnie jeździli razem na motorze, szukając odpowiednio dużego pola dla Sloana. — Co to za laseczka, z którą cię widziałem?

— Nina Sassower. — Pellam stanął przy motorze.

— Imię jak imię. Jakoś jej dotąd nie zauważyłem.

— To był jej pierwszy dzień na planie. Załatwiłem jej pracę cha-rakteryzatorki. Jest w tym naprawdę niezła.

— Jest też niezła w całowaniu i rzucaniu ci się na szyję. To akurat była święta prawda.

— Kanapowy casting to jedno, Pellam. Ale jeżeli okaże się, że zaliczysz tę dupeczkę tylko dlatego, że załatwiłeś jej robotę charakteryzatorki, podczas gdy ja wypadam z okien i w nocy muszę zadowalać się liczeniem baranów,

to nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Jednak Pellam wcale nie myślał o Ninie Sassower i jej ramionach. W tej chwili dręczyła go myśl o tym cholernym polu. Znalezienie domów i budynków do filmu to była bułka z masłem, szczególnie biorąc pod uwagę sytuację ekonomiczną Maddox. Ale pole to już całkiem inna sprawa. Musiało być okolone gęstymi drzewami, a w pobliżu miała przebiegać droga, płynąć rzeka i stać szkoła otoczona zaroślami. Niedaleko powinien też być urwisty brzeg, z którego samochód uciekinierów mógłby się odpowiednio dramatycznie stoczyć.

Najlepsze, co udało im się dotąd znaleźć, to niewielka terasa sąsiadująca z zachwaszczonym poletkiem dyń. Żeby dojechać do urwiska i roztrzaskać się w imponujący sposób, packard Rossa musiałby przedrzeć się najpierw przez gąszcz forsycji, jałowców i młodych klonów.

— Bardzo urodzajny stan, to Missouri — zauważył Pellam. — Ale dziwnie nieobfitujący w pola.

— Nadal nie mogę pojąć, dlaczego pracujesz dla Sloana. Nawet kurwa ma swoje zasady, Pellam. Ogień i woda, rozumiesz, co mam na myśli?

Pellam stał krople rosy ze szkiełka swojego zegarka. Szósta wieczór. Za dwie godziny miał się spotkać z Martym Wellerem i Ahmedem Telorianem. — Dobra, na dzisiaj chyba damy sobie spokój. Jedziemy na piwo. — Wskoczył na motor. A Stile schował polaroidy do kieszeni i wdrapał się na siedzenie za Pellamem.

Wiatr nasilił się i co chwila uderzał przenikliwymi podmuchami. Właściwie już nie padało, ale ulice zaśnie były pokłosem ulewy — kawałkami kory i połamanymi gałęziami — a w powietrzu czuło się wilgoć. Podbiegł do nich pies z sierścią sterczącą po deszczu, obwąchał ich, warcząc groźnie, i uciekł, gdy Pellam kopnął rozrusznik. Wypadli na mokry asfalt.

— Dzwoniłem do Hanka. — Pellam przekrzykiwał ryk silnika; miał na myśli prawnika z wytwórni, który grał z nimi w karty. — Powiedział, że nic się z tym nie da zrobić.

— Mówisz o tych gościach z FBI?

— Mogą przesłuchiwać każdego, kogo zechcą, mogą wstrzymać produkcję, mogą zakwestionować wszystkie nasze zezwolenia. Mogą się nawet przejechać do Delaware i Sacramento i przejrzeć wszystkie dokumenty wytwórni.

- O, kurczę. Tony urwie ci jaja, stary.
- Po prostu mnie wywali i tyle — odparł Pellam.
- Nie może cię chyba zwolnić za to, że nie chcesz zeznawać. Założę się, że wtedy mógłbyś go pozwać.
- Akurat.

Ruchem głowy Pellam wskazał rzekę. Wzdłuż brzegu sunął rząd barek. Wiał silny wiatr i większość załogi zbiła się w ciasną gromadkę na holowniku. Marynarze pokładowi, ubrani w pomarańczowe kamizelki, stali na dziobie i wrzeszczeli coś do krótkofalówek — pewnie do kapitana, który stał w sterowni oddalony od nich o długość trzech stadionów piłkarskich. On jeden miał na sobie garnitur i krawat. Stile spojrzął we wskazanym kierunku i krzyknął: — Stary, uwielbiam statki rzeczne! W tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim „Altona” pokonała trasę z St. Louis do Alton w godzinę i trzydzieści pięć minut. Widzisz tamte światła? To właśnie Alton.

- Skąd ty wiesz *takie rzeczy*? — odkrzyknął Pellam, odwracając głowę; warkot silnika niemal zagłuszał ich słowa.
- Przez dłuższy czas nikt nie mógł pobić tego rekordu. Oczywiście „Robert E. Lee” zrobiłby to bez problemu. Albo „Natchez”.

Uważaj na ten zakręt.

Pellam spojrział na drogę w samą porę, żeby z poślizgiem wejść w ostry zakręt. Stile'owi nawet nie drgnęła powieka. Skręcili z River Road i popędzili w stronę centrum miasta. Światło ulicznych latarni nabierało we mgle jaskrawej poświaty. — Popatrz tylko — krzyknął wtedy Pellam do Stile'a — jak to światło oślepia! Jak ja mogłem wtedy cokolwiek zobaczyć?

Podjechał pod dyskонт monopolowy i zgasił silnik.

Weszli do oświetlonego zielonymi neonami sklepu, podeszli do lodówki i zaczęli się spierać, jakie piwo kupić: kanadyjskie czy amerykańskie. W końcu rzucili monetą. Pellam przegrał, więc Stile porwał z półki sześciopak budweisera i wcisnął go Pellamowi do rąk, mówiąc: — Muszę się odlać.

Pellam zapłacił za piwo i wyszedł na zewnątrz. Otworzył puszkę i wskoczył na motor. Pociągał piwo, spoglądając na szerokie, ciemne rozlewisko rzeki.

Cicho zagwizdał kilka taktów z „Across the Wide Missouri”.

Syrena odezwała się dopiero, gdy samochód był tuż za nim; wtedy też rozległo się przenikliwe, metaliczne wycie. Jednocześnie

rozbłysły światła. Pellam był tak zaskoczony, że upuścił puszkę, wylewając sobie większość jej zawartości na dżinsy. — Psiakrew! — Odwrócił się gwałtownie. Drzwi samochodu otworzyły się i wysiadło z niego dwóch mężczyzn, którzy ruszyli w jego stronę krokiem agentów rządowych polujących na samego Dillingera.

Dwóch detektywów: biały Anglosas i Włoch. O, nie... Tylko nie oni.

— No i co najlepszego zrobiliście? — Pellam podniósł rękę, pokazując im swoje przemoczone levisy.

Włoch zignorował rozlane piwo i chwycił Pellama za ramię; rozległ się szcęk kajdanek. Nic nie rozumiejąc, Pellam wpatrywał się w srebrną bransoletkę na swoim nadgarstku. — O co...

Policjant zakuł drugą jego rękę.

— ...chodzi?

— Ma pan prawo zachować milczenie. Ma pan prawo do adwokata. — To mówił włoski detektyw.

— Jeżeli nie stać pana na adwokata — podjął jego partner — zostanie on panu przydzielony z urzędu. Jeżeli zrezygnuje pan z prawa do milczenia, wszystko, co pan odtąd powie, może być użyte przeciwko panu w

sądzie.

— Zrozumiał pan swoje prawa?

Pellamowi przyszło do głowy, że w jakiś sposób dowiedzieli się o jego nie zarejestrowanej czterdziestce piątce, która w tej chwili znajdowała się dokładnie pod nim, w skrzynce na narzędzia jego yamahy.

— Aleja...

— Zrozumiał pan swoje prawa?

— Jasne, że zrozumiałem. Za co mnie aresztujecie? Blondyn odparł: — W tym mieście jazda pod wpływem alkoholu to poważne wykroczenie, proszę pana. Pellam zamknął oczy. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Musimy zbadać pana alkomatem — oznajmił detektyw włoskiego pochodzenia.

— Niestety, obawiam się, że nie mamy go przy sobie — rzucił blondyn.

Na co Włoch odparł, jakby recytował wcześniej wyuczoną rolę: — W takim razie zabieramy go ze sobą na posterunek.

— Co się tutaj dzieje? — Ze sklepu wyszedł Stile, żując kawałek suszonej wołowiny.

— Oni... — zaczął Pellam.

— Proszę się do tego nie mieszać, proszę pana — powiedział groźnie Anglosas.

— ...właśnie mnie aresztowali.

— Za co?

— Za jakąś bzdurę — krzyknął Pellam.

Popatrzył na zegarek. Było dwadzieścia minut po szóstej. — Panowie, o ósmej mam bardzo ważne spotkanie. Nie mogę...

— Milczeć.

— Niech pan mnie posłucha, muszę się z kimś spotkać w St. Louis...

Został brutalnie pociągnięty w stronę samochodu policyjnego. Detektyw o ciemnej karnacji położył mu na głowie swoją włochatą łapę i wepchnął go do środka.

Pellam zawołał: — Stile, zadzwoń w moim imieniu do Marty'ego i powiedz mu...

— Dobrze, dobrze, starczy już tego. — Drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem. A Pellam z furią kopnął wtedy w tył znajdującego się przed nim siedzenia.

— Jeszcze chwila, a zaczniesz to podpadać pod stawianie oporu — rzucił w przestrzeń Włoch.

— Gdzie jest ten posterunek? — dopytywał się Stile. — Jadę z wami.

Gliniarze władowali się do wozu. Jeden z nich mruknął: — Adres jest w książce telefonicznej. Może pan sprawdzić.

Niespiesznie odjechali, zostawiając Stile'a z kawałkiem suszonej wołowiny w jednej ręce i

pięcioma puszkami piwa w drugiej.

9

Posłuchaj — polecił Ralph Bales. I Stevie Flom słuchał.

— Wiesz, nasz gość nie jest zadowolony. Siedzieli w lokalu należącym do znanej sieci restauracji przy Big Bend Boulevard w St. Louis. Stevie pił kawę bezkofeinową. Ralph Bales zamówił herbatę z dwoma plasterkami cytryny. Mieli tu akurat wieczór spaghetti odbywający się pod hasłem: „Nie wstydź się, jedz ile wlezie”. Wokół nich całe rodziny grubasów pochylały się nad górami żarcia.

— Wcale nie jest zadowolony.

Jako punk Stevie generalnie miał gdzieś to, czy ktoś jest zadowolony, czy nie; jednak tym razem ten niezadowolony człowiek wisiał mu kupę kasy.

— Więc teraz to moja wina? — zapytał ostro. Stół zakołysał się, gdy Stevie pochylał się gwałtownie i wyszeptał: — Może miałem pozwolić, żeby tamten glina cię sprzątnął? Ralph Bales przyłożył palec do ust. — *Ja* nie mam ci nic do zarzucenia. Wiesz, Lombro nie myśli racjonalnie. Stwierdził, że zamiast w

plecy, trzeba było strzelić tamtemu w nogę, albo coś w tym rodzaju. Nie robiliby wtedy wokół tego aż tyle hałasu.

— Tak, jasne, strzelić w nogę. Było ciemno, a ja miałem tylko ten pedalski pistolecik. Strzeliłbym mu w nogę i tylko go drasnął, a wtedy on odwróciłby się i rozwalił mi łeb całą serią! Gość pieprzy jak potłuczony. Pieprzy, mówię ci!

Mężczyźni nie znali się zbyt dobrze. Obracali się w całkiem innych kręgach. Ralph Bales był o całe piętnaście lat starszy. Miał niezłe kontakty w żegludze rzecznej i mógł całkiem poważnie zająć się transportem, gdyby nie to, że pracując dla rodziny Giancana, narobił sobie kłopotów w Chicago. Pewna kwota pieniędzy, która miała być dostarczona z Cicero na Oak Park, nie dotarła do swego miejsca przeznaczenia. Ralph Bales nie stracił życia tylko dlatego, że chciano, aby oddał dług, który spłacił zresztą z własnej pensji, lecz od tamtej pory był w Chicago spalony. Wrócił więc jako bankrut do rodzinnego St. Louis, nawiązał kontakty w sektorze usług portowych, w transporcie rzeczonym i przewozach ciężarowych, a z czasem został konsultantem.

Właśnie udzielając porad w zakresie ochrony,

Ralph Bales poznał Steviego Floma. Ich wspólny znajomy potrzebował kogoś do pomocy w wyrzuceniu kilku skrzynek szkockiej z ciężarówki i przeniesieniu ich cennej zawartości w bezpieczne miejsce. Robota poszła gładko, chociaż arogancja Steviego irytowała Ralpha Balesa. Jednocześnie odkrył drugie oblicze młodego człowieka — Steviego Desperata, który do tego stopnia tonął w długach, przepuszczając pieniądze w kasynach, przy stoliku do pokera i na dziewczynki (wyglądało na to, że co noc zaliczał nową), że był gotów na wszystko, byle tylko ktoś mu za to zapłacił.

— I ty mi mówisz, że to moja wina. Nagle to wszystko *moja* wina!

— Nie słuchałeś — przerwał mu Ralph Bales. — Właśnie próbuję ci wytłumaczyć... Na zewnątrz było zimno i mokro, lecz pomimo fatalnej pogody Stevie miał na sobie podkoszulek bez rękawów. Był posiadaczem niezłych muskułów i lubił się nimi chwalić.

— Musimy poradzić sobie Lombro...

— *Poradzić sobie* z nim — wybuchnął znowu Stevie; tym razem wybuch był mniej gwałtowny, bo podnosił akurat do ust kubek z kawą. — Co to ma do cholery znaczyć?

— Po pierwsze chodzi o to, że nie

dostaniemy żadnej kasy.

— Nie dostaniemy kasy? — Stevie wrócił do wysokich decybeli. — Lombro też tam wtedy był! Dlaczego nie uważał na gliny, dlaczego nie zatrąbił, albo coś w tym rodzaju? Kurwa mać!

Kilkoro rodziców, zatroskanych o swoje pucołowate potomstwo, posłało groźne spojrzenia w kierunku ich stolika.

Ralph Bales nachylił się nad blatem. — Zaczekaj...

— Zaczekaj... Posłuchaj... Gadasz jak jakiś cholerny świadek Jehowy.

— Z tym człowiekiem naprawdę nie ma żartów.

— Wiesz co? Teraz *ty* posłuchaj. Gość wisi mi pięć tysięcy dolców. Co, jak się okazuje — popytałem trochę po ludziach — jest i tak niską stawką za sprzątnięcie kogoś.

Ralph Bales powiedział Steviemu, że Lombro zapłaci im dziesięć tysięcy — a nie dwadzieścia pięć — do podziału na dwóch. Teraz spojrzał lodowato na młodego człowieka. — Z kim o tym rozmawiałeś? — zapytał groźnie.

Stevie nagle się uspokoił. Zajrzał do kubka z kawą i dolał sobie śmietanki. — Z nikim. Po prostu trochę popytałem, to tu, to tam. Żad-

nych konkretów.

Ralph Bales westchnął. — O, Jezu. Nigdy nikomu nic o tym nie mów. Nic. Nikomu. Nigdy. Lombro ma takie kontakty, że głowa mała.

— Zlecenia... Kontakty... — Stevie przewrócił oczami. Mówił już jednak znacznie ciszej. Spojrzenie Ralphi Balesa najwyraźniej napędziło mu pietra.

— No dobra, sprawa wygląda tak: my uciszamy świadka, a Lombro wypłaca nam wszystko to, co jest nam winien, plus dwadzieścia pięć procent.

— To dlaczego nie załatwiłeś tego od razu tamtego dnia? Nad rzeką? Można było chwilę poczekać.

— Zastanów się, co mówisz — odparł wolno Ralph Bales.

— No przecież...

— Zastanów się głębiej.

Stevie był zbyt dumny, a natura punka tkwiła w nim zbyt głęboko, żeby otwarcie okazać komuś podziw, lecz jego uśmiech mówił wszystko. — Już łapię. Chciałeś, no wiesz, naciągnąć Lombro na większą kasę.

— Ty... Ty na nic nie patrzysz, tylko wrywasz do przodu — pouczył go Ralph Bales. — Ja najpierw myślę.

— Mówisz: dwadzieścia pięć procent? — Stevie starał się szybko obliczyć należną mu kwotę. — Ile to będzie ćwierć z pięciu tysięcy? Pięćdziesiąt procent to dwa i pół tysiąca. A połowa tego? — Pogubił się w rachunkach. Ralph Bales odezwał się: — To znaczy, że zgarniesz prawie siedem kawałków. Nie najgorzej, jak za dwa dni roboty.

Prawie siedem kawałków? Stevie rozpromienił się. Nie chciał tego, ale nie potrafił ukryć uśmiechu.

Ralph Bales też się uśmiechnął. — No i co? Twój kumpel Ralph ładnie się o ciebie zatroszczył? Co?

Stevie odparł: — No, to jest w porządku. Kiedy?

— Kiedy co?

— Kiedy to zrobimy?

— Zastanawiałem się nad tym. Chyba powinniśmy wstrzymać się przez dzień lub dwa. Niech Lombro myśli, że ciężko pracujemy na swoją wypłatę. Od czasu do czasu będę do niego dzwonił i mówił, że jesteśmy na tropie. Tak, jakbyśmy już prawie go mieli, ale nie byli pew czy to faktycznie ten. Twarz Stewiego rozjaśniła się kolejnym pełnym podziwu uśn chem, ale tym razem skierował go do kubka z wodnistą kawą. Po ch' li

uśmiech zniknął, a Stevie odezwał się: — A co będzie, jeśli, no wie ten dupek jednak zacznie gadać i pieprzone gliny...

— Przepraszam panów. — Na ich stół padł czyjś cień. Potężna mężczyzna o krótkich, siwych włosach i muskularnych ramionach ubrana w wykrochmaloną kraciastą koszulę, mierzył ich poważnym wzrokiem. Wyglądał wypisz, wymaluj jak tajniak. Mięsista twarz R^{*}pha Balesa zapłonęła; nagle poczuł wyraźny ucisk w miejscu, w którym ciał dotykał jego biodra. Przesunął dłoń w tym kierunku, jednocześnie ogarniając spojrzeniem kilkadziesiąt siedzących wokół nich ludzi. Serce waliło mu w piersi; zaczęło bić jeszcze szybciej, gdy zauważył, że Stevie Flom przygląda się tamtemu z uśmiechem, który nie wróżył niczego dobrego.

A niech to...

Tamten odezwał się ponuro: — Chciałbym panów o coś prosić.

— Naprawdę? — Stevie powiedział to tak, jakby chciał splunąć na wysokiego mężczyznę.

— A o co?

Stevie, tylko nie rób niczego głupiego...

— Przy tamtym stole siedzą moje dzieci.

— Ruchem głowy mężczyzna wskazał pobliski stół. — Czy moglibyście bardziej uważać na

to, co mówicie? Nie wiem, skąd jesteście, ale w tych okolicach nie używamy takich wyrażen. Stevie przestał się uśmiechać, za to oczy rozbłysły. Jego ręka zniknęła pod stołem, gdzie niewątpliwie trzymał swoją dwudziestkę piątkę.

O Jezuu Chryste...

Twarz Ralpa Balesa pokrył gęsty pot. Gwałtownie nachylił się nad stołem, próbując złapać Stewiego za rękę.

Lecz gdy ta wychynęła spod blatu, okazało się, że Stevie trzyma w niej papierową serwetkę. Dokładnie wytarł nią usta, po czym powiedział: — Najmocniej pana przepraszam. Miałem strasznie ciężki dzień. Kłopoty w pracy.

— W porządku. Osobiście mi to nie przeszkadza. Chodziło mi głównie o dzieci. Odwrócił się, żeby odejść. Stevie zawołał do jego pleców: — Proszę zszccktic.

Mężczyzna spojrział na niego.

Stevie milczał przez chwilę, zanim rzucił: — Mój przyjaciel też chciałby pana przeprosić... Szczerząc zęby, popatrzył na Ralpa Balesa, który wytrzymał jego spojrzenie, po czym zwracając się do siwowłosego mężczyzny, powiedział: — Proszę przyjąć moje wyrazy ubolewania.

— Cóż, przeprosiny zostały przyjęte.
*Drzwi samochodu gwałtownie się otwierają.
Poświata ulicznej latarni razi go w oczy.
Karton piwa wymyka mu się z rąk, podczas
gdy on usiłuje złapać równowagę. Głośny
brzęk tłuczonego szkła. Wykrzywiona twarz
tysiącego faceta, mówiącego: „Wal się”.
Nachyla się i zagląda do wnętrza samochodu.
Widzi własne odbicie w szybie wozu, słyszy
bulgot piwa u swoich stóp... Lincoln odjeżdża.*
To właśnie Pellam powiedział detektywom.
Jedyną informacją, jakiej nie mógł im udzielić,
a która sprawiłaby, że w ułamku sekundy
zostałby zwolniony i mógłby popędzić na
spotkanie z Martym Wellerem i ich
potencjalnym współnikiem, był rysopis
kierowcy lincolna.

Jak daleko stąd znajdował się Sheraton?
Pellam nie wiedział. Ile czasu zajęłoby dojazd
do hotelu? Wydawało mu się, że około
czterdziestu minut. Nie, żeby miało to w tej
chwili jakieś znaczenie. Właśnie wybiło wpół
do dziesiątej...

Siedział w ciasnym pokoiku na posterunku
policji w Maddox. Po przeciwnej stronie
chwiejącego się stołu zasiadło dwóch
przesłuchujących go detektywów. Podobnie
jak pozostałe pomieszczenia, także i to

niewielkie biuro cuchnęło starością: starym drewnem, lizolem, pleśnią i cierpką wonią farby. Ściany pokrywała niezdrowa zieleń, a osłonięte lampy jarzeniowe zwisały z ciemnawego, brudnego sufitu na czarnych przewodach. W głównym pomieszczeniu stało dwanaście biurka. Tylko przy dwóch z nich ktoś pracował, a tylko trzy nosiły ślady używania.

Jazda na posterunek zdawała się nie mieć końca. Pellam doszedł do wniosku, że popełnił błąd, mówiąc detektywom o spotkaniu; teraz był już pewien, że specjalnie wieźli go na przesłuchanie okrężną drogą, żeby przypadkiem nie zdążył na czas.

Kiedy go wprowadzili, skutego kajdankami i nachmurzonego, czterech znajdujących się w pomieszczeniu policjantów spojrzało na niego wrogo czterema parami oczu. Włoski detektyw przykucnął przed jakąś szafką, otworzył ją i zaczął wyciągać ze środka różne rupiecie: katalog wysyłkowy Searsa, puste doniczki, śrutówkę w plastikowym worku, sterty notatek służbowych. — Nic z tego. Nigdzie go nie widzę. Char-lie, gdzie podział się nasz alkomat?

— Nie mam pojęcia.

Szukali go jeszcze przez kilka minut, bez

większego zaangażowania i, jak się okazało, na próżno. — Będzie trzeba pożyczyć od patrolu drogówki. To nie powinno zająć więcej niż godzinę. Do tego czasu będzie pan musiał tutaj poczekać.

Kiedy to usłyszał, było pięć po ósmej.

— To spotkanie jest dla mnie bardzo ważne. Koniecznie muszę na nim być — warknął Pellam.

— Wie pan, kiedy jest się aresztowanym, nie zawsze można mieć to, co by się chciało.

— Nie jestem pijany. Zatrzymajcie mnie albo wypuście.

W odpowiedzi zaprowadzili go do maleńkiej klatki, w której się teraz znajdował. Stwierdzili, że skoro i tak mają trochę czasu, mógłby przypomnieć im, co mu wiadomo na temat zabójstwa Gaudii. Powiedzieli, że pozwolą mu zatelefonować, jeżeli poda im choć jeden — tylko jeden — fakt dotyczący kierowcy lincolna.

— Ukartowaliście to wszystko.

— Może pan to nazywać, jak chce, ale prawo jest po naszej stronie — odparł obojętnie Anglosas. — Lepiej, żeby się pan dobrze zastanowił.

Po raz kolejny powtórzył im więc swoją historię, po czym dodał: — Chcę się widzieć z

moim adwokatem.

— I to wszystko? Już to wcześniej słyszeliśmy

— Chcę się widzieć z adwokatem.

— Nie jest pan o nic oskarżony. Nie możemy panu postawić żadnych zarzutów, dopóki nie zostanie pan przebadany alkomatem. Na razie więc...

— Żądam spotkania z adwokatem.

— Na razie musi się pan wstrzymać. — Upór Pellama wyraźnie irytował włoskiego gliniarza.

Jego partner wyglądał, jakby wpadł na jakiś pomysł. — Może skoro już tu jest, moglibyśmy zrobić portret pamięciowy?

— Nie wiem — mruknął Pellam. — Podobno jestem pijany.

— Hm. Mimo to może zechciałby pan spróbować?

Spróbował więc podać im portret pamięciowy mężczyzny, który na niego wpadł. Mówiąc, wpatrywał się tępo w określenia widniejące na formularzu „Rysopis podejrzanego”. *Włosy, kręcone, afro, cieniowane, dredy, krótka grzywka, farbowane, blizna, tatuaż — słowny, tatuaż — rodzaj wzoru, utyka, pryszczaty, ospowaty, zajęcza warga, leworęczny, krzaczaste brwi, muskularny, welniana*

*czapka, kowbojski kapelus, kaszkiet,
turban...*

Portret pamięciowy, jaki powstał na podstawie jego opisu, nie zrobił na nikim wrażenia.

Policjanci uznali, że najwyraźniej Pellam postanowił być krnąbrny.

Gliniarz o nazwisku zaczynającym się na literę H powiedział: — Wie pan, jak dotąd nikt inny się nie zgłosił. Tylko pan może nam pomóc. Pellam usiłował spamiętać ich nazwiska. Jak się nazywał ten na „H”? *Hilbert? Hanson? Hearst?*

— ...sprawdziliśmy tablice...

— Tablice? — powtórzył Pellam.

Ten, który wyglądał na Włocha, ten na „G”, wyjaśnił: — Tablice rejestracyjne innych samochodów znajdujących się w okolicy tamtego wieczora.

— To fajnie. Jest tu gdzieś wasz przełożony? Chciałbym z nim natychmiast porozmawiać.

Anglosas ciągnął: — ...i nic nam to nie dało. Oprócz pana nie mamy innych świadków. *Hellman, Harrison?*

Ten na „G” spytał grobowym tonem, czy Pellam jest świadom, ile osób ginie rocznie w wypadkach z udziałem pijanych kierowców. Pellam nie wiedział, czy powinien

odpowiedzieć, czy nie.

Hagedorn! To było to. Teraz został mu jeszcze ten na „G”. *Giovanni?*

Powtórzył ze znużeniem: — Chciałbym porozmawiać z adwokatem.

— Nie może pan — odparł ten na „G”.

— Mam do tego prawo. Tak jest zapisane w konstytucji. Mam prawo do obrony przed oskarżeniem. — Zaraz pożałował swoich słów. Zabrzmiały napuszenie i opryskliwość. Równie dobrze mogły paść z ust tego łysego, tchórzliwego szefa CIA, którego Tony Sloan uczynił czarnym charakterem swojego pierwszego filmu.

Policjanci popatrzyli po sobie, po czym spojrzeli na niego. Miał wrażenie, że przewrócili oczami, chociaż ich źrenice ani na moment nie oderwały się od jego twarzy.

Gliniarz o nazwisku zaczynającym się od litery „G” wyjaśnił: — To działa tylko wtedy, gdy jest się o coś oskarżonym.

— Jeżeli nie jestem o nic oskarżony, to na co właściwie mogę się wam przydać?

— Na nic — stwierdził z goryczą ten na „G”.

— Naprawdę na nic.

Pellam uderzył otwartą dłonią o blat stołu.

Odgłos uderzenia zaskoczył nawet jego samego. Policjanci zamrugali powiekami, ale

żaden z nich się nie poruszył. — Aresztujecie mnie za to, że stałem przy swoim motorze i popijałem piwo czy nie? Skoro nie potraficie znaleźć mordercy... — Pellam czuł, że serce bije mu coraz szybciej. — *Sami* nie potraficie znaleźć żadnych tropów, więc obwiniacie *mnie*.

— Czekaj no...

Pellam rzucił przez zaciśnięte zęby: — Idźcie do swojego szefa i powiedzcie mu, że sprawa dawno byłaby zamknięta, gdyby nie świadek, któremu brakuje jaj, żeby wam pomóc. Ten typowy WS. Cokolwiek to do cholery znaczy! Hagedorn przerwał mu: — Czy ktoś zapłacił panu za milczenie?

Włoski detektyw dodał: — To przestępstwo, proszę pana. Poważne przestępstwo. Za coś takiego idzie się na długie lata za kratki.

Z filmów, przy których realizacji pracował, Pellam dobrze znał schemat „dobry glina — zły glina”. W tym wypadku miał do czynienia z wariacją „zły glina —jeszcze gorszy glina”.

Jakiś inny policjant, młody mundurowy, wetknął głowę przez uchylone drzwi. —

Nigdzie nie mogę znaleźć tego alkomatu.

Bardzo mi przykro. A ci z drogówki nie mają żadnego na zbyciu.

— No cóż, panie Pellam, chyba ma pan dziś

szczęście.

— Spędziłem trzy godziny w tej zasranej dziurze. Ładne mi szczęście.

— Mógł pan przesiedzieć te trzy godziny w naszym areszcie. Zapewniam pana, że byłoby to o wiele mniej przyjemne.

Pellam minął ich i wszedł do głównej sali. Tam zagadnął oficera dyżurnego: — Był tutaj taki facet? Wysoki blondyn z wąsem?

— Tak, ale już poszedł. Przykro mi.

— Poszedł, przykro mi — powtórzył Pellam, przedrzeźniając policjanta.

— Bo doszło do drobnego nieporozumienia. Z mojej winy. Słyszałem, jak chłopcy rozmawiali o patrolu drogówki i nie widząc pana nigdzie w pobliżu, uznali, że zabrali pana do nich. Skierowałem pańskiego kolegę do kwatery głównej policji drogowej. To spory kawałek stąd, przy międzystanowej siedemdziesiątce. Jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt kilometrów... — Z kamienną twarzą dodał jeszcze: — Bardzo mi przykro. Pellam zacisnął powieki i potarł je palcami. — Czy ktoś mógłby mnie odwieźć do mojej przyczepy?

— Obawiam się, że to niemożliwe, proszę pana. Nie jest pan podejrzanym ani świadkiem, więc byłoby to wbrew

regulaminowi.

— Czy w takim razie moglibyście mi przynajmniej wezwać taksówkę?

— Taksówkę? — zaśmiał się oficer dyżurny. Zawtórowali mu obecni w pomieszczeniu policjanci. — Ostatnia korporacja taksówkowa działała w Maddox... kiedy to było, Larry?

— Żebym to ja pamiętał...

— Nie ma sprawy — przerwał Pellam. — Przejdę się.

— Do swojej przyczepy? — zawołał jakiś gliniarz z niedowierzaniem. — To będzie niczego sobie spacer.

A inny dorzucił: — Ładnych parę kilometrów.

10

Przed zamkniętymi na głucho delikatesami znalazł automat telefoniczny i w końcu udało mu się połączyć z recepcją.

Wszystko się zgadza, pan Weller czekał w hotelowym holu do godziny dziewiętej, potem wyszedł w towarzystwie jakiegoś dżentelmena. Udawali się na kolację. Czy przypadkiem jego nazwisko nie brzmi Pellam?

— Tak, to ja. Czy pan Weller zostawił dla mnie jakąś wiadomość? Owszem. Pellam miał

do nich dołączyć w Templeton Steak House o wpół do dziesiątej.

Czyli półtorej godziny temu.

— Gdzie to jest?

Z niefrasobliwych wyjaśnień młodego recepcjonisty wynikało, że lokal mieści się jakieś pół godziny drogi od Maddox.

— Dzwonię z automatu na ulicy. Nie zna pan przypadkiem ich numeru telefonu?

— Tak się składa, że mogę go panu podać. Ma pan ochotę na stek?

— Słucham?

— Pytam, czy zamierza pan tam jeść, czy tylko spotkać się z panem Wellerem. Jeśli to drugie, to wiem, że miał on opuścić lokal o wpół do jedenastej. O jedenastej ma lot z Lambert Field.

— Wymeldował się?

— Zgadza się. I wydaje mi się, że wspominał coś o wyjeździe do Londynu.

Pellam westchnął. — A ten drugi dżentelmen? Pan Telorian?

— O ile mi wiadomo, miał dziś wieczorem lecieć do Los Angeles. Odniosłem wrażenie, że panu Wellerowi bardzo zależało na spotkaniu z panem. Wielokrotnie dowiadywał się w recepcji, czy pan do niego nie dzwonił. Pellam wpatrywał się w przyciski telefonu.

— Halo? — W słuchawce rozległ się głos sympatycznego recepcjonisty.

— Jestem.

— Niech pan tak szybko nie rezygnuje z wizyty w Templeton. Robią najlepsze steki w całym kraju, takie jest moje zdanie. Chce pan zapisać sobie ich numer?

Pellam grzecznie odmówił.

Wyszperał w kieszeni jeszcze jedną ćwierćdolarówkę, zadzwonił i przysiadł na krawężniku.

Pół godziny później zza zakrętu wyłoniły się światła taurusa Sti-le'a i samochód zatrzymał się tuż przed nim. Było to pierwsze auto, jakie przez cały wieczór pojawiło się na drodze.

To, co pan teraz odczuwa, nazywamy bólem fantomowym.

— Brzmi jak z „Pogromców duchów” — mruknął Donnie Buffett. Kobieta uśmiechnęła się.

Buffett pokręcił głową, śmiejąc się z własnego żarciku. Ale tak naprawdę uważnie jej się przyglądał. To fakt, że była lekarzem *oraz* kobietą. Jednak Buffett zbyt długo żył na tym świecie, żeby być zaskoczonym, iż doktor Weiser, słynny specjalista zajmujący się uszkodzeniami rdzenia kręgowego, nie okazał się mężczyzną. Nie mógł się jednak nadziwić

temu, z *jaką* kobietą przyszło mu mieć do czynienia: młodą, zaraz po trzydziestce, o foremnej, ślicznej twarzy, krótkich, ostrzyżonych na punka kasztanowych włosach i zadartym nosku, z dołeczkiem w brodzie. Paznokcie pomalowane błyszczącym, białym lakierem. Szminka czerwona jak światło stopu. Spod białego fartucha wyglądała jedwabna bluzka w geometryczne wzory w kolorach czerwonym, zielonym i niebieskim. A na dodatek — oprócz ciemnych rajstop i czarnych butów za kostkę, których sznurowadła przechodziły przez specjalne haczyki zamiast przez dziurki — miała na sobie krótką, skózaną spódnicę. Właściwie mini.

Po wejściu natychmiast wyciągnęła do niego rękę na powitanie, uściśnęła ją zdecydowanie i przedstawiła się: — Wendy Weiser. Specjalista od uszkodzeń rdzenia kręgowego. Pan jest tym policjantem, prawda?

Buffett przekrzywił głowę i starając się ukryć zaskoczenie, odparł: — Mam nadzieję, że nie pogniewa się pani, jeśli nie wstanę.

— Ładne rzeczy — rzuciła. — Ech, ci dzisiejsi mężczyźni. Zero szarmanckich gestów.

Następnie opadła na krzesło i natychmiast zaczęła mówić, błyskając zielonymi oczami.

Najpierw powtórzyła większość z tego, co już słyszał od profesora Goulda. Chociaż nie wspomniała o niemożliwości leczenia w trybie ambulatoryjnym, ogólny sens jej słów był równie przygnębiający.

Wyjaśniła, że ból, jaki odczuwał w nogach, powszechnie występuje w przypadkach uszkodzenia rdzenia kręgowego i jest określany jako „ból fantomowy”. Wtedy właśnie pozwolił sobie na żart z „Pogromcami duchów”.

Wciąż podziwiał jej strój, gdy nagle Weiser zerwała się z miejsca. Podeszła do drzwi i zamasyście je zamknęła, po czym stanęła przy jego łóżku. — Regulamin tego nie przewiduje, ale... Czym byłoby życie bez ryzyka, prawda?

— Przebywanie z kimś takim jak ja sam na sam w zamkniętym pomieszczeniu chyba niczym nie grozi, zgodzi się pani ze mną? Nawet gdybym chciał, nie mogę przecież uganiać się za panią po pokoju. Ale kiedy dostanę wózek, będzie się pani musiała mieć na baczności.

— Jeszcze się kiedyś pościgamy, pan i ja.

— Przyjrzała mu się z uśmiechem zaciekawienia. — Widzę, że ten zamachowiec nie pozbawił pana poczucia humoru.

— Droga pani doktor — odparł z udawaną powagą Buffett — jeżeli ma mi pani pomóc, chyba najpierw *ja* będę musiał pomóc pani. Nauczę panią policyjnego żargonu.

— Coś nie tak powiedziałam?

— Strzelec.

— Co proszę?

— Mówi się strzelec, nie zamachowiec.

— Och. Nie mówi się zamachowiec?

— Tylko w telewizji. My mówimy strzelec.

Albo SP.

— SB?

— SR Jak „sprawca”.

— Super. — Rozszerzyły jej się oczy.

Buffett nawet przez chwilę nie wierzył w jej entuzjazm, ale i tak był wdzięczny. Lekarka dodała:

— Będę musiała to kiedyś wykorzystać. SR A czy SP to też taki, co okrada ludzi? Jak złodziej?

— Tak. „Sprawca” równa się „czarny charakter”.

— W takim razie mój były mąż był takim SP.

— To bardzo możliwe — odparł Buffett. — A skoro już się uczymy

— sprawca nie strzela, tylko mierzy. Albo celuje. Albo bierze kogoś na muszkę. A jeśli

już zabija, wtedy mówi się, że kogoś sprzątnął, rozwalił albo stuknął.

— Uczą was tego w akademii policyjnej?

— To raczej wynik studiów podyplomowych.

— Panie oficerze...

— Wystarczy Donnie.

— Ja mam na imię Wendy. Wszyscy mówią na mnie Wendy. — Popatrzyła na niego zdumionym, rozbawionym wzrokiem. — Muszę przyznać, Donnie, że większość ludzi, którzy przeszli to, co ty, rzadko bywa w równie dobrej formie.

Machnął ręką w kierunku nóg, dając jej do zrozumienia, że ma na myśli swój stan. —

Ryzyko zawodowe. Jeśli ktoś się z tym nie godzi, wybiera inną pracę. Co nie znaczy, że jest mi to obojętne.

Czy naprawdę wolno mu było zwracać się do niej po imieniu? W końcu była *lekarzem*. Ale z drugiej strony nosiła kolczyki w kształcie miniaturowych hamburgerów.

Weiser otworzyła torebkę i wyjęła z niej paczkę papierosów; zapalniczka była przezornie wetknięta pod celofanowe opakowanie. — Mogę?

— Proszę bardzo.

Spytała: — Ty też chcesz zapalić?

— Nie.

- Nie gadaj — prychnęła.
- Nie pracuję w obyczajówce. — Buffett uświadomił sobie, że nie golił się od dnia, w którym znalazł się w szpitalu. Podejrzewał, że wygląda jak siedem nieszczęść. Cóż, to już był jej problem. On na szczęście nie musiał siebie oglądać.

Weiser przysunęła bliżej szare krzesło i kilka razy głęboko się zaciągnęła. Potem założyła nogę na nogę i pochyliła się, żeby zgasić papierosa na obcasie swojego buta.

Następnie wrzuciła niedopałek do kieszeni.

— Dowód rzeczowy — powiedziała. Usiadła prosto, stawiając obie stopy na podłodze.

— Pani doktor...

— No zaraz... — Uniosła jedną brew.

— Wendy — poprawił się. — No wiesz, ale on wydawał się taki prawdziwy...

Znowu uniosła brew.

— Ten ból.

Wstała i otworzyła okno, żeby przewietrzyć pokój, po czym znowu usiadła. Na ramionach i twarzy poczuł powiew zimnego powietrza. Nie czuł go jednak na nogach. Lekarka odezwała się: — To kwestia fizjologii, a zarazem psychiki. Pacjenci po amputacji mają podobne doświadczenia. Są one o tyle prawdziwe, że

ból jest doświadczeniem subiektywnym i to, co w tej chwili odczuwasz, to ból taki sam, jak każdy inny. Określa się go jako fantomowy, ponieważ jego odczuwanie nie jest związane z pobudzaniem zakończeń nerwowych... Ale, ale — czy twoja żona nie miała tu dzisiaj do ciebie zajrzeć?

— Już to zrobiła, jakiś czas temu. Jutro znowu wpadnie. — Spróbował wyobrazić sobie Penny Buffett i Wendy Weiser gawędzące ze sobą przy grillu czy na policyjnym pikniku. Nie było to wcale takie trudne.

Weiser skinęła głową. — Trudno, następnym razem z nią porozmawiam. Posłuchaj, Donnie, dzisiejsza wizyta jest raczej towarzyska. Wykonaliśmy już część badań, ale zrobimy ich jeszcze więcej. Za kilka dni będę mogła powiedzieć ci coś bardziej konkretnego o twoich wynikach. Na razie chciałabym ogólnie porozmawiać z tobą o twoim urazie.

Buffett odwrócił wzrok. Weiser jakby od niechcienia przysunęła krzesło bliżej jego łóżka, żeby znaleźć się w polu jego widzenia. Popatrzył na nią i był zmuszony wytrzymać jej spojrzenie.

— Powiem ci teraz, co zamierzam zrobić jako twój lekarz i co ty sam możesz dla siebie

zrobić.

— Okej.

— Po pierwsze, zamierzam zrobić coś, czego nie robię w przypadku większości pacjentów: powiem ci, co będzie się działo w twojej głowie przez najbliższych kilka miesięcy. Zamierzam dopuścić się — jak oni to nazywają na Wall Street? — nielegalnego ujawnienia poufnych informacji. Zazwyczaj my, lekarze, zatrzymujemy je dla siebie w kontaktach z naszymi pacjentami, ale ty mi wyglądasz na rozsądnego faceta, sceptyka. Donnie, wielu ludzi z uszkodzeniem rdzenia kręgowego nie chciało mnie nawet wpuścić do sali przez pierwszy miesiąc swojej choroby. Rzucali we mnie wazonami! Widzisz tę bliznę? To pamiątka po metalowej tacy. Miałam pacjentów, którzy zdawali się mnie w ogóle nie zauważać. Kiedy coś do nich mówiłam, udawali, że oglądają telewizję. Zupełnie, jakby nie było mnie w tym samym pokoju. Nie godzili się z moją obecnością, tak jak nie godzili się ze swoim urazem. Ty jesteś zupełnie inny.

— Nie jestem w stanie ignorować kobiety w skórzanej spódniczce. Chyba mam to w genach.

— Myślę, że stworzymy udany duet. —

Nagle spoważniała. — W urazach takich jak twój istnieje kilka etapów rekonwalescencji — mam tu na myśli rekonwalescencję emocjonalną. Najpierw przychodzi szok. Odrętwienie, emocjonalna blokada. Coś podobnego dzieje się z ciałem, kiedy doznaje fizycznego urazu. Szok chroni pacjenta. Stan ten może trwać nawet do dwóch, trzech tygodni po wypadku. To naprawdę niesamowite, ale wygląda na to, że ty zakończyłaś już ten etap. Tak szybka rekonwalescencja zdarza się bardzo rzadko. Podejrzewam, że wszedłaś już w drugi etap — uświadomienia sobie, co się stało. Możesz zacząć odczuwać niepokój, panikę, lęk. Ogólny zjazd.

- Zjazd?
- Moja córka tak mówi.
- Masz córkę?
- Dwunastoletnią.
- Niemożliwe.

Skwitowała to uprzejmym uśmiechem. — Tym, co cię teraz czeka, jest uporanie się z wrażeniem, że tak naprawdę wcale cię tu nie ma. Lekarze powiedzieliby, że — cytuję — będziesz nieobecny emocjonalnie.

- A jak nazwałaby to twoja córka?

Weiser zastanowiła się. — Pewnie powiedziałyby, że się „wylogu-jesz”. To będzie twój mechanizm obronny na czas naprawdę podłego samopoczucia. Jednak w twoim przypadku mam wszelkie podstawy, aby sądzić, że nie będzie to trwało zbyt długo. Ostatnie słowo wymówiła, przeciągając „u”. *Zbyt dluuugo*. Zabrzmiało to dziwnie, więc pomyślał, że zrobiła to celowo. Pomyślał też, że pomiędzy tymi śmiesznymi punkowymi kolczykami tkwi bardzo przenikliwy mózg.

— Więc tak wygląda drugi etap — odezwał się. — A czego mam się spodziewać w trzecim?

— Nazywamy to „defensywną ucieczką”. Będzie ci się wydawało, że jesteś w stanie sam się wyleczyć. Albo że zaakceptowałeś już swój stan i przestał ci on przeszkadzać. Przestaniesz chodzić na terapię i będziesz robił wszystko, byleby tylko nie myśleć o wypadku. A tak przy okazji — będziesz się wtedy zachowywał jak ostatni sukinsyn. Po prostu nie do zniesienia. Będziesz próbował obwiniać innych za to, co się stało. Będzie w tobie wiele złości.

— Kiedyś pewien dzieciak, którego znałem, zrobił sobie krzywdę. Przejeżdżaliśmy akurat w pobliżu doków, a tu ten dzieciak z mojej

okolicy...

— To znaczy skąd?

— Z Alton.

— Nie żartuj — wykrzyknęła. — Ja mieszkam w Wood River.

— No to jesteśmy sąsiadami — uśmiechnął się Buffett.

— Kiedy byłam też mężatką — on był profesorem na Uniwersytecie Waszyngtońskim — mieszkaliśmy w Clayton. Mój Boże, ale się cieszyłam, kiedy mogłam się stamtąd wreszcie wynieść z powrotem na wieś... Ale mówiłeś coś o tym swoim znajomym?

— To był jeszcze dzieciak. Nurkował w rzece... — Przyszło mu do głowy, że użył niewłaściwego słowa. Czy można nurkować w rzece? Powinien był powiedzieć: „skoczył do rzeki”. — ...a wiesz, jak wysokie mają tam pomosty. Uderzył w deskę, której nie zauważył. Nie utonął, bo zaraz go wyciągnęliśmy, ale stracił wzrok. Rozbił sobie tył głowy, czy coś w tym rodzaju. Później próbował mnie pobić. Powiedział, że powinienem być zauważyć tę deskę. Oskarżył też innego dzieciaka o to, że mu ją podsunął. W końcu wyprowadził się i nigdy więcej tu nie wrócił ani nawet nie zadzwonił.

Zastanawiał się, po co właściwie opowiedział jej tę historię. Szukał w myślach odpowiedniego zakończenia, czegoś, co nawiązałoby do jej wcześniejszych słów — na próżno. Milczał zatem.

Weiser odezwała się: — Jesteśmy przyzwyczajeni do takiego zachowania. To część procesu rekonwalescencji. Mnie samej zdarza się tak reagować. Dorastałam w towarzystwie trzech braci. Łatwo tracę cierpliwość i wybucham. — Wyciągnęła z kieszeni fartucha niedopałek papierosa. Odłamała zwęglony koniec, zapaliła i zaciągnęła się głęboczynną. Gdyby Weiser nachyliła się kilkanaście centymetrów bardziej w prawo, zobaczyłaby strzykawkę z igłą, którą zabiegana pielęgniarka zostawiła na stoliku przy jego łóżku na chwilę przed jej wizytą — strzykawkę, o której Buffett myślał niemal wyłącznie przez cały czas trwania ich rozmowy. Chwycił teraz zagłówek swoimi dużymi dłońmi i napiął wydatne muskuły. Zdołał dźwignąć się o dwa centymetry w górę. Na czoło wystąpił mu pot. Jeszcze jedna próba i kolejne dwa centymetry. Miał wrażenie, że dźwiga ciężar ciał dziesięciu mężczyzn. Sięgnął po strzykawkę. Nie, jeszcze nie da rady. Jeszcze kilka

centymetrów.

Wciągnął głęboko powietrze i jeszcze raz chwycił się łóżka. Centymetr, potem jeszcze jeden.

Nie rezygnował i przesuwał się o kolejne centymetry, coraz bliżej i bliżej. Pół centymetra. Przerwał na chwilę i otarł z oczu zimny pot, czując, jak serce wali mu z ogromnego wysiłku. Donnie Buffett pomyślał, że to dobrze, iż tak bardzo się zmęczył. Wręcz doskonale. Kiedy wstrzyknie sobie powietrze do żyły, przyspieszony puls sprawi, że pęcherzyk szybciej dotrze z krwią do jego serca i rozsadzi je niczym popsuty tłok, a wtedy reszta jego ciała dołączy do nóg pograżonych w martwym, głębokim i wiecznym śnie...

Można? — John Pellam stał niepewnie w progu szpitalnej sali.

Zaskoczył leżącego w łóżku policjanta, który upuścił coś na podłogę. — Do diabła — warknął Buffett. — Przestraszył mnie pan. — Przepraszam. — Pellam wszedł do środka i lawirując między porozstawianymi wszędzie wazonami rozejrzał się dookoła. Dziesiątki bukietów, wiązanek, roślin doniczkowych. Był ciekaw, czy pielęgniarki nie mają nic przeciwko podlewaniu tej całej

oranżerii.

Teraz w drzwiach pojawiła się blada, ładna buźka. Pellam dał kobiecie znak, żeby weszła do środka. — To jest Nina. A to Donnie Buffett.

Kobieta przywitała się.

— Witam — rozległ się stłumiony głos Buffetta. Skręcony na bok zwiesił się z łóżka i na próżno usiłował podnieść coś z podłogi. Jego zaczerwieniona twarz błyszczała od potu.

— Dobrze się pan czuje? — Pellam obszedł łóżko.

Buffett szukał chyba długopisu, który widocznie upuścił... Nie, to nie był długopis, tylko strzykawka.

— Chwileczkę, ja to zrobię. — Pellam nachylił się, podniósł strzykawkę i podszedł z nią do plastikowego pojemnika na odpady z napisem: „Tylko zużyte strzykawki jednorazowe”.

— Nie! — krzyknął Buffett.

Pellam zamarł i oboje z Niną spojrzeli podejrzliwie na policjanta.

— Ja muszę zrobić sobie zastrzyk.

— Sam? — spytała kobieta. — A czy to nie należy do obowiązków pielęgniarek?

Przez kilka sekund Buffett w milczeniu

wpatrywał się w strzykawkę. Wreszcie odchrząknął. — Jestem diabetykiem. Sam potrafię zrobić sobie zastrzyk.

Pellam wzruszył ramionami. — Ale ta leżała na podłodze. Poproszę pielęgniarkę o inną. — Wrzucił strzykawkę do pojemnika na odpady. — To żaden kłopot.

Oczy Buffetta przywarły do pojemnika z wyrazem bezbrzeżnej rozpacz. Pellam sięgnął po przycisk, żeby wezwać pielęgniarkę. Buffett warknął: — Ja już sam to później zrobię.

— Naprawdę, to żaden kłopot.

Buffett wyrwał mu przycisk. — Powiedziałem: później.

Zaległa niezręczna cisza. Nina i Pellam jednocześnie spytali, czy Buffett dobrze się czuje, więc odparł: — Nic mi nie jest. — I znowu milczenie. Nina zajęła się kwiatami; obejrzała je i dołąła wody do kilku wazonów. Buffett sprawiał wrażenie poirytowanego jej inicjatywą, ale nic nie powiedział, a ona zdawała się nie zwracać uwagi na jego zły humor.

Pellam przyjrzał się pobieżnie Buffettowi i doszedł do wniosku, że wygląda naprawdę nieźle, biorąc pod uwagę, co go niedawno spotkało. Jeśli nie patrzeć na jego czerwoną,

spoconą twarz, sprawiał wrażenie całkiem zdrowego człowieka, który postanowił spędzić dzień w łóżku. Jedynym śladem doznanego urazu była biała, workowata koszula nocna w drobne, bladoniebieskie groszki.

— Pan w ogóle to w jakiej sprawie? — odezwał się Buffett. Pellam nie wiedział, jak na to zareagować. Nie spodziewał się tej ciągłej wrogości. Zadał więc pierwsze z brzegu pytanie, jakie przyszło mu do głowy. — Nie potrzebuje pan czegoś?

— Nie. Niczego mi nie trzeba. — Kiedy po raz kolejny zapadło między nimi niezręczne milczenie, Buffett poddał się i uczynił wysiłek, aby podtrzymać rozmowę. — Trochę się nudzę, wie pan. Ale mam telewizor. — Szerokim gestem wskazał stary odbiornik, jakby sami nie byli go w stanie zauważyć. Pellam rzucił: — A ja przyszedłem tu dzisiaj, bo ostatnio trochę mnie poniosło. Buffetta jakby to też zmuszało do przeprosin, a wcale nie miał na nie ochoty. Przez dłuższą chwilę śledził w telewizji niemą relację dziennikarza CNN. W jakimś zagranicznym porcie rozładowywano tankowce. Pellam zaczynał już podejrzewać, że policjant zamknie się w sobie na dobre i na tym zakończy się ich wizyta. Spojrzał na Ninę, a

wtedy Buffett odezwał się: — To ja zacząłem. A pan po prostu... na to zareagował. To wszystko... wytrąciło mnie trochę z równowagi.

— Czytałam kiedyś w jakimś czasopiśmie — zaczęła Nina. — To był „Glamour”. A może raczej „Mademoiselle”? Napisali, że jeżeli komuś zdarzy się poważny wypadek, to na kolejne pół roku staje się zupełnie innym człowiekiem. — Urwała gwałtownie; może przestraszyła się, że Buffett uzna, iż jest skazany na sześć miesięcy psychicznej udręki.

On jednak roześmiał się. — Ja na pewno dostaję teraz znacznie więcej kwiatów niż dawniej. Może sobie pani jakieś wziąć, jeśli ma pani ochotę.

Nina pokręciła głową. — Och, nie. To nie wypada.

Buffett spojrzał na Pellama. — Poza tym odwiedził mnie burmistrz. Nie było to aż tak ekscytujące jak, powiedzmy, wizyta burmistrza Los Angeles, bo nasz jest jednocześnie dilerem Buicka i ma salon przy Sto Czwartej. Wie pan, są różni burmistrze. — W głosie Buffetta pojawił się zwodniczy ton. Może chciał być cyniczny, a może naprawdę robił na nim wrażenie fakt, że odwiedził go sam

burmistrz. Pellam nie potrafił tego stwierdzić. Zapadło milczenie, które przerwał Buffett, mówiąc: — To wszystko jest tylko tak cholernie nudne. Telewizja jest do chrzanu, wie pan?

— Nie mam telewizora — powiedział Pellam z większym entuzjazmem, niż zamierzał. — To znaczy, mam odbiornik, ale bez anteny, tylko podłączony do magnetowidu.

Buffett westchnął i zaczął przyciskać guziki szarego, topornego pilota, przeskakując z kanału na kanał. Na ekranie pojawiła się scena z jakiegoś starego filmu. Policjant wyłączył odbiornik. — Chyba powinienem się zdrzemnąć. Nadal jestem w szoku. Naprawdę. To się podobno nazywa szok rdzeniowy — nie taki tam zwykły szok, cha, cha! Sen bardzo dobrze mi robi.

W wyimaginowanym scenariuszu Pellama następowała teraz scena, w której policjant pyta go, z czym właściwie przyszedł, a on prosi: „Niech pan coś zrobi, żeby pańscy koledzy z dochodzeniówki przestali rujnować mi życie”.

Nie mógł się jednak zdobyć na to, żeby to powiedzieć. Zastanawiał się, co nim powodowało. Chyba nie mogło to mieć nic

wspólnego z faktem, że wyjdzie stąd za chwilę z piękną kobietą u boku i wróci do swojej pracy. Ani z wyrazem twarzy Buffetta, który nie wyglądał już tak zdrowo, jak się Pellamowi z początku wydawało: półotwarte usta, oczy strzelające na boki, przerażenie, które policjant starał się ze wszystkich sił ukryć. Nie, to wszystko nie miało znaczenia.

Powstrzymała go świadomość, że Buffett leży, podczas gdy on sam stoi. I tyle.

— W takim razie lepiej już pójdziemy — odezwał się. — Chciałem tylko zajrzeć i zobaczyć, jak pan się czuje.

— Jasne. — Buffett skinął głową. — To miło z pana strony.

— Ma pan coś do czytania? — zainteresował się Pellam. — Mógłbym coś panu podrzucić przy następnej okazji.

— Niczego nie czytam. Nie lubię czytać. — Powieść kryminalna, którą Pellam przyniósł przy pierwszej wizycie, leżała nie otwarta pod nocnym stolikiem.

— A może ma pan jakieś zainteresowania?

— Owszem, mam.

— Tak? A jakie?

Buffett przeniósł spojrzenie z kwadratowego ekranu telewizora na pojemnik, do którego

Pellam wyrzucił zużytą strzykawkę. — Koszykówka, softball, bieganie i hokej. To są moje zainteresowania.

Kiedy byli już na dole przy recepcji, Pellam przypomniał sobie, że poznał Ninę, gdy ta odwiedzała w szpitalu matkę. Zapytał więc, czy nie chciałaby do niej zajrzeć.

Kobieta pokręciła głową. — Byłam u niej dzisiaj rano. Dwa razy dziennie to już lekka przesada. Mama jest kochana, ale... — Wyszli na zewnątrz. Zachmurzyło się i znacznie ochłodziło. Nina zapytała: — Twoi rodzice żyją?

— Tylko mama. Mieszka na północy stanu Nowy Jork. Rzadko się widzimy. Zwykle po trzech dniach kończą nam się tematy do rozmowy.

Nina wyjęła z kieszeni długi szal w jaskrawozielone i żółte cętki i założyła go. Pellam patrzył, jak cieniutki materiał spowija bladą skórę jej szyi.

— Bardzo podoba mi się praca, którą mi załatwiłeś — powiedziała. — Wszyscy są dla mnie tacy mili.

— W pewnych zawodach kręcenie filmów może być przyjemnością. Jeśli jednak jesteś kimś więcej niż dokumentalistą albo charakteryzatorem, zaczyna to być

upierdliwe.

— Jedyne minus to efekty specjalne. Prawdziwa ohyda. Ciągłe tylko ta sztuczna krew i rany postrzałowe. — Zaciśnęła powieki i zadrżała z obrzydzenia. — Dlaczego ten pan Sloan robi takie brutalne filmy?

— Bo mnóstwo ludzi płaci za to, żeby je oglądać...

— Dlaczego tak się rozglądasz? — zapytała nagle Nina.

— Rozglądam się?

— Tak. Zupełnie jakbyś podejrzewał, że ktoś cię śledzi.

— Gdzie tam. Po prostu zawsze i wszędzie myślę o robocie. Rozglądam się za nowymi plenerami. Tak się składa, że właśnie to będziemy teraz robić. Poszukamy wielkiego pola. Przyda mi się pomoc kogoś stąd.

— Nie zapominaj, że nie jestem stąd.

Mieszkam w Cranston.

— Jesteś bardziej tutejsza niż ja.

— Czy to dlatego mnie dzisiaj zaprosiłeś?

— Jej umalowane perłową szminką wargi wygięły się lekko w uśmiechu.

— No wiesz, wyszukiwanie plenerów wcale nie jest takie łatwe, jak by się mogło wydawać. Wyczuwam w tobie ukryty talent.

— We mnie?

— Muszę znaleźć duże pole tuż nad rzeką. Powinna przez nie przebiegać droga. Jak *twoim* zdaniem należałoby się do tego zabrać?

— Hm, sama nie wiem. Chyba najprościej to przejechać się wzdłuż rzeki. Jechałabym tak długo, aż znalazłabym takie pole.

— Widzisz? To właśnie miałem na myśli. Jesteś urodzoną doku-mentalistką. Oboje wybuchnęli śmiechem.

— No, niech ci będzie. Ale o siódmej muszę być z powrotem. Czekam na telefon. Popatrz, już nawet mówię jak filmowiec. *Czekam na telefon*. Aha, nie chciałam pytać ludzi na planie, ale jaka jest różnica między oświetleniowcem a kablowym?

— To najczęściej zadawane pytanie w historii show-biznesu. Oświetleniowiec to mistrz oświetlenia, odpowiada za żarówki. A kablowi to elektrycy zajmujący się okablowaniem.

Podeszli do jej samochodu.

— Mogę cię jeszcze o coś zapytać? Pellam uprzedził ją. — Szef wózkarzy też czasami odpowiada za oświetlenie.

— Nie o to mi chodziło — roześmiała się Nina, rzucając mu kluczyki. — Chciałam cię zapytać, czy znasz kulisy jakiegoś

kanapowego castingu.

Peter Crimmins był członkiem Klubu Ukraińskiego w St. Louis.

Gdyby tylko chciał, z pocałowaniem ręki przyjęto by go do elitarnego Klubu Metropolitalnego lub — chociaż był takim trochę farbowanym chrześcijaninem — do Klubu Golfowego w Covington Hills. Ale jedyna organizacja społeczna, do jakiej należał, to był ten klub. Mieścił się on w zaniedbanym dwupiętrowym budynku o brudnych, poszarżanych oknach, wciśniętym pomiędzy puste działki zarosnięte samosiejkami drzew i dławiącym je zielskiem. Wnętrze — jedno duże pomieszczenie zastawione połamanymi stolikami i kulawymi krzesłami — wypełniała woń cebuli, dymu papierosowego i pleśni. Miało się wrażenie, że czas zatrzymał się tu w roku, w którym otwarto się podwoje klubu — w 1954.

Tego popołudnia Crimmins siedział przy jednym stoliku z Joshua, swoim kierowcą i szefem ochrony. Pili herbatę zaparzoną w tanim samowarze. W klubie było jeszcze czterech lub pięciu mężczyzn, którzy normalnie chętnie przysiedliby się do Crimminsa, ale woleli nie robić tego wtedy, gdy towarzyszył mu Joshua. W obecności

ochroniarza nie czuli się zbyt pewnie. Oczywiście wiedzieli o Crimminsie wszystko. Czytali zarówno „Post-Dispatch”, jak i „Ukrainian Daily News”, z których pierwsza relacjonowała jego kryminalne poczynania, a druga donosiła o przedsięwzięciach towarzyskich, społecznych i zawodowych. Te ostatnie doniesienia w ogóle ich nie interesowały; byle głupiec mógł rozdawać pieniądze na prawo i lewo. Ale odnoszący sukcesy przestępca — tak, to było coś. Otaczali go więc, pławiąc się w blasku jego złej sławy. Przebywając w pobliżu Crimminsa, podnosili własny prestiż. John Gotti miał swój klub w nowojorskiej Małej Italii, Peter Crimmins miał swój. Byli przekonani, że dzięki niemu okolica klubu stała się bezpieczniejsza. Crimmins i Joshua pili herbatę już od dobrych dziesięciu minut, gdy do klubu wszedł barczysty mężczyzna w dżinsach i niebieskiej, dżinsowej kurtce. Miał na sobie brudną koszulę i był przysadzisty, chociaż poruszał się z pewną gracją. Crimmins nie pochwałał tak pospolitych i niedbałych strojów; z drugiej strony, poza wykonywaniem na boku zleceń takich jak to, które miał dla niego Crimmins, człowiek ten mógł być na co dzień brygadziwą albo stolarzem.

Joshua przedstawił ich sobie: — Tom Stettle.
Pan Crimmins.

— Bardzo mi miło, proszę pana — Stettle strzelał oczami to w jedną, to w drugą stronę; na chwilę jego spojrzenie spoczęło na znamieniu Crimminsa — jego „trzecim oku” na środku czoła.

— Nazywasz się Stettle?

— Zgadza się, proszę pana — odparł tamten.

— Siadaj.

Mężczyzna posłuchał. Składane plastikowe krzeselko zatrzeszczało pod jego ciężarem.

Crimmins świadomie przedłużał milczenie.

Zauważył jednak, że zamiast odczuwać skrępowanie, Stettle wyraźnie się odprężył i spojrział na niego z sympatią.

Wreszcie Crimmins odezwał się: — Joshua powiedział ci, o co chodzi?

— Tak jest, proszę pana.

Niezbyt bezpiecznie było spotykać się ze Stettlem twarzą w twarz. Gdyby coś poszło nie tak, zawsze istniało ryzyko, że zleceniodawca zostanie zidentyfikowany. Crimmins wolał jednak zawsze na własne oczy przekonać się, kogo zatrudnia. Rozmowa toczyła się łatwiej, jeśli się wiedziało, jak ktoś wygląda. Można było zaobserwować charakterystyczne gesty i

porównać je ze słowami. To z kolei pomagało stwierdzić, czy ktoś mówi prawdę, czy można na nim polegać i za ile można go kupić.

— Pochodziłeś za nim trochę? Za Pellamem? Stettle przytaknął.

— Wiem, że policja też go obstawia. Zauważyłeś kogoś? Ludzi z biura Petersona?

— Kilku, od czasu do czasu. To nawet zabawne. Tak, jakby jednego dnia mieli to w budżecie, a drugiego już nie. Łażą za nim tylko tyle, ile trzeba.

Crimmins poczuł silną potrzebę przypomnienia mężczyźnie, że płaci mu piętnaście tysięcy dolarów za jego pracę. Nic jednak nie powiedział. Kolejna żelazna zasada, jaką się kierował, oprócz tej, która kazała mu zapewniać byt rodzinie, brzmiała: „Nie szarp za smycz, jeżeli nie musisz”.

— Miej go nadal na oku.

— Będę, ale to, że facet głównie kręci się w terenie, wcale nie ułatwia sprawy — wie pan, o czym mówię? W mieście, gdzie jest dużo ludzi, można łatwiej zniknąć. Są taksówki i metro. I szybciej można coś zorganizować...

Wyważony i pełen uszanowania ton wypowiedzi Stettle'a poprawił Crimminsowi humor. Cieszył się, że Stettle szczerze przedstawia mu swoje wątpliwości. On sam

sądziłby raczej, że takie sprawy łatwiej załatwia się na wsi.

— W porządku. Na razie rób swoje. Joshua wie, jak się z tobą skontaktować?

Obaj mężczyźni skinęli głowami.

— Dzięki, że wpadłeś. Napijesz się herbaty? A może skosztujesz placka?

— Dzięki, ale nie, proszę pana.

Stettle opuścił klub, rozglądając się badawczo. Crimmins pomyślał, że może lustruje tandetnie wykonaną boazerię, myśląc, że sam zrobiłby to lepiej.

Zwrócił się do Joshuy: — Potrafi zrobić z niej użytek?

— Z czego?

Crimmins ciągle zapominał, że niektórzy ludzie nie myślą tak szybko jak on. — Z broni.

— To źle postawione pytanie. Wiem tylko, że ją ma i nie waha się jej używać. W Maddox za coś takiego obowiązuje ustawy wymiar kary, więc wielu gości ma opory. On nie ma. Crimmins podniósł się z krzesła i nalał sobie i ochroniarzowi po jeszcze jednej filiżance herbaty.

S'a vous plaît, est-ce que vous avez un ...
gościa, *monsieur* Wellera?

Słuchawkę wypełniły trzaski napływające z odległości trzynastu tysięcy kilometrów, przekazywane przez kable telefoniczne i fale radiowe.

— *Non, monsieur.*

— No dobra, *est-ce qu'il a une réservation?*

Łomot, który rozległ się za jego plecami, sprawił, że Pellam upuścił komórkę. Obrócił się na pięcie. Zobaczył czyjaś pięść ponownie spadającą z impetem na drzwi przyczepy.

Nachylił się i ze ściśniętym sercem wyjrzał na zewnątrz. Znowu *oni*. Z jakiegoś powodu zapamiętanie nazwisk dwóch agentów FBI przyszło mu o wiele łatwiej niż w przypadku tamtych dwóch detektywów, Anglosasa i Włocha. Bracken i Mon-roe.

— Chwileczkę! — zawołał. — Rozmawiam przez telefon! — Walenie nie ustawało. — Moment. Rozmawiam z *Paryżem*. *Repétez? S'il vous plaît...* Nie ma? Okej, to znaczy — *merci*.

Psiakrew.

Sześć godzin wcześniej Marty Weller opuścił Londyn, podobno udając się do Paryża. Nie było go jednak w Plaža Athenee — gdzie się zawsze zatrzymywał (albo gdzie *jak twierdził*,

się zatrzymywał) — i Pellam nie miał zielonego pojęcia, gdzie go szukać. Chciał go przeprosić za to, że nie dotarł na tamto spotkanie z Telorianem.

Odłożył telefon na bazę i otworzył drzwi. Z powagą skinął głową, ale nie zaprosił agentów do środka.

— Jak tam się pan miewa, proszę pana? — odezwał się Monroe. Cisza.

Bracken, który wyglądał tego dnia mniej niechlujnie niż ostatnio, zapytał: — Panie Pellam, czy miałby pan coś przeciwko temu, żebyśmy weszli?

— Szczerze mówiąc, tak.

— To nie potrwa zbyt długo. Pellam odparł:

— Ja naprawdę nie...

— Chcielibyśmy tylko zadać panu kilka dodatkowych pytań. Nasza ostatnia rozmowa...

— Rozmowa?

— ...nie była szczególnie owocna.

— Wczoraj wieczorem dokładnie opowiedziałem policji z Maddox, co się tamtego wieczoru wydarzyło. I to już chyba po raz drugi. Albo trzeci. Nie wymieniacie się informacjami czy co?

Monroe zachowywał uprzejmość i upór domokrażnego handlarza. — Bardzo nam

przykro z powodu tego, co ostatnio zaszło. Pracujemy pod olbrzymią presją. Wie pan, jak to jest.

Pellam odczekał kilka sekund, po czym rzucił:
— Cóż, proszę wejść.

Znalazłszy się w środku, agenci przysunęli sobie krzesła i usiedli, pochylając się lekko naprzód, żeby zachować nienaganną postawę. Nogawki ich jasnych spodni uniosły się wysoko w górę, odstawiając łydki. Pellam uznał, że to zabawne — brakowało im bigla typowego dla miejskich gliniarzy. Było w nich coś anonimowego.

Pochwalili panujący w przyczepie porządek, a Bracken dodał nieco zazdrośnie, że pewnego dnia też ma zamiar sprawić sobie wóz kempingowy. Żeby jeździć do Minnesoty na szczupaki.

Jak na razie była to powtórka z zabawy w złego i dobrego gliniarza.

— Problem w tym, że ci z Maddox niezbyt chętnie z nami współpracują. Nie mają wielkiego poważania dla funkcjonariuszy federalnych.

Ciekawe, dlaczego.

— Bylibyśmy naprawdę bardzo wdzięczni, gdyby mógłby nam pan powiedzieć, co pamięta. Musi nas pan zrozumieć, panie

Pellam. Śmierć pana Gaudii postawiła pod znakiem zapytania przyszłość dwuletniego śledztwa.

Pellam chciał im się jakoś zrewanżować za ich uprzejmość, więc jeszcze raz zrelacjonował wszystkie fakty — tak dokładnie, jak tylko potrafił. Piwo, lincoln, facet, który na niego wpadł, to, jak się nachylił i zajrzał do samochodu, jak ten zaraz odjechał, swoją rozmowę z policjantem. Po tylu powtórkach zaczynał już dochodzić do wprawy w opowiadaniu tej historii.

Agenci słuchali go, nie okazując żadnych emocji. Żadnego przewracania oczami, żadnego szarpania za kłapy czy popychania na szyby i wybijania okien. Po prostu słuchali go i nie zgłaszali zastrzeżeń. I ani razu nie nazwali go „typowym WS-em”. Jedyne zadawali pytania.

W końcu Pellam zdał sobie sprawę, że minęła już okrągła godzina. Zaczynało go to nudzić. Czuł się jak złapany na haczyk szczupak. O mały włos nie podzielił się tą refleksją z Brackenem — wędkarzem.

— Proszę nam to jeszcze raz powtórzyć... Tylko jeden, ostatni raz, słowo honoru.

— Okej. Ostatni raz. — I Pellam ponownie wyrecytował swoją opowieść.

Monroe wszystko spisywał. Pellam zastanawiał się, ile tacy agenci zarabiają i ile pieniędzy podatników idzie na spisywanie przypadków oślepienia świadka światłem odbitym w samochodowej szybie.

Później zaczęli pytać go o rzeczy pozornie niezwiązane z samym zabójstwem. Dlaczego kupował cały karton piwa? Czy mógłby opowiedzieć im o tamtej rozgrywce pokera? Czy wie, kim był Vincent Gaudia? Czy kiedykolwiek wcześniej widział tamtego policjanta?

— Nie.

— A czy to prawda, że wtedy tam podał pan coś policjantowi?

— Hm — mruknął Pellam. — Rzeczywiście, tak było.

— Odniosłem wrażenie, że był pan zaskoczony. Dlaczego był pan zaskoczony?

— Wtedy, kiedy podawałem mu torbę?

— Nie, przed chwilą. Kiedy o tym wspomnieliśmy.

— Po prostu nie podejrzewałem, że ktoś jeszcze wie, że coś mu wtedy dałem.

Ich brwi drgnęły. — A cóż to było?

— Myślicie, że dałem mu łapówkę?

— Po prostu chcielibyśmy się dowiedzieć, co było w tej torbie.

— Pączek.

— Pączek?

— Z konfiturą z róży — dodał Pellam. — Pomyślałem, że będzie zdrowszy niż te z ajerkoniakiem.

— Ach, tak.

Kolejne pytania; kolejne pół godziny.

— Czy kierowca — zapytał Bracken — miał w wozie uchwyt do napojów?

— Żartuje pan? — parsknął Pellam i popatrzył na zegarek.

Wreszcie agenci wstali —jednocześnie — zupełnie jakby jego odpowiedź na pytanie („Czy znał pan Vince'a Gaudię, zanim ten zginął?" „Nie") była dla nich sygnałem do odwrotu.

Odprowadził ich do wyjścia. Podziękowali za poświęcony im czas, a Bracken odwrócił się jeszcze i upewnił się: — Chyba w najbliższym czasie nie zamierza pan wyjeżdżać z miasta? W jego głosie pojawił się dziwny ton. Nie przybrał jeszcze pozy „złego gliny", ale nie był też już „dobrym gliną".

— Zostanę do końca zdjęć. A potem...

— Jak długo to potrwa?

— Góra tydzień.

— W takim razie powinien pan coś wiedzieć. Posiadamy informacje

wywiadowcze, z których wynika, że Peter Crimmins — główny podejrzany w sprawie zabójstwa Gaudii — kontaktował się ze swoimi wspólnikami spoza stanu.

Najprawdopodobniej z Chicago. Pełtam nie wiedział, co ma zrobić z tą informacją.

— Często tak się dzieje — ciągnął Bracken — kiedy szef mafii szuka sobie cyngla. Z reguły nie najmują do tego miejscowych.

— Rozumiem.

— Mówię to tylko po to, żeby pan był ostrożny.

— Jasne. No cóż, dzięki za troskę.

Już wychodzili, gdy Monroe przystanął jeszcze raz, żeby mu podziękować. Przy okazji dodał: — Ale wie pan, nasi ludzie obstawiają wszystkie lotniska w okolicy.

— Wszystkie?

— Tak, stacje kolejowe też.

Zostawili go w niepewności co do swoich intencji. Czyżby zamierzali szukać płatnych zabójców w samolotach i pociągach? A może raczej próbowali zasugerować mu, że gdyby przyszła mu ochota nawiać przed karzącym ramieniem sprawiedliwości, powinien pomyśleć o kupnie biletu na autobus dalekobieżny

Pielęgniarka zauważyła zakrwawiony

paznokiec jego kciuka.

— Co jest? — zapytała. — Co się stać?
Była to niska i szeroka w biodrach Filipinka. Miała łagodne oczy, ale rzadki wąsik nad jej pełnymi, purpurowymi ustami sprawiał, że wyglądała, jakby była brudna, co z kolei nadawało jej twarzy wyraz okrucieństwa lub w najlepszym razie obojętności.

Pielęgniarka wyjęła z pudełka lateksowe rękawiczki. Nałożyła je, uniosła bliżej jego dłoń i z niesmakiem przyjrzała się z bliska krwawej plamie.

— Nie mam AIDS — zapewnił ją żałośnie.
Chwyliła mocniej jego rękę i wykręciła ją, żeby lepiej obejrzeć palec. Boże, ależ była silna. Czuł bijącą od niej zwierzęcą woń potu.

— Jak to zrobić?

— Słucham?

— Gdzie to wsadzić?

Jednym szarpnięciem ściągnęła z niego prześcieradło i koc i rozpoczęła oględziny — od połowy uda, w górę, unosząc i obracając na boki jego pozbawione czucia nogi. Buffett skojarzył to z wyrabianiem ciasta. Z zagniataniem ciasta na chleb. Chciało mu się płakać.

— Nic mi nie jest. Mogłaby mnie siostra zostawić w spokoju?

— Pan sobie pogorszyć. Tacy jak pan, zawsze wszystko utrudniać.

Palce, których dotyku nie czuł, obmacywały skórę jego nóg. Zamknął oczy. To był dla niego kolejny sprawdzian — nawet w takiej chwili, pomimo całego swojego cierpienia i upokorzenia, ze wszystkich sił starał się cokolwiek poczuć. W pewnym momencie wydawało mu się, że wie, gdzie znajdują się ugniatające jego ciało palce, ale kiedy otworzył oczy, przekonał się, że ręce pielęgniarki są zupełnie gdzie indziej, niż to sobie wyobraził. Nie czuł niczego, absolutnie niczego...

Wtedy jednak ona dostrzegła chusteczkę higieniczną wystającą spod jego bokserek. Wyciągnęła zgniecioną ligninę, przesiąkniętą ciemną krwią. Buffett poczuł, że pali go twarz. Na czoło wystąpił mu pot.

Pielęgniarka ściągnęła swoje okrutne, a może tylko obojętne usta. Wyrzuciła zakrwawioną chustkę do kosza na śmieci, nachyliła się nad nim, rozsunęła jego włosy łonowe i przyjrzała się z bliska niewielkiemu nacięciu w pobliżu penisa. Nie było długie ani głębokie, ale silnie krwawiło. Włosy wokół rany aż zrudziały, a na cewniku widniała czerwona plama.

Pielęgniarka westchnęła, wzięła do ręki

krótkie, błyszczące nożyczki i przycięta gęste włosy w miejscu zranienia. Przemyła ranę i przyłożyła gazę, którą następnie przykleiła białą taśmą samoprzylepną. Potem ściągnęła rękawiczki i wyrzuciła je do kosza na śmieci.

— Przepraszam — odezwał się. — Ja tylko... Porozumiewawczo mrugnęła ciemnymi powiekami. — Pan chce sprawdzić, czy coś poczuć. — Cmoknęła z dezaprobatą. — Wy ludzie... Wszystko utrudniać. Utrudniać wszystkim praca. Wyszła. Buffett popatrzył za nią, a potem na pojemnik z odpadami medycznymi, w którym wcześniej wylądowała jego bezcenna strzykawka. Z rękoma na swoich martwych udach spojrzał na pusty ekran telewizora, po czym wbił nieruchome spojrzenie w sufit, czekając na łzy, które nie nadchodziły. Wreszcie podniósł ręce i z furią zaczął szarpać za gumę do ćwiczeń, przerzuconą przez pręt ponad jego głową. Po tym, jak cały ranek — od siódmej do południa — minął mu na badaniach, Buffett poprosił salowego, żeby przewiesił mu przez pręt gumę do ćwiczeń, bo chciałby trochę popracować nad mięśniami ramion. Zaraz też chwycił mocno uchwyty i zaczął przyciągać je do siebie, ćwicząc na zmianę to prawą, to lewą ręką. Salowy

przyglądał się temu z aprobatą. — Stary, nie chciałbym próbować się z tobą na rękę... — Teraz Buffett znowu zaczął ćwiczyć. Odliczał przy tym od sześćdziesięciu do zera. Kiedy się gimnastykował, zawsze tak odliczał — kiedy liczba powtórzeń się zmniejsza, trudniej jest przerwać ćwiczenia.

Pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt siedem, pięćdziesiąt sześć...

Najgorzej było przerwać, zanim doszło się do zera. Wiedział, że w takim przypadku przydarzy mu się coś strasznego.

Na przykład dopadnie go atak paniki.

Czterdzieści siedem, czterdzieści sześć, czterdzieści pięć...

Sam pot.

Jeszcze jedno pociągnięcie, jeszcze jedno, i jeszcze jedno.

Przy „trzydziestu trzech” do sali wkroczyła wolno Wendy Weiser.

— Cześć, Donnie.

— Siemanko, pani doktor.

— Jak się dzisiaj czujesz?

— Bombowo. — Buffett uśmiechnął się jak na zadowolonego faceta przystało.

Fantomowy ból, fantomowy uśmiech.

Normalka.

Przysunęła sobie krzesło tak, jak to miała w

zwyczaju, i klapnęła na nie w taki sposób, jakby siadała na kolanach swojemu chłopakowi. Pomyślał, że to czarujące. Nie był pewien, czy to jest odpowiednie słowo, i nie wiedział, czy można czarująco siadać na krześle, ale tak właśnie pomyślał. Był tu dopiero od dwóch czy trzech dni, a już pięć razy mu się śniła. Czasami, kiedy nie spał, fantazjował na jej temat; myślał

0 tym, jak siada, jak siedząc, rozsuwa lekko kolana, jak się garbi

1 w ten sposób kryje kształt swoich piersi, jak szeleściłyby jej pończochy, jak opadałby fartuch... Jak dotąd nie posunął się dalej w swoich fantazjach.

Myśl o doktor Weiser była tą jedyną, która nie dawała mu spokoju, kiedy planował samobójstwo. Miał nadzieję, że to nie ona znajdzie jego ciało.

— Chciałbyś się czegoś napić?

— Owszem, szkockiej. Najlepiej dwunastoletniej Glenfiddich. Byłoby fajnie. *Wesoły Donnie, wesołe żarciki.*

— A co powiesz na napój energetyczny?

— Niech będzie.

Otworzyła jego kartę. — Widzę, że masz rozpisane badania na kolejnych parę dni. Wciąż jeszcze niewiele można powiedzieć.

Szok rdzeniowy powoli ustępuje...

Następnie Weiser zaliczyła swoją porcję uciskania i ugniatania jego nóg, po czym wykonała serię badań neurologicznych — tych samych, które Gould zaserwował mu już kilka dni wcześniej. Kiedy dotknął czubka swojego nosa, powiedziała: — Świetnie. — Tak samo jak Gould. I chociaż bardzo chciał, żeby jej diagnoza oznaczała dla niego coś innego niż ta Goulda, było jasne, że się z tamtą pokrywa. Zanotowała coś w karcie, a potem usiadła i zapaliła papierosa.

— Zraniłeś się — rzuciła wreszcie.

Przytaknął, unikając jej wzroku, i przesunął na bok zwisającą z pręta gumę do ćwiczeń.

— Ja tylko... — Głos uwiązał mu w gardle.

— Wiem, jak bardzo zależy ci, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o swoim stanie — odezwała się łagodnie. — Ale dopóki szok całkowicie nie ustąpi, postępując w ten sposób, możesz jedynie zrobić sobie krzywdę. Szpitale są brudne. To siedlisko bakterii.

— Mogę złapać zakażenie? — szepnął z rozpaczą w głosie.

— Możesz. — Przez chwilę przyglądała mu się uważnie, po czym orzekła: — Ty chcesz mnie pewnie spytać o seks.

— Nie, ja tylko... — Skinął głową i przyznał:

— Chciałem sprawdzić, czy coś poczuję. Tam. Usłyszał, że jest jeszcze zdecydowanie za wcześnie, żeby cokolwiek stwierdzić. Zgodziła się jednak odpowiedzieć na kilka jego pytań i dodała: — Teraz nie mam za wiele czasu. Wyjeżdżam na kilka dni.

Poczuł dławienie w gardle. Opuszczała go. Drzemiąca w nim panika tylko czekała na taką informację; ścisnęła mu serce tak bezlitośnie, że aż się spocił. Kurczowo zacisnął dłonie na uchwytach gumy.

— Dokąd jedziesz? — Zapytał tylko po to, żeby wyrwać się z kleszczy paniki.

— Mam domek nad jeziorem Ozarks.

— Jedziecie razem z mężem?

— Jestem rozwiedziona.

Kiedy to powiedziała, przypomniał sobie, że już o tym rozmawiali. Weiser dorzuciła: — Spotykam się z kimś.

— Też tam czasami jeżdżę. Na konie. Pamiętam, że jest tam mnóstwo koni... I drzew. — Mgliste wspomnienie przypląnęło i zaraz się rozwiało.

— Niestety, nie ma jednoznacznych odpowiedzi, jeśli chodzi o seksualną sferę życia po uszkodzeniu rdzenia kręgowego, Donnie.

— Sfera życia... Wy, lekarze, używacie

takich dziwnych słów. — Na ułamek sekundy z trudem wznoszona fasada pękła i lekarka drgnęła, widząc w jego oczach błysk gniewu. Zaraz jednak na twarz Buffetta powrócił uśmiech.

— Dużo o tym myślisz?

— A mam coś innego do roboty? —

Wyszczrzył zęby. — Całymi dniami gapię się na cycki lasek w telewizji.

Weiser roześmiała się. — Na podstawie umiejscowienia i charakteru urazu wiemy, że nie będziesz już nigdy chodził, Donnie. Nic na to nie poradzimy, a przynajmniej nie przy pomocy dzisiejszych technologii. Jednak na tym etapie rekonwalescencji kwestia dysfunkcji seksualnej jest wciąż otwarta...

Dysfunkcja... Ta funkcja, tamta funkcja...

Buffett poczuł się rozczarowany. Wciskała mu kit. Jakie partnerstwo? Jaki udany duet? To gówno prawda.

— Nawet w najgorszych przypadkach pacjentowi można bardzo pomóc.

Mówiła, ale on był już myślami gdzie indziej. Ciekawe, jak często pieprzyła się z tym swoim facetem w letnim domku nad jeziorem. Czy leżąc pod nim, szepnie mu do ucha, że całe przedpołudnie rozmawiała o fiutach i dochodzeniu ze świeżo upieczonym

eunuchem? Czy jej słowa sprawią, że tamten zacznie ją mocniej posuwać?

— *...dwie sprawy. Jedna, to sam stosunek. A druga to splodzenie potomstwa... Jeżeli mężczyzna...*

Prawdopodobnie bzykała się z nim cztery, pięć razy w tygodniu. Prawdopodobnie miała fantastyczne orgazmy, prawdopodobnie brała go do ust...

— *...dwa rodzaje erekcji — odruchowa i psychogenna. Do erekcji odruchowej dochodzi pod wpływem działania fizycznego bodźca na genitalia, oczywiście w pierwszej kolejności na penis, ale także na prostatę lub pęcherz. Do tego rodzaju erekcji dochodzi bez udziału mózgu.*

W jego głowie rozległ się ostrzegawczy dzwonek. Nagle zaczął się silnie pocić. To panika podnosiła swój ohydny łeb. Swędziały go pachy. Czuł, że poci się w miejscach, w których nigdy nie widział u siebie potu — na policzkach, w uszach, na wierzchu dłoni. Chryste Panie, pociły mu się nawet nadgarstki! Zupełnie jakby wilgoć zapragnęła nagle opuścić jego uszkodzone ciało wszystkimi porami skóry; to było jak ucieczka szczurów z tonącego okrętu.

— *Kiedy rano budzisz się z erekcją, to jest*

to erekcja odruchowa. Erekcja psychogenna jest reakcją na fantazje i bodźce wizualne — a także na podniecające nas myśli.

Weiser przerwała, żeby zapytać: — Dobrze się czujesz?

— Trochę tu gorąco.

Podniosła się i otworzyła okno. Stała odwrócona do niego plecami, jedwabna spódnica ciasno opinała jej pośladki. Wyraźnie widział zarys majtek.

Donnie przełknął ślinę.

Usiadła. Znowu zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko trzy razy, a potem go zgasiła.

— *Zbadamy cię. Przekonamy się, czy mamy do czynienia z uszkodzeniem górnego neuronu ruchowego czy dolnego neuronu ruchowego. Jeżeli górnego, będziesz mógł mieć erekcje odruchowe...*

O czym ona gada?

— *A jeśli uszkodzony został dolny neuron ruchowy, wówczas w sferze twojej sprawności seksualnej dojdzie do tak zwanej arefleksji...*

— To znaczy, że erekcje będą psychogenne? — Buffett ze wszystkich sił starał się skoncentrować. Nienawidził takich nadętych określeń. Lekarskie gadanie. Panika żywiła się właśnie takimi określeniami. Dawały jej siłę — ba, wręcz po nich szczytowała!

Wierciła się, zagłuszając ból — ból fantomowy, ten zdradziecki ból. Wślizgiwała się w jego trzewia, a potem wędrowała wyżej, aż do klatki piersiowej. Buffett zacisnął zęby i napiął mięśnie brzucha, żeby nie dostała się do serca, bo wtedy z pewnością by go zabiła. Nie odrywając wzroku od oczu lekarki, mocno pociągnął za gumę do ćwiczeń. Wysiłek fizyczny w walce z paniką.

— *Są cztery możliwości. Możesz mieć całkowity lub niecałkowity odruch lub całkowitą albo niecałkowitą refleksję. Najcięższym przypadkiem jest całkowita arefleksja, ponieważ oznacza brak jakichkolwiek odruchów i brak wpływu mózgu.*

Oto on, Donnie Buffett, leży niecałe dwa metry od pięknej kobiety o błyszczących, zielonych oczach i słucha, jak ta opowiada mu o sztywniejących członkach... Zerka w dół, na małe, nieruchome wyrzuszenie w swoim kroku i czuje, jak szpony paniki zaciskają się kilka centymetrów od jego serca.

— *W przypadku postrzałów uszkodzenie nie jest zwykle całkowite. A jeśli chodzi o pacjentów z całkowitą refleksją, trzy czwarte z nich jest w stanie odbyć stosunek, a u ponad połowy dochodzi do ejakulacji i orgazmu. Ale ja nie będę jednym z nich. Dziewczyna w*

opiętej mini opowiada mi o wytryskach, a ja absolutnie niczego nie czuję...

— *Może się okazać, że nie będzie to konieczne — najprawdopodobniej nie będzie — ale ewentualnie mógłbyś zastanowić się nad protezą.*

Pierwszą myślą Buffeta była sztuczna noga.

— *...Istnieje kilka rodzajów implantów, które wszczepia się do penisa.*

Panika aż zawyła z zachwyty. Rozszała się teraz na dobre, wyla się, stawiała na tym swoim parszywym łbie. Pot lał się z niego strumieniami. Buffett przełknął ślinę.

— *Natomiast jeśli chodzi o twoje szanse zostania ojcem, najczęstszym skutkiem uszkodzenia rdzenia kręgowego jest zmniejszenie się liczby plemników. Ale trzeba pamiętać, że mnóstwo zdrowych ludzi też ma problemy z poczęciem dziecka, poza tym jest wiele metod...*

A syn? Co będzie z synem, którego zamierzał mieć?

To był ten moment. Nie dając mu żadnej szansy na obronę panika chwyciła go za gardło.

Donnie Buffett zaczął drżeć jak antylopa, która dostała się w paszczę lwa.

Oczy lekarki zwęziły się lekko. Mrużąc je

patrzyła, jak policjant ociera sobie pot z twarzy. — Donnie...?

Spojrzał na nią i przełknął ślinę. —

Przepraszam. — Dotknął lekko swojego ramienia. — Ciągłe jeszcze mnie boli. No wiesz, tam, gdzie oberwałem. Czasami naprawdę mocno mi to dokucza.

— Chcesz coś przeciwbólowego?

— Nie, po prostu od czasu do czasu czuję te cholerne ukłucia. Pocę się wtedy jak mysz. Mów dalej. — Uśmiech. — Proszę.

Był w stanie powiedzieć to tylko dlatego, że był już martwy. Szpony paniki rozdarły mu serce na strzępy. Już było po nim. Mógł być równie uprzejmy, jak spoczywający na marach nieboszczyk.

Weiser mówiła jeszcze przez kilka minut, po czym podsumowała swój wykład. Coś na pocieszenie, coś do śmiechu. Pokiwał głową, chociaż nie miał pojęcia, co do niego powiedziała. Dodała, że żałuje, iż musi wyjechać. Niedługo znowu pogadają.

Podziękował jej. Patrząc jej prosto w oczy, powiedział: — Wiesz, bardzo mnie podniosłaś na duchu. Dzięki. — Uścisnęli sobie dłonie.

Buffett życzył jej miłego weekendu.

Kiedy wyszła, podniósł słuchawkę i połączył się z Bobem Gianni na posterunku policji w

Maddox. Przez chwilę rozmawiali o niczym, a kiedy Buffett poczuł, że nie wytrzyma już ani sekundy dłużej, poprosił detektywa o numer telefonu. Po drugiej stronie na moment zapadła cisza, a potem Buffett usłyszał wymieniane kolejno cyfry. Zapamiętał je. Zapytał jeszcze: — To numer komórkowy, tak?

- Tak, ma w przyczepie komórkę.
- Dzwoni się tak jak na stacjonarny?
- Dokładnie tak samo.



12

Pomimo zamkniętych powiek Donnie Buffett wyczuł, że ktoś stanął w drzwiach jego sali. Miał nadzieję, że to nie Penny. I jeszcze większą, że to nie jej rodzice. Najlepiej, żeby to była pielęgniarka, która przyszła opróżnić zbiornik z moczem. Ale nie, żeby wymienić mu cewnik. Z prawdziwą radością ujrzał nad sobą Johna Pellama.

- O, to pan, szefie — powitał go. Pellam skinął mu głową i wszedł do środka.
- Nowe kwiaty, jak widzę — rzekł. — Teraz zaczyna tu naprawdę wyglądać jak w

szklarni.

— Fakt. Wie pan, że nie przepadam za kwiatami? Nie chciała wtedy nic wziąć, ta pańska dziewczyna. Powinien jej pan zabrać jakiś bukiet. Jak ona ma na imię? Powie pan, że sam go kupił...

— Ucieszyłem się z pańskiego telefonu. I tak zamierzałem tutaj zajrzeć.

Buffett wskazał mu krzesło. — Po co? Miał pan ochotę na kolejne zniewagi?

Pellam roześmiał się.

— Kiepsko się wtedy czułem. Naprawdę do niczego.

— Nie ma sprawy — zapewnił go Pellam.

— Chyba powoli zacznym wariować.

Jakby...

— Rozumiem. Jak pan się teraz czuje?

Buffett pokiwał głową i roześmiał się. —

Świetnie, dzięki. Lekarz powiedziała by pewnie, że wtedy przechodziłem fazę zaprzeczenia.

Nie przyjmowałem do wiadomości tego, co się stało. Kiedy człowiek się z tym pogodzi, zaczyna mu być łatwiej.

— To dobrze.

— Jeszcze trochę rehabilitacji i przesiądę się na wózek. Jest strasznie dużo przepisów dotyczących niepełnosprawnych. I dostępu dla wózków. Niech się pan wybierze na mecz

Cardinalsów, nawet tam muszą mieć specjalne podjazdy. Świat praktycznie stoi przede mną otworem.

— Wiem, że są specjalne drużyny sportowe dla... no, wie pan. — Pellam zawahał się, nie wiedząc, czy powinien powiedzieć „paraplegików” czy „niepełnosprawnych”. Wybrnął, mówiąc: — Dla osób na wózkach. Widziałem na kablówce.

— Tak, rozgrywki koszykówki. Koszykówka na wózkach... Niektórzy biorą też udział w maratonach. Trasa musi chyba prowadzić z góry na dół. Kurczę — rzucił z uśmiechem — oto cały ja: chciałbym zaliczyć maraton, siedząc na tyłku. A może miałyby pan ochotę coś przegryźć?

— Wielkie dzięki. Nie przepadam za szpitalnym żarciem.

— Nieee, mam tu coś lepszego. Chipsy z dipem. Albo ciastka. Pellam pokręcił głową. Buffett sam zjadł pół ciastka i przez chwilę wpatrywał się w milczeniu w celofanowe opakowanie. Zwinął ciasno brzegi torebki i odłożył ją na tacę.

Pellam tymczasem zwiedzał podokienną szklarnię. Zapytał: — Od dawna pan na służbie?

— Niedługo minie siedem lat.

- Tak to się mówi? „Na służbie”?
- Jasne, można i tak.
- Miał pan swój rewir, tak jak to było za dawnych czasów?
- Niektóre dzielnice nie są już tak bezpieczne, jak kiedyś. Mad-dox naprawdę zeszło na psy... A pan robi filmy, tak?
- Ja nie. Ja tylko wyszukuję plenery.
- To jak się pan wkręcił do tej roboty?
- Tak jakoś mnie wciągnęło. Lubię podróżować.
- Poznał pan jakieś kociaki z Hollywood? Założę się, że tak.
- Trzymam się z dala od Wybrzeża. To trochę nie mój świat.
- To dlaczego siedzi pan w tej branży?
- A dlaczego pan jest gliną? Buffett wzruszył tylko ramionami.
- Aha, zapomniałbym. — Pellam podniósł w górę poplamioną torbę, którą cały czas trzymał w ręku. — Mam piwo. Wolno panu pić?
- Do diabła, pewnie, że wolno.
- Pellam przysiadł na solidnym, szarym krześle. Otworzyli dwie puszkę i opróżnili je.
- Wie pan — odezwał się potem Buffett. — Ci wszyscy goście, z którymi pracuję — niektórzy z nich to prawdziwe skurczybyki, ale

jak przychodzą mnie odwiedzić, robią się z nich zwyczajne lamusy. Przynoszą mi kwiaty, gazety. Ale żaden nie przyniósł piwa. Zresztą niewielu do mnie zajrzało. Chyba boją się, że nie będą wiedzieli, co powiedzieć, albo coś w tym rodzaju.

Pellam wstał i włożył dwie kolejne puszkę do dzbanka przy łóżku. Potem napełnił go zimną wodą. Wieczko nie chciało się domknąć. — Jak trafi pan na niezbyt bystrą pielęgniarkę, to może się panu upiecze.

— Wielkie dzięki, szefie.

Pellam pociągnął łyk piwa. Odczekał chwilę, po czym powiedział: — Już ostatnim razem chciałem o tym z panem pogadać, ale — no cóż, był pan w kiepskiej formie, więc wolałem się wstrzymać.

— Z czym?

— Wsiedli na mnie. Pańscy kumple, a teraz jeszcze FBI, dają mi nieźle popalić. Byli nawet na planie, a to może zaszkodzić filmowi. Boję się, że stracę robotę, a nie mogę sobie teraz na to pozwolić.

Buffett wzruszył ramionami. — Skoro pan niczego nie widział, to pewnie tak było.

— No tak, ale *oni* tak nie uważają i wszędzie za mną łażą. FBI zamierza przyjrzeć się rozliczeniom podatkowym wytwórni. Chcą

przekopać całą dokumentację. — Pellam rozłożył bezradnie ręce.

— Tak, federalni zawsze byli dupkami — odparł Buffett, jakby wyjaśniał Pellamowi istnienie równie oczywistego zjawiska, jak grawitacja. Potem jednak pokiwał głową. — Ron Peterson — prokurator stanowy — to zwyczajny maniak. — Opowiedział Pellamowi o Gaudii, Crimminsie i programie „60 minut”. — Peterson chce dorwać Crim-minsa i nic na tym świecie go nie powstrzyma.

— Ale ja naprawdę chcę pomóc — zapewnił go Pellam. — Nie chciałbym być tym „WS-em”, ale...

Oczy Buffetta rozbłysły. Zaczął się śmiać.

— Co w tym takiego śmiesznego? — obruszył się Pellam.

— Ktoś nazwał pana „WS-em”?

— Pańscy kumple. Ci dwaj z dochodzeniówki.

— Gianni i Hagedorn. — Buffett znowu się roześmiał. — Nikt panu nie powiedział, co to znaczy?

— Powiedzieli tylko, że tak się nazywa świadka, który nie chce współpracować z policją.

— Pellam, niech pan nie wierzy we wszystko, co mówi policja. To znaczy „wał

się"!

— Bardzo śmieszne. Naprawdę, cholernie śmieszne. Buffett nie przestawał się śmiać. Po chwili również wargi Pellama wygięły się lekko w górę i roześmiał się głośno. — „WS”. Muszę przyznać, że to dobre!

— Niech pan posłucha, Pellam. Mam dla pana propozycję. Chciałbym, żeby wyświadczył mi pan przysługę. Zrobi pan to, a ja powiem naszym, żeby się od pana odczepili. W sprawie federalnych nic nie poradzę, ale gliny z Maddox mnie posłuchają.

— Mógłby pan to zrobić?

— Ma pan moje słowo.

— Co to za przysługa?

— Nic wielkiego. Chciałbym, żeby przyniósł mi pan coś z domu.

— Ja?

— Jeśli to nie kłopot.

— Nie, chyba nie. — Buffett zauważył, że wzrok Pellama zatrzymuje się na jego obrączce. — Zapytał: — A żona nie może tego załatwić, kiedy następnym razem przyjdzie z wizytą?

— Chodzi o to — odparł Buffett, a jego zdeterminowane i rozradowane spojrzenie przeniosło się z twarzy Pellama na śnieżący

ekran telewizora — że moja prośba mogłaby ją zdenerwować.

To było nieduże osiedle parterowych domków, każdy z trawnikiem wielkości paczki papierosów, pięć minut jazdy od centrum Maddox. Zarówno budynki z ciemnej cegły, jak i trawniki, były schludne i starannie utrzymane. Miła okolica. Pellam miał wrażenie, że przejeżdżał już tędy w poszukiwaniu idealnego domu dla Tony'ego Sloana, spełniając jego kolejną zachciankę. Z pobliskiej autostrady dochodził ciągły, irytujący szum, który wypełniał powietrze, a wydobywający się z kilku kominów żółtawy dym wisiał ciężko ponad posesjami. Pellam zsiadł z motoru. Przystanął przed domem i jeszcze raz sprawdził adres. Na podjeździe obok stał zaparkowany biały nissan, a za nim brązowe kombi merkury na numerach rejestracyjnych z Illinois. Niewielki przydomowy ogródek był cmentarzyskiem uschniętych kwiatów. Właściwie zostały z nich same łodygi. Robiło to ponure wrażenie. Pellam nie znał się na ogrodnictwie, ale gdyby to był jego ogródek, zasadziłby w nim jakieś rośliny, które nie gubiłyby liści na zimę. Kręta, ceglana ścieżka zaprowadziła go na ganek. Zauważył coś je-

szcze: w przeciwieństwie do innych posesji, na trawniku przed domem nie walały się żadne trzykołowe rowerki ani zabawki. Nacisnął dzwonek. Żadnej odpowiedzi. Uchylił ramę z moskitierą i zastukał, używając do tego dużej, mosiężnej kołatki. Chwilę później drzwi się otworzyły. Przed nim stała szczupła brunetka o pociągłej, dość nijakiej twarzy i patrzyła na niego nieufnie. Pod trzydziestkę. Nieskazitelna cera. Ale wystarczyło na moment odwrócić wzrok, żeby zapomnieć, jak wygląda.

— Pani Buffett?

— Tak? — Otworzyła drzwi na tyle, na ile pozwalał jej na to ciężki, mosiężny łańcuch. Ze środka doleciał go mdlący, słodkawy zapach — równie dobrze mógł to być odświeżacz powietrza, jak i tanie perfumy.

— Nazywam się John Pellam.

Zamrugła powiekami. Zaraz jednak skojarzyła. — Ach, tak, oczywiście. Donnie uprzedził mnie, że pan przyjdzie. — Oficjalny uśmiech. Nie przedstawiła mu się. Od Buffetta wiedział, że ma na imię Penny.

— Mam coś dla niego zabrać.

— Tak też mi powiedział.

Drzwi zamknęły się, by zaraz ponownie się otworzyć, tym razem już bez łańcucha.

Gestem zaprosiła go do środka. Wewnątrz zobaczył jeszcze dwoje ludzi. Domyślił się, że to jej rodzice. Kobieta wyglądała tak, jak Penny mogłaby zapewne wyglądać za jakieś dwadzieścia lat: szczupła, siwe włosy, piękna cera. I bardzo nieufna. Ojciec Penny miał około sześćdziesięciu lat, a jego różowa koszula z krótkimi rękawami skrywała zaokrąglony brzusek biznesmena. Oboje popatrzyli na Pel-lama pytająco. Przedstawił im się.

— Stan Brickell — odparł mężczyzna. — Jestem ojcem Penny. A to moja żona, Ruth.
— Kobieta skinęła Pellamowi na powitanie. Zdał sobie sprawę, że gdyby w tym momencie powiedział „Bardzo mi przykro”, chcąc w ten sposób wyrazić swoje życzliwe współczucie, mogliby odnieść wrażenie, że coś się stało i Buffett nie żyje. Zamiast tego zapytał więc: — Mieszkacie państwo w okolicy?

— W Carbondale.

Pellam skinął głową. — Widziałem się z nim jakąś godzinę temu. Z Donniem. Wyglądał całkiem nieźle.

— Służy pan razem z nim?

— Jestem jego znajomym.

Penny powiedziała: — Kilka razy wspominał mi o panu. *Naprawdę?*

— Co właściwie ma pan dla niego zabrać?

— Jakieś formularze. Do pracy.

Penny zachnęła się. — Przecież ja mogłam mu je przynieść.

— Ale po drodze mam je podrzucić do sądu karnego. Donnie mówił, że to strasznie ponure miejsce. — Było to kłamstwo, którego nauczył go Buffett.

— Mimo to mogłam je tam zawieźć. Gdyby Donnie mnie poprosił, zrobiłabym to. — W jej głosie brzmiała ogromna żarliwość.

W tym momencie Pellam zauważył zapaloną świeczkę. Była jakaś dziwna. Gruba, czerwona, prawie na metr wysoka, z zatkniętymi na górze amuletami. Musiała palić się już od dłuższego czasu; na czarnej podstawce zebrała się kałuża gładkiego wosku. U podstawy świecy zauważył dwa wbite pod kątem kadzidełka — to one wydzielały ową duszącą woń. Drzewo sandałowe, albo coś w tym rodzaju.

Przypomniało mu się liceum — lampy ultrafioletowe, Jefferson Airplane, pacyfy, które wtedy faktycznie były symbolem pokoju, i hipisowskie farbowane T-shirty, które nosiło się, bo były modne, a nie dlatego, że budziły nostalgię.

Rozejrzał się po salonie. Już sama świeca

powinna dać mu do myślenia; mimo to zaskoczył go widok zgromadzonej tam kolekcji obrazów, figurek oraz ikon. Wyłącznie o tematyce religijnej, w większości prymitywnie wykonanych. Pellam był ciekaw, czy to Penny była ich autorką. Były tam portrety rdzennych Afrykanów, wychudzonych ciemnoskórych mężczyzn i kobiet o przenikliwym, euforycznym spojrzeniu. Były też drewniane krzyże pochłapane ciemnoczerwoną farbą. Rysunki pentagramów, mapy gwiazdozbiorów i kryształy. Wielka szklana piramida, wewnątrz której znajdowało się coś skurczonego i żółtobrazowego. Wyglądało jak suszona morela. Podobnie jak większość obecnych w pokoju „dzieł sztuki”, również i piramida pokryta była grubą warstwą kurzu.

— Może miałby pan ochotę na kawę? — spytała Ruth.

— No tak, kawa. Napije się pan? ■— zreflektowała się Penny.

— Nie, dziękuję.

Ruth dodała: — To żaden kłopot.

— Naprawdę dziękuję. Nie mogę długo zostać. Jeśli można, chciałbym od razu zajrzeć do gabinetu Donniego.

Penny wskazała mu drogę.

Gabinet okazał się pomieszczeniem, które

dopiero zaczynało przypominać pokój pracy. Był bardzo mały. Ściany pokrywała cienka, jasnobrązowa boazeria; wzór na drewnie wyglądał jak korytarze wydrążone przez korniki. Tysiące małych dziurek, niczym ślady wypalone przez miniaturowe papierosy. Najprawdopodobniej Donnie kładł ją samodzielnie — z większości desek wystawały łebki nierówno wbitych gwoździ. W miejscu, gdzie boazeria sięgała sufitu, biegła około dwumetrowa ozdobna listwa. Kilka takich listew wciąż stało w rogu pokoju. Pellam pomyślał ze smutkiem, że długo potrwa, zanim remont zostanie ukończony.

Otworzył dolną szufladę biurka Buffetta. Odsunął na bok pudełko, o którym mówił mu Donnie, i znalazł to, czego szukał. Wsunął wypchaną kopertę do kieszeni kurtki. Wstając, usłyszał dobiegający z dołu kobiecy głos, w przejmujący sposób intonujący: — Ommmm...

Pellam zszedł na dół do salonu, gdzie siedziało troje ludzi, których na pierwszy rzut oka nie łączyło nic poza tą tragedią. Na podłodze przed świecą Penny zawodziła jednostajnie głosem mocnym i dźwięcznym, przypominającym odgłos silnika pracującego na niskim biegu. Nic nie mogłoby jej w tej

chwili powstrzymać. W oczach miała łzy. Siedziała na sposób japoński, z pośladkami spoczywającymi na piętach. Nuciała coraz szybciej:

— Ommmm...

Wtulona w oparcie kanapy Ruth obrysowywała krótkim, nie pomalowanym paznokciem wzór obicia w żółtą jodełkę. Stan rzucił ostro w jej stronę: — Zrób mi lepiej kawę. I kanapkę. Tylko tym razem nie przesadź z majonezem. Przedtem za dużo mi nałożyłaś.

Powieki Penny były przymknięte, a z jej warg niczym modlitwa wydobywał się ów miarowy, melancholijny dźwięk.

Pellam z nikim się nie pożegnał. Po prostu otworzył drzwi i wyszedł.

Początkowo zamierzał wstrzymać się z otwarciem koperty, dopóki nie wsiądzie na motor. Po paru krokach przystanął jednak, wyjął ją z kieszeni i sprawdził, co go tak uwiera w nogę. W jednym miejscu koperta przedarła się i przez dziurę wystawał kurek rewolweru Smith

& Wesson. Pellam przykrył go szybko formularzami raportów posterunku policji w Maddox i podszedł do swojej yamahy.

W cukierni U Gennaro powietrze pełne było

unoszących się drobinek kurzu. Philip Lombro przez dłuższą chwilę śledził lot jednej z nich, po czym ponownie skierował uwagę na Ralpa Balesa.

— Nawet nie ruszyłeś swojej *cannoli**.

— Jest świetna. Bardzo mi smakuje, naprawdę — zapewnił go Ralph Bales. Jak na zwalistego faceta, który uwielbiał steki, makaron i hamburgery, przejawiał on dziwny brak upodobania do deserów. Nieraz zastanawiał się, dlaczego przy tego typu robocie tak często łąduje w restauracji, jedząc słodczyce i popijając je kawą albo herbatą. — Zawsze wolno jadłem. Moja żona...

— Jesteś żonaty? — przerwał mu zaskoczony Lombro.

— Byłem. Ona kończyła cielecinę, a ja ciągle jeszcze miałem pełny talerz. Zdrowiej jest wolniej jeść. Trzeba dokładnie przeżuwać każdy kęs, nawet pięćdziesiąt razy. Co prawda sam tego nie robię, ale wiem, że powinno się tak robić.

Zauważył, że cukierni brakowało autentyczności. W niczym nie przypominała tych, które pamiętał z dzieciństwa. Przed wszystkim była bardzo czysta; poza tym ekspedientki miały na sobie żółto-brązo-we kelnerskie fartuszki, a wystawione w

szklanych, przejrzystych witrynach miniaturowe ciasteczka wyglądały jak pierścionki i naszyjniki w dziale jubilerskim eleganckiego domu towarowego w St. Louis. Nie podobało mu się to. Cukiernia powinna być ciemna, urządzona w drewnie, a ciastka powinny leżeć za brudnym, popękany szkłem. Jej wnętrze powinien wypełniać zapach drożdży, a cholerne *cannoli* nie powinny kosztować aż trzy siedemdziesiąt pięć za sztukę.

Lombro pokiwał głową z umiarkowanym zainteresowaniem. — Moja bratowa robi doskonałe *cannoli*. O wiele lepsze niż te tutaj. Mam wrażenie, że za szybko napełniają je kremem. Tak się nie robi... Ale mówiłeś, że znalazłeś naszego świadka.

— Zgadza się.

— Jak się nazywa?

Ralph Bales spodziewał się tego pytania. —

Peter James. — W książce telefonicznej

* Sycylijski przysmak przypominający rurkę z kremem.

miasta St. Louis dwudziestu siedmiu ludzi fi-gurowało jako Peter, Pete, albo P. James. Poza tym takie nazwisko łatwo było przekręcić. Jak mówiłeś? James Peters? Jim Peters?

Lombro przyjrzał się uważnie swojej serwetce

i odłożył ją z powrotem na kolana. — I co, rozmawiałeś z nim?

— Tak. Odbyliśmy poważną rozmowę — odparł cicho Ralph Bales. I zaraz wyrecytował kolejną wyuczoną kwestię: — Nieźle się wystraszył, kiedy mnie zobaczył. Ale zgodził się pójść nam na rękę.

— Pójść na rękę?

— To znaczy...

— Wiem, chce pieniędzy. W zamian za to mnie nie wyda.

— Rzeczywiście tak to mniej więcej ujął. Lombro pociągnął łyk kawy, oparł się wygodnie na krześle i założył nogę na nogę w taki sposób, że stopa opierała się na kolanie. Wyglądał zupełnie jak mafijny don. — Wierzysz mu?

— No, wie pan...

Lombro przerwał mu: — Chodzi mi o to, czy dotrzyma słowa, jeśli mu zapłacę?

Ralph Bales namyślał się przez chwilę, po czym powiedział: — W takich sprawach nigdy nie można być niczego pewnym... — Tej kwestii sobie nie przećwiczył, mimo to spodobała mu się. — Ale moim zdaniem ten facet nam nie zagraża. Nie jest zawodowcem. Boi się i myślę, że dotrzyma słowa.

— Czym się zajmuje?

Tego pytania Ralph Bales się nie spodziewał. Wzruszył ramionami i przez dłuższą chwilę popijał kawę. — Ma jakąś robotę w St. Louis. Dokładnie nie wiem. Komputery czy coś w tym rodzaju.

— A co właściwie oferuje w zamian?

— Podał pański rysopis. Zgadza się co do joty. Mówi, że zajrzał przez okno do samochodu i dobrze pana zapamiętał.

Lombro dotknął swojej siwiejącej skroni, jakby ta wiadomość przyprawiła go o ból głowy. — A dlaczego nie powiedział o mnie policji? To pytanie Bales akurat przewidział. — Już mówiłem, że się bał.

— Groziłeś mu?

Ralph Bales dziobał widelczykiem ciastko.

— Groziłeś, pytam? — powtórzył surowo Lombro.

— No... hm, dałem mu tylko do zrozumienia, że nie jesteśmy zadowoleni z tej sytuacji. Powiedziałem, że jak będzie trzeba, jesteśmy gotowi posunąć się do ostateczności. Wie pan, negocjowałem, żeby zbić cenę. Ale, jak już mówiłem, nie zrobiłem mu żadnej krzywdy.

— I udało się?

— Co?

— Zbić cenę.

— Niestety, nie bardzo.

— Ile chce?

Ralph Bales przestał dłużyć w ciastku i włożył sobie do ust spory kęs. — Pięćdziesiąt tysięcy.

— Hm...

Zgodnie z przygotowanym zawczasu scenariuszem Ralph Bales policzył w myślach do dwunastu. Potem dodał z powagą: — Wiem, że moje zdanie pana nie interesuje, ale mógłbym to inaczej ułatwić. — To zdanie miało ułatwić Lombro przełknięcie kwoty pięćdziesięciu tysięcy.

— Koniec z zabijaniem. Zabraniam ci. *Zabraniam ci.* Ralph Bales próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz słyszał od kogoś takie słowa. Może od księdza w szkole. *Zabraniam.* Tak mówiło się w starych, czarno-białych filmach.

— Ja tylko chciałem przedstawić panu inne wyjście.

— To nie jest wyjście.

Philip Lombro dokładnie wytarł usta kwadratową, papierową serwetką, a kiedy uporał się z okruchami ciastka, wziął jeszcze jedną serwetkę i przetał nią obcas swojego buta. Potem zadał jeszcze jedno pytanie, którego Ralph Bales się nie spodziewał,

choć w zasadzie było to jedno z tych pytań, które nie wymagają żadnej odpowiedzi: — Domyślam się, że chce też, abyśmy zapłacili mu w banknotach o niskich nominałach?

Halo, halo...

Donnie Buffett otworzył oczy.

Nad nim stał John Pellam i bacznie mu się przyglądał. Buffett wolno wciągnął powietrze.

— Siemasz, szefie.

— Dobrze się czujesz? — W oczach Pellama pojawił się wyraz z troską.

— Tak. Ja tylko... To takie ćwiczenie.

Podobno ma uspokajać. Ale chyba na mnie nie działa.

— Piwo powinno zadziałać. Chcesz jeszcze jedno?

— Pewnie, że chcę.

Tym razem oprócz wilgotnej papierowej torby Pellam trzymał jeszcze w ręce grubą, białą kopertę. Buffett zauważył najpierw ją, a dopiero potem torbę.

Pellam zamknął drzwi. Buffett rzucił: —

Tutejsze przepisy tego zabraniają.

— Tak? A co, jesteś gliną? — Otworzył dwie puszkę fostera. Buffett z przyjemnością popatrzył na niebiesko-czerwone logo. —

To rozumiem! Zaraz będę w lepszej formie...

— Jesteś pewien, że ci to nie zaszkodzi?
Przy tych wszystkich lekach, które bierzesz?
Buffett pociągnął trzy solidne łyki. — Oooch —
jęknął. — Jestem w raję.
Pellam usiadł na krześle. W ręce nadal
trzymał kopertę. Buffett wpatrywał się w nią.
— Donnie... Hm, twoja żona...
— Mówiła coś o tym? — Ruchem głowy
wskazał kopertę.
— W ogóle jej nie widziała.
Buffett pociągnął kolejny łyk. Nie patrzył na
Pellama.
— Kiedy wychodziłem, coś jakby... nucila.
Policjant przyjrzał się z bliska puszcze. —
Wiem, czasami jej się to zdarza. Takie ma, no
wiesz, hobby.
— W Kalifornii to mnóstwo ludzi medytuje.
— Kochana z niej dziewczyna. I świetnie
gotuje. Jakbyś chciał pogadać o makaronach,
Penny jest prawdziwym ekspertem. Potrafi
przyrządzić każdy rodzaj. Do tego podaje biały
sos z małży. Znasz kogoś, kto potrafiłby zrobić
biały sos z małży?
— Poznałem też Stanę i Ruth.
— No tak. Są w porządku. — Buffett
rozejrzał się po sali. — Nie mamy zbyt wielu
wspólnych tematów. Ale Stan to przyzwoity
gość.

— Sprawia takie wrażenie. A z twoją żoną wszystko w porządku, Donnie?

— Jak to — w porządku?

— Chodzi o to, że nie tylko nuciła, ale paliła jeszcze tę świeczkę...

Buffett roześmiał się, chociaż wiedział, że oczy ma poważne. Odparł: — Jest trochę przesadna. Pamiętasz, jak to było z Reaganem? Nancy miała własnego astrologa. W dzisiejszych czasach sporo ludzi interesuje się takimi rzeczami. Kryształami i tak dalej. — Sięgnął do stolika i podniósł z niego przezroczysty, zielony kamień. — Zieleń ma mnie podobno uzdrowić. Penny mi to przyniosła. — Załamał mu się głos, więc przełknął ślinę. — Mam go zawsze przy sobie nosić. Pomyślałem jednak, że jak szefostwo odkryje, że lecę się u szamanów, to nie dostanę krzyża zasługi. — Znowu się roześmiał. Śmiech szybko przerodził się w płytki kaszel. — Kazali mi się przewracać z boku na bok. W przeciwnym razie to głównie zaczyna zalegać mi w płucach. — Jego twarz znieruchomiła i spochmurniała. — Poza tym dużo ćwiczę. — Wskazał Pełlamowi zawieszoną nad łóżkiem gumę. — Ani się obejrzysz, jak wrócę do dawnej formy.

— Czyli koszykówka na wózku?
— Skopię ci tyłek, zobaczysz.
— Ja nawet nie gram w kosza —
uśmiechnął się Pellam. Buffett znowu spojrzał
na kopertę. — Widzę, że znalazłeś, o co cię
prosiłem.

Pellam podał mu kopertę. — Trochę
sfatygowany. Policja w Mad-dox tak krucho
przędzie?

Buffett wyciągnął broń z koperty i z czułością
wziął ją do ręki. Otworzył magazynek i
przeliczył naboje. Aż pięć razy przeczytał wy-
grawerowany okrągłymi literami napis
„Remington”. Wyglądało na to, że nie
dosłyszał pytania, ale po chwili odezwał się:
— To trefna broń.

— Co to znaczy? — spytał Pellam.

— Broń z usuniętym numerem seryjnym.
Nie do namierzenia. Czasami przy okazji
nalotów na narkotykowych dilerów znajdujemy
całe mnóstwo takich trefnych gnatów. Można
sobie wtedy coś wybrać i trzymać na wszelki
wypadek.

— Jako zapasową broń?

Buffett zakręcił bębenkiem i odparł: — No cóż,
ja traktuję ten rewolwer jako zapasowy. Ale
mnóstwo gliniarzy wykorzystuje trefną broń w
innych celach. Kiedy na przykład w ciemnym

zaułku atakuje ich jakiś dupek, każą mu się zatrzymać, a on nie słucha... — Buffett umilkł, jak gdyby to, co właśnie powiedział, było wystarczającym wyjaśnieniem.

Pellam niepewnie pokręcił głową.

Buffett ściszył głos: — Nie rozumiesz?

Zdejmujesz gościa ze służbowej klamki, a do ręki wkładasz mu tę trefną. Kiedy cię potem przesłuchują, mówisz, że strzelałeś, bo napastnik był uzbrojony. — Zauważył, że się poci, i wytarł sobie twarz.

— Często tak się dzieje?

— Zdarza się. Góra doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Problem w tym, że kiedy człowiek ginie z bronią w rękę, jego dłoń automatycznie się na niej zaciska. Taki odruch. Dlatego tak trudno znaleźć odciski palców denata na podrzuconej broni. Komisja dyscyplinarna zawsze coś podejrzewa, ale dopóki ta sama historia nie powtarza się zbyt często jednemu gliniarzowi, wtedy z reguły staje po naszej stronie. — Popatrzył na Pellama. — Dzięki za to, co dla mnie zrobiłeś.

— Naprawdę myślisz, że ten, kto do ciebie strzelał, może wrócić i znowu spróbować? Tutaj, w szpitalu?

— Po prostu będę się z tym czuł bezpieczniej. — Ruchem głowy wskazał

rewolwer.

— Rozumiem. — Pellam dokończył piwo.

— Szkoda, że nie przyniosłem też orzeszków.

Buffett odstawił swoją puszkę. — Chyba skurczył mi się żołądek. Dawniej potrafiłem wypić na raz trzy takie jak ta.

— Jeszcze będziesz...

Oczy Buffetta błysnęły. — Nie mów tak. Nie znoszę tego.

— Czego?

— Gadania, że wszystko jeszcze będzie dobrze. Wszystko się ułoży. Moja matka tak mówiła: „wszystko się ułoży”. I „nie ma tego złe-go ...

Pellam wzruszył ramionami. — To ty pierwszy zacząłeś narzekać na swój spust. Ja tylko chciałem powiedzieć, że...

— No to lepiej nic już *nie mów*, okej?

— Jasne, jak chcesz.

— Właśnie tak chcę.

Przez dłuższą chwilę żaden z nich się nie odzywał. W końcu Buffett powiedział: —

Słuchaj, Pellam, przepraszam. Za bardzo mi pobłażasz. Już dawno powinieneś posłać mnie do diabła. I jeszcze mi solidnie przyłożyć...

— On nie, nigdy nie uderzyłbym faceta z rewolwerem.

- Wiesz, jestem zmęczony... Chyba powinienem się zdrzemnąć. Później trochę podzwonię, tak, jak obiecałem. Powiem chłopakom, żeby zostawili cię w spokoju.
- Dzięki. I tak miałem już iść. Mam dzisiaj randkę.
- Randkę?
- Z tutejszą dziewczyną. Tą blondynką, którą poznałeś.
- Sprytnie, Pellam, naprawdę sprytnie. Obiecujesz panience rolę w filmie, a potem, ani się obejrzy, robisz jej casting do rozbieranych scen. Ech, wy faceci z Hollywood.
- Zupełnie nie trafiłeś. Ta tutaj nie cierpi filmów.
- Nie cierpi filmów? Jak ona miała na imię? Nancy?
- Nina.
- Niezła z niej sztuka.
- To fakt — przytaknął Pellam i ruchem głowy wskazał szpitalny korytarz. — Jej matka miała operację, czy coś w tym rodzaju. — Spojrzał na rewolwer. — Sam mam taki w domu. Czasami lubię sobie postrzelać... Buffett skinął nieuważnie głową. Był wyraźnie rozkojarzony. Przez cały czas wpatrywał się w

broń, wyobrażając sobie, jak to będzie, kiedy kula przeszyje mu mózg. Na jak długo zachowa zdolność myślenia? Co wtedy zobaczy?

Pomyślał: „Pieprzyć to. Już się nie boję”.

Podniósł nieprzytomny wzrok na Pellama. — Co mówiłeś?

Pellam, który zdążył tymczasem opowiedzieć mu historię swojego sławnego przodka, cierpliwie ją powtórzył.

Na moment w oczach Buffetta zagościło

rozbawienie. — Dziki Bill Hickok? Nie gadaj!

— Tak brzmi rodzinna legenda. Jeśli nawet nie jest prawdziwa, to dzięki niej zainteresowałem się amerykańską historią. I zacząłem zbierać starą broń.

— Czym on strzelał? Czterdziestką piątką?

— Dziki Bill? Nie. Miał Navy Colta, kaliber 0,36. A ta twoja pu-kawka, ile ma cali? 3,57?

— Pellam wskazał rewolwer Smith & Wesson, który Buffett wciąż trzymał w dłoni.

— To cudo? Nie. To standardowy kaliber, trzydziestka ósemka.

— Mogę zobaczyć, jak leży w ręce?

Buffett podał mu broń kolbą do przodu i gdy Pellam ją oglądał, dodał: — I jeszcze jedno, stary. Czy mówiłeś mojej żonie coś na mój temat, kiedy się z nią widziałeś?

— Nie przypominam sobie. Może tylko tyle, że wydajesz się być w niezłej formie.

— Tak jej powiedziałaś? Dzięki.

Pellam wsunął nagle rewolwer do kieszeni kurtki. Buffett popatrzył na przebijający spod materiału zarys broni. — Co ty wyprawiasz? Pellam odparł: — Chyba go sobie zatrzymam. Na jakiś czas.

— Ej, nie wygłupiaj się. Dawaj go tutaj. — Buffett pomyślał, że Pellam żartuje.

— Przykro mi.

— Zwariowałaś?! Daj mi go zaraz!

— Wiesz, zastanowiłem się nad tym wszystkim — powiedział wolno Pellam — i moim zdaniem to się zwyczajnie nie trzyma kupy. Przed twoją salą przez całą dobę sterczy strażnik, a na dole szpitalna ochrona pilnuje wejścia. Nie sądzę, żeby jakikolwiek zamachowiec był na tyle głupi, żeby w takich warunkach próbować raz jeszcze...

— A kim ty jesteś, do cholery, żeby narażać moje życie?!

— Mam wrażenie, że właśnie *uratowałem* ci życie, Donnie. Buffett zamrugał powiekami.

Pellam dodał: — Co tak naprawdę zamierzałaś zrobić z tym rewolwerem?

— Oddaj mi go!

— Co chciałaś z nim zrobić?

— Oddawaj moją pieprzoną broń! — ryknął Buffett. I zaraz wyrzucił z siebie wściekle: — Równie dobrze mógłbym podciąć sobie żyły! Mógłbym przedawkować leki!

— No to zrób to. Ja nie mam zamiaru ci w tym pomagać.

— To *mój* rewolwer! — wrzasnął Buffett. — Błagam... — Z oczu pociekły mu łzy. Otarł je ze złością. Przygarbił się i opuścił bezradnie rękę.

— Na pewno jest ci ciężko — odezwał się Pellam. — Ale wcale nie musisz tego robić. — Dotknął swojej kieszeni.

— Nic nie rozumiesz — wyszeptał Buffett. — Już nigdy nie będę chodzić! Nigdy więcej nie będę się pieprzył z kobietą. Nigdy. I nigdy nie będę miał dzieci. Ty tego nie zrozumiesz!

— To, że teraz tak się czujesz...

— Jak się *czuję?* — krzyknął Buffett. — Skąd *ty* możesz wiedzieć, co czuję? Skąd do cholery możesz to wiedzieć?

Pellam wolno wypuścił powietrze z płuc. Przez chwilę znosił wyraz rozpaczliwej bezradności malujący się na twarzy policjanta, po czym powiedział: — Będę w mieście jeszcze przez tydzień. Jeżeli po tym czasie nadal będziesz chciał odebrać swój rewolwer, nie ma sprawy. Dostaniesz go z powrotem.

— Tak? A co się może zmienić przez tydzień? — warknął Buffett. — Nadal będę leżał w łóżku z odleżynami na dupie, nadal będę szczał przez rurkę, moja żona nadal będzie gadać z gwiazdami, a kumple nadal będą się bali mnie odwiedzać.

— Za tydzień.

— Oddawaj go!

Pellam otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

— Za tydzień — powtórzył.

Nie było to miejsce, w którym chciałby być pochowany. Osobiście Philip Lombro wybrałby bardziej urozmaiconą okolicę: drzewa, wzgórza, skały wyrastające z ziemi na podobieństwo Stonehenge. Uznał jednak tę zachciankę za niemądrą. Nie znał żadnego cmentarza, na którym z ziemi wystawałyby korzenie drzew i skały, a grunt był nierówny. Cmentarze stanowiły taką samą inwestycję, jak każda inna nieruchomość, a śmierć musiała przynosić korzyści finansowe. Cmentarz położony na obrzeżach Maddox przypominał teren typowej dla Środkowego Zachodu, zbudowanej z prefabrykatów szkoły podstawowej. Na jego tyłach widać było osiedle pastelowych domków o jednakowym wyglądzie. Na każdym podwórku rosły po dwa młode klony w koronie barwnych liści,

delikatnych i drżących jak drzewa z gąbki, które kupował swoim bratankom w komplecie z zestawami miniaturowych kolejek.

Lombro zaparkował na skraju żużlowego podjazdu i wysiadł ze swego lincolna. Wolno przeszedł kilka kroków po niskiej trawie. Niektóre płyty nagrobne zapadły się w rogach. Lombro czuł się nieswojo, zaglądając w te ciemne, wąskie szczeliny; był ciekaw, czy przyświecając sobie latarką, można by w dole dostrzec wieko trumny. Ta myśl go przeraziła. Nie cierpiał tego cmentarza i był wściekły na brata za to, że wykupił kwaterę tutaj, zamiast w Mount Pleasant, gdzie pochowani byli ich rodzice.

Dzień był mglisty, słoneczny i gorący. Babie lato, pomyślał, chociaż nigdy nie wiedział, co to właściwie znaczy. Czyżby była to metafora nawiązująca do drugiej młodości kobiety, kiedy ta ma szansę ostatni raz zrobić użytek ze swoich wdzięków, zanim nadejdzie jesień jej życia? Jednak takie wytłumaczenie wydawało mu się zbyt górnolotne i zbyt wulgarnie, jak na tak niewinnie brzmiące określenie. Najeżony przystrzyżonymi krótko chwastami trawnik szeleścił pod jego stopami; Lombro zauważył, że buty pokryła mu warstewka pyłu z pokruszonych suchych liści.

Pochylił się i dotknął trawy. Była nieprzyjemnie sztywna; łodyżka dmuchawca okazała się jedyną miękką rzeczą, jaką poczuł pod palcami. Wyprostował się i ruszył w stronę grobu.

Miał na sobie ciemny garnitur i silnie się pocił. Mimo to nie chciał zdejmować marynarki.

Jego zdaniem zmarli zasługiwali na to, aby okazywać im bezwzględny szacunek.

Cmentarz świecił pustkami. Było jeszcze wcześniej, a dzień powszedni; tu i ówdzie krzżeli się tylko najwytrwalsi żałobnicy. Dwie starsze kobiety stały, trzymając się pod rękę, nad wiekowym grobem bez pomnika, oznaczonym jedynie niedużą, pociemniałą, metalową tabliczką. Lombro przypomniał sobie, że wszystkim weteranom przysługiwała taka tabliczka. Zastanawiał się, czy kobiety oplakują ojca, który zginął pod Verdun, męża poległego w Normandii czy syna zabitego w Da Nang.

Kiedy wreszcie stanął przy grobie, nie doświadczył żadnego z uczuć, jakich się spodziewał. Nie zapłakał. Czuł oszołomienie, ale żadnego wzruszenia, jak nieśmiały mężczyzna, który martwieje w obecności przepięknej kobiety. Popatrzył w dół, na świeżo rozkopaną ziemię. Zdawał sobie

sprawę, że spychają ją do grobu buldożerami, i cieszył się, że na gliniastym podłożu nigdzie nie widać śladów stóp. Kamień nagrobny był wykonany z szarego marmuru i tak gładko wypolerowany, że odbijały się w nim ciemne, zwiędłe kwiaty.

Lekki wiaterek poruszył zieloną bibułą spowijającą wiązanekę, którą trzymał w ręku. Całkiem o niej zapomniał. Położył ją na ziemi, po czym doszedł do wniosku, że deszcz rozmoczy papier i nie będzie to dobrze wyglądało. Zdjął z kwiatów bibułę i wetknął ją do kieszeni.

Zawrócił do samochodu. W tej samej chwili dotarło do niego, że nigdy dotąd nie bał się działać zdecydowanie. Postępując w ten sposób, dorobił się sporego majątku i stał się podporą swojej rodziny, powszechnie szanowanym człowiekiem budzącym — rzecz jasna w pewnych kręgach — respekt i lęk. Mimo to uważał, że to, co zrobił — zabójstwo Vincenta Gaudii — odmieniło go. I to diametralnie. Nie dlatego, że sam czyn był tak brutalny; nie należał on do sfery jego życiowych doświadczeń. Wprawił w ruch ludzi i siły, nad którymi nie potrafił zapanować i których działań nie był w stanie przewidzieć. Pistolet, który upadł na posadzkę w łazience

restauracji Orsini — pistolet Ralpa Balesa — i który połączył ich ze sobą, stał się pierwszym ogniwem długiego łańcucha koszmarnych reakcji, w których efekcie czuł się teraz mały i bezsilny.

Lombro oparł się o samochód. Łagodny wietrzyk niósł skwierczące od upału, suche powietrze. Zauważył zbliżający się drogą wóz Ralpa Balesa; przez poszarzałą przednią szybę widać było toporną głowę kierowcy. Lombro sięgnął do kieszeni i wyjął z niej żółtą kopertę z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów. Chciał, żeby ich spotkanie było tak krótkie, jak to tylko możliwe.

Żałował, że napatoczył im się ten świadek. Żałował, że w ogóle spotkał na swojej drodze Ralpa Balesa.

Ale najbardziej ze wszystkiego Philip Lombro żałował, że leżący naokoło niego zmarli, spoczywający nieruchomo w tej wyrównanej, oczyszczonej z korzeni i skał ziemi, nie mogą powstać naraz jak jeden mąż, śmiejąc się i gawędząc ze sobą, jakby wcale nie umarli, a tylko zostali ukołysani do płytkiego snu przez cudowną ciszę tego niespotykanie ciepłego popołudnia.

Po kilku godzinach jeżdżenia w tę i z powrotem wzdłuż brzegów Missouri i jednego

z dopływów Missisipi Pełtam znalazł wreszcie pole, na którym miał się rozegrać ostatni akt dramatu Rossa i Dehlii.

Kręcili się to tu, to tam, ruszali z miejsca, przystawali i Pełtam zaczynał już na dobre tracić nadzieję. Mijali parki stanowe, przydomowe ogródki, przejazdy kolejowe, pastwiska schodzące w dół ku rzece, podmokłe łąki, ciągnące się wzdłuż drogi niskie murki z czarnego i szarego tłuczonego kamienia. Nic, co dałoby się sfilmować. Przed sobą na desce rozdzielczej miał rozłożony liścik od scenografa, w którym ten ostatni błagał go o znalezienie właściwej lokalizacji w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, zaś na miejscu dla pasażera wygodnie oparta siedziała Nina Sassower. Starając się nie zwracać uwagi ani na nią, ani na list, Pełtam pokonał zakręt, wjechał pomiędzy gęsto rosnące dęby i klony i z piskiem opon zatrzymał samochód.

— Myślę, że to jest to.

Na przestrzeni pięciu akrów rozciągało się porośnięte bujną roślinnością pole, okolone rzędami gęstych drzew, których korony właśnie zaczynały zmieniać kolor — niektóre liście trzeba będzie pomalować sprejem albo przykryć specjalną zieloną siatką (akcja filmu

rozgrywała się w czerwcu). Fasadę kościoła się wybuduje (pierwotne życzenie Sloana, aby w strzelaninie wzięły udział dzieci z pobliskiej szkoły, zdezaktualizowało się w nowym przyptywie natchnienia reżysera; według najnowszej, bardziej oryginalnej wersji, niewinnymi ofiarami mieli być przypadkowi wierni). Na tym kończyły się niezbędne modyfikacje.

Trawa rosła wysoko. Asfaltowa droga wiała się łagodnie pomiędzy polem a brzegiem rzeki — trzymetrowym kamiennym urwiskiem obmywanym w dole przez mętne wody Missouri. Pellam wysiadł i zrobił ze dwa tuziny zdjęć, po czym wrócił do szoferki. Ponownie uruchomił silnik i zawrócił do miasta.

— Czym to pole różni się od innych? — zapytała Nina z ciekawością. — Tym, że mniej na nim różnych śmieci?

— Uhm — mruknął, w duchu uznając, że nie potrafi jej tego wytłumaczyć.

— Oczywiście nie twierdzę, że to *nie jest* ładne pole — dodała szybko, być może odbierając jego milczenie jako wyraz rozczarowania jej wcześniejszym pytaniem. Pellam zauważył, że zainteresowanie Niny filmem ostatnio znacznie wzrosło. Być może miało to związek z jej nową pracą. Wszyscy

mówili, że jest naprawdę świetną charakteryzatorką. Niewykluczone, że wpłynął też na to fakt, iż Nina przeczytała pożyczoną od Pellama ostateczną wersję poprawionego scenariusza „Missouri River Blues”.

Egzemplarz, który dostała, przypominał notatnik studenta pod koniec pracowitego semestru: pełen pozaginanych i pokreślonych kartek, każdej w innym kolorze, z kolejnymi wersjami poprawek wprowadzonymi przez Danny'ego. Przeczytanie całości od początku do końca wymagało cierpliwego przedzierania się przez te zapiski. Mimo to przez całe popołudnie Nina nie mogła się oderwać od scenariusza.

Co więcej, wzruszył ją do łez.

W milczeniu wracali do Maddox; w pewnym momencie Pellam zerknął na Ninę i zauważył, że kobieta ma wilgotne oczy.

Zamknęła właśnie scenariusz, mówiąc: —
Przepraszam cię, ale to takie smutne.

John Pellam od dawna niczym się nie wzruszał i już nie pamiętał, kiedy ostatni raz płakał na jakimś filmie. Nina wpatrywała się w szosę niewidzącym wzrokiem. — Niedawno straciłam kogoś bliskiego.

Pellam wymamrotał kilka słów współczucia. —
Kto to był? — zapytał.

Pograżona w myślach nie dosłyszała jego pytania i musiał je powtórzyć.

— Moja ciotka. Miała już swoje lata, ale...

To był wypadek samochodowy. — Urwała.

Zgodnie z nową wersją zakończenia wymyśloną przez Danny'ego, w ostatniej scenie filmu widzowie mieli zobaczyć zwolnione ujęcie pac-karda Rossa spadającego z urwiska do rzeki.

— I zaraz po jej śmierci poczułam nagle ogromną chęć... Nie, to nie była chęć, ale *potrzeba* wyrażenia swoich uczuć słowami. Ludzie często zwierzali się Pellamowi i powierzali mu swoje tajemnice. Działo się tak wszędzie, gdziekolwiek by nie pojechał, i zdarzało się w najmniej oczekiwanych momentach. Podejrzywał, że miało to związek z tym, że w każdym miejscu był tylko gościem. Jego rozmówcy otwierali się przed nim, a potem on wyjeżdżał, co stanowiło gwarancję, że ich sekrety nigdy nie wyjdą na jaw.

— Przeglądałam różne książki i wpadł mi w ręce pewien wiersz. „Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy”. Ta stara poezja jest niesamowita, nie uważasz? Mam na myśli to, że chociaż ten wiersz był taki sztywny i oficjalny, wszystko od razu do mnie dotarło.

— To rzeczywiście ładny wiersz. — Pełtam

wiedział, że jego autorem jest Dylan Thomas, ale nie pamiętał ani jednego słowa. Pozwolił prowadzić się sygnalizacji świetlnej. Nie wiedział, gdzie się dokładnie znajdują, ale uznał, że im bliżej centrum Maddox, tym powinno być więcej sygnalizatorów. Tam już łatwo będzie mu się zorientować w terenie. Kierował się zatem w stronę czerwonych, zielonych i żółtych świateł.

— Odczytałaś go na jej pogrzebie?

— Tak. Byłam zaskoczona, że tak dobrze to wypadło. Naprawdę dobrze. Wcześniej byłam pewna, że się rozplączę i wszystko popsuję. Ale nie rozplakałam się. Też to kiedyś zrobiłeś? Odczytałeś jakiś wiersz na pogrzebie?

Pellam wrócił myślami do ostatniej uroczystości żałobnej, podczas której mógł występować w roli mówcy. To było siedem lat temu w Santa Monica. Zmarły był jego najlepszym przyjacielem, aktorem, i nazywał się Tommy Bernstein. Ale Pellam nie przyszedł na jego pogrzeb.

Nina o nic już więcej nie pytała i przez dziesięć minut jechali w całkowitym milczeniu, a potem jeszcze przez chwilę krążyli po centrum Maddox. Pellam zatrzymał się w pobliżu przyczepy Tony'ego Slo-ana. Nie zgasił

silnika. O tej porze Sloan na pewno siedział przed ekranem przy stole montażowym i przeglądał robocze zdjęcia. Nie znosił, kiedy mu wtedy przeszkadzano. Pellam zostawił polaroidy wraz z krótkim opisem lokalizacji u mizernej, roztrzęsionej i długowłosej asystentki reżysera i wrócił do samochodu. Przejechali Main Street i zaparkowali przed małym sklepem spożywczym. Chcąc rozproszyć utrzymujący się ponury nastrój, Pellam rzucił pod wpływem nagłego natchnienia: — Wiem, arbuz. Kupmy sobie arbuza.

— Teraz? W październiku?

— Naszło mnie. Nic na to nie poradzę. Chodź.

W środku znaleźli plastikowe pojemniki z porcjowanymi cząstkami arbuza.

— Coś blado wygląda — zauważyła Nina.

Pellam zaczepił ekspedientkę: — Skąd sprowadzacie arbuzy w październiku?

— Z północy.

— A więc to eskimoski arbuz — zauważył, zwracając się do Niny.

— Przywożą je z Farmer's Market — dodała ekspedientka i machnęła ręką w stronę, gdzie — jak podejrzewał Pellam — miała się znajdować północ.

Poprosił jeszcze o jednorazowe widelczyki i serwetki.

Po wyjściu ze sklepu poszli w górę ulicy, wypluwając w dłoń pestki i wtykając je do ziemi w wielkich betonowych donicach, rozstawionych wzdłuż całego chodnika.

— W przyszłym roku — odezwała się Nina — trzeba będzie tu wrócić w porze zbiorów.

Pellam nie miał wobec niej aż tak dalekosiężnych planów.

Minął ich wolno jakiś ciemny samochód i przez moment Pellamowi wydało się, że czuje na sobie czyjeś baczne spojrzenie. Jego ręka, podnosząca do ust widelczyk, zastygła nieruchomo w powietrzu, on zaś patrzył, jak samochód przyspiesza i znika mu z oczu.

Zostawili za sobą centrum miasta.

Nina przystanęła przed wystawą sklepu oferującego wymyślne buty — wyszywane cekinami, ozdabiane błyszczącymi kamyczkami i sztucznym złotem. — Kto w Maddox mógłby mieć jakkolwiek powód, żeby kupić sobie takie buty?

— Zła Czarownica z Północy — zauważył.

— Chyba z Zachodu — poprawiła go. *Może więc mimo wszystko lubi kino.*

— No tak — odparł Pellam. — Zresztą podobała mi się tylko ta scena z trąbą

powietrzną.

— Wiesz, kiedy byłam mała, myślałam, że trąba powietrzna to prawdziwa trąbka, tyle że trochę większa. Kiedy w szkole odbywał się jakiś koncert, trzymałam się mocno poręczy, żeby nie dać się porwać jak Dorotka.

Pellam uśmiechnął się. Wzięła go pod rękę i na ułamek sekundy dotknęła policzkiem jego ramienia.

— Później z tego wyrosłam. Ale nadal nie czuję się zbyt pewnie na koncertach. Zawsze siadam z dala od sekcji dętej...

— Ładnie wyglądasz, kiedy się uśmiechasz
— powiedział.

Jego słowa starły uśmiech z jej twarzy.

Szybko jednak przywołała na wargi jego namiastkę i rzuciła krótko: — Dziękuję.

Właśnie wtedy odkryli fabrykę.

Pellam pierwszy zauważył budynek z czerwonej cegły, stojący w pewnym oddaleniu od ulicy. Otaczający go teren był tak zarośnięty drzewami, krzakami i wszechobecnym zielskiem, że widać było jedynie czubek wysokiej, kwadratowej budowli. Wysokie, zwieńczone eleganckimi łukami okna przesłaniały ozdobne kraty z kutego żelaza. Zachodzące słońce wpadało przez nie do środka, rzucając na ściany

ogromne plamy czerwonego światła. Pellam skręcił w wąską ścieżkę. Nina poszła za nim.

Wytwórnia maszyn gwintujących w Maddox od wielu lat była nieczynna. Budynek firmy miał w sobie jakąś dziwną szlachetność; przypominał nieco zamek — z ozdobnymi gzymsami i otaczającym go rowem, który prawdopodobnie powstał na skutek zapadnięcia się ziemi nad dawnym systemem kanalizacji, ale od biedy mógł udawać fosę. Zewnętrzną elewację budynku do wysokości jakichś dwóch metrów pokrywało niewyszukane graffiti, a metalowe drzwi frontowe oklejone było grubą warstwą kolejnych pokoleń ostrzeżeń o treści „Obcym wstęp wzbroniony”. W cemencie nad wejściem umieszczono metalowe ornamenty w stylu art deco, przedstawiające kwiaty lili i liście winorośli z wplecioną w nie nazwą firmy.

Nina zbliżyła się cicho i stanęła za plecami Pellama. Ogarnęła spojrzeniem fronton fabryki.— Jaki fajny stary budynek.

Pellam spróbował otworzyć frontowe drzwi. Zamek był od dawna popsuty, ale podwójne drewniane skrzydła wciąż zamykał wewnętrzny łańcuch. Pellam pchnął je z całej siły. Nie spoczął, dopóki pomiędzy drzwiami a

framugą nie utworzyła się około półmetrowa szpara. Wówczas wśliznął się do środka, schylając się i przechodząc pod łańcuchem. — Myślisz, że powinniśmy tam wchodzić? — spytała Nina, gdy jego but zniknął za progiem. Ponieważ nie doczekała się odpowiedzi, nieśmiało podążyła za nim.

Wewnątrz Pellam zatrzymał się na środku dębowej podłogi, pofalowanej i przez lata wycieranej podszwami robotniczych butów i kołami taczek. Po prawej stronie widać było ciemne pomieszczenia biurowe. Poręcze i framugi okien wykończono przy użyciu opływowej blachy aluminiowej. Nad ich głowami na spłowiałych malowidłach naściennych górowali muskularni robotnicy. Z lewej strony zwieńczone łukiem przejście wiodło do przepastnej hali, oświetlonej teraz na czerwono przez ostre promienie słońca wpadające przez pożółkłe, brudne okna. Sufit musiał znajdować się na wysokości chyba dwunastu metrów. Nina stanęła za Pellamem.

— To jest zbyt dobre, żeby tego nie wykorzystać — odezwał się do niej.

— Myślałam, że poza tamtym polem niczego już więcej nie potrzebujesz.

— Ten budynek świetnie się nada do innego filmu, nad którym pracuję. Skoczę tylko

po polaroida i zaraz wracam.
Kiedy Pellam zanurkował pod łańcuchem i zniknął za drzwiami, Nina podeszła do ściany w głębi pomieszczenia, gdzie — jak sądziła — majaczył w mroku stary kalendarz i kilka innych cennych rupieci, które warto by stąd wynieść przed najazdem ekipy filmowej. Okazało się jednak, że nie był to kalendarz, tylko plakat zespołu Bee Gees datujący się mniej więcej na rok 1975. Domyśliła się, że przed laty jakieś dzieciaki urządziły sobie w zrujnowanej fabryce tajemne miejsce spotkań. Na podłodze znalazła starą pustą puszkę po kociej karmie, z tuzin butelek po piwie i wypalone zapałki. Weszła do dużego, pozbawionego okien biura, w którym zachowało się jakieś urządzenie z błyszczącego, pomalowanego na zielono metalu, przypominające wyglądem olbrzymią maszynę do szycia. Mrużąc oczy, próbowała przeniknąć wzrokiem ciemność i przez dziesięć minut myszkowała po szufladach i szafkach. Znalazła piękną, wiekową skrzynię na pomarańcze, ale była za duża, żeby przeciągnąć ją przez ledwo uchylone drzwi. Nadciągnęły chmury i zakryły słońce, spowijając wszystko szarym cieniem. Nina poczuła chłód, któremu towarzyszył niepokój.

Szybkim krokiem wróciła tam, skąd przyszła. W głównym pomieszczeniu zatrzymała się. W pokrywającym dębowe deski kurzu wyraźnie odcisnęły się jej własne ślady, prowadzące do plakatu na ścianie i do sali z dziwną maszyną. Były tam też odciski butów Pellama, z charakterystycznymi, ostrymi noskami, które znikwały za zwieńczonymi łukiem frontowymi drzwiami.

Zobaczyła jednak jeszcze inne ślady.

Wiodły w głąb budynku, w stronę ciemnych teraz pomieszczeń biurowych. I były całkiem świeże.

Przestraszona, wciągnęła głęboko powietrze i spojrzała na arkadę, za którą znajdowały się uchylone drzwi. Trzydzieści metrów dalej.

Z których prawie dwadzieścia prowadziło obok tonących w ciemnościach pomieszczeń.

— John? — zawołała. Cisza. Żadnej odpowiedzi.

Strach przebiegł jej po plecach i ścisnął za gardło. Do oczu napłynęły łzy. Krok po kroku, bardzo powoli, żeby nie zbudzić uspiętej pani-ki, ruszyła w stronę wyjścia. Zauważyła, że trzęsie się jej podbródek.

Pokonała trzy metry, cztery. Sześć.

Usłyszała jakiś dźwięk, jakby czyjeś kroki.

— John? — Echo jej własnego

przerażonego głosu powróciło do niej z trzech różnych stron, jakby jakieś trio duchów postanowiło sobie z niej zadrwić. Teraz już łzy płynęły jej strumyczkiem po twarzy. Całą siłą woli powstrzymywała się, żeby nie przyspieszyć kroku.

Była już prawie pod łukiem. Przed sobą dostrzegła błysk łańcucha przy drzwiach. Widok ten dodał jej otuchy i zmniejszył nieco lęk. Pełtam powinien lada chwila wrócić.

Zdaży...

Czyjaś dłoń zakryła jej usta i mocno ją przytrzymała. Poczwała na wargach smak tytoniu i soli. Jakieś ramię opasało jej klatkę piersiową i uniosło ją. Ten ktoś powalił ją na ziemię, pozbawiając zupełnie tchu. Jęknęła boleśnie. Oddychała płytko, z trudem łapiąc powietrze. On tymczasem klęczał już przy niej i zbliżał twarz do jej twarzy.

14

Leżała na drewnianej podłodze; deski były zimne jak lód. Wąskie drzwi wpuszczały jedynie odbicie światła z głównego pomieszczenia, ona zaś znajdowała się w głębokim cieniu. Czuła odór śmieci, uryny i

pleśni oraz metaliczny smak swoich własnych łez. — Pomocy! — zawołała.

Jakiś mężczyzna wstał i zbliżył się do drzwi wejściowych. W tej chwili funkcjonowała jedynie racjonalna część jej umysłu i to ona doszła do wniosku, że napastnik po prostu ukradł jej torebkę i teraz wychodzi. Widziała jego ciemną sylwetkę na tle przytrzymywanych przez łańcuch drzwi, wyglądającą na zewnątrz. Zaraz jednak mężczyzna odwrócił się wolno i podszedł do niej. Ukucnął, a na jego twarz padł snop bladego światła. Miał na nosie okulary przeciwsłoneczne o różowawych szklach. Pod starannie ostrzyżonymi włosami wyraźnie widziała jego twarz. Był młody, był przystojny i był biały. Te trzy fakty zaskoczyły ją i sprawiły, że jej strach nieco zelżał. Na policzku miał duże, owalne znamię albo przebarwienie skóry. Drgnął, czując na twarzy światło. Nie spodziewał się, że ona go zobaczy. Jej strach powrócił. Teraz ją zabije, ponieważ go widziała... Jakkolwiek zamierzał ją skrzywdzić, potem z pewnością ją zabije. Przesunął dłoń po jej pobladyłym policzku. — Schowaj ręce pod siebie. Nie zrozumiała, co do niej powiedział, więc spokojnie powtórzył polecenie. Kiedy nadal

nie wiedziała, o co mu chodzi, pomógł jej, unosząc w górę jej biodra i wsuwając jej dłonie pod pośladki. Może chciał ją w ten sposób unieruchomić, żeby nie mogła go podrapać.

Następnie, nadal klęcząc, nachylił się nad nią i przyłożył usta do jej ucha. Nina wykręciła głowę w przeciwną stronę i wzdrygnęła się na myśl, że napastnik zaraz ją pocałuje. Czuła żar jego oddechu.

— Proszę — zawołała. — Niech mi pan nic nie robi!

— Mam wiadomość dla twojego przyjaciela. Nie słuchała go. — Błagam.

— Słuchaj!... Słuchasz mnie? Płacząc, skinęła głową.

— Pan Crimmins wie, że twój przyjaciel widział go tamtego wieczoru w samochodzie. Przekaż mu, że jeśli zgodzi się zeznawać, ja wrócę. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

— Ale o co...?

— Zrozumiałaś?

Nina powtórzyła: — Pan Crimmins...

— A jeśli wrócę... — Znowu dotknął jej policzka — to ci się na pewno nie spodoba. Jej ciałem wstrząsnęło łkanie.

— Nie ruszaj się stąd jeszcze przez pół godziny — rozkazał jej. — Leż, tak jak teraz.

— Wstał.

Nie usłyszała jego kroków, tak jak nie usłyszała brzęku łańcucha przy drzwiach wejściowych. Dlatego była pewna, że nadal tu jest, obserwuje ją, być może ukryty w mroku zaledwie parę metrów od niej. Wpatrywała się w daleki kwadrat brudnej szyby, błyszczącej w promieniach słońca i w otaczającą okno poświatę — małe kręgi czerwonego światła, które widziała przez łyży.

*

Znalazł ją siedzącą w kucki przed fabryką, wpatrzoną tępo w popękany od korzeni drzew chodnik pod swoimi stopami. — Nina?

Przez dłuższą chwilę nie podnosiła wzroku. Kiedy to wreszcie zrobiła, jej oczy były pełne łez. Wyczuł, że zbiera siły i zmusza się, aby zachować spokój.

— John... — Urwała i zaniosała się łkaniem. Drżała na całym ciele.

— Co ci jest? — Przykucnął tuż przy niej. Objęła go mocno i zaczęła się histerycznie trząść. — Był tu... jakiś mężczyzna.

Pellam zeszytniał. Chwycił ją za ramiona. — Co się stało?

Znowu łkanie. Musiał je przeczekać. Miał ochotę wydusić z niej odpowiedź, zmusić ją, żeby mu wszystko powiedziała. Jednak

cierpliwie czekał.

W końcu Nina odsunęła się od niego i gwałtownie potarła swoje ucho — w miejscu, gdzie dotknęły go wargi napastnika — tak jakby chciała wyszorować je do czysta. — On... nic mi nie zrobił. Przewrócił mnie tylko na ziemię.

— Zaraz wezwę policję. — Pellam spróbował wstać.

— Powiedziały... Kazał mi coś ci przekazać.

— Mnie?

— Powiedział, że pracuje dla człowieka, którego widziałeś, tego człowieka w lincolnie. I że jeśli powiesz coś policji, wtedy on wróci i... Mówił, że tamten nazywa się Crimmins. Poczuję, że ręce trzęsą mu się z wściekłości, a szyja pulsuje. Nie był w stanie tego kontrolować. Drżenie przeniosło się na jego szczękę i głowę, silniejsze od niego. Zamrugał powiekami. Oczy zaszły mu łzami gniewu. Nagle złapał go skurcz w żuchwie i zdał sobie sprawę, że przez cały ten czas zaciskał zęby.

— John...

— Wezwijmy policję. Pokręciła głową. — Nie.

— Jak to? Musimy to zrobić.

— Nie, John. Proszę cię. On mi nic nie zrobił. Właściwie nic. Ale strasznie się go boję.

Powiedział, że wróci. — Popatrzyła na niego okrągłymi z przerażenia i mokrymi od łez oczami. — Proszę cię, po prostu odwieź mnie do domu.

Pellam rozejrzał się po polu i zaroślach otaczających fabrykę. Przypomniał mu się tamten ciemny samochód, który zwolnił, mijając ich wtedy na ulicy. Miał w tym mieście samych wrogów, ale żaden z nich nie miał twarzy. Gdzie oni wszyscy byli? Przyszedł mu na myśl jego odległy przodek, Dziki Bill, który stawał do pojedynków z innymi rewolwerowcami twarzą w twarz i w odległości nie większej niż cztery metry od swojego przeciwnika (z wyjątkiem, rzecz jasna, ostatniego — tego, który z zaskoczenia strzelił mu w plecy).

— Jak on wyglądał? — zapytał.

Opisała mu go najdokładniej, jak umiała: kolor włosów, młody wiek, okulary z różowymi szklami. Po chwili zastanowienia dodała jeszcze opis spodni i kurtki. Nie pamiętała, jakie miał buty ani w jaką koszulę był ubrany.

— Jest jeszcze coś...

— Co takiego? — Pellam pomógł jej wstać.

— Na policzku miał czerwony ślad. Tak jakby duże znamię. Przypominało tę czerwoną plamę na Jowiszu. — Dotknęła swojego po-

liczka.

— Na Jowiszu?

— Na tej planecie — wyjaśniła Nina. — Czy teraz możesz odwieźć mnie do domu? Bardzo cię proszę.

eJa nie będę umawiał się na żadne spotkanie, do cholery!

Pellam pchnął z całej siły drzwi. Otworzyły się gwałtownie, uderzając o regał, aż jakiś wolumin, stojący niebezpiecznie blisko krawędzi półki, spadł z hukiem przypominającym odgłos wystrzału.

W progu Pellam stanął. Wpatrywały się w niego cztery pary oczu, w tym aż trzy z zaskoczeniem. Prokurator stanowy Ronald Peterson spokojnie przyglądał się, któż to zdecydował się tak wtargnąć do gabinetu. Pozostali, dwóch mężczyzn i kobieta, byli bardzo młodzi. Ich spojrzenia kursowały od intruza do Petersona i z powrotem.

Pellam zignorował ich obecność i rzucił: — Chcę z panem porozmawiać. Natychmiast.

— To zajmie mi dziesięć minut. Macie coś przeciwko temu, żebyśmy teraz przerwali? — zwrócił się Peterson do swoich zauszników. Było całkiem oczywiste, że jest ich szefem i nie mają w tej kwestii nic do gadania, a jedyna decyzja, jaką mogą podjąć, dotyczy tego, czy

przed wyjściem wypada im zabrać ze sobą papiery, czy też nie. Ostatecznie dokumenty zostały tam, gdzie były, a młodzież po cichu opuściła gabinet.

Pellam oparł dłonie na zagraconym blacie biurka, zdecydowanym ruchem odsuwając na bok nakręcaną sztuczną szczękę. Pochylił się do przodu. — Żądam ochrony dla siebie, moich przyjaciół i dla wszystkich członków ekipy filmowej. Właśnie napadnięto moją znajomą. *w tej chwili* pod jej drzwiami ma stanąć wasz agent! Mieszka w Cranston przy...

— Niech pan spocznie, panie Pellam. Pellam nie skorzystał z zaproszenia; popatrywał to na kolekcję nakręcanych zabawek, to w spokojne oczy prokuratora, małe i ciemne jak pestki oliwek. Peterson ponownie wskazał mu krzesło. — Bardzo pana proszę.

Pellam usiadł.

— Więc mówi pan, że pańska znajoma została napadnięta? Pellam opowiedział mu o wizycie w fabryce i o mężczyźnie ze znamiem.

— Crimmins. — Zatroskane spojrzenie Petersona przesunęło się po drżących za oknem kolorowych liściach. Po chwili warknął:

— Ten stary sukinsyn.

— Pańscy agenci poinformowali mnie, że wynajął zamachowca w Chicago, Detroit czy gdzieś tam. To on. To na pewno ten facet. Żądam ochrony.

— Ochrony?

— Agentów federalnych — wybuchnął Pellam. — No, wie pan, ochroniarzy.

— Szeryfów stanowych? Taka ochrona kosztowałaby podatników sporo pieniędzy.

— Macie przecież ten wasz program ochrony świadków...

— Ach, i tu dochodzimy do sedna sprawy. *Świadek* — to nasze słowo-klucz.

— Słuchaj pan, to nie jest zabawa. Zna pan jego nazwisko. Crimmins. Niech go pan areztuje.

Peterson odparł: — Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego ten człowiek miałby panu grozić, skoro w ogóle go pan nie widział?

— Problem polega na tym, że *on* nie wie, że nic nie widziałem. I skąd to wahanie? Podobno chce pan dorwać Crimminsa. Otóż właśnie mi groził i napadł na moją znajomą. Możecie go areztować.

— Ta napaść, która jak pan mówi...

Pellam zerwał się z krzesła. — Jak *ja mówię!*... Moja znajoma... Peterson uniósł w

górze otwartą dłoń. — Proszę mi wybaczyć. Mój błąd, przyznaję i przepraszam. Proszę, niech pan usiądzie. Pellam usiadł. Prokurator stanowy odezwał się urzędowym tonem: — Czego właściwie pan ode mnie oczekuje?

— Domagam się ochrony. Przecież już mówiłem.

— W zasadzie moglibyśmy przydzielić panu na jakiś czas jednego człowieka. Ale to, co się przydarzyło pańskiej znajomej, nie jest przestępstwem federalnym. To zwykła napaść. Jurysdykcja federalna nie obejmuje...

— Chce mi pan wmówić, że grożenie świadkowi w postępowaniu federalnym nie jest przestępstwem? — Urwał, widząc uśmiech na twarzy Petersona.

— I znowu wracamy do tego samego. Rozumie pan, co mam na myśli? Pan *nie jest* świadkiem. Nie podlega pan naszej jurysdykcji. Nic nie możemy w pana sprawie zrobić.

— Tacy jak wy uwielbiają kruczki prawne — mruknął Pellam. Peterson zawahał się na moment; być może nie był pewien, kogo powinien zaliczyć do kategorii „tacy jak wy”. — Chodzi o to, że nawet jeśli udałoby się go skazać za tę napaść, dostałby góra rok. A po

wyjściu z pudła dwa razy chętniej dobrałby się panu do skóry. Albo pańskiej znajomej.

— Bzdura.

Peterson nacisnął przycisk interkomu. W drzwiach stanęła kobieta w średnim wieku, w białej bluzce i jasnobrązowej spódnicy. — Słucham pana?

— Proszę mi przynieść akta Crimminsa.

— Całą dokumentację, panie Peterson?

— Nie, przepraszam, oczywiście, że nie.

Tylko pierwszą teczkę. Ze wstępnym rozpoznaniem. — Zerknął na Pellama. — Pan naprawdę nie wie, kim jest Peter Crimmins?

No to już panu mówię. Rosjanin w drugim pokoleniu. To znaczy Ukrainiec. W dzisiejszych czasach trzeba wyrażać się precyzyjnie. Zarobił kupę kasy w branży przewoźniczej i wiemy, że zainwestował ją w pranie brudnych pieniędzy na olbrzymią skalę. To jego podwładni wypowiedzieli wojnę jamajskiemu gangowi ulicznemu we wschodnim St. Louis.

Pellam wyobraził sobie, jak nakręcane zabawki Petersona kolejno spadają z biurka, a jakiś nieopierzony asystent prokuratora wpada, żeby pozbierać je z podłogi. — Ale co to właściwie...

— Zginęło wtedy dwunastu ludzi. —

Peterson zmarszczył brwi, nie sprawiał jednak wrażenia szczególnie zszokowanego czy zasmuconego.

— Ale co to ma wspólnego ze mną?

— „Masakra”. Tak to nazwał „Post-Dispatch”. Nie było w tym cienia przesady. Siedem ofiar stanowili przypadkowi przechodnie.

— Rozumiem, kiepska sprawa. Zwłaszcza przed wyborami.

Przez chwilę Peterson siedział nieruchomo. Potem podniósł wyjątkowo blady palec do ucha i potarł je trzykrotnie z roztargnieniem. Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos był opanowany: — Urząd prokuratora stanowego otrzymuje się w wyniku nominacji.

Pełnam przyglądał mu się sceptycznie.

— Nie mam też ambicji zostać burmistrzem tego miasta. Ani gubernatorem stanu czy senatorem. I nigdy nie rozumiałem, jak można chcieć zasiadać w Izbie Reprezentantów.

Do gabinetu weszła sekretarka i położyła na biurku Petersona opasłą, czerwonobrazową teczkę noszącą ślady częstego otwierania. Prokurator stanowy wyjął z niej kilka plików dokumentów i wycinków prasowych. Jeden z nich położył sobie na kolanach i zaczął kartkować, mrużąc przy tym oczy.

Po chwili na biurku zaczęły lądować zdjęcia, ciskane na blat niczym karty do gry. Pellam przyjrzał im się. Był zaskoczony tym, że fotografie są kolorowe. Z jakiegoś powodu zakładał, że policyjni fotografowie posługują się czarno-białą kliszą. Zdziwił się, że krew może mieć aż tak intensywną barwę. Widywał już wcześniej zwłoki; w rzeczywistości krew wydawała mu się ciemniejsza.

— Ci chłopcy mieli po dziesięć lat. Chociaż po tym, co ich spotkało, raczej trudno to stwierdzić.

Pellam wziął do ręki błyszczące odbitki i rzucił je Petersonowi. Jedna z nich spadła na podłogę. Prokurator stanowy podniósł ją i przyjrzał się jej uważnie. — Przed dwoma laty byliśmy bardzo blisko postawienia Petera Crimminsa w stan oskarżenia pod kilkoma zarzutami wymuszania. Mieliśmy wiarygodnego świadka. Młodą kobietę, sekretarkę, która mogła pogrążyć Crimminsa. Przydarzył jej się dziwny wypadek. Jakimś niezwykle zbiegiem okoliczności z kuchenki spadł na nią garnek z wrzątkiem. Miała oparzenia trzeciego stopnia na udach i kroczu. Twierdziła, że gotowała obiad. — Peterson podniósł głos tak, że brzmiał on teraz jak jakieś upiorne zawołanie. — *Oparzenia*

trzeciego stopnia! Jej skóra przypominała gotowany stek! — Oczy prokuratora pałały. — Ale wie pan, co było najdziwniejsze? To, że ten wypadek zdarzył się o północy. Zna pan kogoś, kto gotowałby obiad o północy? — Peterson uniósł w górę otwarte dłonie. — *Moja* żona nie gotuje o północy! Zna pan *kogokolwiek*, kto by to robił?!

Pellam milczał. Twarz Petersona płonęła z wściekłości. Powoli się uspokajał. Sięgnął po chusteczkę higieniczną i przetarł nią czoło i policzki. — Tamta kobieta odwołała przed sądem swoje zeznania.

— Mam więc rozumieć, że Crimmins jest złym człowiekiem, notorycznie zastraszającym świadków.

— Panie Pellam, nie mam cienia wątpliwości, że to on zamordował Vince'a Gaudię. Miał motyw i nie ma przekonującego alibi. W przeszłości wielokrotnie zlecał swoim ludziom zastraszanie świadków, pobicia i zabójstwa. Sam pan wie, co zrobił pańskiej przyjaciółce. Problem w tym, że teraz, kiedy Gaudia nie żyje, moje zarzuty w sprawie wymuszeń i korupcji są warte tyle, co nic. Crimmins dostałby góra trzy, cztery lata. — Pellam zauważył krople potu na czole Petersona. Zobaczył, że tamten, drżąc na

całym ciele, pociera nerwowo kciukiem o palec wskazujący.

Kiedy się wreszcie odezwał, w jego głosie słychać było zmęczenie. Powtórzył cierpliwie: — Nie mogę panu pomóc.

Wrócił jakby z powrotem na ziemię. Otworzył inną teczkę i w skupieniu przetrząsał jej zawartość.

— To co będzie z ochroną dla Niny? — spytał Pellam.

— Myślę, że dla własnego bezpieczeństwa powinna wyjechać z miasta. Niewiele możemy w tej sprawie zrobić.

— Ja mam kilku znajomych reporterów — oznajmił groźnie Pellam. — Ta historia mogłaby ich zainteresować. Odmawiacie ochrony tym, którzy nie chcą dla was zeznawać.

Peterson przywołał na swoją jajowatą twarz niewinny, dobroduszny uśmiech. — Och, nie sędzę, aby ta sprawa ich zainteresowała.

— Nigdy nie wiadomo.

Peterson wyjął z teczki kilka dokumentów. — Kłopot z dziennikarzami — powiedział, przerzucając papiery — polega na tym, że najbardziej lubią wywlekać brudy na światło dzienne. Pańska historia świadka raczej ich nie porwie.

Pellam machnął ręką zniechęcony i podszedł do drzwi.

— *Ta* jednak — powiedział prokurator stanowy, uśmiechając się szeroko — mogłaby ich zainteresować...

Wypuścił z dłoni jakiś raport i pozwolił mu spaść na biurko. W lewym górnym rogu widniała pieczęć stanu Kalifornia, zaś na środku białej, pogniecionej strony tytułowej Pellam zauważył dwie fotografie i kilka krótkich drukowanych akapitów.

Zdjęcia nie przedstawiały jednak Petera Crimminsa, żywych gangsterów ani martwych przechodniów, tylko Johna Pellama we własnej osobie.

Wyglądał na nich na wycieńczonego — miał podpuchnięte oczy i był nieogolony.

Przedstawiały dwa ujęcia jego twarzy — en face i z profilu. Pod nimi widniały nierówne linijki zdań; widać było, że wystukano je na taniej maszynie do pisania. Było tam nazwisko Pellama, jego dane osobowe, data wykonania zdjęcia oraz nazwiska kilku zastępców z biura szeryfa stanowego w Los Angeles. Zaś na samym dole dokumentu znajdował się dopisek: „Oskarżonemu postawiono następujące zarzuty: morderstwa, nieumyślnego spowodowania śmierci, sprzedaży i

posiadania kontrolowanych substancji".

15

Pański szef wie, że ma pan na koncie odsiadkę?

Pełnam zdjął dłoń z klamki. Wrócił do biurka Petersona i usiadł. Popatrzył na swoje policyjne zdjęcie.

Odwrócić głowę... Potrzebny nam profil.

Jeszcze raz odwrócić głowę... Ten tutaj? Tak, to on zabił tego znanego aktora. On, niestety.

Peterson odezwał się wesoło: — Wie pan, pamiętam coś niecoś z prawa ubezpieczeniowego. Czy nie jest tak, że gwarancja przestałaby obowiązywać, gdyby okazało się, że pańska wytwórnia zatrudnia byłego przestępcę? Zwłaszcza takiego, który miał sprawę o narkotyki?

— Uniewinniono mnie od zarzutu handlu narkotykami i morderstwa.

— Niech pan nie spiera się ze mną o drobiazgi, panie Pełnam. Ofiara zmarła, ponieważ dostarczył pan jej sześćdziesiąt gram kokainy, czy nie tak? To przez pana zginął wyżej wymieniony Tommy Bernstein. Taki młody człowiek...

Wyżej wymieniony najlepszy przyjaciel.
Pełną wyciągnął rękę i dotknął swojego zdjęcia.

Załóż ten kombinezon, a potem cię skujemy i sprowadzimy na dół. Jak się będziesz stawiał, to pożałujesz. W przeciwieństwie do ciebie mamy pałki — rozumiesz, co to znaczy? A teraz ruszaj się.

Właśnie dlatego nie poszedł na pogrzeb Tommy'ego. Siedział wtedy w tymczasowym areszcie w biurze szeryfa hrabstwa Los Angeles i czekał, aż postawią go w stan oskarżenia.

Wpatrywał się teraz w fotografię własnej zmizerniałej twarzy, nie odczuwając absolutnie żadnego przymusu, żeby się tłumaczyć. Mógłby pokręcić ponuro głową, zagryzając z bólem usta, i opowiedzieć o tym, jak Tommy, płacząc, błagał go o jeszcze jedną działkę. *Proszę cię, John, ten ostatni raz.*

Pomóż mi, pomóż, pomóż. Nie dam rady bez tego pracować. Widzę kamery, stary, i czuję, jakbym był cały z drewna. Nie mogę grać, do cholery. Musisz mi pomóc... Tommy Bernstein, uroczy wariat i genialny aktor, wspierał się na ramieniu Pellama, a łzy płynęły ciurkiem po jego nalanej twarzy. Wyglądał żałośnie, jak dziecko, którym w głębi duszy

nigdy nie przestał być — dziecko, którego Pellam nie zdołał w nim w porę dostrzec. Ale nie, nie ma sensu tłumaczyć tego wszystkiego temu zgorzkniałemu, zimnemu człowiekowi siedzącemu po drugiej stronie biurka. Odparł więc tylko: — To zdarzyło się dawno temu.

Peterson spojrział na niego chłodno. — Były przestępca zawsze pozostanie byłym przestępcą. Czegoś takiego nie da się cofnąć.

— Rzeczywiście się nie da.

Peterson powtórzył: — Pański szef o tym wie?

— Nie.

— To czysto cywilna sprawa. Nie mam prawnego obowiązku podzielić się z nim tą wiedzą, jednak czuję się do tego moralnie zobligowany. Sądzę, że kiedy się o tym dowie, natychmiast wyrzuci pana z pracy.

— Też tak sądzę. Ale jeśli powiem, że widziałem w samochodzie Crimmins'a, zapomni pan o całej sprawie...

— W ubiegłym tygodniu odbył pan kilka rozmów z Martym Welle-rem.

— Z Martym? Skąd pan wie o Martym?

— Rozmawialiście o projekcie filmowym, nad którym wspólnie pracujecie, prawda? — Ponieważ Pellam milczał, Peterson mówił dalej: — W następstwie tych rozmów zaczął pan

na gwałt szukać pieniędzy. Odwiedził pan swój bank w Sherman Oaks i pewnego dilerą samochodowego, ale ten nie był niestety zainteresowany pańskim porsche, któremu najwyraźniej dość daleko do idealnego stanu...

— Bezprawnie założyliście mi podsłuch w telefonie.

— Broń Boże. Po prostu popytaliśmy to tu, to tam. To wszystko. Przedstawiamy się i zadajemy pytania. Większość naszych rozmówców z reguły chętnie z nami współpracuje.

— Do czego pan zmierza?

— Nie jest tajemnicą, że potrzebuje pan pieniędzy — dużych pieniędzy. I to, jak widać, dosyć rozpaczliwie.

— I pan myśli, że Crimmins zapłacił mi, żebym nie zeznawał.

— Tak. Dokładnie tak myślę.

Twarz Pellama zapłonęła gniewem. Zerwał się z krzesła i nachylił nad biurkiem; jego oczy ciskały błyskawice, prawa pięść była zaciśnięta. Papiery i nakręcone zabawki posypały się na podłogę.

Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu; w tym czasie Peterson próbował opanować swój strach, a Pellam swoją wście-

kłość. Niewiele brakowało, by uderzył prokuratora stanowego.

Wreszcie Peterson odezwał się cicho: — Bardzo pana proszę. Mówię to dla pańskiego własnego dobra. Chyba ma pan już wystarczająco dużo kłopotów, żeby teraz szukać nowych?

W końcu Pellam wyprostował się i zamiast do drzwi podszedł do okna. Przez dłuższy czas bił się z myślami, nie odrywając wzroku od rozciągających się w dole połaci bujnej roślinności. St. Louis było bardzo zielonym miastem, nawet w październiku. W chwili gdy to, co najważniejsze w jego życiu, było zagrożone, Pellam zaczął nagle dostrzegać najdrobniejsze szczegóły otoczenia. Na przykład barwy jesiennych liści i kształty drzew. Nagle skinął też głową, lecz nawet jeśli podjął jakąś decyzję, postanowił zachować ją dla siebie i bez słowa opuścił gabinet Petersona.

Stalowa kula przetoczyła się obok małego, prostokątnego kawałka trawy.

— Przegrałeś — rzucił starszy mężczyzna, zwracając się do Petera Crimminsa, który uśmiechnął się i skinąwszy głową pozostałym graczy, przeszedł ponad pomalowanym na czarno niskim ogrodzeniem. Znajdowali się w

niedużym parku na przedmieściach St. Louis. Mrużąc oczy, Crimmins przyglądał się rozległemu osiedlu budynków mieszkalnych z czerwonej cegły. Zastanawiał się, ile mogła kosztować ich budowa. Nigdy nie zajmował się nieruchomościami. Uważał, że to dobre dla Żydów. Ostatnio jednak chodził mu po głowie pomysł wybudowania czegoś. Chciał zostawić po sobie jakąś spuściznę i uważał, że jeśli ma już utopić sporą część swojej fortuny w tego rodzaju inwestycji, byłoby dobrze, aby nazwano ją jego imieniem.

Stojący w pobliżu Joshua opierał się o latarnię z niczym niezmaconym spokojem typowym dla podstarzałych bramkarzy albo agentów służb specjalnych. Jakaś tęga kobieta w dżinsowym kowbojskim komplecie rozmawiała w budce przez telefon, żywo gestykulując. W grubych palcach obracała papierosa.

Crimmins miał na sobie luźne ciemne spodnie, sandały i wyjściową białą koszulę. Od przeszło godziny grał w bule. Dawniej, w pogodne popołudnia takie jak to, ten w zasadzie włoski park był pełen ludzi. Ale nawet Crimmins, który całe życie mieszkał w pobliżu, nie przypominał sobie, kiedy to mogło być. Być może w czasach wystawy światowej w St. Louis; w epoce, gdy miasto wciąż

jeszcze zachowywało swój kon-federacki charakter. Do licha, a teraz przy huśtawkach koczowali bezdomni! Crimmins nie aprobował takich ludzi. Uważał, że powinni wziąć się w garść i znaleźć sobie jakąś pracę — tak, jak to się kiedyś robiło.

Często powtarzał, że każdy powinien polegać tylko na sobie.

Rozejrzył się po parku. Sporo czarnych, kręcących się to tu, to tam na swoich rowerach lub sadzących przed siebie tymi swoimi wielkimi susami. Oprócz nich Portorykańczycy. Białe wyrostki w skórze albo brudnym dżinsie, ze swoimi piłkami, deskorolkami i gitarami. Kilku biznesmenów. Kobiety uprawiające jogging i popychające jednocześnie dziecięce wózki na trzech wysokich i grubych kołach.

No i byli jeszcze Chińczycy.

Crimmins nie lubił Żydów, bał się Murzynów i Portorykańczyków, ale Chińczyków po prostu nie znosił.

Przypatrywał się właśnie czterem czy pięciu azjatyckim rodzinom, które zorganizowały sobie piknik w parku. Crimmins zdawał sobie sprawę ze skali ich napływu. Nieruchomości i przemysł elektroniczny. Kolejny transport był już w drodze.

Ani się człowiek obejrzy, a wezmą się za pranie brudnych pieniędzy.

Jakiś chłopak przemknął obok niego w pędzie, przykucając jak surfer na swojej deskorolce.

Tuż za nim, jakby przygnany porywem powietrza, pojawił się mężczyzna o ciemnej karnacji i zbliżył się do Crim-minsa. — Proszę się zatrzymać.

Joshua wyrósł jak spod ziemi, stając pomiędzy nimi z dłonią w kieszeni marynarki.

— Policja, koleś — odezwał się mężczyzna.

— Wyjmij tę pieprzoną rękę tak, żebym mógł ją zobaczyć. Chyba że macasz się po jajach.

Błysnęły policyjne odznaki i identyfikatory.

— Gianno, wydział policji w Maddox. A to detektyw Hagedorn.

— Też z Maddox — warknął Crimmins.

Hagedorn stanął w pobliżu. Miał rozpiętą marynarkę. Gianno zwrócił się do Crimminsa:

— Chcielibyśmy zadać panu parę pytań.

Crimmins gestem dał znak ochroniarzowi, żeby ich zostawił. Joshua posłuchał i z odległości kilku metrów obserwował całą trójkę.

— Niedawno napadnięto pewną kobietę.

— Czy to ktoś, kogo znam? — zaniepokoił się Crimmins.

— Nie była to pańska znajoma, to pewne.

Podobno z dużą niechęcią zgłosiła całe zdarzenie. To FBI zawiadomiło nas o tej napaści.

Od kiedy to napaść jest przestępstwem federalnym? — zastanawiał się Crimmins, ekspert w dziedzinie prawa federalnego i znawca aktów oskarżenia. Nagle zrozumiał. — No tak — odezwał się ze zmęczeniem. — Myślicie, że to ja za tym stałem.

— Według zeznań ofiary napastnik powiedział jej, że pracuje dla pana. Crimmins zamrugął z niedowierzaniem. — Dla mnie? Gianni podał mu rysopis młodego człowieka ze znamieniem.

— Nie znam nikogo, kto tak wygląda. Zresztą nigdy nie posunąłbym się do tego, żeby komuś grozić.

— Jasne — zaśmiał się Ginno. — Pewnie, że nie.

— Gdzie pan dzisiaj był? — włączył się Hagedorn.

— W domu. Potem przyszedłem tutaj.

— Żeby wykonać parę telefonów, których nikt nie podsłucha, tak? — Ruchem głowy Gianni wskazał budkę telefoniczną.

Crimmins zirytowany pocierał kciukiem o palec wskazujący, aż zbieła mu paznokieć. — Chcecie mnie aresztować?

Hagedorn odparł pytaniem na jego pytanie: —
Poda pan nam listę nazwisk swoich
pracowników?

— Chyba nie muszę tego robić.

— Mieliliśmy nadzieję, że będzie pan z nami
współpracował — rzucił Gianni.

— Lepiej by to wyglądało — dodał jego
partner.

— Mam gdzieś, jak to wygląda. Ja...

Gianno odwrócił się do Hagedorna. —

Spadamy stąd. Gość w niczym nam nie
pomoże. Weźmy się lepiej za Pellama...

Blondyn pogroził mu lekko palcem, na co
policjant umilkł z miną przyłapanego na gafie
uczniaka. Przez chwilę obaj przyglądali się
Crimminsowi, który zachowywał kamienną
twarz. W końcu odeszli.

Kiedy obaj detektywi zniknęli za rogiem,
Crimmins ruszył przed siebie ulicą, dając znak
Joshule, aby poszedł za nim. Kiedy ochroniarz
się z nim zrównał, zauważył rzęsisy pot na
czole Crimminsa i jego śmiertelną bladość. Z
pewnością nie były to oznaki fizycznego
zmęczenia.

— Znajdź mi Stettle'a — syknął wściekle

Crimmins. — Nie obchodzi mnie, gdzie jest i
co właśnie robi. Ma się natychmiast u mnie
stawić.

Tego dnia wody rzeki były wyjątkowo błotniste.

Mimo to nie sprawiały wrażenia bardziej wzburzonych niż zwykle — wiał rzeński wiatr, lecz nie na tyle silny, aby na powierzchni zaczęły tworzyć się białe grzywy fal.

Najwyraźniej jakieś zawirowania nurtu podrywały z dna grudy gliniastego błota, barwiąc rzekę na całej jej szerokości, od brzegu do brzegu.

John Pellam, siedzący za kierownicą swojego wozu kempingowego, przeciągnął się i po raz kolejny wybrał numer telefonu Niny. Kiedy znowu odezwała się automatyczna sekretarka, rozłączył się, nie pozostawiając żadnej wiadomości. Wcześniej tego samego dnia odbyli ze sobą krótką rozmowę, w której zapewniła go, że nic jej nie jest. Chciała po prostu odpocząć. Czy mógłby zadzwonić do szefa działu charakteryzacji i wytłumaczyć ją...? Oczywiście. Co jeszcze mógłby dla niej zrobić? Może potrzebuje towarzystwa? Nie, odwiedziła dziś w szpitalu matkę i przy tej okazji poprosiła lekarza o kilka sztuk walium dla siebie. Pellam zauważył, że Ninie płacze się język i rozłączył się, żeby mogła się zdrzemnąć.

Ledwie odłożył słuchawkę, kiedy zadzwonił do

niego niezwykle poruszony Tony Sloan i oznajmił, że zamierzają wkrótce nakręcić finałową scenę. Pellam wiedział o tym i miał zamiar uczestniczyć w zdjęciach. Zaniepokoiło go, że Sloan z taką stanowczością wzywa go na plan. Chyba nie wpadł na to, żeby po raz kolejny zmienić lokalizację? Szef obsługi technicznej zdradził mu w zaufaniu, że Sloan musi zmontować 125-minutowy film z piętnastu pełnych dni zdjęciowych — *dwudziestoczwierogodzinnych* dni zdjęciowych. Pellam, dziękując w myślach Bogu, że nie jest montażystą Sloana, obiecał, że będzie na miejscu, zanim wystrzelą ostatniego ślepaka. Teraz wstał i poprawił wiszący na ścianie plakat z „Napoleona” Abła Gance'a, jedyną ozdobę swojej przyczepy. Następnie wsunął colta do kieszeni kurtki lotniczej i właśnie zamierzał wyjść, gdy ponownie rozległ się dzwonek telefonu.

— To ty, Nina? — spytał.

— Siedzisz wygodnie? — Głos w słuchawce należał do mężczyzny.

— Słucham?

— Siedzisz?

— Ledwo cię słyszę, Marty. Gdzie u licha jesteś?

— W Berlinie.

Pellam mocniej przycisnął komórkę do ucha, jak gdyby mogło to wpłynąć na poprawę połączenia pomiędzy stanem Missouri, w którym Winston Churchill ukuł określenie „żelazna kurtyna”, a miejscem, które kiedyś się za nią znajdowało.

— Próbowałem łapać cię w Londynie i Paryżu — krzyknął Pellam. — Posłuchaj, stary, strasznie cię przepraszam za tamten wieczór.

— Nie musisz krzyczeć. Wtedy jeszcze bardziej przerywa. Ja dobrze cię słyszę. Co mówiłeś?

— Przykro mi, że nawaliłem. Ale miałem wypadek.

— No cóż, ten twój wypadek kosztował nas kupę kasy. Telorian *był* zainteresowany, ale wkurzył się, bo już drugi raz go olałeś. Co jest, John, masz jakiś freudowski kompleks na tle Irańczyków? Przepraszam, Persów. Mogłeś przynajmniej zadzwonić. Ale teraz powiedz mi, czy siedzisz wygodnie?

— O czym ty gadasz?

— Nagrałem ci węgierskiego producenta.

— Co takiego?

— Wiem, wiem, że to dziwnie brzmi.

Paramount w ostatniej chwili wycofał się z tej produkcji o terrorystach. Mówię ci, ale była

afera! Więc teraz twój „Czas środkowoamerykański” ma zielone światło. Jeden gość w Londynie skontaktował mnie z inwestorami w Budapeszcie. To duet rodem z East Village. Młodzi faceci. Przedstawiłem im ciebie jako nowego Jarmuscha.

Węgrzy finansujący kultowy film kina *noir* rozgrywający się w Wisconsin. A więc tak ma wyglądać Nowy Ład.

— No cóż, Marty, bardzo się cieszę. I co dalej?

— Dasz radę wyłożyć sto pięćdziesiąt kawałków?

— Jak się bardzo postaram.

— To lepiej się postaraj, chłopie.

— Powiedziałeś im, że to ja będę reżyserować?

— Od razu się zgodzili. Dużo o tobie słyszeli, John... To był żaden problem. — Płynący zza oceanu głos Marty'ego brzmiał wyjątkowo szczerze. — Rozumiesz, o czym mówię?

O śmierci Tommy'ego Bernsteina, rzecz jasna.

— Podoba im się to, co robisz. Ty im się podobasz. A raczej facet, za którego cię uważają. Nie spraw im zawodu.

— Co to za jedni?

— Chodzi ci o ich nazwiska? Nie do wymówienia. Różne dziwne znaczki nad literami. Kogo to zresztą obchodzi? Postaraj się o kasę, a mój nowojorski prawnik przygotuje umowę. Dobrze byłoby ją podpisać jeszcze przed pierwszym. Myślisz, że da się to zrobić?

— Tak. Nawet na pewno... Słuchaj, Marty... Dzięki. Wiesz, ile to dla mnie znaczy... — Przerwane połączenie litościwie położyło kres tym pełnym wdzięczności wywodom. Rozmowa została zakończona. Pellam wyszedł z przyczepy, strzepnął grudkę zaschniętego błota ze swoich kowbojek i wskoczył na motor.

16

Dostaliśmy wasze pismo w sprawie napaści na tę Sassower.

Ronald Peterson popatrzył na Boba Gianno i pytająco uniósł brew. — No i?

— Pogadaliśmy sobie z Crimminsem.

Żaden z dwóch detektywów nie zwrócił uwagi na błysk satysfakcji, jaki na moment zagościł w oczach Petersona. Prokurator rzucił Nelsonowi znaczące spojrzenie, a ten nie mógł

powstrzymać uśmiechu.

Hagedorn podjął temat: — Oczywiście zaprzecza, jakoby miał z tym cokolwiek wspólnego. Można się było tego spodziewać. *Faktycznie.*

— Rzecz jasna w ogóle się tym nie przejęliśmy. Chodziło o to, żeby go sprowokować. Wymieniliśmy nazwisko Pellama, ale tak, żeby myślał, że niechcący nam się wysnęło. Szkoda, że go pan wtedy nie widział.

— Rozsądne posunięcie — zauważył Peterson.

— Też tak uważamy. Teraz na pewno coś zrobi. Albo spróbuje od razu uciszyć Pellama, albo przynajmniej go zastraszyć. Tak czy inaczej będziemy go mogli przyskrzyńić. Siedzieli w gabinecie Petersona. Policjanci od razu zwrócili uwagę na kolekcję nakręcanych zabawek prokuratora i teraz każdy z nich usiłował naprędce wymyślić do tego jakiś zabawny komentarz, ale nic nie przychodziło im do głowy. Peterson z trudem ukrywał radość, obserwując ich rosnące skrepowanie.

— Pomysł, żeby przycisnąć Pellama, jest bardzo dobry. — Peterson umilkł i przez dłuższą chwilę przeglądał nudnawy raport nie mający nic wspólnego z omawianą obecnie

sprawą. Dopisał na marginesie jakąś uwagę, po czym rzucił dokument na biurko. —

Wiedzieliście, że Pellam siedział?

— Co takiego? — zaśmiał się Hagedorn.

— Za nieumyślne spowodowanie śmierci.

W San Quentin.

— Cholera. W San Quentin! — stęknął

Gianno. — Poważna sprawa. Kto by

pomyślał...

Peterson widział, że małomiasteczkowi gliniarze aż gotują się z poczucia winy na myśl, że sami nie dotarli do tej informacji.

Zapytał: — Możecie to jakoś wykorzystać? —

Sam długo zastanawiał się nad kryminalną przeszłością Pellama i doszedł do wniosku, że miejscowa policja niewiele może w tej sprawie zdziałać.

Hagedorn i Gianno popatrzyli po sobie.

Anglosaski gliniarz — przystojny blondyn, przystojniejszy niż większość pracujących dla Petersona agentów FBI — uniósł w górę dłonie i namyślał się, zagryzając wargi.

Wreszcie odezwał się: — Nie wiem, jak mielibyśmy to zrobić. Pozwolenia na kręcenie zdjęć zostały już wydane. Zresztą dawny wyrok skazujący i tak nie miałby chyba na to żadnego wpływu. A co z warunkami zwolnienia warunkowego?

— To znaczy?

— Może złamał je, opuszczając stan? — wyjaśnił Hagedorn. Było to coś, o czym Peterson nie pomyślał. Prawie niezauważalnie zmarszczył brwi. Żeby ubiegł go taki prowincjonalny glina z zabitej dechami dziury! W duchu postanowił porządnie zrugać Nelsona za przeoczenie tego faktu. — Biorąc pod uwagę datę popełnienia przestępstwa i to, że stale podróżuje służbowo, nie sądzę, aby tak było, ale na wszelki wypadek polecę to sprawdzić mojemu asystentowi. Teraz jednak wydaje mi się, że wszyscy zgadzamy się co do jednego: Crimmins wie, że Pellam oskarżył go o napaść na tę dziewczynę i — dzięki sprytowi naszych przyjaciół z Maddox — może zdecydować się na jakiś ruch przeciwko niemu. Będziemy go obserwować. Ale jednocześnie uważam, że powinniśmy mocniej przycisnąć Pellama.

— Ma pan jakiś pomysł? — spytał panuro Gianni, wyczuwając w słowach prokuratora sarkazm, lecz nie umiejąc go zidentyfikować. Peterson odparł: — Owszem, mam. Dwóch moich agentów odwiedziło wcześniej plan zdjęciowy. Znaleźli coś naprawdę ciekawego. Poproszę, żeby tu wpadli i dokładnie nam o wszystkim opowiedzieli.

MISSOURI RIVER BLUES

*SCENA 179E — PLENER, DZIEŃ — DROGA POMIĘDZY
POLEM A RZEKĄ*

Wąska droga biegnie pomiędzy polem a rzeką. Przy drodze od strony rzeki stoi mały, parterowy KOŚCIÓŁEK w otoczeniu KRZEWÓW i DRZEW. Droga mija zarosła i przecina pole, mając po obu stronach otwartą przestrzeń.

PÓŁZBLIŻENIE PACKARDA ROSSA

zaparkowanego jakieś piętnaście metrów za KOŚCIOŁEM. DEHLIA ociera z czoła SZTUCZNĄ KREW i przy otwartych drzwiach wyciąga się na przednim siedzeniu samochodu. Ross i trzej GANGSTERZY biorą PISTOLETY MASZYNOWE i ukrywają się w zaroślach w oczekiwaniu na przyjazd opancerzonej furgonetki. Ross zatrzymuje się w pół drogi i zawraca do Dehlii. Podaje jej swój ULUBIONY PISTOLET.

ROSS

Za pół godziny, skarbie, będziemy już za rzeką i będziemy wolni. DEHLIA

Gdyby coś się stało...

DWA UJĘCIA Rossa, który przykłada jej palec do ust, żeby ją uciszyć. Następuje długi POCAŁUNEK, po którym Ross wstaje,

odbezpiecza PISTOLET MASZYNOWY i biegnie w stronę zarośli.

— Przed nami wielki finał! Spróbujmy tym razem zmieścić się w stu ujęciach. — Tony Sloan zajął swoją pozycję w cieniu ogromnego, trzynastotonowego dźwigu pod kamerę. Następnie rozejrzał się po planie, który wkrótce miał się zmienić w pole walki. Sloan, kierownik planu, operator kamery, wiecznie zdenerwowana długowłosa asystentka reżysera oraz koordynator pracy kaskaderów właśnie zakończyli wizję lokalną, podczas której tratowali trawę i chwasty, przedzierając się ponad rozpadającym się kamiennym murkiem w stronę żółtawych wód rzeki i z powrotem. Odwlekali tym samym nakręcenie kulminacyjnej sceny filmu, to znaczy ataku na furgonetkę z pieniędzmi. Właściciele firmy przewozowej, poinformowani

)

o planach gangu Rossa, zastąpili transport gotówki workami pociętych gazet, a zwykłych strażników — agentami Pinkertona. Ranna Dehlia miała, półleżąc, obserwować całą scenę, piękna i bezradna; na jej oczach furgonetka miała zatrzymać się na miejscu rzekomego wypadku drogowego, przed

blokującym jej przejazd packardem Rossa. Zanim jednak Ross zdoła wrzucić granat dymny przez okienko furgonetki, z wozu wyskoczą agenci i na oślep otworzą ogień. Pobożni obywatele, opuszczający kościół po zakończonej mszy, znajdują się w złym czasie w złym miejscu, stając się niewinnymi ofiarami rzezi. Ross i Dehlia podejmą decyzję o ucieczce. Ujadą jednak niecały kilometr, kiedy nagle pod koła wyskoczy im chłopiec, którego ojca Ross przypadkowo zabił jakieś pięćdziesiąt scen wcześniej. Ross skręci gwałtownie, żeby go ominąć, a samochód runie w dół do rzeki (Pełtam zaproponował, aby zmienić tytuł filmu na „Listonosz zawsze dzwoni dwa razy do dzikiej bandy”). Ponad setka członków ekipy oraz trzydziestu aktorów i statystów sprawdzało oświetlenie, oliwiło wózki pod kamery, sprawdzało ustawienia podnośników hydraulicznych, podłączało kable, ładowało kasety z taśmą, regulowało ostrość kamer, kontrolowało pomiary światła, rozmieszczało mikrofony oraz czytało i powtarzało swoje kwestie. Jednak najważniejszy w tym momencie człowiek zajmował się czymś zupełnie innym. I nie był to szczupły, wiecznie potargany operator, ani nawet sam Tony Sloan.

Tego popołudnia kluczową rolę na planie odgrywał chudy, pięćdziesięcioletni mężczyzna o spokojnym sposobie bycia. Zamiast kostiumu z epoki czy modnego, hollywoodzkiego stroju, mężczyzna ten miał na sobie ciemne poliestrowe spodnie, schludnie wyprasowaną niebieską koszulę i zwykłe mokasyny.

Było coś delikatnego w Henrym Staceyu, znanym zarówno tutaj na planie, jak i w Hollywood jako Stace. Bacznie lustrował miejsce akcji okiem doświadczonego filmowca. W rzeczywistości jego zajęcie miało znacznie mniej artystyczny charakter, niż mogłoby się wydawać, chociaż było — przynajmniej zdaniem reżyserów pokroju Tony'ego Sloana (a także większości jego wielbicieli) — o wiele ważniejsze niż praca na przykład operatora kamery.

Stace był bowiem zatrudnianym przez wytwórnię konsultantem do spraw uzbrojenia. Jak dotąd aktorzy i aktorki grający w „Missouri River Blues” wystrzelili już do siebie nawzajem blisko siedemdziesiąt tysięcy serii ślepej amunicji, która to liczba prawdopodobnie znacząco przekraczała liczbę wszystkich serii wystrzelonych z prawdziwej broni przez autentycznych przestępców i stróżów prawa stanu

Missouri od czasu wstąpienia przezeń do Unii. Zbrojmistrze i rekwizytorzy pracowali na planie od czwartej rano, nadzorując ładowanie całego arsenału pistoletów maszynowych, karabinów i zwykłych rewolwerów do finałowej sceny filmu. Stace osobiście doglądał załadowania każdej broni, aby mieć pewność, że do magazynka nie dostał się przypadkiem ani jeden prawdziwy nabój.

Wspólnie z kierownikiem produkcji i jego asystentami sprawdzili rozmieszczenie setek miniaturowych ładunków wybuchowych — elektrycznie detonowanych fajerwerków — których eksplozje miały markować odgłosy wystrzałów. Następnie powtórzył tę samą procedurę z garderobianymi i charakteryzatorami. Chodziło o właściwe zamocowanie ładunków wybuchowych przy woreczkach ze sztuczną krwią umieszczanych na ciałach aktorów, którzy mieli w danym ujęciu zginąć lub zostać ranni (i którzy, w żaden sposób niezabezpieczeni, z niepokojem obserwowali, jak asystenci w grubych rękawicach i okularach ochronnych zakładają im wszystkie konieczne przewody). Wszystkie ładunki wybuchowe były podłączone do komputerowego panelu sterowania i mogły być zdetonowane albo przez jego operatora,

albo — przy dodatkowym okablowaniu — przez ruch języczka spustowego broni, z której padał „strzał”; wybuch woreczka z krwią był widowym znakiem, iż „kula” nie chybiła celu.

Stace i jego zespół zajmowali się również przygotowaniem ładunków burzących i zapalających do ujęć, w których eksplodowały atrapy zabytkowych samochodów. Kolejnym punktem na liście jego obowiązków było przypominanie aktorom i aktorkom, żeby zatykali sobie uszy watą przed rozpoczęciem zdjęć; on też pokazywał im, jak obchodzić się z bronią i jaką pozycję przyjmować podczas strzelania. Powtarzał im również do znudzenia, żeby nie zapominali „zagrać” efektu odrzutu, który występuje przecieży wtedy, gdy strzela się prawdziwą amunicją. Toczył nieustanne boje ze Sloanem (jak i z wszystkimi innymi reżyserami) o to, aby mierząc do siebie nawzajem, aktorzy dla bezpieczeństwa kierowali lufy lekko w bok od celu; reżyserzy tymczasem upierali się, żeby broń była skierowana prosto na cel, chcąc stworzyć w ten sposób wrażenie autentyczności.

Jako odnoszący sukcesy i zdobywający nagrody na zawodach strzeleckich

profesjonalista, Stace pełnił również na planie funkcję strzelca wyborowego — od czasu do czasu zajmował swoje stanowisko przy karabinie powtarzalnym kaliber 0,380 albo automacie M-16 i strzelał woskowymi nabojami do celów, które miały być trafione pociskiem, a gdzie z różnych względów nie można było podłączyć ładunku wybuchowego: szyb okiennych, powierzchni wody, a nawet, jeśli zainteresowany wyraził na to zgodę, do nagiego ciała kaskadera.

Przewidywano, że w ostatniej scenie „Missouri River Blues” zostanie wystrzelonych pięć tysięcy serii amunicji, w kilku różnych konfiguracjach. Po nakręceniu scen strzelaniny w planie średnim i dużym, należało powtórzyć wszystkie przygotowania i nakręcić to samo w zbliżeniach i podwójnych ujęciach. Zapowiadał się długi dzień. Wykończony szef obsługi technicznej ocenił stan przygotowań, po czym popatrzył na zegarek. — Ludzie, wygląda na to, że będziemy dzisiaj gonili światło. — Co znaczy: pracowali aż do zmroku.

— Jesteśmy gotowi? — ryknął do megafonu Sloan. Poszczególni członkowie ekipy, niepewni, czy pytanie było akurat do nich skierowane, zapewnili go, że tak. Stace sprawdził położenie każdej sztuki broni,

zapisując je w swoim notesie, po czym wrócił do stołu z płyty pilśniowej, na którym znajdował się panel sterujący ładunkami wybuchowymi. Jego trzech asystentów siedziało przy nim niczym radiowi didżeje, z rękami spoczywającymi na rzędach rozmaitych przycisków. Ponieważ kręcona właśnie scena była tak złożona i dopiero niedawno została dodana do scenariusza, zabrakło czasu, aby podłączyć ładunki wybuchowe do broni w taki sposób, aby aktorzy, strzelając, sami je detonowali. Młodzi pomagierzy Stace'a — dwóch mężczyzn i kobieta — musieli samodzielnie określić kierunek lotu każdej z wystrzelonych kul i w odpowiednim momencie nacisnąć właściwy przycisk.

Stace odparł: — Tak jest.

— Dobra — zawołał kierownik planu. —
Wszyscy na swoje miejsca.

Dehlia wyciągnęła się na przednim siedzeniu zabłoconego packar-da, pozostawiając drzwi wozu otwarte.

Agenci Pinkertona zapakowali się do opancerzonej furgonetki, która wycofała się na główną drogę.

Parafianie weszli do kościoła.

Ci z członków gangu Rossa, którzy wkrótce

mieli rozstać się z życiem, jeszcze raz sprawdzili swoją uprząż i liny mające szarpnąć ich do tyłu w momencie, gdy osiągną ich kule agentów.

Operator obrazu wraz z kamerzystą zajęli swoje miejsca na dźwigu i wzniesli się sześć metrów nad ziemię. Sloan puścił tyczkę mikrofonu, którą do tej pory kurczowo ścisnął w dłoni, i przeszedł na stanowisko kierownika planu.

— Teraz palnie nam mówkę — mruknął z przekąsem Stace, zwracając się szeptem do swoich asystentów.

Sloan podniósł megafon. Jego głos z trudem przebijał się przez trzaski. — Czy mogę prosić wszystkich o uwagę? Cisza! Chciałbym coś powiedzieć. Może tego nie wiecie, ale najbliższe osiem minut będzie mnie kosztowało ćwierć miliona dolarów. Nie spieprzcie tego.

Mowa-trawa...

Sloan na powrót zajął miejsce przy dźwigu. Kierownik planu dał znak szefowi obsługi technicznej. Włączono reflektory, zastępując przytłumiony blask skrytego za chmurami słońca jaskrawą poświatą, w której wszystkie barwy zdawały się być blade i przygaszone, lecz która po zastosowaniu odpowiednich

filtrów miała nabrać cech naturalnego światła. Temperatura na planie momentalnie wzrosła o pięć stopni i szybko szła w górę.

— Kamery!

Asystenci wystąpili naprzód, każdy przy swojej kamerze. Rozległy się klapsy.

— Akcja! — zawołał kierownik planu.

Masywna szara furgonetka wolno nadjechała gruntową drogą, minęła kościół, zbliżyła się do tarasującego jej przejazd packarda i zwolniła, po czym zatrzymała się. Dehlia uniosła swoją fachowo zakrwawioną głowę i dramatycznym gestem wzywała pomocy. Kierowca i siedzący z przodu strażnik wahali się przez chwilę. Ich wargi poruszały się, gdy rozmawiali ze sobą. Potem zwrócili się do kogoś siedzącego w tyle. Wreszcie przednie drzwi wozu z wolna się otworzyły i strażnicy wyszli na drogę. Ross natychmiast rzucił w ich stronę świecę dymną i ruszył biegiem, pochylony, na tyły furgonteki.

— Teraz! — krzyknął kierowca, wyciągając spod przedniego siedzenia pistolet maszynowy.

Tylne drzwi furgonetki otworzyły się z hukiem. W tym samym momencie z kościoła zaczęli wychodzić uśmiechnięci i rozgadani parafianie. Dwóch strażników otworzyło ogień do Rossa i pozostałych gangsterów, którzy

wybiegli spomiędzy drzew. Rozległ się trzask łamanych gałęzi. Padające pociski wzbijały kurz na drodze, dziurawiły znaki drogowe i bok furgonetki. Ciała gangsterów padały bezwładnie na ziemię. Wśród wiernych trup słał się gęsto.

— Kręcimy, kręcimy, kręcimy! — wołał bezgłośnie Sloan. — Coś pięknego! Dehlia próbowała uruchomić silnik packarda. Ross osłaniał ją, wycofując się w kierunku samochodu. Pozostali gangsterzy już nie żyli. Na schody kościoła wyszedł ksiądz, dzierżąc w dłoniach Biblię; jeden ze strażników skosił go przypadkową serią z pistoletu...

— Absolutna rewelacja — szepnął Sloan. Dokładnie wtedy w sam środek strzelaniny — a właśnie pomiędzy dwie walczące strony — wjechały dwa całkowicie współczesne, granatowe sedany oraz biała furgonetka marki Ford Econoline i z piskiem zahamowały. Z samochodów ospale wysiedli mężczyźni w garniturach, rozglądając się dookoła z pewnym rozbawieniem.

Sloan aż rozdziawił usta. Nagle wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego — niektórzy krzycząc z powodu zatkanych watał uszu.

— Kurwa mać! — wrzasnął Sloan. To

akurat usłyszeli wszyscy. — Kim są ci ludzie, do cholery?

Kierownik planu był zbyt zaszokowany, żeby zatrzymać kamery. Dopiero asystentka reżysera, zaciskając dłoń na swoim kucyku, otrząsnęła się z wywołanego zaskoczeniem letargu i zawołała: — Cięcie! Cięcie! Wyłączyć światła!

Ogromne reflektory zgasty.

Inna asystentka, której zadaniem było pilnować, żeby droga pozostawała zamknięta dla ruchu, wpadła biegiem na plan. Sloan rzucił jej nienawistne spojrzenie. — Jechali prosto na mnie — łkała dziewczyna. — Nie chcieli się zatrzymać...

Z pierwszego sedana wysiadł wysoki, siwowłosa mężczyzna i rozejrzał się po planie. Widząc reżysera, ruszył w jego stronę.

— Co wy — zaczął Sloan — na litość boską wyprawiacie? Macie pojęcie, coście właśnie zrobili? — Jego twarz była purpurowa.

Mężczyzna wyciągnął legitymację służbową. — Agent McIntyre. Pan tu za wszystko odpowiada?

— Kim pan jest?

— Jesteśmy agentami z Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej Departamentu Skarbu. Zostaliśmy poinformowani przez

prokuraturę z St. Louis o tym, że posiada pan niezarejestrowaną broń automatyczną, i przyjechaliśmy ją skonfiskować.

— Nie możecie tego zrobić!

— Proszę opróżnić magazynki pistoletów — zawołał McIntyre, zwracając się do aktorów.

— Następnie proszę zabezpieczyć broń i złożyć ją w naszej furgonetce.

Sloan rzucił się ku niemu, ale McIntyre go zignorował.

Tymczasem z samochodu wysiadł jeszcze jeden mężczyzna. Detektyw Bob Gianni popatrzył na dym i spustoszenie wokół siebie, a potem spojrział na reżysera. — Czy to pan nazywa się Anthony Sloan?

— Tak, do diabła. Zdajecie sobie sprawę, ile mnie kosztuje wasza wizyta? Ta scena...

— Aresztuję pana za naruszenie prawa stanu Missouri odnośnie posiadania nielegalnej broni. Proszę wyciągnąć ręce przed siebie.

Stace Stacey przyglądał sterczące mu nad uszami siwe kosmyki i powiedział ze

spokojem: — Obawiam się, że to pomyłka. Znajdowali się w gabinecie Ronalda Petersona. Obok niego wiercił się wściekły Tony Sloan i ze szczególną pogardą przypatrywał się kolekcji nakręcanych zabawek zaśmiecających biurko prokuratora.

— Pomyłka? — spytał Peterson. — Och, nie wydaje mi się... Przede wszystkim jednak pragnę podkreślić, że jak dotąd nie zostali panowie oskarżeni o jakiegokolwiek przestępstwo federalne. Odnotowaliśmy co prawda wyraźne naruszenie prawa federalnego, lecz na razie wstrzymujemy się z decyzją co do dalszego postępowania. Zgodnie z prawem stanu Missouri posiadanie broni automatycznej, która nie została zarejestrowana w Biurze do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej, *jest* wykroczeniem. Nasi koledzy z Maddox uznali, że może to być podstawą do aresztowania pana. I to *oni* o tym zdecydowali, a nie agencja federalna.

— Fiut z pana i tyle — mruknął Sloan.

— Czy pan w ogóle rozumie, co ja do pana mówię? — Rozradowany Peterson uniósł w górę brew.

— Rozumiem, że już nigdy nie nakręcimy w tym stanie żadnego filmu. *To* na pewno rozumiem.

Peterson wzruszył ramionami. — Nie jest pan areztowany, więc może pan ze mną rozmawiać bez obecności adwokata.

— To też zrozumiałem! — warknął Sloan.

— Proszę, niech lepiej pan mówi dalej, panie Stacey.

— Jestem wykwalifikowanym dilerem trzeciej klasy uprawnionym do sprzedaży broni automatycznej. — Stace położył na biurku nieduży świstek papieru, tuż obok chodzącej miniatutki piłki futbolowej. — Oto moja licencja. Jak pan zapewne doskonale wie, prawie wszyscy rekwizytorzy i zbrój mistrze w Hollywood to dilerzy trzeciej klasy. Peterson pobieżnie zerknął na dokument. — Nie wątpię, proszę pana. W tej chwili martwi mnie jednak wasza broń.

— Każda sztuka została zarejestrowana, znaczki skarbowe zakupione jak należy, a ja mam zezwolenie na przewóz tej broni przez granicę stanu.

— Niestety, to nie jest wszystko.

Wymagany jest certyfikat Biura Departamentu Skarbu...

— Nie, proszę pana. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. — Filigranowy Stace Stacey wyraźnie zaczynał dominować w tej rozmowie, mimo że ani razu nie podniósł

głosu. — Taki certyfikat wydaje firma wypożyczająca broń. Tę akurat wypożyczyłem w firmie Culver City Arms and Props. Ich adres można znaleźć na stronie Amerykańskiego Stowarzyszenia Filmowego pod linkiem do waszyngtońskiego Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej. Dziwię się, że muszę tłumaczyć takie rzeczy prokuratorowi stanowemu.

Peterson skrupulatnie notował. Następnie, marszcząc brwi, zauważył: — Niestety, nie znaleźliśmy tego certyfikatu w waszej dokumentacji.

— Jestem dobrym znajomym Steve'a Marringa z lokalnego oddziału Biura na Wybrzeżu. Proponuję, aby pan się z nim natychmiast skontaktował.

— Pomysł tej operacji wcale nie wyszedł z Biura. To kilku agentów FBI było akurat wtedy na planie, szukając jednego z waszych pracowników...

— Pellama — syknął Sloan.

Peterson zawahał się, po czym dodał kokieteryjnie: — Rzeczywiście, tak się składa, że chodzi o pana Pellama. Jak pan się tego domyślił?

Sloan, z oczami podkrążonymi ze zmęczenia, potarł grzbiet nosa. Milczał, więc Peterson

podjął temat: — Moi agenci zauważyli pistolety maszynowe i zawiadomili mnie o nich. Naturalnie niepokoimy się, aby nie wpadły one w niepowołane ręce...

Stace odparł uprzejmie: — Cóż, ja nie tak dawno słyszałem o jakimś człowieku w San Francisco, który sprzedawał uzi licealistom. *Moim* zdaniem właśnie takie sytuacje powinny was raczej niepokoić.

— To rzeczywiście tragiczne. Ale moja jurysdykcja rozciąga się tylko na stan Missouri.

— Mam już tego wszystkiego serdecznie dosyć — krzyknął Sloan. — Straciłem dziś przez was setki tysięcy dolarów. Dzwonię po adwokata...

Peterson pokręcił głową. — Panie Sloan... Hm, tak przy okazji — pański „Helicop” bardzo mi się podobał. Choć potem musiałem wydać przeszło dwieście dolców na gadżety dla dzieciaków na Gwiazdkę. Ale film był naprawdę świetny.

— Dlaczego pan mi to robi?

— Czy nie doszliśmy już do porozumienia?

— zapytał serdecznie Peterson.

— Do porozumienia?

— Czy nie wyjaśniłem panom wystarczająco jasno, w jaki sposób

dowiedzieliśmy się o tych pistoletach? Chyba tak...

Sloan uspokoił się. W rozmowie pojawił się enigmatyczny ton, przypominający to, co często słyszało się w biurach i restauracjach Beverly Hills i Zachodniego Hollywood. To było bardzo w duchu zen — mówić coś, jednocześnie niczego nie mówiąc. — Chodzi o Pellama?

— Niech pan z nim porozmawia, panie Sloan. Po prostu niech pan z nim porozmawia. Może jednak przypomni sobie, co wydarzyło się tamtego wieczoru w dniu zabójstwa Gaudii. — Peterson popatrzył jeszcze na Stace'a. — Mówi pan o pistoletach uzi w San Francisco. Otóż pan Pellam mógłby posłać za kratki człowieka, który robi o wiele gorsze rzeczy. Ale bez jego pomocy ten człowiek pozostanie na wolności i skrzywdzi znacznie więcej ludzi.

Sloan odparł: — Jak rozumiem, Pellam twierdzi, że niczego nie widział.

— „Twierdzi”. Właśnie, ja wiem, co ten pan *twierdzi*.

— Dlaczego miałby coś ukrywać? — myślał głośno reżyser.

— Może się boi — chociaż zapewniliśmy go, że jesteśmy w stanie go chronić.

Osobiście uważam, że został przekupiony... Nie, proszę się tak zaraz nie oburzać. Byłby pan zaskoczony, słysząc, co ludzie potrafią zrobić dla pieniędzy. Zwłaszcza że on już kiedyś siedział.

— Co takiego? — zdziwił się Sloan.

— W San Quentin. Prawie rok. Sądziłem, że pan wie.

Stace położył ręce na kolanach i popatrzył Petersonowi prosto w oczy. — John Pellam jest uczciwym człowiekiem. W przeszłości rzeczywiście miał kłopoty. Ale kto z nas ich nie miewa.

— *Wiedziateś* o tym — krzyknął Sloan do zbrojmistra — i nic mi o tym nie powiedziateś, do cholery?!

Stace Stacey nie był pracownikiem spółki Missouri River i Tony Sloan był tylko jednym z około trzydziestu reżyserów, którzy regularnie go zatrudniali. Był też z nich wszystkim najbardziej męczący. Dlatego teraz z pojedynku wzrokowego z reżyserem Stace wyszedł zwycięsko; uśmiechnął się tylko ze smutkiem, jak gdyby zażenowany dziecinną reakcją tamtego.

— Nieumyślne spowodowanie śmierci — wyrecytował Peterson, zadowolony, że Sloan właśnie przegrał kolejną rundę tego spotkania.

Stace odparł: — Odsiedział swoje i wyszedł. Wtedy był dobrym reżyserem, teraz jest dobrym dokumentalistą.

— Pellam coś *reżyserował*? Dlaczego nic o tym nie wiedziałem?

— Najprawdopodobniej kręciłeś wtedy w Nowym Jorku reklamę butów do biegania — podsunął Stace bez śladu ironii w głosie. Peterson coś sobie zanotował. — Sprawdzę to, co mi pan powiedział na temat waszej broni, panie Stacey, i jeśli się pan nie myli, będzie ją pan mógł odebrać we wtorek z samego rana, a postawione zarzuty zostaną uchylone.

— Nie myślę się, proszę pana, i radziłbym od razu wydać mi broń.

— We wtorek?! — wybuchnął Sloan. — Nie mogę czekać aż trzech dni. I tak już przekroczyliśmy budżet. Jesteśmy...

— Tak się niestety składa — wyjaśnił Peterson — że mamy sobotę i w waszyngtońskim biurze już nikogo nie ma. Jutro jest niedziela, a w poniedziałek...

— Wypada Dzień Kolumba. — Sloan zamknął oczy. — Chryste Panie. Dlaczego czekał pan z tym aż do dzisiaj? Przecież wiedział pan o tej broni od dwóch, trzech dni. Peterson przyjrzał mu się uważnie. — Czy doszliśmy do porozumienia?

Gniew Sloana z wolna przygasał. — Może. Niewykluczone, że tak. Stace otworzył usta. — Czy pan przypadkiem nie sugeruje, żeby... Sloan uciszył go ruchem ręki.

Peterson dodał: — W takim razie, panowie, jeżeli wszystko jest już jasne... Aha, na znak mojej dobrej woli porozmawiam z miejskimi policjantami i poproszę, żeby zwolnili pana za własnym poręczeniem.

— Będę zobowiązany. Sprawia pan wrażenie rozsądnego człowieka.

— I jeszcze jedno, panie Sloan. —

Peterson przysunął reżyserowi czystą kartkę papieru. — Czy mógłbym prosić o autograf? Wie pan, dla moich chłopców?

Czyżby znowu goście z FBI?

Głośnie walenie do drzwi przyczepy brzmiało zupełnie jak w wykonaniu tamtych dwóch agentów federalnych. Pellam zdążył już jednak narobić sobie tylu wrogów, że nie mógł być niczego pewien. Otworzył, trzymając colta ukrytego pod czarną sportową marynarką. Tony Sloan skinął mu głową na powitanie i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Pellam miał ochotę rzucić jakiś dowcipny tekst w rodzaju: „Obudziłbyś każdego umarłego”. Lecz Tony Sloan miał tak ponurą minę, że Pellam zrezygnował z żartów i powiedział

tylko:

— Wejdz — po tym, jak Sloan już to zrobił. Reżyser podszedł prosto do szafki, na której stała butelka bourbo-na. Napełnił dwie szklanki. — Byłeś na planie, kiedy kręciliśmy?

— Spóźniłem się. Ale wszystko słyszałem. Mamy jakiś problem z bronią?

Sloan krótko zrelacjonował mu wydarzenia, których kulminacyjnym punktem było zakucie go w kajdanki.

— Mój Boże — westchnął Pellam. — Stace to taki poukładany facet. Nie wyobrażam sobie, żeby mógł czegoś nie dopatrzeć. — Zauważył, że Sloan był dziwnie zamyślony. Jego oczy nie strzelały nerwowo na boki, jak to miały w zwyczaju, lecz były bardzo spokojne. Niemal smutne.

Wciągnął w nozdrza woń whisky i opróżnił szklankę do połowy. — Dobra, John, dość tej zabawy. Po prostu powiedz mi, jak to było. Widziałeś tego faceta?

Pellam uznał, że Sloan ma na myśli gliniarza, który go aresztował.

— Już mówiłem, spóźniłem się. Nie mogłem...

— Mówię o tamtym gościu w *lincolnie*.

— To dlatego tu jesteś? — roześmiał się Pellam. — Rozmawiałeś... Z kim właściwie? Z

policją z Maddox. — Nie, *jasne*, że *nie z nimi*, pomyślał zaraz. — Z Petersonem. Gadałeś z Petersonem.

— John, mogą nam wstrzymać produkcję na całe trzy dni. Jeżeli do tego dojdzie, wkroczy wytwórnia albo ubezpieczyciel i ten film może nigdy nie powstać.

— Gdybym go widział, powiedziałbym o tym komuś. Do diabła, *wszystkim* bym powiedział. Słuchaj, Tony, to jest jawny szantaż. We wtorek Peterson powie: „Pomyliliśmy się, bardzo nam przykro”. Zadzwoń do działu prawnego wytwórni. Skontaktuj się z Hankiem.

— A co to za sprawa z tymi pieniędzmi?

— Z pieniędzmi?

— Podobno próbujesz zmontować jakiś projekt z Martym Welle-rem i szukasz kasy.

— To prawda. Ale nie ma to nic wspólnego z tobą, ani z nikim innym stąd.

— Ktoś ci zapłacił, żebyś nie zeznawał? Tak było, John? Pellam pochylił lekko głowę i wolno wciągnął do płuc potężny haust powietrza wymieszanego z aromatem whisky. — Wydaje mi się, że ty i ja nie mamy już o czym ze sobą rozmawiać.

— Nieprawda. — Sloan nachylił się i wycelował w niego swój gruby palec. — Mamy

jeszcze *jedną* sprawę do omówienia. Powiesz Peter-sonowi, że w lincolnie siedział Peter Crimmins. Mam gdzieś to, czy go widziałeś, czy nie. Nawet *ja* wiem, że on tam siedział, chociaż nie mam zielonego pojęcia, kto to jest, do cholery!

— Przykro mi, Tony.

— Ile ci zapłacił?

— Muszę cię prosić, żebyś sobie poszedł.

— Jeżeli chcesz nadal dla mnie pracować i dostawać swoją działkę, powiesz Petersonowi to, co chce wiedzieć.

— Jesteś mi winien pieniądze, i tyle.

— Jeżeli nie skończę tego filmu w ciągu trzech najbliższych dni, wszyscy zostaniemy bez pieniędzy.

— To nie moja wina. Ja swoje zrobiłem. Sprzedaj któreś ze swoich ferrari i zapłać mi, ile trzeba.

Sloan odstawił szklanekę na blat maleńkiej kuchennej szafki. Wydawał się spokojny, ale pod ciemną brodą widać było, jak na szyi pęcznieją mu żyły. Zacisnął zęby. — Rozgryzłem cię, Pellam — wyrzucił z siebie.

* Właściwie: „Les Cahiers du Cinéma” — opiniotwórcze pismo założone w 1951 roku, do którego pisywali m.in. twórcy francuskiej Nowej Fali: Eric Rohmer, Jean-Luc Godard i Claude Chabrol.

— Popytałem o ciebie tu i tam. Ty i te twoje pretensjonalne filmy, ty i ten twój „Cahier du

Cinema"*, ty i ci twoi koleś, i te wasze dyskusje o Cannes albo kinie autorskim. Rzucasz żarcikami, rozbawiasz całą ekipę. „Bonnie i Clyde”, „Dzika banda”. Ale powiedz mi, Pellam, ilu z nich *dzięki tobie* zarabia? Ile dzieci *dzięki tobie* skończy studia? Ilu ludzi obejrzało *twoje* filmy, a ilu przychodzi zobaczyć *moje*?

Ostatni film reżyserowany przez Pellama, „Czas środkowoamerykański”, nigdy nie został ukończony. Główną rolę miał w nim zagrać Tommy Bernstein, który zmarł na planie, w drugim tygodniu zdjęć, na rozległy, wywołany zażyciem kokainy zawał serca. Wcześniejszy film Pellama zdobył Złotą Palmę na festiwalu w Cannes, lecz północnoamerykańscy widzowie mogli go zobaczyć tylko w Nowym Jorku, Montrealu, Toronto, Los Angeles i tych miastach, w których wypożyczalnie wideo snobowały się na kultowe filmy. To, co powiedział Tony Sloan, było więc w stu procentach zgodne z prawdą.

Mimo to Pellam odparł gładko: — Nie powiem Petersonowi, że widziałem, kto siedział w tamtym samochodzie.

— W takim razie zwalnię cię. Zmywaj się. Wszystkie papiery i cały sprzęt przekażesz Stile'owi. Zastąpi cię jako dokumentalista.

— Podam cię do sądu, Tony. Wcale nie mam na to ochoty, ale zrobię to.

— Jeżeli ten film nie wypali, Pellam, zgłoszę się do ciebie po swoją wypłatę. Równo milion siedemset. Nawet jeśli przegram, sami adwokaci będą cię kosztować pół miliona. Nie szanujesz mnie i mojej pracy, w porządku. Ale to nie znaczy, że masz prawo pozbawiać mnie zarobku.

Wiedziłeś o tym? — spytał Ralph Bales. Stevie Flom zerknął na podsuniętą mu stronę wydawanego w Maddox „Reportera”, nie mając zielonego pojęcia, o czym mianowicie miałby wiedzieć. — Z reguły czytam „Post-Dispatch”.

— Dobra, założę się, że w „Post-Dispatch” też o tym pisali. Widzisz przecież, to wiadomość z Associated Press. Co oznacza, że mnóstwo gazet ją przedrukowało. Znajdowali się na nabrzeżu w St. Louis; nad nimi górował srebrzysty łuk, jednocześnie wyniosły i groteskowy, jak gigantyczna zabawka, a przed nimi niezdrowo wyglądające, żółtawomleczne wody rzeki ude-rzały o betonowe słupy. Z głośników czerwonego jak wóz strażacki turystycznego statku parowego — tylnokołowca — rozbrzmiewał jazz w wykonaniu sekcji dętej.

Kiedy zjawił się Stevie Flom, Ralph Bales akurat czytał gazetę. Opierał się o rdzewiejącą balustradę, całkowicie pochłonięty artykułem. Stevie Flom był zmarznięty i nie interesowało go, o czym pisali w gazecie. Poprzedniej nocy kiepsko spał, przewracając się z boku na bok i nasłuchując, jak za oknem sypialni wiatr szarpie samotnym drzewem. Długo wpatrywał się w jego koronę. Kiedy zasypiał, naliczył na gałęziach siedemnaście liści; kiedy się obudził, było ich już tylko osiem. Jego żona spała smacznie, z uśmiechem na twarzy. Strasznie go to wkurzyło.

A potem obudziła się, cała radosna jak skowronek, i to też go wkurzyło.

Wiadomość, której nie czytał, chociaż powinien, dotyczyła samolotu, który był w stanie startować pionowo — później jego skrzydła przekręcały się do przodu i dalej leciał już normalnie. — To *genialny* pomysł. — Ralph Bales wskazał mu opuszczone doki nad samą rzeką. — Patrz, mógłby tutaj lądować. Nie musiałbyś jeździć do Lambert. Jeżeli o mnie chodzi, najgorszą rzeczą w podróżowaniu są dojazdy na lotnisko.

Stevie Flom rzadko podróżował. Oczywiście jeździł do Reno. Poza tym kiedyś razem z paroma kumplami wybrali się do kasyna w

Porto-ryko. Zabrał też kiedyś żonę na Arubę — nic, tylko piasek, wiatr i żar lejący się z nieba na ziemię. Był ciekaw, gdzie Ralph Bales tak często wyjeżdża, że aż musi się martwić dojazdami na lotnisko.

— Fajnie byłoby się takim przelecieć.

— No — mruknął Stevie Flom. Popatrzył na zdjęcie samolotu i po chwili namysłu uznał, że to *faktycznie* całkiem niezły pomysł. Przyszło mu do głowy, że za pieniądze zarobione u Lombro mógłby jeszcze raz zabrać żonę na wakacje. Albo którąś ze swoich przyjaciółek. Musiałby tylko zdecydować, którą.

— Dostałem zielone światło — oznajmił Ralph Bales. Otworzył gazetę na pierwszej stronie, gdzie nie było ani słowa o samolotach, ani żadnych innych ciekawych wynalazkach.

— Dostałeś... Aha, żeby zająć się tamtym gościem z przyczepy, tak? Facetem od piwa?! Dlaczego to tak długo trwało?

— Lombro się trochę zdenerwował. Sam nie wiem, on jest...

— Stuknięty i tyle!

— Tak. Stuknięty. Ale zwiększył twój udział do dziesięciu.

— Dziesięciu *tysięcy*?

— Jasne, że tysięcy. A co myślałeś?

— Kurczę, ale dlaczego? — Stevie uśmiechnął się tak szeroko, że aż pomarszczyły mu się jego gładkie jak u niemowlaka policzki.

— Dlaczego? To może chcesz, żebym do niego zadzwonił i wszystko odkręcił?

— Po prostu jestem ciekawy.

— Ciekawy. No nie, on jest ciekawy — westchnął Ralph Bales. — To ma wyglądać na wypadek.

— Na wypadek? Dlaczego?

— Bo tak. Stąd ta dodatkowa kasa. Tak sobie myślę, że można by coś wykombinować z tym jego motorem.

— Motorem?

— No tak, z tą żółtą yamahą. Trzyma ją na tyłach przyczepy.

— Nie ma sprawy — powiedział Stevie. — Wypadek drogowy. Bułka z masłem. Jakby codziennie nie robił niczego innego. Stevie Flom pomyślał, że Maddox to idealne miejsce, żeby zwinąć samochód, ale fatalne, żeby po nim jeździć, jak się już go ukradło. Lokalne gliny nie miały nic do roboty poza tym, żeby filować na trefne wozy, a samo miasto nie było wystarczająco duże, żeby zgubić się w ruchu ulicznym. Kiedy jak przykładowy obywatel wolno wyjeżdżał z

miasta, zwrócił na siebie uwagę dwóch policjantów z drogówki. Stevie był też niezadowolony z tego, że poprzednim właścicielem dodge'a, którego właśnie prowadził, była firma wypożyczająca samochody. To oznaczało, że widniejące na liczniku siedemdziesiąt siedem tysięcy kilometrów to było siedemdziesiąt siedem tysięcy kilometrów ostrej jazdy pod ciężką stopą bezmyślnych kierowców. W rezultacie silnik tego cholernego grata stukał i zgrzytał, a z klimatyzacji wydobywał się ciągły syk, nawet kiedy była wyłączona.

Na szczęście wóz rozwijał niezłą prędkość i Stevie był w stanie dogonić motocykl, chociaż facet od piwa pędził jak szatan. Martwił się, że jeśli yamaha zacznie slalom po pasach, będzie tylko mógł pomachać tamtemu na do widzenia. Wcisnął gaz do dechy i zmniejszył dystans dzielący go od motocykla.

Może i trafił mu się kiepski samochód, ale pod jednym względem miał szczęście. Kiedy podjechał na kemping „Przy drodze”, facet właśnie wyszedł z przyczepy i wskoczył na yamahę. Spojrzał nawet na wóz Steviego, ale przelotnie, nie interesując się zbytnio tym, kto siedzi za kierownicą. Stevie minął go. W tylnym lusterku zobaczył, że mężczyzna

odpala motor. Wolno zawrócił i podążył jego śladem.

Kiedy znaleźli się na autostradzie, facet od piwa zmienił pas, wyrwał do przodu, a potem gwałtownie zahamował, wybierając ostatecznie najszybszy pas i przekraczając dozwoloną prędkość o dobre trzydzieści kilometrów.

Stevie, zaciskając spocone dłonie na kierownicy, zdołał go jakoś dopędzić i wkrótce gładko zmierzali już razem w kierunku St. Louis.

Stevie postukiwał w kierownicę zdobnym w złoty sygnet małym palcem i myślał o ojcu. W pamięci zachował ograniczony zbiór surowych kadrów swojego starego i teraz zdał sobie sprawę, że niektóre z nich dziwnie pasowały do tego faceta na motorze. Szczupły, dobrze po trzydziestce, skórzana kurtka, motocykl. Ta myśl po raz kolejny tego dnia wprawiła go w zły humor; wzburzony nachylił się, żeby włączyć radio. To był model cyfrowy i Stevie nie miał zielonego pojęcia, jak zaprogramować swoją ulubioną stację, „We Rock St. Louis — same hity całą dobę”. W starych odbiornikach po prostu przekręcało się gałkę i ustawiało wybraną częstotliwość, a potem pociągało za guzik i wciskało go do środka. A teraz ta cała elektronika! Jedno

wielkie gównu.

Z całej siły kopnął radio obcasem i roztrzaskał jego obudowę. Mimo to wciąż grało jakiś smętny klasyczny kawałek. Kopnął jeszcze raz i plastik pękł, a głośnik umilkł, jeśli nie liczyć wydobywającego się z niego syku.

Stevie Flom przestał zawracać sobie głowę muzyką i skoncentrował się na motocyklu.

Donnie Buffett nie od razu ją zauważył.

Otworzył oczy, ale bał się poruszyć głową. Bał się, że od tego zwymiotuje. Od jakiegoś czasu zażywał silne leki przeciwbólowe na płonącą żywym ogniem ranę na ramieniu i miał przez to nieustające mdłości.

— Tak mi przykro — powiedziała.

— Penny, skarbie... — Wyciągnął do niej rękę, a ona — to dopiero było dziwne — chwyciła ją w obie dłonie i ucałowała jego palce, a potem potarła nimi o swój policzek. Przyglądał się jej, jakby nie widział jej od miesięcy, jakby nigdy wcześniej jej nie widział. Gęste, ciemne włosy, ładna, pociągła twarz. Zgrabna figura, fatalna postawa — garbiła się, żeby ukryć swoje duże piersi, których rozmiar wyraźnie ją krępował. Ubrana była w rzeczy, które miała od dawna i które już wcześniej nosiła, ale których nie mógł sobie przypomnieć: szary kostium, pomarańczową

bluzkę i jasne rajstopy.

Buffett żałował, że nie mają dziecka — kogoś, z kim Penny mogłaby teraz spędzać czas. Dla kogo musiałyby być silna. Wierzył, że w głębi ducha jest silną osobą, potrzebowała jednak kogoś — lub czegoś — kto by tę siłę z niej wydobył.

Podawała mu torbę na zakupy. Upiekła ciasteczka (to, co powiedział

0 niej Pellamowi, to święta prawda —

Penny była fantastyczną kucharką) i

przyniosła paczkę chipsów ziemniaczanych oraz francuski dip o smaku cebulowym firmy Sour King. Do tego „Reader's Digest”

1 kilka krzyżówek.

Donnie Buffett w życiu nie rozwiązał ani jednej krzyżówki.

Nachyliła się nad nim i pocałowała go w policzek, jak siostra brata. Poczł zapach jej perfum. Był ciekaw, czy postrzał w szyjny odcinek kręgosłupa mógłby pozbawić go zmysłu węchu.

Rzecz jasna nie został postrzelony w odcinek szyjny, tylko w plecy. Na szczęście. Nadal więc miał doskonały węch.

Popatrzył na książeczkę z krzyżówkami. —
Dzięki, skarbie.

— Zaznaczyłam ci kilka rzeczy do

prze czytania. — Rozłożyła przed nim „Reader's Digest”. „Moja walka z białaczką” — brzmiał tytuł pierwszego artykułu. „Przeżyj swoje życie dzień po dniu” — drugiego. Trzeci artykuł przedrukowano z czasopisma „Higher Self i był on zatytułowany „Radość: nie bój się jej”.

Buffett spojrział na jedzenie, a Penny powiedziała: — Nie wiem, czy wolno ci jeść takie rzeczy.

— Mogę. Przecież nie wycięli mi wyrostka, ani nic w tym rodzaju. Pokiwała głową z zapalem.

Buffett miał teraz okropną fryzurę. Włosy opadały mu na czoło. Bez przerwy odgarniał z twarzy ciemne kosmyki. Akurat znowu to zrobił, po czym stracił panowanie nad swoim ramieniem i uderzył ręką o metalowy zagłówek łóżka.

— Cholera — syknął

Na ślicznej twarzy Penny odmalował się szok.

— Wezwę pielęgniarkę — zawołała zaniepokojona. Zerwała się z krzesła i rozpaczliwie szukała wokół siebie przycisku alarmowego.

— Nic mi nie jest. Wszystko w porządku. To te proszki, które biorę.

— Niech ktoś nam pomoże!

— Penny.

Przez chwilę żadne z nich się nie poruszało.

— Tak mi przykro.

— Przestań to ciągle powtarzać. Dlaczego to mówisz? Otworzył paczkę chipsów i zjadł kilka, żeby pokazać jej, że mu smakują. Nie mógł się jednak zmusić, żeby spróbować dipa. Potem nadgryzł ciastko. Było bardzo dobre. Zjadł jeszcze jedno. Ich słodycz przypomniła mu jego Ostatnią Wieczerzę — pączka i kawę, które dostał od Pellama. Wziął do ręki torbę, którą przyniosła, zamierzając postawić ją na podłodze przy łóżku. W środku wyczuł świeczkę. Wyjął ją. — Penny...

— Wiem, co o tym sądzisz. Ale to ci na pewno nie zaszkodzi. Włożyłam ci jeszcze olejek.

— Olejek...

Wstała i wyjęła mu z rąk torbę. — Olejek do aromaterapii.

— Do aromaterapii.

— Wlewa się go do wanny i...

— Raczej trudno będzie mi wziąć teraz *kąpiel* — rzucił zirytowany. — Jakim cudem miałbym wejść do wanny?

Popatrzyła na niego przez łyzy. — Może nie trzeba go wlewać do wanny. To znaczy, skoro działa na ciało w kąpielach, to chyba wystarczy

się nim posmarować, prawda? — I zaraz dodała: — Wierzę, że to działa. Trzeba tylko chcieć wyzdrowieć. Smarujesz się olejkiem i ze wszystkich sił myślisz o tym, że chcesz być zdrowy. Wczoraj wieczorem medytowałam przez godzinę i siedem minut...

Panika słyszy te słowa i pręży się do skoku. A potem zaczyna szarpać wnętrzności Donniego Buffetta.

Na jego czole pojawia się pot.

Dobry Jezu, nie daję mu spokoju! Szamocze się w środku, bawi bólem w jego nogach, wkrada się do serca, tańczy na jego kroczu (nie dasz rady go podnieść, co, gnojku?)

Panika...

Buffett próbuje z nią walczyć. Wbija paznokcie we wnętrze swojej lewej dłoni. Skupia się na tym bólu, pragnąc, aby zmienił się w falę cierpienia. Dopiero ono sprawia, że panika obojętnieje. Przestaje się ruszać, traci siły.

Buffett z wolna się uspokaja. Penny zdaje się nie zauważać roztargnienia męża; opowiada mu o zakupach, o swoich rodzicach i o grupie uświadamiającej, w której uczestniczy.

Panika wreszcie zasypia.

Już uspokojony, Buffett wciągnął głęboko powietrze, po czym przerwał jej, mówiąc: — Chciałbym, żebyś poznała moją lekarkę.

Penny zamrugnęła powiekami.

Buffett ciągnął: — Doktor Weiser. Jest najlepsza w mieście.

— Wiesz, co myślę o lekarzach.

Potrzebujesz czegoś więcej niż tylko...

— Ja teraz naprawdę *potrzebuję lekarza*, skarbie — odparł. — Nie upieraj się, proszę. Spotkaj się z nią.

— Okej — odparła radośnie; jej oczy błyszczały. — Bardzo chętnie. Obiecuję ci, że nie będę jej prawić kazań na temat...

Na temat czego? Tego, jak powinno się praktykować medycynę? Na temat medycyny holistycznej? Spirytualizmu?

Penny nie dokończyła zdania; zamiast tego wykonała na piersi znak krzyża, jak wstydliva harcerka. — Słowo honoru. — Poważnie skinęła głową, jak gdyby chciała w ten sposób potwierdzić przesadną szczerłość swoich słów, chociaż prawdopodobnie zrobiła to zupełnie bezwiednie.

Zdarzały się takie chwile, kiedy Penny robiła wrażenie całkiem normalnej. Jej włosy były czyste, błyszczące i ładnie zakręcone, rysy jej twarzy — widzianej pod odpowiednim kątem — łagodne, a podniesiony kołnierzyk bluzki przesłaniał ciemne kości jej obojczyków. W takich chwilach zwykle składała dłonie,

skrywając obgryzione skórki i ukru-szone paznokcie przed wzrokiem patrzącego. W jej oczach pojawiał się roztańczony blask — były trochę zdumione, trochę nieśmiałe. Wyglądała wtedy czarująco.

W takich chwilach Donnie Buffett przypominał sobie kobietę, w której się zakochał.

A teraz słuchał jej opowieści o tym, jak to ona i jej znajomi będą w jego intencji zanosić śpiewy medytacyjne.

— Śpiewy medytacyjne — powtórzył i nagle poczuł się bardzo zmęczony. Wręcz wyczerpany. Zamknął oczy, czując, że jedyne, czego teraz pragnie, to znowu zasnąć.

Pograćzyć się w sennych marzeniach o bólu przepływającym falami przez mięśnie, które na jawie nic już nie czuły. Zmęczenie spowiło go zmysłowo i otuliło ciasno, niczym ramiona dziewczyny desperacko uprawiającej miłość w akademiku.

— Jestem skonany, skarbie — wymamrotał, udając, że zapada w drzemkę.

— Tak, powinieneś się przespać — przyznała Penny i dotknęła jego ręki.

— Uhm. — Niewiele brakowało, a Buffett otworzyłby oczy i spojrzał na nią. Postanowił jednak tego nie robić. Przez chwilę czuł wyrzuty sumienia z powodu tego małego

oszustwa.

Jestem prawdziwym szczęściarzem.

*Szczęściarzem, szczęściarzem,
szczęściarzem. Nie zarobiłem kulki w łeb. Nie
trafdi mnie prosto w serce. Nie postrzelili mnie
w szyję. Nadal czuję zapachy.*

Z oddali dobiegł go jej stłumiony szept: —
Zdrzemnij się teraz, kochanie. Pójdę już. —
Usłyszał szelest papieru. — Tutaj ci
napisałam, jak używać świecy.

Donnie Buffett westchnął głęboko jak
człowiek, który zapada w sen. Nie minęła
nawet minuta, jak to kłamstwo stało się
prawdą, a on śnił, że zjeżdża na nartach z
malowniczej góry, której potężne, białe zbocza
wznosiły się prosto na tle nieskończonego
błękitu nieba.

W połowie drogi do St. Louis Stevie Flom
uznał, że nadarza mu się znakomita okazja.
Docisnął pedał gazu i samochód ospale
zareagował, wyprzedzając wlokącą się z
przodu ciężarówkę.

Zwolnił tuż przed yamahą. Z bliska okazała się
być motocyklem crossowym, o wysokich
błotnikach pełniących jednocześnie funkcję
chłapaczy oraz solidnych resorach, które
świetnie sprawdzały się na wybojach i
dziurawych miejskich drogach. Bagażnik był

niecو przekrzywiony. Stevie przyjrzał się uważnie żółtym błotnikom, srebrnej kierownicy, czerwonemu kaskowi kierowcy i jego skórzanej kurtce, po czym zaczął się rozglądać za tablicą informującą o najbliższym zjeździe z autostrady.

Dostrzegł ją jakieś osiemset metrów przed sobą i zerknął w lusterko, żeby sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Z tyłu zamajaczyła mu biała ciężarówka bez naczepy. Taka z dziesięcioma biegami i kierownicą wielką jak młyńskie koło. Była dość lekka i miała na pewno hamulce pneumatyczne, ale przy prędkości prawie stu kilometrów na godzinę jej droga hamowania wyniosłaby jakieś pięćdziesiąt metrów.

W tej chwili była czterysta metrów za nim.

Stevie Flom włączył kierunkowskaz.

Przyspieszył, aż od motocykla dzieliło go mniej niż metr; facet od piwa pochylał się nad kierownicą, a słońce odbijało się od jego lśniącego kasku. Kierowca ciężarówki trzymał się z tyłu. Musiał zauważyć migający kierunkowskaz Steviego, ale chyba zbił go z tropu fakt, że dodge nie zaczął jeszcze zwalniać.

Dziewięćdziesiąt metrów.

Stevie zjechał na lewą stronę pasa.

Kierowca ciężarówki musiał dojść do wniosku,

że Stevie włączył kierunkowskaz przez pomyłkę i przyspieszył, zbliżając się do niego na dwie długości samochodu. Z prawej strony jezdni rozszerzała się i widać już było zjazd z autostrady.

Stevie wcisnął gaz do dechy i spojrzał w prawo, po czym wykonał gwałtowny skręt kierownicą.

Jego przedni zderzak zahaczył o tylne koło yamahy.

Motocykl gwałtownie zatańczył. Jego kierowca rzucił przerażone spojrzenie w tył, akurat w momencie, gdy motor zaczął kłaść się na boku. Rozległ się dźwięk klaksonu i przeraźliwy pisk hamulców ciężarówki. Lewy but motocyklisty uderzył o jezdnię w bezradnym, odruchowym geście. Kierowca wyciągnął ramiona i poleciał do przodu, ponad skręconą kierownicą.

Ze zbiornika na paliwo yamahy posypały się iskry. Facet od piwa, z ustami otwartymi do krzyku, którego Stevie nie słyszał, i z wyciągniętymi w obronnym geście ramionami runął na asfalt z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Z jego kasku poleciały odłamki włókna szklanego.

Stevie ostro wszedł w zakręt, o włos mijając żółty, plastikowy słup odblaskowy, i zmniejszył

prędkość do czterdziestu kilometrów na godzinę. Był zbyt zajęty odzyskiwaniem kontroli nad samochodem, żeby sprawdzić, co właściwie wydarzyło się na autostradzie. Znajdował się już na końcu zjazdu, gdy usłyszał pisk opon i kakofonię klaksonów. W ostatniej chwili przejechał na żółtym świetle i już spokojnie skręcił w brudną, brukowaną ulicę pełną ciągnących się wzdłuż niej warsztatów blacharskich, magazynów i odrapanych parterowych domków. Gdzieś niedaleko stąd płynęła Missisipi.

18

Uroczystość żałobna odbyła się w barakowatym budynku w centrum Maddox. W kaplicy domu pogrzebowego Beth Israel. Pellam nie wiedział, że Stile był Żydem. Rozmawiali o wielu sprawach, poczynając od kobiet, przez whisky, a na rynku nieruchomości kończąc, ale religia należała do tej kategorii tematów, których nigdy nie poruszali — podobnie, jak nie rozmawiali o tym, dlaczego Stile trwał przy swoim zawodzie i w przeciwieństwie do wielu innych kaskaderów nigdy nie spróbował swoich sił jako

reżyser drugiego planu.

Albo dlaczego Pellam przestał reżyserować po śmierci Tommy'ego Bernsteina.

Pellam rozmawiał wcześniej z kuzynem Stile'a z San Diego —jego najbliższym żyjącym krewnym — i to od niego dowiedział się, że Stile wychował się we wspólnocie żydowskiej gminy reformowanej. Potem wystarczyło już tylko kilka telefonów, żeby zorganizować ceremonię.

Teraz ciało było w drodze do południowej Kalifornii, a sto sześćdziesiąt osiem osób stało w ciemnym budynku w obskurnej części ponurego miasta w stanie Missouri, które już dawno straciło dla nich wszelki urok czy posmak nowości. Sądząc po strojach, odbywał się tu pokaz mody, a nie uroczystość żałobna: nikt z obecnych nie dysponował strojem odpowiednim na pogrzeb, ale jako że cała ekipa pochodziła z Hollywood, czerń była wszechobecna, chociaż w bardzo nieortodoksyjnym wydaniu: minisukienek, obcisłych trykotów i workowatych garniturów.

Surrealistyczny klimat potęgował jeszcze fakt, że wszyscy mężczyźni mieli na głowach jarmułki.

Szef Stile'a, koordynator kaskaderów, był twardym sześćdziesięcio-pięcioletkiem o

przedramionach pokrytych płataniną
wyblakłych tatuaży, obecnie ukrytych pod
rękawami wygniecionego, szarego garnituru.
Mężczyzna ten dawniej spadał z koni na
planie u Johna Forda i wyskakiwał przez okna
pod okiem Sama Peckinpaha, a teraz łkał jak
dziecko. Zresztą wiele osób płakało. Nie było
nikogo, kto nie darzyłby sympatią Stile'a,
człowieka, który rzucał się w dół z
czterdziestometrowych urwisk i bez wahania
skakał w ogień.

Pellam nie potrafił spojrzeć im wszystkim w
oczy. W końcu Stile zginął z jego winy.
Yamaha była własnością spółki Missouri River
Blues i kiedy Pellam zgodnie z poleceniem
Sloana przekazywał całą dokumentację
filmową Stile'owi, zaproponował mu przy
okazji: — Zabierz też motor, jeśli chcesz.
Prędzej czy później Tony i tak każe mi go
zwrócić. — Stile podziękował, zostawił
pożyczony wóz na kempingu, do dyspozycji
Pellama, i pałac gumy, pognął autostradą
międzystanową do St. Louis. Miał tam
umówione spotkanie z prawnikiem Hankiem w
sprawie zezwoleń na nakręcenie w plenerze
sceny niesławnej finałowej strzelaniny.
Pellam nie znajdował odpowiednich słów,
żeby wyrazić swoje uczucia.

Objął za to jedną z młodziutkich aktorek i pozwolił jej się wypłakać na swoim ramieniu. Poczował ostry zapach lakieru do włosów i dymu z papierosów. Kobieta nie histeryzowała. Po prostu drżała na całym ciele. Pellam nie płakał. Podszedł do rzędu ławek i zajął miejsce obok kilku innych członków ekipy, starszych mężczyzn, oświetleniowców. Rabin — a może tylko dyrektor domu pogrzebowego — stanął przed nimi i zaczął przemawiać. Pellam nie zwracał uwagi na jego słowa; to nie one były najważniejsze, przynajmniej jego zdaniem. Cały ten rytuał nie miał nic wspólnego ze Stilem, nie w tej chwili. Liczyło się nie samo kazanie, ale czas, jaki zajmowało — ta godzina spędzona w wyłożonym drewnem, wyciszonym pomieszczeniu, z aksamitną czapczką na głowie założoną na znak szacunku; przedział czasu zarezerwowany wyłącznie dla śmierci. Docierało do niego brzęczenie słów przemawiającego, jego łagodny baryton. Żałował, że nie potrafi się modlić. W duchu postanowił, że zaproponuje Sloanowi, aby ten zadedykował „Missouri River Blues” Stile'owi ■ — w końcu ten film był nie tylko produktem jego artystycznej wizji, ale przede wszystkim niesamowitym popisem

sztuki kaskaderskiej.

Nie, nie zaproponuje — bez względu na to, co wydarzyło się między nim a Sloanem, Pellam *zażąda* od niego tej dedykacji. Przynajmniej tyle mógł teraz zrobić.

Ale to i tak było za mało.

Stevie Flom wiedział, co powie swojemu wspólnikowi: „Po pierwsze, kiepsko go opisałeś. Po drugie, facet wyszedł z przyczepy i wsiadł na motor. Po trzecie, sam mogłeś to zrobić...”

Zdażył jednak wykrztusić tylko: — Po pierwsze... — W tym samym momencie bowiem Ralph Bales chwycił go za kłapy modnej, czarnej kurtki i rzucił przerażonym Steviem o ścianę baru U Harry'ego.

— Panowie. — Barman pogroził im palcem, lecz bez większego zaangażowania.

Znajdowali się w obskurnym, śmierdzącym lizolem lokalu z niezbyt malowniczym widokiem na rafinerie w Wood River w stanie Illinois. Był to tego rodzaju bar, którego kierownictwo, widząc dwóch mężczyzn — dwóch *białych* mężczyzn, do tego względnie trzeźwych i nie będących pod wpływem narkotyków — wymierzających sobie sprawiedliwość, zostawiało ich w spokoju. Rzecz jasna, do czasu.

Ralph Bales przeniósł spojrzenie z wystraszonej twarzy Stewiego Floma na kamienną facjatę barmana i puścił klapy tego pierwszego. Był bardzo bliski rozkwaszenia nosa swojemu wspólnikowi, ale po namyśle postanowił tego nie robić. Stevie zgarbił się i przesunął palcami po swojej ostrzyżonej najeża głowie. — Ej, Ralph, daj spokój.

Ralph Bales odwrócił się do niego plecami i przeszedł przez bar do znajdującej się na tyłach restauracji. Usiadł w wolnym boksie. Stevie podreptał za nim jak skarcony psiak i klapnął po przeciwnej stronie stołu.

Ralph Bales odezwał się: — Dupek z ciebie.

— Po pierwsze było tak, że facet wyszedł z przyczepy i wsiadł na motor. *Skąd* miałem wiedzieć, że w środku ktoś jeszcze został? Powiedziałeś, że gość jeździ na motorze. A w ogóle, to nawet mi go nie opisałeś.

— Zamknij się i posłuchaj. Tym razem Lombro jest *naprawdę* wkurzony.

— To nie była moja wina.

— Że co?! Chyba się przesłyszałem? Kiedy ty się nauczysz, że ludzi takich jak on *nie obchodzi*, kto zawinił. Co mu zamierzasz teraz powiedzieć? „Ojej, panie Lombro, najpierw postrzeliłem gliniarza, a teraz zabiłem niewłaściwego człowieka, ale mogę to

wytłumaczyć"?

— Powiedziałeś mu, że to byłem ja? — szepnął Stevie.

Ku wielkiej satysfakcji Ralpa Balesa główniarz był w tej chwili autentycznie przerażony. Przez kilka długich sekund pozwolił mu zwijać się z niepewności. Potem odparł: — Nie podałem mu twojego nazwiska.

— Dzięki, Ralph. Porządny z ciebie gość.

— Powiedziałem mu, że człowiek, którego wynajęliśmy, popełnił błąd.

— „Którego wynajęliśmy”. To znaczy, że ty i ja wzięliśmy do tej roboty kogoś trzeciego. W ten sposób nie będzie mnie podejrzewał. — Stevie pokiwał głową. — Sprytnie pomyślane.

— Lombro się wkurzył, ale na razie nie pociągnie nas do odpowiedzialności.

Skrewiliśmy, więc wstrzymał wypłatę premii, ale mimo to i tak coś nam skapnie. O ile tym razem nie nawalisz.

— Może więc teraz mógłbyś lepiej mi gościa opisać.

— A może lepiej wezmę cię za rękę, zaprowadzę na miejsce i zapoznam z naszym drogim świadkiem...

— Przestań, Ralph...

— Słuchaj no, ta sprawa zaczyna wymykać nam się z rąk.

— Może powinniśmy po prostu się ulotnić.
— Bez pieniędzy? Szkoda jednak, że nie załatwiłeś wtedy tamtego gliniarza...
— Ty też miałeś okazję to zrobić — mruknął niepewnie Stevie. Ralph Bales otworzył usta, żeby zaprotestować, lecz w tym samym momencie przypomniał sobie, jak przyciskał lufę pistoletu do głowy policjanta. — Fakt, miałem.

Podeszła kelnerka, zamówili więc koktajle piwne i hamburgery. Kiedy zniknęła, Ralph Bales powtórzył: — Ucisz tego cholernego świadka raz a dobrze, okej?

Stevie odparł: — Jasna sprawa. Nadal chcesz, żeby to wyglądało na wypadek? Bo jeśli masz takie życzenie, to...

Ralph Bales zastanawiał się przez chwilę. — Rób co chcesz. Wszystko mi jedno.

Jego słowa podziały na Stewiego jak balsam.

Rzucił: — Chcę ci tylko jeszcze coś powiedzieć. Po pierwsze, kiepsko mi go opisałeś... Ralph Bales poderwał się z miejsca.

Stevie uniósł w górę rozcapierzone dłonie i wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Żartuję, Ralphy. Żartuję. Najgorsze, to stracić poczucie humoru.

Zabił mojego przyjaciela — oświadczył Pellam

— a ja zamierzam go za to dopaść.
Donniego Buffetta nie interesowały plany Pellama. Wcześniej tego dnia odebrał telefon od Penny, która przez bite pięć minut nuciła mu swoje pieśni medytacyjne, podczas gdy on wpatrywał się w słuchawkę, najpierw z niedowierzaniem, a później z obrzydzeniem. Wreszcie rozłączył się i zdjął słuchawkę z widełek. Następnie zwieziono go na dół i przez cały ranek tłamszono i nakłuwano. Usłyszał, że ma napiąć mięśnie zwieracza. Z rozdrażnieniem zapytał: — Mięśnie czego? — Młody stażysta wyjaśnił: — Mięśnie pańskiego odbytu. Proszę je napiąć. — Na co z kolei Buffett odparł tak głośno, żeby słyszeli go wszyscy pacjenci na korytarzu: — A, mówi pan o mojej *dupie*?

Pozostałe badania upłynęły w podobnej atmosferze.

A teraz jeszcze zjawił się u niego Pellam, spocony i z oszalałym wzrokiem, i mówił coś o dopadaniu jakichś ludzi.

— Posłuchaj, ukradłeś moją broń, pouczasz mnie w sprawach, o których nie masz zielonego pojęcia, a potem przyłazisz i bredzisz coś o zabijaniu. Czego ty właściwie ode mnie chcesz? — spytał spokojnie Buffett. Pellam nachylił się nad nim. Buffett zamrugał,

widząc z tak bliska jego twarz — wszystkie pory wyraźne jak na dłoni, linia ciemnych włosów, skóra na czole.

Wyraz oczu Pellama przywiódł mu na myśl młodych policjantów, zaraz po ich pierwszej w życiu strzelaninie. Żądni czynu, pobudzeni do działania, a jednocześnie — o ironio — uspokojeni widokiem śmierci. To wszystko sprawiało, że byli wtedy przerażający.

Niesamowicie przerażający.

Pellam warknął: — Tamten facet z lincolna zabił mojego przyjaciela.

Buffett nie zareagował, więc Pellam opowiedział mu o śmierci Sti-le'a. — Pomylili go ze mną. Widzieli, jak wychodzi z przyczepy i wsiada na motor, więc go zabili. Myśleli, że to ja.

— Posłuchaj mnie, stary, przecież to szaleństwo jeździć motorem po mieście. Takie wypadki ciągle się zdarzają. Jak chcesz, mogę ci podać statystyki.

— Do diabła ze statystykami. Chcę, żebyś mi poradził, jak to zrobić.

— Co?

— Jak go aresztować. Czy mogę do niego strzelić, jeśli będę musiał?

Śpiewy medytacyjne oraz całe to wcześniejsze tłamszenie i nakłuwanie zbladły

nagle w pamięci policjanta. Pellam i jego chłodny, budzący przerażenie wzrok całkowicie przykuły uwagę Buffetta. — Muszę gdzieś zadzwonić. — Przez następne dziesięć minut konferował z kimś przez telefon, podczas gdy Pellam wyglądał przez okno. Jego wargi poruszały się od czasu do czasu, jakby coś do siebie mówił. Policjant tymczasem rzucił do słuchawki: — Jaka jest szansa, że ten wypadek miał związek ze sprawą Pellama?... Aha. Tak, wiem, co o tym myślicie, ale zaczynam uważać, że ten facet jest w porządku... Tak, mówię

0 Pellamie. Nie jestem już taki pewien, że on faktycznie *widział* tamtego gościa w lincolnie.

Pellam nastawił uszu.

Buffett dodał: — Dobra, róbcie to, co trzeba. Rozumiem. Ale nie przyciskajcie go za mocno. Zginął jego kumpel.

Odłożył słuchawkę i powiedział: — Uważają, że to był wypadek.

1 typowa ucieczka z miejsca wypadku. Kierowca ciężarówki zeznał, że jakiś samochód najechał na motor. Numer rejestracyjny należy do skradzionego dodge'a.

— No widzisz. Skradzionego.

— Większość takich tragedii powodują

gnojki w skradzionych wozach. Dlatego potem uciekają z miejsca wypadku.

Pellam znów się nad nim nachylił. —

Posłuchaj, ja wiem, że to był ten facet ze znamieniem na twarzy. Musiał mnie widzieć w biurze Pe-tersona po tym, jak napadł na Ninę.

— Poproszę Gianno i Hagedorna, żeby to sprawdzili. Oni... Pellam wybuchnął: —

Sprawdzili? *Sprawdzili*! V. Jedyne, co ci dwaj robią, to zaturwiają mi życie. Niczego nie rozumiesz. Za pięć minut stąd wyjdę, odszukam człowieka, który zamordował mojego przyjaciela, i dopadnę go. Jak nie możesz mi w tym pomóc, to idź do diabła!

— Posłuchaj, Pellam. Jeżeli ten facet faktycznie to zrobił, w takim razie musi być zawodowcem. Nie pozwoli ci się tak po prostu areztować. Chcesz to zrobić sam, bez żadnego wsparcia? Zwariowałeś? A będziesz potrafił go sprzątnąć, jak zajdzie taka potrzeba? Czy ty w ogóle kiedyś do kogoś strzelałeś? — Buffett pokręcił głową, uśmiechając się pobłaźliwie.

Pellam rozsunał suwak kurtki i wyciągnął zza paska Colta Peace-makera. Z twarzy policjanta zniknął uśmiech, a jego niespokojne spojrzenie wędrowało za rewolwerem, aż ten znalazł się z powrotem na swoim miejscu, za

paskiem spodni Pellama.

— Powinieneś wziąć pod uwagę jeszcze jedną rzecz — powiedział cicho Pellam. — Ten facet ze znamieniem jest najpewniej współnikiem człowieka, który wysiadł z lincolna, a co za tym idzie, prawdopodobnie to *on* wtedy do ciebie strzelał.

Buffett rzeczywiście o tym nie pomyślał. Teraz jednak to zrobił. Po dłuższej chwili odparł wolno: — Jestem policjantem. Nie mogę pomóc ci nikogo zabić. Bez względu na to, kto by to nie był.

— Wcale nie zamierzam go zabić. Chcę go tylko aresztować. Czubkiem języka Buffett dotknął kącika warg. — Nie wiem, co właściwie chcesz ode mnie usłyszeć.

— Jak dokonać obywatelskiego zatrzymania? Czy najpierw mam go zmusić, żeby się przyznał? Mogę go tak po prostu aresztować, jak to robią w filmach? Muszę odczytać mu jego prawa? Buffett-policjant namyślał się przez chwilę. — Przede wszystkim nie masz żadnego dowodu. Kierowca ciężarówki nie widział, kto prowadził tego dodge'a. Nasi chłopcy zrobiliby tak: znaleźli podejrzanego, przewieźli go na posterunek i przesłuchali. Nie aresztowaliby go, po prostu wzięliby go na spytki. Obejdzie

się bez wzywania adwokata, ale też gość będzie mógł wstać i wyjść, kiedy tylko zechce.

— Mam więc go tylko przepytac?

— Postaraj się znaleźć jakies niekonsekwencje w jego zeznaniach. Moze na przyklad wymieni nazwiska ludzi, ktorzy maja zapewnic mu alibi, a my ich przycisniemy i zmusimy do zmiany frontu. To cholernie zrudna robota, Pellam. Nie mozna tak po prostu kogos aresztowac.

— A gdybym wzial ze soba dyktafon i sprowokowal go, zeby cos chlapnal?

— Zeby nagrac taką rozmowę, nie potrzebujesz nakazu sądowego. To całkowicie legalne. Ale chyba trochę ryzykowne, nie sądzisz?

— I sąd uzna to za dowód?

— Prawdopodobnie tak.

Pellam wzruszył ramionami. Podeszedł do drzwi, ale w progu jeszcze na chwilę przystanął. —A to, co im powiedziałeś... Naprawdę to doceniam.

— O czym ty mówisz?

— O tym, co powiedziałeś swoim kumplom z dochodzeniówki. Że mi wierzysz.

Buffett zachnął się. Pellam zauważył, że z rezygnacją pociera oczy. Wyglądał na równie zmęczonego, jak więdnące kwiaty, które

zaśmiewały półkę nad kaloryferem w jego sali.

— Dobrze się czujesz?

— Chyba tak. Żona mnie dziś odwiedziła.

— Otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale przytłoczyły go uczucia, które chciał naraz wyrazić; po prostu się w nich pogubił. Zanim zdołał wyrzec słowo, fala uczuć ustąpiła, poprosił więc tylko: — Możesz mi podać program telewizyjny? — Wskazał Pellamowi drugi koniec sali. — Ten sukinsyn salowy zostawił go na szafce. A co mi tam z niego przyjdzie? No sam powiedz. Niektórzy ludzie zwyczajnie nie myślą...



19

Odgłos pukania w na wpół uchylone drzwi obudził Donniego Buffetta. Drzemał, a teraz ocknął się ze snu, którego nie pamiętał, a który pozostawił po sobie bliżej nieokreśloną tęsknotę. — Tak? — wymamrotał. — Proszę. Drzwi otworzyły się szerzej i ukazała się w nich lekko przechylona głowa młodej blondynki. Twarz, którą nie od razu skojarzył, była delikatna i bardzo ładna. Kobieta stanęła na progu. Niepewny krok, w połączeniu z

delikatnością i urodą, dodawał jej zmysłowości. To zaś przygnębiło Buffetta jeszcze bardziej niż wizyta Pellama.

— Dzień dobry. Nie śpi pan?

Na dźwięk głosu przypomniał sobie jej imię. — Nina, prawda? Znajoma Pellama?

Weszła do środka, jak gdyby jego słowa oznaczały przyzwolenie. Miała na sobie obcisłą, brązową sukienkę z jedwabiu. Przez ramię przewiesiła beżowy płaszcz. Donnie Buffett zmusił się, żeby nie patrzeć ani na jej obfite piersi, ani na zgrabne nogi o jasnej skórze, ale prosto w jej oczy.

— A pan ma na imię Donnie.

— Minęliście się. — Przygładził włosy i przejechał rozcapierzonymi palcami po swoim dwudniowym zarostcie.

— Naprawdę? — Skrzywiła się, a Buffett zastanowił się, jak choć przez moment mógł przypuszczać, że przyszła go odwiedzić.

Nina zapytała: — A kiedy stąd wyszedł?

Buffett ze zdumieniem zerknął na zegarek.

Wydawało mu się, że spał przez wiele godzin.

— Trzydzieści, czterdzieści minut temu.

— Cały John. Trudno mu usiedzieć w jednym miejscu... Ojej! Jakie piękne róże. Te, które zwykle dostaję, nigdy się tak nie rozwijają.

— Dają do nich taki proszek w torebce.
Trzeba go wsypać do wody.

— I jak ładnie pachną! A pan nie wie przypadkiem, dokąd poszedł Pellam?
Dziewczyno, gdybyś tylko wiedziała...

— Niestety nie. Śmiało, niech pani weźmie sobie kilka kwiatów. Jeśli podobają się pani róże, to bardzo proszę.

Ale ona jedynie pokręciła głową. Przypomniał sobie, że już raz jej coś takiego proponował. Ludzie nie lubią szpitalnych kwiatów. Pewnie uważają, że przynoszą pecha.

— Pellam mówił mi, co się pani przydarzyło w tej fabryce w centrum miasta. To paskudna okolica. Nic się pani nie stało?

Pokręciła głową, ale nie odpowiedziała, jak gdyby samo wspomnienie było dla niej zbyt bolesne. Buffett pożalował, że w ogóle mówił o tym napadzie. Ale czuł się zmuszony dodać:

— Może powinna pani wyjechać na jakiś czas z miasta, albo coś w tym rodzaju. Dopóki nie znajdą sprawcy.

— Rzeczywiście, mogłabym to zrobić.
Miałam taki zamiar.

Jednocześnie porządkowała porozrzucane na nocnym stoliku czasopisma, układając je w równą stertę, aż wszystkie krawędzie znalazły się w idealnie równej linii.

Wzrok Buffetta pobiegł w stronę telewizora. Siedzenie transmisji sportowych pogłębiało jego przygnębienie, ale przyzwyczał się oglądać kiepskie popołudniowe filmy pod warunkiem, że dźwięk był wyłączony. Dialogi psuły całą zabawę. Dzisiaj zasnął, oglądając niemy i nudny film o porwaniu statku. Teraz miał ochotę znowu się zdrzemnąć, ewentualnie pooglądać to, co zwykle. Ta kobieta zaczynała go irytować. — Myślałem, że jest już po godzinach odwiedzin.

— Uśmiechnęłam się do policjanta przy wejściu, a on poprosił pielęgniarki, żeby mnie wpuściły.

Buffett chrząknął, starając się, żeby nie zabrzmiało to niesympatycznie.

Zaczęła śmieiej kręcić się po sali. Nie spodobało mu się to, że powiesiła swój płaszcz na oparciu krzesła. To znaczyło, że zamierzała zostać dłużej. Nie spuszczała z niego wzroku. Czuł się jak jakiś wybryk natury. Dlaczego nie zostawi go w spokoju?

— A jak *pan* się czuje? — zapytała.

— Świetnie. Czuję się świetnie. — Na ekranie telewizora porywacze statku ścigali tych dobrych po pokładzie. A może to ci dobrzy ścigali porywaczy.

— Wcałe mi pan na to nie wygląda.

Popatrzył na nią. — Czasami bywam trochę półprzytomny. Od tego ciągłego leżenia. Jej spojrzenie powędrowało do jego dłoni. — Jest pan żonaty, prawda?

— Tak.

— Żona codziennie pana odwiedza?

— Jasne. — *Dzielna z niej dziewczynka.* — Przynosi mi ciasteczka. Ma pani ochotę na ciastko?

— Nie, dziękuję. Macie dzieci?

— Nie. A może na dip śmietanowy? Chyba cebulowy, ale nie jestem pewien.

Ta cała Nina nie miała zamiaru sobie pójść.

Dlaczego zmuszała go do tej rozmowy?

Dlaczego na jej ustach gościł figlarny

uśmieszek, skoro nie było się z czego śmiać?

Buffett spytał: — Ma tu pani też kogoś bliskiego, prawda?

Przytaknęła. — Tak, mamę. Właśnie ją odwiedzałam. Ale znudziłam się i wyszłam.

Czy to bardzo nieładnie z mojej strony?

Zadała to pytanie nadąsanym tonem — tonem małej, rozkapryszonej dziewczynki, który miała zdaje się opanowany do perfekcji — a on uświadomił sobie, że powinien w tym momencie zaprzeczyć, co też natychmiast zrobił, chociaż niezbyt przekonująco. Kątem oka patrzył, jak na ekranie pistolety

maszynowe w ciszy strzelają do uciekających marynarzy, którzy bezgłośnie wzywali pomocy. Kilku z nich zginęło. Niektórzy oberwali w plecy.

— No cóż — powiedziała, przestając się uśmiechać. — Bardzo pan małomówny. Komandosi przybyli z odsieczą załodze statku.

— Próbuję oglądać film.

— Bez dźwięku?

Wyłączył telewizor, odmawiając sobie w ten sposób przyjemności oglądania dzielnych komandosów w akcji. Był pewien, że teraz kobieta wyczuje wreszcie jego niechęć i wyjdzie.

Ale nie, nadal swobodnie przechadzała się po sali i porządkowała czasopisma. Potem wzięła się za wazon.

— Chyba zaczyna się ze mnie robić wredny tetryk — odezwał się tonem przeprosin. — Hm, co to właściwie znaczy?

— Zagiął mnie pan. Chyba to samo, co stary piernik. — Zaczęła wyrzucać zwiędłe kwiaty. — Myślałam, że pielęgniarki lepiej się nimi zajmą.

— Są bardzo zajęte. Wszyscy tu ciągle mają pełne ręce roboty. *Poza mną. Ja całymimi dniami wyleguję się w łóżku. Godzinami mógłbym opowiadać o zmiękczaczach do*

prania, płatkach śniadaniowych i tamponach. Do diabła, gdybyś dała mi wreszcie spokój, mógłbym też dowiedzieć się, jak uprawadzać statki.

Umyła wazony w łazience i odstawiła je do wyschnięcia — dnem do góry — na klapie sedesu. Buffett czerpał niechętną przyjemność z obserwowania jej. Szkło było do czysta wymyte. Niektóre kobiety są po prostu świetne w te klocki, pomyślał. Dać im do ręki kawałek mydła i papierowe ręczniki, a wszystko będzie lśnić. Penny też taka była. Penny *jest* taka, poprawił sam siebie w duchu. Nina podeszła do niskiej szafki stojącej w przeciwległym końcu sali. Nie było już nic więcej do zmywania. Żadnych też milczących porywaczy statków ani reklam globulek na drożdżycę. Żadnych zwariowanych dokumentalistów filmowych.

Po prostu nic.

— Hm, jestem trochę zmęczony — odezwał się Buffett i udał, że szeroko ziewa. — Chyba chciałbym się teraz trochę zdrzemnąć.

— E, tam — odparła Nina, biorąc z szafki talię kart. — A nie byłoby lepiej zagrać ze mną w remika?

John Pełtam, skrywając pod połą lotniczej kurtki śmiercionośny wynalazek niejakiego

Samuela Colta, przechadzał się, z flegmą godną angielskiego ziemianina, ulicami miasta Maddox w stanie Missouri.

Kopnął kępkę trawy wyrastającej z idealnie okrągłej dziury w samym środku popękanej płyty chodnikowej. Potem poszedł dalej. Ulica świeciła pustkami — żadnych samochodów czy pieszych, tylko długi rząd niskich budynków. Najwyższy z nich — trzypiętrowa fabryka — mógł w przeszłości tętnić życiem, lecz teraz kpił z dni swojej dawnej chwały: dach zapadł się już jakiś czas temu, a stary, pozieleniały szyld na fasadzie jak na ironię głosił: „Luks”; końcówkę „fery” zatarł złośliwy czas.

Co jakiś czas Pełtam oglądał się za siebie, zerkał w boczne uliczki i zwracał większą uwagę na odbicia w mijanych witrynach niż na nierówny chodnik, na którym stawiał swoje obute w brązowe kowbojki stopy, a mimo to jak dotąd nie zauważył nikogo, kto by go śledził.

Zostawił za sobą ten fragment miasta i wolnym krokiem skręcił w Trzecią, mijając miejsce, gdzie Donnie Buffett został postrzelony. Tutaj także nieco dłużej zabawiał. Deszcz zmył ślady krwi, które widział wcześniej — o ile to rzeczywiście była krew —

i teraz wszędzie wokół bruk był niepokalanie czysty. Oto jedna z zalet wymarłych miast — mniej mieszkańców śmiejących na ulicach. Pełtał rozpiął lekko kurtkę i czas jakiś spacerował w tę i z powrotem. Przeszedł kilka przecznic, aż do uliczki, w której kilka dni wcześniej zgubił śledzącego go sedana. Wszędzie ani żywego ducha.

Tony Sloan i jego ekipa — nadal pozbawieni swoich bezcennych pistoletów maszynowych — kończyli zdjęcia do ostatnich scen filmu.

Pełtał domyślał się, że oprócz tego Sloan godzinami wisi na telefonie, usiłując załatwić zwiększenie budżetu. On sam omijał plan z daleka. Sloan i tak nie chciałby z nim gadać. Poza tym miał tam zbyt wielu przyjaciół, których wolał trzymać z dala od tego, co miało się wkrótce wydarzyć.

Pokręcił się trochę przed swoją przyczepą na kempingu „Przy drodze”. Obszedł z wolna cały teren, a następnie przeciąwszy go zapuścił się na teren starej fabryki, gdzie napadnięto Ninę. Włóczył się pomiędzy szarymi barakami z blachy falistej, na oko niezamieszkałymi od czasów drugiej wojny światowej. Spacerował chodnikami, wzdłuż których ciągnęły się sklepy handlujące zakurzonym sprzętem biurowym i medycznym. W pewnym

momencie, gdy wyjątkowo uważnie lustrował odbicie ulicy w sklepowej witrynie, zdał sobie sprawę, że przez cały czas wpatruje się w toporne manekiny w grubych pasach wyszczuplających, skromnie ukryte za plastikową, bursztynową roletą, a sprzedawca przygląda mu się z rozbawieniem i ciekawością.

Gdzie on się podziewa? Gdzie jest zabójca Stile'a?

Potem zszedł nad rzekę i na rozpadającej się ławce w tym, co pozostało z parku miejskiego w Maddox, obejrzał zachód słońca. Znajdujący się za jego plecami sklepik wyrażał ambicje wszystkich mieszkańców tego miasta.

Drewniany szyld z nazwiskiem właściciela był tak spłowiały, że niemal nie do odczytania, lecz nad wejściem umieszczono większą tablicę, na której czyjaś niewprawna ręka nabazgrała niechlujnie: „Skup złomu.

Wszystkie rodzaje. W każdym stanie.

Gotówka OD RĘKI!"

Po kolacji złożonej z hamburgera i piwa, Pellam ponownie przeszedł się bocznymi ulicami, a jedynymi żywymi istotami, jakie spotkał na swojej drodze, byli nieliczni klienci kursujący pomiędzy Wesołym Łajdakiem a knajpą U Callaghana oraz sfory

wychudzonych psów o dzikich oczach i przymilnie merdających ogonach — smutny dowód na to, że swoje szczenięce lata spędziły w towarzystwie ludzi.

O północy znowu trafił do parku. Przysiadł na ławce z butelką piwa i nie opróżniając jej, patrzył na poszarpane odbicie księżycy w wodzie, wdychając chłodne powietrze nasycone wonią mokradeł i ropy z jakiejś odległej fabryki czy rafinerii.

Kiedy mnie w końcu odnajdzie?

Tej nocy jednak odnalazł go tylko sen i Pellam obudził się na ławce o czwartej nad ranem, zdumiony w pierwszej kolejności tym, jak bardzo jest skonany, a w drugim rzędzie własną lekkomyślnością. Nie mógł się też nadziwić swojemu wyjątkowemu szczęściu, które pozwoliło mu uniknąć różnego rodzaju przykrości. Wrócił do przyczepy, obolały i zmarznięty, z drżącymi dłońmi, a jedynym punktem na jego ciele, gdzie odczuwał ciepło, było miejsce, w którym drewniana kolba colta wrzynała się w jego brzuch.

*

Doktor Wendy dobrze wyglądała.

Promiennie. Taka była jej twarz, promienna...

Jak to się mówiło w szkole? Mieli na to specjalne określenie. Jak ono brzmiało?

Wystrzałowa.

O właśnie. A mówiąc to, należało jeszcze strzelić palcami. Wystrzałowa. *Widziałeś tę dziewczynę? Ale wystrzałowa laska!*

— Siemanko, pani doktor.

— Witaj, Donnie.

Był ciekaw, czy żeglowała. Wyobraził ją sobie w białym bikini na cienkich ramiączkach. Miała niewielki brzusek — pamiętał, jak wyglądała w swojej prawie minispódniczce — ale jego zdaniem nie był to żaden problem. Był ciekaw, czy ma własną żaglówkę. Nie, raczej nie; wszystkie pieniądze wydawała pewnie na ciuchy i dziwaczne kolczyki. Ale jej facet mógł mieć łódkę.

Zastanawiał się, czy spędzała każdą niedzielę na łodzi. Zastanawiał się, jakby to było być jej mężem.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdarzało jej się umawiać z pacjentami. Postanowił, że kiedyś zaprosi ją na randkę.

Z rozmachem zamknęła drzwi i odstawiła swój zwykły numer z zapalaniem i gaszeniem papierosa. — Chciałam od razu ci o tym powiedzieć. Mamy już twoje wyniki, Donnie. Dotyczące twoich reakcji seksualnych.

— Okej, w takim razie dobrze, że siedzę — no, jakbym miał jakieś inne wyjście... —

Uśmiech zamarł mu na ustach i z niepokojem zmarszczył brwi. — Jak brzmi wyrok?

— Masz niecałkowitą refleksję.

Zapomniał już, co to oznaczało, lecz na podstawie tego, jak to powiedziała, jej znaczącego tonu i uśmiechu umiarkowanego triumfu wywnioskował, że przyniosła mu dobrą wiadomość.

— ...Prawie sto procent takich pacjentów może mieć erekcję, odruchowe albo psychogenne. U większości z nich, chociaż nie u wszystkich, dochodzi do wytrysku. Oczywiście liczba plemników będzie mniejsza niż normalnie, ale to oznacza jedynie, że chcąc mieć dzieci, będziecie musieli bardziej się postarać.

Weiser uściśnęła mu dłoń, jakby właśnie ubili ważny interes.

— No proszę — odparł z radością Buffett, po czym nagle zaczął łkać.

Jego oczy napełniły się łzami, z trudem łapał oddech, ciałem wstrząsały spazmy, a twarz aż poczerwieniała z wielkiego wysiłku.

Usiłował coś powiedzieć, ale nie mógł. *Co się ze mną dzieje?* Weiser milczała.

Buffetta dławili łzy, zwyczajnie w nich tonął. Za chwilę go zabiją, życie wysączy się z niego tak samo, jakby krwawił z przeciętej tętnicy.

Czyżby tracił rozum? Czy tak to właśnie miało wyglądać? *Na jakim etapie rekonwalescencji dostaje się hysterii, złociutka?* Płakał bardziej rozpaczliwie, niż kiedy był dzieckiem, niż kiedy złamał nos, niż kiedy zmarła jego matka...

Nie... mógł... oddychać... Spróbował opanować wstrząsające nim łkanie. W końcu mu się to udało. Głęboko wciągnął powietrze i rozluźnił się. — Ja... — Nadszedł kolejny atak. Buffett ukrył twarz w garści chusteczek higienicznych. — Ja... — Zastąpił chusteczki poduszką i płakał przez kolejnych kilka minut. Łzy ledwie wysychały.

— Podać ci coś? — spytała Weiser.

Pokręcił głową, z trudem łapiąc powietrze. Nie chciał, żeby oglądała go w takim stanie. Ta piękna, promienna lekarka w skąpym bikini, żeglująca sześciometrowym jachtem. Lekarka z narzeczonym i dwunastoletnią córką. Ale nie panował nad sobą, chwytając oddech szeroko otwartymi ustami i zanosząc się płaczem jak noworodek po pierwszym w życiu klapsie.

Zapytała, czy nie wolałby zostać sam, ale pokręcił przecząco głową, zakrywając twarz ramieniem. Po paru minutach zaśmiał się cicho: — Jestem zwyczajnym czubkiem — wydyszał.

— Nawet nie masz pojęcia, jak wielki stres musisz teraz znosić. Buffett nie odczuwał ani paniki, ani przygnębienia, ogarnęło go za to autentyczne szaleństwo. — Nie wiem, dlaczego płaczę. Nie wiem, dlaczego — wyszeptał, zaczynając znowu łkać. — Nie wiem, dlaczego...

Tym razem Weiser nie próbowała niczego mu wyjaśniać. Posiedziała przez chwilę, przyglądając mu się uważnie, po czym wstała, otworzyła okno i zapaliła jeszcze jednego papierosa.

Popołudnie w Maddox w stanie Missouri. Pellam spędził cały dzień, płacząc się po okolicy i odgrywając rolę przynęty. Przeszedł się po sklepach ze starociami, po pustych ulicach, wypił piwo w każdej z trzech identycznych knajpek, potem jeszcze trochę pospacerował, wypatrując przez okulary przeciwsłoneczne człowieka, który wypatrywał *jego*.

Starał się trzymać z dala od innych ludzi; przechadzał się wolno i wielokrotnie ustawiał plecami do bocznych uliczek oraz mijających go samochodów.

Z czasem uznał, że doszedł już do dużej wprawy, jeśli chodzi o wystawianie się na cel. O piątej po południu, po ośmiu godzinach

marszu, znalazł się na zatłoczonym targu rolniczym przy River Road. Zakurzony parking zastawiony był stoiskami, na których okoliczni farmerzy — zarówno ci całkiem tradycyjni, jak również dawni i obecni hipisi — z Missouri i południowego Illinois sprzedawali sery, warzywa, własne wypieki, jabłka i — jakżeby inaczej — arbuzy z północy. Pellam rozglądał się, chłonąc sztuczną wesołość tego miejsca, z jego wyblakłymi chorągiewkami i smętnym kłownem rozdającym balony garstce maluchów

O brudnych rączkach i buziach. Z tanich głośników płynęły ostre, wibrujące dźwięki muzyki country.

Pół godziny później stwierdził, że pora wracać do przyczepy. Kupił butelkę wina, trochę sera, chrupiące holenderskie precle i dwie śliwki.

Kiedy znalazł się w swoim wozie kempingowym, niedbale zrzucił buty i kurtkę. Następnie przemył twarz wodą, usiadł na łóżku w głębi przyczepy i zjadł zimną kolację. Nie przepadał za jabłkami, ale jedynym alkoholem dostępnym na targu było wino jabłkowe. Kupił je niechętnie, mając nadzieję, że alkohol stłumi smak jabłek. Jego przypuszczenie okazało się słuszne, ale i tak wino było niewiarygodnie wręcz słodkie. Mimo to

wypił prawie pół butelki, trzy pełne kieliszki,
1 wzdrygnął się, czując gwałtownie
podnoszący się poziom cukru we krwi.
Miał ogromną ochotę spotkać się z Niną, ale
nie śmiał do niej zadzwonić z obawy, że
znowu mógłby narazić ją na
niebezpieczeństwo. John Pellam nie cierpiał
tej cechy swojego charakteru — szczególnej
umiejętności ściągnięcia na siebie kłopotów. To
za jej sprawą został kiedyś kaskaderem, to
ona kazała mu robić filmy, które krytyka
uwielbiała, a które wielu ludziom przyniosły
same straty. Tak łatwo zapominał, że komuś
może stać się krzywda z jego powodu. W
najtrudniejszych momentach życia John
Pellam dochodził do wniosku, że ma w sobie
więcej cech swojego przodka-rewolwerowca,
niżby sobie tego życzył. I niż życzyłoby sobie
tego jego otoczenie.

Wstał, nalał kolejny kieliszek, a butelkę zabrał
ze sobą do łóżka. Wino jabłkowe. Ohyda.
Spojrzał na etykietę przedstawiającą przystojną
parę farmerów po trzydziestce, męża i
żonę, wysypujących jabłka z wielkiego kosza
na platformę ciężarówki. Stwierdził, że
serdecznie nie cierpi tej dwójki i ich naturalnie
zaróżowionych, zdrowych, ekologicznych
policzków.

Włączył taśmę Patsy Cline.

Nie. Zbyt sentymentalne.

Wybrał kasetę Michaela Nymana. Znacznie lepiej. Zauważył leżące na podłodze czasopismo, otwarte na stronie z horoskopami. Próbował czytać, ale szybko stracił zainteresowanie i znowu się położył.

Byk, 22 kwietnia — 21 maja. Zły okres na inwestycje. Twoja kariera może być zagrożona. Panuj nad sobą i nie włócz się po ulicach małych miasteczek z naładowanym rewolwerem.

Kiedy obudził się po godzinie, nie mógł nigdzie znaleźć butelki z resztką wina. Czując bolesne pulsowanie w skroniach, stwierdził ze skruchą, że musiał ją wykończyć.

Mylił się jednak.

Stojący na środku przyczepy mężczyzna podniósł butelkę do ust i pociągnął solidny łyk. Przełykając, przechylił lekko głowę do tyłu, nie spuszczał jednak z Pellama zaciekawionego wzroku.

Wzdrygnął się — może z powodu nadmiernej słodyczy trunku — i odstawił butelkę na stół.

Następnie otarł usta palcami, tymi samymi, które zaraz pochwyciły z blatu Colta Peacemakera i wsunęły broń do kieszeni spodni. Wtedy mężczyzna zbliżył się do

leżącego na łóżku Pellama. Był młody, przystojny i miał na sobie garnitur. Pellama zaskoczyło jednak co innego: to, że znamię na jego policzku *rzeczywiście* wyglądało identycznie jak plama na Jowiszu. Nagle przyszło mu do głowy mnóstwo rzeczy, które mógłby powiedzieć. Teraz, zaraz. Niektóre były zabawne, inne groźne. Ale był zaspany, strasznie bolała go głowa i nie miał wcale ochoty na rozmowę. Szerzej otworzył nieprzytomne oczy w nadziei, że pozwoli mu to lepiej się skoncentrować, i w milczeniu obserwował intruza. Nieproszony gość dotknął szyjki butelki i wolno przesunął palcem po jej krawędzi. Na zewnątrz woda z chlupotem uderzała o kamienne nabrzeże, a z oddali dobiegał warkot ciężarówki z silnikiem diesla. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem. Pellam wolno opuścił stopy na podłogę. Dłoń intruza dała spokój butelce i zbliżyła się do biodra, gdzie prawdopodobnie ukryta była broń. Pellam poruszał się w zwolnionym tempie — nie z obawy, że mógłby sprowokować mężczyznę, ale przez ból, który po prostu rozsadzał mu skronie. Ziewnął szeroko. Mężczyzna odezwał się: — A jednak

spotkałeś się z Petersonem. Kiedy ziewał, zaczęły mu łzawić oczy. Otarł je wierzchem dłoni. Mężczyzna mówił dalej: — Dziewczyna nie przekazała ci wiadomości?

— Przekazała mi co trzeba.

— Pan Crimmins nie jest zachwycony tym, że rozmawiałeś z prokuratorem. Jak dotąd go nie aresztowali, a więc zakłada, że trzymałeś gębę na kłódkę.

— Nie mam nic do powiedzenia na temat Crimminsa.

— Wie, że widziałeś go tamtego wieczoru w lincolnie.

— Czego pan ode mnie chce?

Mężczyzna był wysoki — miał około metra dziewięćdziesięciu wzrostu. Ubranie opinało jego prężną sylwetkę, jakby był bardzo dobrze umięśniony. Pellam był ciekaw, czy facet miał erekcję, kiedy dotykał Niny.

— Chcę mieć pewność, że zapomnisz, kogo wtedy widziałeś. Aha. I to wszystko? Czyżby teraz miał sobie pójść? Tak po prostu?

Pamiętaj, żebyś powtarzał na prawo i lewo, że nigdy nie widziałeś Petera Crimminsa. A teraz śpij dobrze.

Człowiek ze znamieniem zapiał kurtkę i włożył rękawiczki.

Więc jednak wychodzi.

Ale po co mu rękawiczki? Na zewnątrz nie jest aż tak zimno.

Niespodziewanie mężczyzna zrobił krok do przodu. Zanim Pellam zdążył unieść ramię, żeby odbić cios, twarda pięść dosięgła z boku jego głowy. Pellam przewrócił się do tyłu i padł na łóżko jak kłoda. Cios był częściowo chybiony, lecz w połączeniu z kacem po winie jabłkowym sprawił, że ból niemal rozsadził mu czaszkę. Pellam jęknął i znowu otarł z oczu łzy.

— Cholera — wysapał. — Dlaczego mi to robisz?

Próbując się podnieść, wyciągnął rękę w stronę szafki, żeby się podeprzeć. W tym samym momencie jego nadgarstek znalazł się w żelaznym uścisku silnej dłoni, która poderwała go do góry. Po raz kolejny wszedł w bliski kontakt z prawą pięścią napastnika. Tym razem trafiła go ona prosto w szczękę. Ponownie osunął się na łóżko, porządnie zamroczony.

— Ta twoja dziewczyna ma naprawdę ładną buźkę. Domyślam się, że i resztę ma niezgorszą.

Pellam podniósł się wolno i otarł krew z policzka. Ból był tak dotkliwy, że prawie stracił

przytomność. Przez chwilę stał oparty o ścianę przyczepy i czekał, żeby przed oczami przestały mu krążyć czarne platy. Kiedy wreszcie odzyskał jasność widzenia, niepewnym krokiem ruszył w kierunku łazienki.

Mijając człowieka ze znamieniem, wymamrotał niewyraźnie: — Przepraszam. — Zabrzmiało to bardzo grzecznie.

— Tylko bez żadnych numerów. — W dłoni mężczyzny pojawiła się broń, granatowy pistolet. Pellam widział go z boku, widział dłonie w rękawiczce, której silne palce otworzyły się i szybko zacisnęły na kolbie pistoletu.

Napastnik przeładował broń.

Pellam oparł się o drzwi łazienki. Zapalił światło, ale nie wszedł do środka. Na chwilę zacisnął powieki, wspierając się o futrynę. Usłyszał zbliżające się kroki. Alfabet Morse'a znajomych trzasków drewnianej podłogi, skrzypiącej pod ciężarem intruza. Poczł zapach wody po goleniu (czy Nina też go czuła? Bo Stile nie zdążył niczego poczuć, poza wonią oleju, benzyny i asfaltu, a potem krwi, krwi, krwi...).

— Co ty tam robisz? — zapytał mężczyzna. Pellam wsunął rękę do kieszeni swojej kurtki lotniczej, która wisiała tuż przy drzwiach

łazienki, i wyjął z niej rewolwer Buffetta — trefną broń, jak ujął to jej właściciel.

Odwracając się, powiedział: — Połóż się twarzą do podłogi.

Mężczyzna błyskawicznie przykucnął i wyrwał zza paska pistolet.

Rozległ się potężny huk wystrzału.

Szyby w oknach zadzwoniły, a na ścianach osiadły drobiny prochu. Drzwi szafek zadrżały, a oprawiony w szkło plakat z posępnym Napoleonem zakołysał się od siły wybuchu.

Donnie Buffett usłyszał czyjeś kroki i otworzył oczy. Z korytarza za drzwiami jego sali dobiegało szuranie stóp.

Widывał już wcześniej lekarzy — wyglądających nieco absurdalnie — w foliowych osłonkach na butach. Wydawały taki sam szeleszczący dźwięk. Wątpił jednak, by to, co teraz słyszał, było odgłosem kroków lekarza. Półprzyciemnie spojrzął na zegarek. Dziesiąta. Czyżby lekarze operowali jeszcze o tak późnej porze?

A może to była pielęgniarka. Czasami pielęgniarki podrzucały mu jakieś smakołyki i chociaż światło w jego sali było zgaszone, a Buffett już drzemał, jeżeli w grę wchodziło coś do jedzenia, nie zamierzał pozwolić, aby go pominięto. Jeśli faktycznie zmierzała tu

pielęgniarka, miał nadzieję, że będzie to tamta blondynka. Lubił ją. Była delikatna i wesoło trajkotała, wykonując swoje obowiązki. Z kolei ruda była milcząca i zdawała się być niezadowolona z faktu, że angażuje się ją do skomplikowanych zabiegów z użyciem rurek, butelek oraz foliowych worków.

Nie wierzył jednak, aby była to którakolwiek z nich. Donnie Buf-fett, mąż domorosłego medium, w ułamku sekundy doznał nagłego objawienia i już wiedział, kim jest jego nocny gość.

Sięgnął po słuchawkę telefonu, ale zanim zdążył ją pochwycić, drzwi sali uchyliły się. Nie mógł uciec, nie miał gdzie się schować. Ale mógł się bronić.

Zamknął oczy i zmusił się, aby równomiernie i płytko oddychać, jak człowiek pogrążony w głębokim śnie. Prawą dłoń powoli zaciskał w pięść, ostrożnie, centymetr po centymetrze. Kroki przybliżyły się. Buffett napiął mięśnie ramienia. Intruz, kimkolwiek był, podszedł wolno do łóżka i stanął po jego lewej stronie. Buffett postanowił, że najpierw chwyci go lewą ręką za krocze, a kiedy tamten zawyje i zegnije się wpół, prawą pięścią rozkwasi mu nos...

Zastanawiał się, czy to ten sam człowiek,

który go postrzelił, wrócił, żeby dokończyć dzieła. Jeżeli wybrał ten sam *modus operandi* co w przypadku zabójstwa Gaudii, będzie miał przy sobie broń małego kalibru. Dwudziestkę dwójkę albo dwudziestkę piątkę, które nie powodowały za dużo bólu i przelatywały na wylot. Buffett nie zginie od razu, ale zanim umrze, zdąży jeszcze tamtemu poważnie zaszkodzić.

Donnie Buffett grał w kosza, był miotaczem w rozgrywkach soft-ballu i brał udział w zawodach przeciągania liny, a to znaczyło, że miał bardzo silne ręce.

Poczuł nagłą żądzę krwi — takie samo uczucie miewał w chwilach, gdy na polowaniu pociągał za spust. Barki zaczęły mu drżeć, a mięśnie ramion stężały.

Kroki zatrzymały się jakieś pół metra od jego łóżka.

Usłyszał szept: — Donnie...

Otworzył oczy i spojrzał na pochylającą się nad nim niewyraźną sylwetkę. Czyjaś dłoń zniknęła pod kloszem lampy i nagle salę zalało jaskrawe światło.

John Pełłam, z kredowoblądą twarzą, przysiadł na krześle przy jego łóżku.

— Cześć, szefie — powitał go drżącym głosem Buffett. — Jak się tu dostałeś? Już

dawno po godzinach odwiedzin.

— Wszedłem tylnym wejściem.

— To się nazywa ochrona. Napędziłeś mi cholernego stracha.

— Muszę z tobą koniecznie pogadać, Donnie. — Pellam utkwił w nim płonący wzrok. Nie, nie w nim, gdzieś za jego plecami. Jego twarz miała ziemisty odcień. Buffett nie wiedział, czy jego gość jest chory, czy może niedawno zemdłał. Pellam zaciskał coś w dłoni, coś małego i ciemnego.

W prawej ręce Buffett poczuł bolesny skurcz i zdał sobie sprawę, że przez cały czas trzymał ją zaciśniętą w pięść. Rozluźnił palce i poczuł, że ból ustępuje. Serce waliło mu jak młotem, czuł falę słabości przetaczającą się przez jego klatkę piersiową i brzuch. — Co ty tu u diabła robisz o tej porze? — Zauważył, że sam też szepcze.

Co on tam ma, u licha?

Pellam popatrzył w dół na swoją dłoń i trzymany w niej przedmiot. Potem przeniósł spojrzenie na Buffetta i odparł: — Włamał się do mojej przyczepy. Ten sam, który napadł na Ninę, ten sam, który zabił mojego przyjaciela. Nie wiem, jak to zrobił, po prostu wszedł do środka. Uderzył mnie kilka razy. — Przez dłuższą chwilę patrzył Buffettowi w oczy. —

Wziąłem wtedy twój rewolwer...

— Ten trefny?

— Tak.

— Chryste.

— Wziąłem go. A potem go zastrzeliłem.

— Chryste Panie, Pellam, zastrześliłeś go?

— Nie chciałem tego robić. Zamierzałem go tylko aresztować. Ale on najpierw wyciągnął broń i...

— Nie żyje? No dobrze, pomyślmy. Są jacyś świadkowie? Myślisz, że ktoś mógł coś słyszeć?

— To jeszcze nie wszystko — wyszeptał Pellam.

— Na razie nie panikuj. Zastanówmy się spokojnie. To było włamanie, czyli przestępstwo, a ty miałeś prawo użyć siły, nawet jeśli zrobiłeś to niechcący. To twoje święte prawo. Okej, zaraz zadzwonię do... Pellam uniósł w górę dłoń. Trzymał w niej portfel.

— Gdzie stał ten twój wóz, kiedy to się wydarzyło? — Buffett wziął do ręki portfel, który Pellam mu podsunął, i z roztargnieniem obracał go w dłoniach.

— *To nie wszystko* — powtórzył Pellam zdławionym głosem.

Policjant nadal mówił: o tym, co Pellam powinien teraz zrobić, o znajomych prawnikach i o tym, które ustępy stanowego kodeksu karnego dotyczą kwestii obrony koniecznej. W pewnym momencie otworzył portfel i przestał mówić. Po chwili zamrugał powiekami. — Dobry Boże... Pellam zadał mu pytanie, które nie wymagało odpowiedzi: — Właśnie zabiłem agenta FBI, prawda?

20

Pellam jak zahipnotyzowany wpatrywał się w odznakę.

Buffett odezwał się: — To absurd. Peterson nigdy by się tak daleko nie posunął.

— Ale fakt jest faktem.

— Peterson *nie zrobiłby* czegoś podobnego. Nie ośmieliliby się.

— Chciał, żebym uznał, że to Crimmins próbuje zastraszyć Ninę i mnie i żebym zdecydował się przeciwko niemu zeznawać. Potrafisz to inaczej wytłumaczyć?

Buffett pokręcił głową. — Na litość boską, przecież to prokurator stanowy.

— To był ten sam facet, który groził Ninie.

Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

— Niemożliwe.

— Dokładnie mi go opisała.

— Żaden prokurator stanowy nie posłałby agenta, żeby na kogoś nastawał. Może ten gość faktycznie pracuje dla Crimminsa. A raczej pracował. Był jednak podwójnym agentem. No wiesz, skorumpowanym.

— Nie. Za tym wszystkim stoi Peterson.

— Musiałby chyba postradać zmysły. To po prostu zbyt wielkie ryzyko...

Pellam przerwał mu ruchem ręki. — Ten facet *postradał* zmysły. Wiesz, że próbował mnie szantażować, by zmusić do mówienia?

— Szantażować? Czym?

Pellam milczał przez dłuższą chwilę; zahaczył kciuk o szlufkę spodni. — Swego czasu siedziałem.

— Ty siedziałeś? — Nie zrozumiał Buffett.

— W San Quentin — odparł Pellam, nie wdając się w szczegóły. Buffett patrzył na niego i nic nie mówił. Minęło kilka sekund. Pellam dodał: — Peterson zagroził, że doniesie o tym mojej wytwórni.

Buffett wziął głębszy oddech, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Dopiero po chwili przyznał, że naprawdę nic o tym nie wiedział.

— Tutaj chodzi o mojego przyjaciela. Ten człowiek zabił mojego kumpla.

— Nie — zaprzeczył z mocą policjant. — Nawet jeśli tamten był podwójnym agentem nasłanym na ciebie przez Petersona, morderstwo byłoby już przesadą. Peterson prowadzi własną moralną krucjatę przeciw Crimminsowi i uparł się, żeby go wsadzić. To się zgadza. Ale nie posunąłby się do morderstwa. Nawet nie ma mowy.

— Może to był nieszczęśliwy wypadek. Może tamten śledził motocykl, bo chciał mnie nastraszyć. No i źle obliczył odległość, czy coś w tym rodzaju.

Buffett zgodził się, że to możliwe. — A co zrobiłeś z ciałem?

Pellam zastanawiał się przez chwilę, zupełnie jakby ukrył to wspomnienie w najdalszym zakamarku swojej pamięci. — Co zrobiłem? Po drugiej stronie ulicy stał jego samochód. Zawinąłem gościa w worki na śmieci i wsadziłem do bagażnika. A potem przestawiłem wóz na parking przy dworcu autobusowym. Nie sądzę, żeby prędko go znaleźli. Aha, rzecz jasna wszystko to robiłem w rękawiczkach.

— Dobrze, skoro tak. Nie miałeś przecież wyjścia.

- Jezu — jęknął Pellam, kręcąc głową w oszołomieniu.
- A broń?
- Wrzuciłem do bagażnika razem z ciałem. Stwierdziłem, że może jak ją przy nim znajdą, pomyślą, że facet się zastrzelił.
- Pellam, ludzie nie popełniają samobójstw w taki sposób.
- Chyba nie myślałem wtedy zbyt logicznie.
- Dobrze wytarłeś broń?
- Tak. Chodzi o odciski palców, tak? Wszystko gra.
- To był rewolwer, więc na pewno masz na rękach ślady prochu, ale w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin nikt tego nie sprawdzi. Kiedy gość się nie odmelduje, Peterson zorientuje się, że coś poszło nie tak, zakładając, że tamten faktycznie dla niego pracuje — to znaczy *pracował*. Co wtedy zrobi? Będzie musiał wszystkiemu zaprzeczyć. Moim zdaniem nic ci nie grozi.
- Aleja...
- Do sali weszła pielęgniarka. Uśmiechnęła się do Donniego. Na tacy niosła pojemniczek lodów i dwa ciastka. Podała mu też dwie tabletki w papierowym kubku.
- Czas coś przegryźć przed snem —

powiedziała.

Buffett odwzajemnił jej uśmiech. — Co to jest?

— zapytał. — Te tabletki?

— To, co zwykle. Coś na uspokojenie.

Buffett przyjrzał im się badawczo. — Ativan?

Pół miligrama? Wychodząc, rzuciła: —

Dobranoc, panie doktorze.

— Zawsze się upewniam. Czasami dochodzi do pomyłek. Jak będziesz kiedyś w szpitalu, zawsze pytaj, czym cię faszerają.

Pellam wziął chusteczkę higieniczną z nocnego stolika i starannie wytarł nią odznakę agenta federalnego.

Buffett zaproponował: — Masz ochotę na lody?

— Dzięki. Nie przepadam.

— Na pewno? — Buffett otworzył pojemniczek i zaczął wyjadać jego zawartość. Nagle przerwał i odłożył na bok łyżkę. — Pellam, ty zrobiłeś to, co ja bym zrobił na twoim miejscu.

— Niby tak.

Buffett znowu chwycił łyżkę. — Wiesz, jest jeszcze jedna sprawa. — Pellam wziął z tacy ciastko i zjadł je. Policjant mówił dalej: — Założmy, że masz rację, i ten facet — ten, którego zastrzeliłeś — rzeczywiście pracował dla Petersona...

- Aha.
- W takim razie ten, który cię szuka, ten, który zabił twojego przyjaciela, nadal jest na wolności.
- Na to wygląda. — Pellam nie pomyślał o tym wcześniej. — Ale co ja mogę na to poradzić?
- Może warto byłoby odkurzyć paszport. **W** słuchawce rozległ się głos Niny: — Wiesz, chciałabym się z tobą zobaczyć dziś wieczorem.
- Zabrzmiało to bardzo uwodzicielsko. Ale Pellam nie był w nastroju, żeby uwodzić czy być uwodzonym. Siedział na ławie niecały metr od miejsca, w którym krew agenta FBI zaplamiła dywan. Żeby ją zmyć, Pellam użył wybielacza. Udało się, ale teraz w całej przyczepie potwornie śmierdziało chlorem.
- Trzy razy próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale nie odbierałeś.
- Nie mam w przyczepie automatycznej sekretarki — odparł, chociaż nie była to prawda. Miał sekretarkę, tyle że rzadko ją włączał.
- Na planie gadają o tobie różne rzeczy. Pan Sloan na przykład był bardzo niemiły. Mówił, że cię pozwie. Strasznie mi przykro z powodu twojego kolegi, John. Nie pamiętam

go, ale chyba kiedyś się poznaliśmy. Sprawiał wrażenie miłego człowieka.

— I taki był.

— Więc chcesz być dzisiaj sam?

— Coś w tym rodzaju.

— To chyba nie jest dla ciebie dobre.

— Co? "

— To siedzenie sam na sam ze sobą.

Przyjedź do mnie. Do Cran-ston masz zaledwie dwadzieścia minut drogi. — Mówiła teraz niskim, kuszącym głosem.

— To naprawdę kiepski moment.

— No dobrze, skoro tak uważasz. — Jej głos z kuszącego zrobił się szorstki.

Błagam, tylko nie teraz.

— Czy może jeszcze inaczej mam to rozumieć? — zapytała. *Rany boskie.*

— Nie, nie. Chodzi o tę całą historię — o to, że jestem świadkiem i tak dalej.

— A dokładnie o co? — Nie odpuszczała; było jasne, że domaga się rzeczowej odpowiedzi. Pellam pomyślał, że to potwornie niesprawiedliwe być zmuszonym klócić się z kimś, z kim się nawet nie sypia.

— To wszystko pochłania strasznie dużo mojego czasu.

— Ale chyba nie w tej chwili.

— Tak się składa, że owszem. Wystąpiły

pewne komplikacje.

— Komplikacje? Myślałam, że ich nie lubisz. — Teraz usiłowała się z nim droczyć. Może to znak, że ich kłótnia dobiegła końca.

— Sam nie wiem... — Cały czas miał przed oczami obraz agenta FBI, jak zdumiony osuwa się na podłogę i upada. Tak to wyglądało. Upadł, a potem był już martwy. Tak po prostu.

Nina naciskała. Musiała się z nim zobaczyć.

— Proszę cię, John.

Mężczyzna nadal tam leżał, gdy Pellam poszedł do kuchni i zaczął wyciągać spod zlewu worki na śmieci, żeby owinać nimi ciało. Usłyszał swój własny głos: — Mówisz, że to tylko dwadzieścia minut stąd?

Ponieważ jego brat był stolarzem i wielokrotnie zabierał go ze sobą na budowę, Stevie Flom umiał docenić dobrą robotę. Sprawiał mu przyjemność widok dopasowanych do siebie belek i wsporników oraz to, w jaki sposób profilowany gzyms idealnie przylegał do rogów sufitu. Tego wieczoru przechadzał się po ciemnej piwnicy zrujnowanego wiktoriańskiego domu na nabrzeżu i oceniał stolarkę. Nieźle, całkiem nieźle.

Mimo że nie potrafił zrozumieć, dlaczego

ktokolwiek mógłby chcieć remontować dom w miejscu, gdzie jedynymi atrakcjami były widoki cementowni, bankrutującego kempingu i Wyspy Pelikanów.

Stevie ponownie przyjrzał się sufitowi.

Podobały mu się drewniane wsporniki, użyte tutaj zamiast metalowych, stosowanych przez większość budowlańców. Znaczyło to, że ściana będzie nie tylko ładna, ale i solidna. Zerknął na przewody. Elektryczność zawsze go ciekawiła. Całkiem dobrze radził sobie z hydrauliką i mechaniką, ale elektryczność była dla niego czymś egzotycznym. Dlatego zawsze chciał dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Zauważył, że cementowa posadzka jest w dość kiepskim stanie. W wielu miejscach zapadła się i popękała. Zwrócił uwagę na ślady po stojącej wodzie. Brat zawsze mu powtarzał, że jest to pierwsza rzecz, na jaką trzeba zwracać uwagę, oglądając piwnicę. Na ślady po stojącej wodzie.

Stevie żałował, że nie wziął ze sobą czegoś do czytania. Pomyślał o swoim staruszkę, który w piwnicy ich rodzinnego domu trzymał całe sterty gazet i roczników magazynu „Time” — całe góry makulatury — między którymi zmyślnie poutykane tkwiły wydania

„Playboya”; miejsca ukrycia czasopisma zaznaczone były patyczkami. Tutaj jednak nie było nic do czytania — nic poza instrukcją obsługi bojlera oprawioną w plastik. Jego brat przyniósł też kiedyś z pracy trzysta dolców, które znalazł w książce podczas remontu jakiegoś domu w Alton. Niestety, miejsce, w którym Stevie się znajdował, nie było niczym innym, jak tylko starą piwnicą.

Ze śladami zalania.

Miał straszną ochotę na papierosa, ale wiedział, że nie powinien palić. Popiół mógłby zostać wykorzystany jako dowód podczas dochodzenia. Widział kiedyś coś takiego w którymś z odcinków serialu „Magnum”. Wtedy taki dowód pozwolił wytropić zabójcę. A może to była powtórka „Matlocka”?

Podszedł do lufcika i wyrztał na zewnątrz, przez ulicę, na świecące pustkami pole kempingowe.

Zastanawiał się, kiedy ten facet od piwa zamierza wreszcie wrócić.

Wtulił twarz we włosy Niny i odetchnął głęboko.

Podobał mu się ten zapach. Piżmowy, zwierzęcy, z domieszką potu i perfum. Odetchnął raz jeszcze i obudził ją.

— Hm? — zamruczała.

- Spij — szepnął Pellam.
- Właśnie spałam.
- Postaraj się zasnąć.
- Uhm.

Chociaż nastrój Pellama sprzed paru godzin wcale tego nie zapowiadał, do uwiedzenia jednak doszło.

Cranston, położone kawałek od autostrady, było znacznie mniejsze od Maddox, bardziej zamożne i bardziej kiczowate. Typowy małomiasteczkowy nadrzeczny kurort z całym mnóstwem sklepów sprzedających antyki, pamiątki i różnorakie cudeńka. Nina musiała być ich częstą bywalczynią; w jej mieszkaniu pełno było kraciastych poduszek, haftowanych makatek przedstawiających dzieci trzymające się za ręce, wizerunków gęsi przebranych w stroje kolonialne, drewnianych serduszek, pluszowych zwierzątek i sztucznych kwiatów. Pellam nie cierpiał tego rodzaju bibelotów. Miał nadzieję, że sypialnia Niny okaże się nieco mniej przesłodzona, ale oczywiście wyglądała dokładnie tak samo, jak reszta pomieszczeń. A nawet gorzej, ponieważ hobby Niny była również fotografia. Chociaż „fotografia” to może za dużo powiedziane. Pstrykanie fotek. I właśnie w sypialni znajdowała się cała kolekcja jej zdjęć — pięćdziesiąt,

sześćdziesiąt, a może nawet okrągła setka, wszystkie oprawione w śliczne plastikowe, metalowe albo porcelanowe rameczki. Zajmowały całą półkę nad kaloryferem, parapet i blat nocnej szafki. Pellam bał się wykonać jakikolwiek gwałtowniejszy ruch. Kochali się pod spojrzeniami licznych członków rodziny Niny; w jednym szczególnie namiętnym momencie okrągła ramka spadła na podłogę, odbiła się kilka razy, a potem długo toczyła się, potwornie Pellama rozpraszać.

O, tak. Został uwiedziony.

Chociaż w dosyć dziwny sposób.

Powitała go na progu ubrana w biały T-shirt i krótką, obcisłą, ciemnoszarą spódnicę. Nie miała pończoch i na bosaka przypominała mu Lynn Redgrave z filmu „Georgy Girl”. Zamówili wołowinę po chińsku i makaron na zimno z sosem sezamowym, po czym zjedli to wszystko, oglądając kiepski film w telewizji. Nina była nim jednak zachwycona. To był kryminał. Pellam widział, jak jej wargi poruszają się, gdy szeptem podsumowywała poszlaki, usiłując odkryć, kto jest mordercą. Przysunął się bliżej i objął ją ramieniem. Oparła się o niego i pocierając głowę o jego policzek oznajmiła, że winnym jest szwagier

ofiary.

Nie miała racji. W ułamku sekundy znudziła się telewizją. Gdy tylko zapowiedziano „Seans o północy”, wyłączyła odbiornik, podciągnęła wyżej spódnicę i usiadła mu na kolanach, bez skrępowania serwując mu widok swoich siermiężnych białych majtek. Potem zaczęła go całować. Zarzuciła mu rękę na szyję i gwałtownie przycisnęła usta do jego warg, wypychając mu język do środka i desperacko rzucając biodrami.

Pełtam czuł jej smak na równi ze smakiem chińszczyzny. Jej niespodziewany atak kompletnie go zaskoczył i minęła dobra chwila, zanim zdołał dotrzymać jej kroku.

— Zaczekaj — wyszeptała. — Muszę ci coś powiedzieć.

W odpowiedzi zdjął z niej T-shirt. Miała na sobie srebrzyście połyskujący, niemal przezroczysty stanik, bez przekonania podtrzymujący jej obfity biust, którym bez przerwy ocierała się o jego klatkę piersiową.

— Co takiego? — wydyszał.

Znowu go pocałowała. — To bardzo ważne.

— Znowu zaatakowała go piersiami, więc nachylił się ku jednej z nich. — Posłuchaj mnie — szepnęła z naciskiem. W jej głosie słychać jednak było namiętny żar, więc

zignorował jej prośbę. Zamiast tego całował ją przez okrągłą minutę. — *Przestań*. Mówię poważnie. — Odtrąciła jego wszędobylską dłoń.

Zaskoczony Pellam uniósł głowę. Znajdowali się w pozycji pólężącej, półnadzy i ciasno objęci. Dał znak, że słucha jej uważnie, lecz ona milczała. Przyszło mu do głowy, że nie ma nic bardziej absurdalnego niż widok dwojga ludzi w sytuacji, w której powinni uprawiać seks, a tego nie robią.

— Nie chcę, żebyś został u mnie na noc — rzuciła wreszcie. Pellam zaczął szukać zapięcia przy jej staniku.

To właśnie chciałaś mi powiedzieć?

Wyjaśnisz mi więcej w miarę, jak będziemy się dalej posuwać.

— I mam owulację — wyznała takim tonem, jakby zdradzała mu ściśle strzeżoną tajemnicę handlową.

— Będę uważał.

Zamrugła powiekami i wpiła się wargami w jego usta. Kiedy po dłuższej chwili oderwali się od siebie, żeby zaczerpnąć powietrza, Nina podjęła temat: — Będziesz musiał założyć kondom, to *oczywiste*. Ale chodzi mi o to, żebyś zbyt wiele sobie po tym nie obiecywał. Nie panuję nad sobą. To tylko

przez hormony.

— Wszystko mi jedno. — Był całkowicie szczery. Jego dłoń muskała ażurowy, połyskliwy materiał jej stanika.

Odchyliła się do tyłu i przycisnęła mu palec do ust. — Musisz mi obiecać, że nie zostaniesz u mnie na noc.

— Jesteś piękna — wyszeptał.

— Ciii. — Zmarszczyła brwi. — Obiecuj.

Jak brzmiała jej prośba? — Jasne, obiecuję.

Ale i tak jesteś piękna.

— Nieprawda.

— Ale mogę zostać chociaż na kilka minut?

Znowu go pocałowała. — Byle nie na całą noc. — Otarła się o niego i uśmiechnęła jak psotna dziewczynka, a on uwierzył, że to, co na moment w tak tajemniczy sposób przyćmiło ich uniesienie, minęło i już nie wróci.

Godzinę później, leżąc w ogromnym łóżku (ogromnym dla niego; mieszkając w przyczepie, przyzwyczał się do ciasnych łóżek) i wdychając zwierzęcy zapach jej skóry, Pellam poczuł się lepiej. W życiu zdarzały się takie chwile, kiedy nie liczyło się nic poza tym — byciem z drugim człowiekiem tak blisko, jak to możliwe; skóra przy skórze, zmieszany pot, cisza i zapach spowijający splecione ciała. Poczul ponowny przyływ podniecenia.

Przesunął dłoń w dół jej brzucha i dotknął jasnych, kręconych włosów, równie cienkich i delikatnych, jak te na jej skroniach.

Znowu odtrąciła jego rękę — tym raz uderzając go mocniej, niż w jego odczuciu na to zasługiwał.

— Wszystko w porządku? — Pellam wielokrotnie wypowiadał te słowa w podobnych sytuacjach. Pytanie było czysto retoryczne i spełniało funkcję wentyla bezpieczeństwa, torując drogę innym słowom, które musiały lub miały zostać wypowiedziane. Nina szepnęła: — Muszę ci coś powiedzieć.

— Tak, wiem, to tylko hormony — zażartował Pellam. — Nie ma sprawy. Wszystko rozumiem. — Zaczął całować jej włosy. Ale odsunęła się. — Mam sobie pójść? — zapytał, już na dobre obrażony.

— Owszem. Chociaż jeszcze nie w tej chwili.

— Jesteś piękna — rzucił, starając się ratować resztki romantycznej atmosfery.

— Przestań to ciągle powtarzać. — Szorstkość w jej głosie wynikała mniej z poirytowania, a bardziej z roztargnienia, tak jakby zastanawiała się, jak najlepiej wyrazić jakąś skomplikowaną myśl i zawczasu rozpatrywała wszystkie możliwe warianty.

Kiedy w końcu przemówiła, siadając i owijając się ciasniej kołdrą, jej przekaz okazał się znacznie mniej enigmatyczny, niż Pełtam się spodziewał. Nina powiedziała bowiem: — Chodzi o twojego znajomego, Donniego. Tego policjanta. Powinieneś wiedzieć, że wczoraj się z nim przespałam...

Kiedy Stevie Flom usłyszał pisk opon wozu kempingowego hamującego na mokrym asfalcie, natychmiast wstał, zahaczając wierzchem dłoni o wystający gwóźdź.

— Cholera — zaklął pod nosem i dotknął językiem niewielkiej ranki. Poczł krew i rdzę. Przez chwilę rozważał, czy nie powinien zgłosić się do lekarza na zastrzyk przeciwteżcowy. Zaraz jednak doszedł do wniosku, że jeśli po odkryciu ciała policjanci przeszukają budynek i znajdą krew na gwoździu, zaczną wydzwaniać po szpitalach i pytać o ludzi, którym w ostatnim czasie zaaplikowano taki zastrzyk. Był dumny, że zawczasu na to wpadł.

Po raz trzeci tego wieczoru sprawdził swoją berettę. Wolno odciągnął rygiel zamka; komora była pełna, podobnie jak zapasowy magazynek. Wybrał naboje małego kalibru — zaledwie 0,22 cala, krótsze nawet od standardowej amunicji używanej w długiej

broni. Ale miały swoje zalety. Po pierwsze, niepotrzebny był tłumik. Po drugie, broń była na tyle krótka, a siła odrzutu tak mała, że można było oddać całą serię szybkich strzałów z bardzo niewielkiej odległości.

Grunt to znać swój fach.

Stevie patrzył, jak rozkołysana przyczepa zatrzymuje się na kempingu. Z samochodu wysiadł mężczyzna, podczepił giętki wąż do kanalizacji, a gruby przewód elektryczny podłączył do skrzynki rozdzielczej. Potem wszedł do przyczepy.

Stevie opuścił solidnie zbudowaną piwnicę ze śladami stojącej wody na ścianach. Odciągnął kurek i odbezpieczył broń, po czym szybkim krokiem przeciął River Road.

Uważał teraz, że popełnił błąd.

Pal sześć, co powiedziała, a czego nie.

Pellam powinien być z nią zostać.

Była to jedna z zasad obowiązujących w związkach, których uczymy się na własnej skórze. Czasami trzeba wyjść, a czasami trzeba zostać; żeby wiedzieć, które posunięcie jest właściwe, należy błyskawicznie analizować dane.

Zamykając drzwi przyczepy, Pellam rozważał w myślach tę skomplikowaną kwestię.

Skomplikowaną, ponieważ szczerze wątpił,

aby on sam czy jakikolwiek inny mężczyzna zdobył się na to, na co zdobyła się ona. Takie wyznanie? Owszem, w odpowiedniej chwili (no, może). Ale w sytuacji, gdy leżysz w łóżku ze śladami zadrapań jej różowych paznokci na swoich ramionach?

Nigdy w życiu.

— Przez jakiś czas graliśmy w karty — wyjaśniła. — W ogóle nie powinno mnie tam być. Godziny odwiedzin dawno już się skończyły. Siedziałam na jego łóżku. Jest taki wrażliwy. Nigdy nie pomyślałabym, że policjant może taki być. Ale on jest wrażliwy. Zdradziły go ręce. Są bardzo delikatne.

Błagam, oszczędź mi szczegółów.

— Jego żona to wariatka, a on jest strasznie przygnębiony. Powiedział mi, że ludzie nie chcą go odwiedzać, bo nie może chodzić. Tak jakby się go bali. Myślę, że to bardzo dziwny człowiek.

— Fakt — zgodził się Pellam.

— I tak to poszło, od słowa do słowa. Nagle zaczął płakać. Płaczący mężczyźni zawsze mnie wzruszali. Powiedział, że boi się, że... No wiesz, że już nie będzie mógł. Strasznie się tym dręczył. Chyba nawet bardziej niż tym, że już nigdy nie będzie chodził. Zapytałam, czy mogę go przytulić. Usiadłam na łóżku i

tak... — Wzruszyła ramionami; jej piękne, pełne piersi, które na przestrzeni dwóch dni pieściło dokładnie tyłu mężczyzn, wysunęły się spod kołdry. Zaraz jednak je przykryła.

— I okazało się, że jednak, hm, może? — zapytał Pellam. Nie powinien był w ogóle poruszać tego tematu. Zapomniał, że rozmawia z Królową Szczegółu.

— Jeszcze jak — odparła z entuzjazmem.

— Zrobiliśmy to dwa razy. Oboje byliśmy naprawdę zaskoczeni.

Dwa razy?

Pellam pomyślał: — A *mnie* dałaś po łapach, kiedy chciałem to zrobić drugi raz. Jako że powiedzenie tego na głos nie wchodziło w grę — nie chciał wydać jej się dziecinny — musiał inaczej okazać jej swoje rozgoryczenie.

Gwałtownie wstał z łóżka i zaczął się ubierać.

— Lepiej już sobie pójdę.

— Nie gniewaj się na mnie, John. Bardzo cię przepraszam. Zaczęła płakać.

— Nie gniewam się.

— Kiedy zobaczyłam, jak leży tam taki smutny...

— Dobrze zrobiłaś. Wiem, jak bardzo mu było ciężko... — pocieszał ją łagodnie; mimo to ubrał się w ciągu trzech minut, a po pięciu był już za drzwiami.

E, tam — myślał teraz — jednak trzeba było wyjść. Dobrze, że to zrobiłem.

Wszedł do maleńkiej łazienki, ściągnając po drodze koszulę. Na materiale wyczuł woń jej perfum. Odkręcił prysznic. Podłączenie do kanalizacji pozostawiało wiele do życzenia — ciśnienie było niskie, a woda pełna substancji mineralnych, w związku z czym mydło nie chciało się pienić i pozostawiało na ciele nieprzyjemny osad.

Przeszedł do części sypialnej i opróżnił kieszenie, rzucając na łóżko portfel, kluczyki oraz kilka drobnych. Zostawiając je w nieładzie, pomyślał, że jednak bardzo ceni sobie swoją samotność. Potem ściągnął spodnie i wszedł pod prysznic.

Stevie Flom stwierdził, że nie może zastrzelić kogoś, kto jest nagi. Usiadł więc okrakiem na fotelu kierowcy i przyjrzał się odrapanej desce rozdzielczej. W tle słyszał warkot elektrycznego silniczka pompującego wodę i szum prysznica. Polizał zranioną dłoń. Nagle poczuł się strasznie zmęczony i doszedł do wniosku, że urlop dobrze by mu zrobił. Z dala od Ralpa Balesa. Z dala od Lombro. Z dala od tej zafajdanej nadrzecznej miejsciny. Postanowił, że zarobione na tej robocie pieniądze przeznaczy na dwumiesięczne

wakacje w Las Vegas. A będąc tam, mógłby rozejrzeć się za jakąś pracą. Spodobała mu się wizja rozświetlonych kasyn czynnych dwadzieścia cztery godziny na dobę. Do tego darmowe drinki i chętne ciała. I żona oddalona od niego o wiele godzin jazdy.

Uznał, że to nawet zabawne — zabić kogoś, czyjego nazwiska się nie zna. Rozejrzał się po kabinie i znalazł identyfikator uprawniający do wejścia na plan. W ten sposób dowiedział się, że facet od piwa naprawdę nazywa się John Pellam.

Pellam, Pellam — powtarzał w myśli.

Woda przestała syczeć.

Odgłos kroków. Zatrzeszczała podłoga przyczepy. Drzwi łazienki otworzyły się. Stevie poczuł zapach szamponu do włosów. Uniósł w górę broń.

Pellam, ubrany w gruby brązowy szlafrok i skarpetki, wyszedł z łazienki na korytarz.

Zamrugał powiekami. — Jak pan się tu dostał? Kim pan jest?

Stevie Flom uśmiechnął się chłodno.

Jednocześnie poczuł nagłą falę mdłości i żar wypalający mu wnętrzności. Zaczęły mu drżeć ręce. Zęby, obnażone w przerażającym uśmiechu szaleńca, szczękały mu jak w febrze. Wycelował pistolet w Pellama, który

coś do niego mówił, chociaż Stevie nie słyszał ani jednego słowa. Nie wiedział, czy tamten krzyczy na niego w gniewie, czy błaga, żeby go nie zabijać. Zdenerwowanie całkowicie nim zawładnęło; zaczął się gwałtownie pocić.

Przycisnął prawy łokieć do boku, żeby opanować drżenie ręki. Nic z tego. Trzęsa mu się głowa, drżał mu kark. Przechylił głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby chciał wytrząsnąć z siebie niepokój niczym pływak wodę z uszu. Mimo to nadal cały dygotał. Próbując opanować zdenerwowanie, kazał Pellamowi usiąść. Lecz tamten nadal stał wyprostowany, wpatrując się w niego z furją, głuchy na jego polecenia.

— *Siadaj wreszcie* — warknął Stevie.

Jednocześnie głośno przetłknął ślinę, zagłuszając własne słowa.

Pellam nie usłuchał. Zaczął wodzić wzrokiem po przyczepie. Do Stewiego dotarły urywki zdań. — ...mojego przyjaciela? ...Ty to zrobiłeś? ...mój motocykl?

Stevie przełożył broń do lewej ręki, a prawą wytarł o spodnie. Potem znowu chwycił pistolet. Pellam zrobił dwa kroki w bok, chwycił pustą butelkę po winie i trzymał ją w ręce jak kij bejsbolowy. — No dobra — rzucił.

No dobra? Co ma znaczyć to: „No dobra”? On

ma butelkę, ja mam pistolet. O co mu u diabła chodzi z tym „No dobra”?!

W myślach kazał sobie mocno chwycić pistolet i wycelować, po czym zorientował się, że robi to już od pewnego czasu. Zrobił krok w stronę Pellama. *Co on u diabła miał na myśli, mówiąc „No dobra”?* Stevie cofnął się.

Pociągnij.

Nic się nie wydarzyło. Jego palec w ogóle nie zareagował. Popatrzył na swoją dłoń. Kolejny błąd.

Pociągnij za ten cholerny spust. Zdał sobie sprawę z tego, że porusza wargami. Może nawet powiedział to głośno.

Pellam rozkazał mu: — Rzuć broń.

Nagle Stevie poczuł kompletną pustkę w głowie. Jednym wściekłym ruchem podniósł dłoń z pistoletem, wymierzył prosto w pierś Pellama, zamknął oczy i zaczął pociągać za spust.

Otoczyła go chmura szklanego pyłu.

Niebieskawy dym i tysiące odłamków tego, co przed chwilą było jeszcze szybą w oknie przyczepy, spowity Stewiego Floma. Miał wrażenie, że wybuch rozległ się ułamek sekundy później, gdy pył i szkło opadły już na podłogę.

Stevie Flom odwrócił się w stronę okna;

mięśnie jego ciała nareszcie były rozluźnione, ani śladu nerwowych drgawek. Stanąwszy twarzą do pustego okna powiedział: — Wszystko w porządku. Wszystko będzie dobrze. Naprawdę.

Po tych słowach osunął się na podłogę. Drzwi przyczepy otworzyły się z hukiem i do środka wpadł jakiś mężczyzna, wypełniając niemal całe pomieszczenie swoją potężną postacią. Miał na sobie sportową marynarkę i dżinsy. Poruszał się szybko na swoich drobnych stopach, ignorując Pellama, który prędko zszedł mu z drogi.

Co tu się właściwie dzieje, do cholery?

Mężczyzna zgasił światło.

— Kim pan właściwie...?

— Cicho — warknął tamten.

— Jasna sprawa — odparł Pellam. Z kuchennej wnęki padał jasny blask, nadając wszystkiemu nierealne kształty — zupełnie jakby znajdowali się w gabinecie krzywych luster w wesołym miasteczku. Mężczyzna i tam wyłączył światło. Potem podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. W ciemności Pellam odważył się zadać mu pytanie: — Jest pan policjantem?

— Ciii. — Mężczyzna przykucnął przy

Steviem Flomie, przyłożył palce do jego szyi, schował do kieszeni jego małą berettę, po czym podszedł do okna wychodzącego na drugą stronę przyczepy i długo przez nie wyglądał. Następnie odwrócił się i spojrzał na rękę Pellama, w której ten nadal ścisnął szyjkę butelki po jabłkowym winie. — Potrzebne ci to do czegoś? — Mówił niewyraźnie, ale bez śladu akcentu.

— Nie, skąd. — Pellam odstawił na bok butelkę.

— Ty jesteś Pellam?

Przytaknął i zapytał: — A pan kim jest?

— Tom Stettle. Pracuję dla niejakiego pana Crimminsa. To on...

— Crimminsa?

— Petera Crimminsa.

Pellam zerknął na Stewiego. — Przecież to *on* pracuje dla Crimminsa...

— O, co to, to nie, stary. Wykluczone — odparł rzeczowo Stettle. — Pan Crimmins zatrudnił mnie, żebym miał na ciebie oko.

— Och. — Pellam znowu spojrzał na nieruchome ciało. — W takim razie co to za jeden?

Stettle nie odpowiedział; zamiast tego schylił się i zaczął opróżniać kieszenie Stewiego. — Miał cię zabić.

— O co tu właściwie chodzi?

Nie odrywając się od swojego zajęcia, Stettle odparł: — Pan Crimmins wie, że nie widziałeś go w tamtym samochodzie tego wieczoru, kiedy zginął Vince Gaudia. Nie miał nic wspólnego z tym zabójstwem. Chce, żebyś przeżył i mógł to potwierdzić. Dlatego posłał mnie, żebym cię ochraniał. Ale muszę powiedzieć, że niełatwo cię upilnować. Na ciele Steviego Floma nie widać było żadnych śladów krwi. Czy aby na pewno był martwy?

Pellam zadał to pytanie Stettle'owi, który sprawiał wrażenie zaskoczonego. — Pewnie, że nie żyje. Pomógłbyś mi, co? Przeniesiemy ciało do mojego wozu. Zajechałem tu dzisiaj przypadkiem. Można powiedzieć, że miałem fart. Nie spodziewałem się, że ten już tutaj będzie. Myślałem, że załatwią cię na ulicy, tak jak załatwili Gaudię.

— To on strzelił do tamtego policjanta?

— Nie wiem. Pewnie tak — odparł Stettle.

— Masz jakieś worki na śmieci?

— Słucham?

— Worki na śmieci. Najlepiej te z grubej folii.

— Mam.

Pellam poszedł do kuchni i wypił duszkiem

całą szklankę wody. Odwrócił się i zobaczył Stettle'a stojącego w drzwiach i przyglądającego mu się uważnie. — Też się pan napije?

— Z przyjemnością.

Pellam nalał jeszcze jedną szklankę i podał mu. Stettle wziął ją w swoją wielką dłoń.

Pellam zapytał: — Nie widział pan gdzieś przypadkiem tego drugiego?

— Jakiego drugiego?

— Było ich dwóch. — Pellam wskazał leżącego na podłodze Stevie-go Floma. — To nie tego widziałem, jak wysiadał z lincolna.

— Nie? — Stettle upił łyk wody. — Czyli jest jeszcze jeden?

— Tak. Zwalisty facet. Łysawy.

Stettle skrzywił się. — Zrobię, co będę mógł, żeby cię nie dorwał. Ale nie mogę z tobą zamieszkać. Po dzisiejszym — ruchem głowy wskazał ciało Steviego — ten, kto siedział wtedy w tamtym samochodzie, nie odpuści, dopóki cię nie dostanie. Przydałby ci się urlop. Weź sobie rok wolnego, albo coś w tym rodzaju.

— Ostatnio ciągle to od kogoś słyszę. Widać było, że Stettle chce jak najszybciej wyjść. Dopił wodę i dokładnie wytarł szklankę papierowym ręcznikiem, którym później prze-

tarł wszystko, czego dotykał w przyczepie.

— Będziesz musiał wstawić sobie nowe okno — zauważył i łokciem wybił resztki szyby.

Pellam domyślił się, że nie chciał zostawiać śladu po kuli.

Obserwując wylatujące na zewnątrz odłamki, powiedział: — Chyba powinienem panu podziękować. To znaczy...

Jego wdzięczność nie zrobiła na Stettle'u wrażenia. Zmoczył pod kranem papierowy ręcznik, noszący odciski jego palców, zwinął go w kulę i wepchnął do kieszeni. — Te worki na śmieci? — powtórzył.

— Już się robi. — Pellam podał mu kilka worków.

— A gumowe rękawice?

— Rękawice?

— Najlepiej lateksowe.

Pellam znalazł dwie pary używanych rękawic. Włożyli je, on i Stettle. — Chodzi o krew. Nie zaszkodzi być ostrożnym.

Po chwili John Pellam drugi raz w ciągu dwóch dni zawijał martwe ciało w zielone foliowe worki. W całe pięć metrów folii.

Zdejmuje brązową sukienkę.

Widok opadającego na krzesło materiału przeraża go. Czuje zapach perfum o

owocowej nucie.

Ona wyjmuje spinki ze swoich delikatnych włosów, które swobodnie opadają jej na kark. Wyglądają jak białe światło i kończą się tuż nad jej pełnym biustem. Przeciąga po nich dłońmi, od szyi, przez piersi, w dół, aż do pasa. Potrząsa głową. Widok jej włosów przeraża Don-niego Buffetta.

Bez słowa nachyla się nad nim i pozwala, aby jej loki opadły mu na twarz i ramiona. On nie odrywa spojrzenia od jej włosów. Jest przerażony, ale nie potrafi odwrócić wzroku. Dotyka ich, pociera palcami, waży w dłoni ich ciężar. Nie. Nie rób mi tego. Proszę. Nie...

Patrzy w dół na niego i widzi w jego twarzy przerażenie.

Chcę już zasnąć. Chcę...

Ona jednak pochyla się niżej, z lekkim uśmiechem na ustach. Spowija go truskawkowo-korzenna woń jej perfum; ona zaczyna go całować, przyciskając mocno wargi do jego ust. Czuje jej język, sam czubek języka dotyka jego warg, a potem rozchyła je i wciska się do środka. Kobieta żarłocznie go całuje.

Donnie Buffett drży.

Ona odsuwa się od niego.

Ma na sobie spory, połyskujący srebrną nitką

stanik, pas do pończoch, pończochy i białe majtki. Wszystko białe, wszystko koronkowe i migoczące w przytłumionym świetle.

— Posłuchaj — mówi Donnie Buffett, pocąc się obficie. — Me rób tego...

— Ciii. — Znowu nachyla się nad nim i całuje go. Pod cienką jedwabną tkaniną czuje napierające na niego piersi. Ona o tym wie i całując go, pociera nimi o jego klatkę piersiową. Jej język wsuwa się głębiej. On nie wie, co robić. Odwzajemnia jej pocałunek. Jest ciekaw, czy coś poczuje, czy poczuje to podniecające ciepło i mrowienie, ale nie, nic nie czuje. Wtedy pragnie, żeby sobie poszła, pragnie tego bardziej, niż czegokolwiek w życiu...

Ona znów się odsuwa i nie przestaje się uśmiechać. Przerażony błaga ją, żeby sobie poszła. — Chodzi o to, że po tym wypadku... Jak już mówiłem. Ty...

Odwraca się do niego tyłem, całkowicie ignorując jego protesty. Słyszy jej cichy szepc: — Pomóż mi.

Jego ramiona opadają bezsilnie. — Przykro mi...

— Proszę — szepcze ona. — Zrób to dla mnie. Możesz to zrobić dla mnie?

Niezwykłe, jak te słowa wszystko zmieniają.

Podnosi ręce i rozpina jej stanik, a ona siada na nim, kładzie sobie jego dłonie na piersiach i zmusza go, aby je ścisnął. Jej kark jest kilka centymetrów od jego ust. Nachyla się ku niej i zanurza twarz w chmurze jej włosów.

Smakuje je. Czuje aromat truskawek. Kiedy ona ociera się o niego, ma wrażenie, jakby oboje znajdowali się pod wodą, a ich ciała unosiły się obok siebie niesione prądem.

Odwraca ją twarzą ku sobie i głęboko całuje.

Ona zsuwa się z łóżka i stojąc przed nim, zdejmuje majtki. Widzi kępkę jasnych włosów.

One też go fascynują; są tak delikatne, że prawie niewidoczne; wygląda to jak nieostre zamglenie w miejscu, w którym łączą się jej nogi. Ona zaczyna się dotykać, przesuwając dłońmi po całym ciele, chwytając w dłonie pukle włosów i rozpościerając je na swojej skórze.

Potem znowu wskakuje na łóżko, siada na nim okrakiem, nachyla się, całuje jego klatkę piersiową i brzuch, odsuwając na bok pościel.

On mruży cicho: — Me, nie, nie, ale to nic nie daje, jego usta są tam, gdzie są, a ona go nie słyszy. Milknie więc i myśli już tylko: „Do diabła, zróbmy to, zróbmy, zróbmy...”

To wspomnienie — nie fantazja — było wciąż żywe w pamięci Don-niego Buffetta, kiedy

otworzył oczy i zobaczył Johna Pełlę stojącego w drzwiach jego szpitalnej sali. Buffett zamrugał powiekami, a potem odchrząknął. — Siemasz, szefie. Nie spodziewałem się ciebie.

— Witaj, Donnie. — Pełła wszedł do środka. Jego buty wyjątkowo głośno skrzypiały, kiedy stapał po podłodze.

O Chryste. On już wie.

— Posłuchaj, John... — Buffett spojrział na ciemny ekran telewizora, a potem na rządę wazonów z kwiatami. Poczuł, jak jego twarz robi się napięta i gorąca, jakby od środka wypełniała ją para. *O cholera. Oto facet, który kupił mi piwo i traktował mnie jak normalnego człowieka, który po wypadku jako pierwszy i jak na razie jedyny posłał mnie do diabła, żadnej taryfy ulgowej, żadnego owijania w bawełnę, a ja co robię? Pieprzę jego kobietę. O cholera, cholera jasna...*

— John, posłuchaj mnie... Zamierzałem ci o tym powiedzieć. Pełła uśmiechnął się, co sprawiło, że Buffett poczuł się po stokroć gorzej.

— Nie planowałem tego. Wiem, że robiłem sobie z ciebie żarty i gadałem o kanapowych castingach, ale przecież nie powiedziałem jej: „Zobacz, jaki jestem biedny, bo w ogóle mi nie

staje". Nie zwabiłem jej tutaj podstępem.
*Chociaż prawdę mówiąc, to właśnie na nią
podziałało.*

— Nie ma sprawy, Donnie.

— Nie twierdzę, że to ona się na mnie rzuciła. Nigdy bym czegoś takiego nie powiedział, tylko po to, żeby uniknąć odpowiedzialności, wiesz? Ale byłem taki przygnębiony i tak dobrze mi się z nią rozmawiało... Objęła mnie wtedy i... Tak jakoś samo wyszło. *Naprawdę* chciałem ci o tym powiedzieć. Uwierz mi, stary. Ale kiedy ostatnim razem przyszedłeś, byłeś, no wiesz, tak bardzo wstrząśnięty śmiercią swojego kumpla, że...

— Ona nie jest dla mnie — odparł Pellam.

— Nie, nie, ona bardzo cię lubi. Wiem, że tak jest. — *Moment. Czy on przez to poczuje się lepiej czy gorzej¹?* — To, co się stało...

— Donnie, ja nie mam do niej żadnych praw.

— Ja po wszystkim powiedziałem jej, jaki z ciebie świetny facet — odezwał się ostrożnie Buffett.

Pellam usiadł na krześle. — Nie przyszedłbym tu dzisiaj, gdybym był na ciebie zły.

Buffett nie wiedział, co jeszcze mógłby dodać, więc po prostu wyciągnął rękę. Z powagą

wymienili uścisk dłoni, chociaż Pellam sprawiał wrażenie rozbawionego jego oficjalnymi przeprosinami. — Donnie, potrzebuję twojej pomocy.

— Mów. Dla ciebie wszystko. Moi kumple nadal cię niepokoją? Każę im się od ciebie odczepić, John. Nie przejmuj się już tym. Jeśli będzie trzeba, zadzwonię do samego burmistrza.

Pellam zerknął na tacę z nietkniętą kolacją. Zapytał: — Przełamiesz się ze mną chlebem? Na zgodę. Cały dzień nic nie jadłem.

— Częstuj się.

Chleba nie było, była za to zupa, ryż i czerwona galaretka. Pellam zjadł zupę, a Buffett ryż. Podzielili między sobą słone krakersy i przełożyli galaretkę do dwóch miseczek.

— Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego — rzucił Buffett — jak paskudna potrafi być szpitalna galaretka?

— Uhm. — Pellamowi zdawało się to nie przeszkadzać. Był głodny; poza tym zalana mlekiem galaretka dawała się zjeść, chociaż samego mleka prawie nie spróbował, bo jadł widelcem, a Buffett łyżką.

Kawałek galaretki wyśliznął się Buffetowi; policjant gonił ruchliwą grudkę po tacy, a

potem po kołdrze i prześcieradle. — Psiakrew. — Strzelił palcami, posyłając galaretkę szerokim łukiem przez całą salę. Pacnęła o ścianę, zostawiając na niej różowy ślad, po czym spadła na podłogę. Mężczyźni roześmieli się.

Pellam opowiedział Buffettowi o starej płycie swojego wuja — nagraniu kabaretowego programu z lat pięćdziesiątych. Jak się nazywał tamten gość? Chyba Del Close. Skecz był zatytułowany „Nowomowa”. Pellam wyjaśnił, że była to historia pewnego faceta, który uzależnia się od galaretki. Zamawia jej całe talerze, prosi o dokładkę — i tak od restauracji do restauracji. Wszyscy się na niego patrzą. Jaki był jego ulubiony smak? Chyba truskawkowy. A może malinowy. — Chodziło o to, żeby wyjaśnić znaczenie zwrotu „być na haju”. Tak, jakby bitnicy wymyślili jakiś nowy język. — Pellam dodał, że w dzieciństwie setki razy słuchał tej płyty. Szczególnie podobał mu się skecz o galaretkce.

Buffett uśmiechnął się uprzejmie w oczekiwaniu na puentę, ale najwyraźniej był to już koniec anegdoty.

— Musiałbyś to usłyszeć w oryginale — mruknął Pellam. — I być w odpowiednim

nastroju.

— Nie, nie — to bardzo zabawne — odparł prędko Buffett. Wiedział, że przynajmniej dzisiaj musi podlizywać się Pellamowi. Ten jednak wyglądał tak, jakby do reszty stracił poczucie humoru

— podobnie jak ochotę na galaretkę i na dalszą rozmowę. Potarł twarz dłońmi i ruchem głowy wskazał stojący na nocnym stoliku aparat. — Chyba muszę to wreszcie załatwić. Podasz mi telefon?

Prokurator stanowy był w sądzie, kiedy rozległ się dźwięk dzwonka.

Sekretarka połączyła się z pokojem Nelsona i oznajmiła: — Mam na trójce jakiegoś człowieka. Mówi, że to ważne. Kiedy wróci pan Pe-terson?

— Skarbie, po prostu zapisz, o co chodzi — rzucił krótko Nelson.

— Miał za sobą długą serię przesłuchań.

— Dzwoni niejaki pan Pellam i mówi, że...

Klik.

— Panie Pellam, *panie Pellam*. Jak miło pana słyszeć! Mówi asystent pana Petersona, Nelson Stroud. W czym mogę panu pomóc?

— Chcę rozmawiać z Petersonem.

— Czy chodzi o sprawę Crimminsa? Pellam

potwierdził.

— Czy w takim razie *ja* mógłbym panu jakoś pomóc?

— Gdzie on jest?

— Pan Peterson? W sądzie. Wróci dopiero za kilka godzin.

— Aha. — Długa chwila ciszy.

Nelson z całej siły ścisnął słuchawkę przekonany, że wystarczy, iż trochę głębiej odetchnie, a ruch powietrza przerwie połączenie.

— Pan jest prawnikiem?

— Asystentem prokuratora stanowego do spraw...

— Okej. Chcę się spotkać. *Bingo!*

— Oczywiście, kiedy tylko pan zechce. Proszę wybrać termin i miejsce. Dopasujemy się do pana.

— W waszym biurze. Chciałbym, żeby spotkanie odbyło się w waszym biurze.

— Jasne, nie ma sprawy. Jutro? Jutro rano?

— Może być jutro rano. Tylko...

— Co takiego?

— Jest jeszcze jeden problem. Potrzebuję

gwarancji z waszej strony.

— Gwarancji. Gwarancji, tak, oczywiście. — Nelsonowi trzęsły się ręce. To była przełomowa chwila w jego karierze — negocjował z koronnym świadkiem i z przejęcia odchodził od zmysłów. — Co dokładnie ma pan na myśli?

— Gwarancję, że nie zostanę o nic oskarżony — odparł Pellam.

— Dlaczego miałby pan być o cokolwiek oskarżony?

Chwila milczenia. — Ponieważ skłamałem, mówiąc, że nie widziałem Petera Crimminsa wtedy w lincolnie.

22

Wieczorna konferencja prasowa nie trwała długo.

Dziennikarze liczyli na jakąś sensację — na przykład oświadczenie Petersona o rezygnacji ze sprawowanego stanowiska i zamiarze kandydowania do senatu, informację, że prokuratura prowadzi sprawę przeciwko jakiejś wielkiej korporacji albo że Departament Sprawiedliwości szykuje dla fotoreporterów

jakiś smakowity kąsek, spektakularną akcją, po której funkcjonariusze FBI i Agencji do Walki z Narkotykami wykładają na stołach przechwycony towar — w pierwszym rzędzie uzi i browningi, w głębi za nimi foliowe woreczki z heroiną czy kokainą — po czym recytują całe poematy na temat postępów w walce ze zorganizowaną przestępczością. Tymczasem okazało się, że jedyne, na co mogą liczyć, to przydługa-we ględzenie Petersona stojącego na odrapanej mównicy z pieczęcią Departamentu Sprawiedliwości. Prokurator stanowy przemawiał monotonnym głosem, charakterystycznym dla wszystkich jego wystąpień na konferencjach prasowych. — Mam przyjemność poinformować państwa, że zgłosił się do nas świadek zabójstwa Vincenta Gaudii, który zgodził się zeznawać przed sądem. Jest to człowiek, którego moje biuro odnalazło zaraz po zamachu i który ze zrozumiałych względów poważnie obawiał się o swoje bezpieczeństwo. Początkowo był to powód, dla którego odmawiał zeznań. Teraz jednak, otrzymawszy ode mnie zapewnienie, iż nie zostaną mu postawione zarzuty utrudniania pracy wymiarowi sprawiedliwości, zgodził się stanąć przed sądem.

Ostatnie zdanie stanowiło przykład prawdziwej ekwilibrystyki słownej i dziennikarze w myślach starali się je naprędce parafrazować. Zapytany o wiarygodność świadka, Peterson odparł: — Miał możliwość dokładnie przyjrzeć się przedniemu siedzeniu samochodu prowadzonego przez mężczyznę, który naszym zdaniem odpowiada za to zabójstwo.

Znajdował się niecały metr od kierowcy i zapewnia mnie, że jest w stanie go zidentyfikować.

Jakiś reporter zawołał, przekrzykując innych: — Czy kierowcą samochodu był Peter Crimmins?

Peterson wiedział, jak skutecznie unikać tego rodzaju dziennikarskich pułapek; nie zamierzał dawać obronie pretekstu do tego, aby mogła zarzucić mu przedwczesne orzekanie o winie. Odpowiedział więc ogólnikowo: — W tej chwili mogę jedynie powiedzieć, że świadek w sposób formalny złoży swoje zeznanie jutro o wpół do dziesiątej rano. W ciągu dwudziestu czterech godzin od tego momentu spodziewamy się dokonać aresztowania.

Następnie Peterson zręcznie zbył liczne pytania o zabójstwo, szczegółowo opowiadając o kilku ostatnio przeprowadzonych akcjach anty-

narkotykowych oraz innych najnowszych sukcesach biura prokuratora stanowego. — Dotarły do mnie pogłoski — rzuciła uszczypliwie jakaś kobieta — że aresztował pan reżysera Tony'ego Sloana, który aktualnie kręci w Maddox swój najnowszy film. Peterson rzucił gniewne spojrzenie do kamery. — To *wierutne* kłamstwo. Wytwórnia filmowa sprowadziła do naszego okręgu dużą liczbę broni maszynowej. Zarówno FBI, jak i Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej oraz Departament Skarbu podejrzewały, iż zaistniały pewne nieprawidłowości w związku z wydanymi pozwoleniami na broń. Chcieliśmy po prostu trzymać rękę na pulsie i upewnić się, że broń ta nie dostanie się w niepowołane ręce. W żadnym wypadku nie braliśmy jednak pod uwagę możliwości podjęcia jakichkolwiek kroków prawnych przeciwko panu Sloanowi czy jego wytwórni. Jak rozumiem, miejscowa policja z Maddox z jakiegoś powodu zdecydowała się zatrzymać pana Sloana. Nasze dochodzenie dowiodło jednak, że wszystkie dokumenty są w jak najlepszym porządku, w związku z czym podjąłem już decyzję o zwróceniu broni ekipie filmowej.

— Twierdzi pan zatem, że policja z Maddox niesłusznie aresztowała pana Sloana?

— Nie chciałbym komentować decyzji lokalnego organu ścigania. Decyzja o aresztowaniu go została podjęta w sposób suwerenny przez wydział policji w Maddox. Proszę to pytanie skierować do nich. Kolejne pytania zostały zbyt krótkim: „Bez komentarza”. W końcu wielce zaabsorbowany Ronald Peterson opuścił mównicę, a dziennikarze zaczęli wydzwaniać do swoich agencji lub nagrywać swoje wejścia na antenę. Większość reporterów telewizyjnych bardziej interesowała sprawa Tony'ego Sloana niż zabójstwo Gaudii; ci zdecydowali się w materiale o aresztowaniu reżysera pokazać przebitki z fragmentami jego filmu „Człowiek robot”.

Jednak dziennikarska rzetelność to dziennikarska rzetelność, wszyscy więc zamieścili przynajmniej krótką informację na temat świadka, który miał zeznawać następnego dnia o wpół do dziesiątej rano. Zabójstwo Vince'a Gaudii było przecież pierwszym zabójstwem z prawdziwego zdarzenia dokonany w Maddox od niepamiętnych czasów.

Tak się jednak złożyło, że Ralph Bales grał w

rzutki i wiadomość o pojawieniu się świadka do niego nie dotarła. Dotarła natomiast do Phili-pa Lombro, który o dziewiątej wieczorem tego samego dnia chwycił za słuchawkę telefonu.

— Oszukał nas — oznajmił Lombro. — Wziął pieniądze i nas oszukał! Będzie zeznawał! — Mówił podniesionym głosem, co po części wynikało z odczuwanego wzburzenia, a po części z gniewu. Ale najbardziej był zły na samego siebie; odczuwał spory niesmak na samą myśl o sytuacji, która do tego stopnia wymknęła mu się spod kontroli.

— Na to wygląda — zgodził się Ralph Bales. — Jutro ma spotkać się z Petersonem?

— O wpół do dziesiątej.

Po dłuższej chwili milczenia, podczas której w tle słychać było męskie śmiechy, Lombro odezwał się: — I co zamierzasz teraz zrobić?

— Hm, chyba zgodzi się pan ze mną, że nie mamy zbyt wielkiego wyboru.

Lombro ciężko westchnął. Nie zgadzał się z niczym, co mówił i co myślał Ralph Bales. Ale to wszystko zaszło już za daleko. Zdał też sobie sprawę, że tamten zadał mu właśnie jakieś pytanie, zapytał więc: — O co ci chodzi?

— Pytałem, czy nie zgłosił się przypadkiem

do pana niejaki Stevie Flom.

— Co to za jeden?

— Gość, którego wynająłem.

— Nie. Nigdy o nim nie słyszałem.

Dlaczego miałby się do mnie zgłaszać?

— Bez powodu. Po prostu dawno się ze mną nie kontaktował.

— Czemu to miałby kontaktować się ze *mną*?

— Wspomniałem mu kiedyś, że dla pana pracuję. Ale to nic ważnego. A jeśli chodzi o naszą sprawę...

— Po prostu doprowadź to do końca — rzucił z desperacją Lombro. — Zakończ to i już.

— Chce pan, żebym...

— Zrób, co będzie trzeba — brzmiały ostatnie słowa Philipa Lombro. Wypowiedział je jednak tak cicho, że z trudem pokonały prawie sześćdziesiąt pięć kilometrów przewodów telefonicznych i kiedy dotarły do adresata, były już ledwo słyszalne.

Nie było jeszcze późno; nie nadeszła nawet pora, o której zwykle kładł się spać, lecz mimo to Philip Lombro zażył dwie tabletki nasenne, włożył jedwabną piżamę i wsunął się pod kołdrę, mając nadzieję, że jutrzejszy dzień zakończy się, zanim na dobre zdąży się

rozpocząć.

Długo nie mógł zasnąć, dręczony myślami o tym, czego się dopuścił, myślami o zdradzie świadka i o tym, że już wkrótce będzie miał na rękach krew kolejnego człowieka. Jednak z czasem valium zaczęło działać, a on uspokoił się i w końcu mężczyzna, który miał jutro umrzeć, przestał zaprzętać jego myśli. Nie zaprzęтали ich również Vincent Gaudia ani Ralph Bales.

Philip Lombro znajdował się teraz w stanie dziwnego zawieszenia, w mrocznym, nierealnym świecie pomiędzy jawą a snem; fragmenty marzeń sennych przepływały mu przed oczami niczym gnane wiatrem gazety wirujące przed budynkiem dworca autobusowego w Maddox. Widział twarze, często o groteskowo zniekształconych rysach, które rozmywały się, przybierając zupełnie nowe kształty. Dla niego były jednak prawdziwe, realistyczne, trójwymiarowe. Przypominały mu obrazki oglądane przez plastikowe trójwymiarowe przeglądarki — te, do których wsuwało się tekturowe dyski ze slajdami przedstawiającymi bohaterów bajek czy kreskówek — które przed trzydziestu laty zwykł był kupować swoim chrześniakom. Tylko jedna twarz nie była groteskowo

zniekształcona. Była to twarz dziewczyny, młodej dziewczyny. Ona jedna była piękna. Jej rysy nie zatarły się. Patrzyła prosto na niego, Lombro nie był jednak w stanie jej dotknąć ani do niej przemówić. Mógł ją wyłącznie obserwować; sny tego rodzaju wykluczały aktywny udział śniącego. Nagle na twarzy dziewczyny odmalował się tak wielki smutek, że Lombro aż się obudził. Usiadł wyprostowany w łóżku, czując przemożną chęć, aby się rozpłakać. Pomyślał, że to jest właśnie najgorsza wada mieszkania samotnie. Nie ma przy tobie nikogo, kto obudziłby cię z koszmarne snu. **O** wpół do ósmej Pellam był już na nogach. Spał w przyczepie na planie — jednym z tych wielkich wozów kempingowych pełniących funkcję charakteryzatorni. Cicho wstał i przeszedł do łazienki, gdzie wziął letni prysznic. Następnie umył zęby, posługując się palcem i łyżeczką sody kuchennej. Czuł się niewyspany i miał nadzieję, że w apteczce znajdzie coś na pobudzenie — pigułki odchudzające albo kofeinę w tabletkach. Nie znalazł tam jednak nic oprócz jakiegoś lekarstwa na receptę, o którym nigdy nie słyszał. Na etykiecie przeczytał ostrzeżenie, że zażywając je, nie należy obsługiwać

maszyn ani prowadzić pojazdów mechanicznych.

A zatem pozostawała mu kawa.

Ubrał się w łazience, wkładając koszulę i dżinsy na mokre ciało; materiał natychmiast pociemniał, chłonąc wodę jak gąbka.

Przeczesał wilgotne włosy, rezygnując z użycia głośnej suszarki. Przebywał tu jako szpieg, a w najlepszym razie uchodźca, i chciał utrzymać swoją obecność w tajemnicy.

Wyśliznął się z przyczepy i zbiegł po schodach, trzęsąc się z zimna w chłodnym, jesiennym powietrzu. Poczłł intensywny, błotnisty zapach i domyślił się, że to woń rzeki, chociaż z miejsca, w którym się znajdował, nie było jej widać.

Przystanął przy krawężniku, żeby przepuścić szaroniebieski samochód, który zwolnił, mijając przyczepę. Z boku widniał napis:

„Bezrobotny od 117 dni”, przy czym cyfra 17 została dopisana na kawałku tektury i doklejona w miejsce poprzedniej. — Najmę się do każdej pracy — zawołał kierowca.

Odjechał jednak, zanim Pełtam zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

Ralph Bales czuł, że serce trzepocze mu się w piersi jak przerażony wróbel.

Spojrzał na swoje nadgarstki, wypatrując żył;

był zaskoczony, że nie pulsują krwią. Ponownie oparł dłonie na kierownicy. Ralph Bales czekał — w skradzionym chevrolecie — w samym centrum Maddox, przed Budynkiem Federalnym przy Mission; czekał na Johna Pellama. Zaś powodem, dla którego jego serce waliło jak oszalałe, było to, że nie potrafił wyobrazić sobie gorszego miejsca na to, żeby kogoś sprzątnąć.

Po drodze mijał myjnię o wdzięcznej nazwie „Świat pełen piany”. Teraz powtarzał w myślach te trzy słowa i jedyne, z czym mu się one kojarzyły, to „Świat pełen glin”. Wszędzie kręcili się agenci FBI i Departamentu Skarbu, policjanci z miejskiej drogówki i pewnie jeszcze funkcjonariusze biura śledczego z Missouri — a do tego ochroniarze, którzy ostatni raz strzelali, starając się o licencję, i latami czekali na to, żeby przelać krew na służbie.

Świat pełen glin.

W drzwiach budynku stało dwóch strażników w białych koszulach — potężnie zbudowane chłopcy o wielkich, kwadratowych, wygolonych łbach. Sekretarki, urzędnicy i prawnicy, w sportowym obuwiu nałożonym na eleganckie skarpetki i pończochy, spieszyli różnym krokiem do swoich biur. Wszyscy sprawiali

wrażenie młodych i energicznych.

Do Budynku Federalnego prowadziło kilka wejść, lecz Ralph Bales zaparkował przed tym, które uznał za główne. Domyślał się, że gdzieś musi być jedno lub dwa boczne wejścia. Z jednej strony zauważył podjazd, który mógł być zarezerwowany dla śmieciarek. Niezłe miejsce, żeby niepostrzeżenie wprowadzić świadka do budynku. Niestety, nie miał współnika — Stevie jak dotąd się nie pokazał — i jedyne, co mógł zrobić, to obserwować główne wejście.

Specjalnie przyjechał wcześniej, sądząc, że facet od piwa dla własnego bezpieczeństwa będzie wolał stawić się na przesłuchanie ze znacznym wyprzedzeniem. Przez godzinę czekał w samochodzie z włączonym silnikiem. Tylko raz ruszył się z miejsca, kiedy zauważył kręcącą się w pobliżu strażniczkę miejską. Kobieta uniosła w górę swój bloczek z mandatami i wycelowała go groźnie w jego stronę. Nie czekał, aż zbliży się na tyle, żeby zobaczyć jego twarz. Odjechał wolno i zrobił kółko wokół budynku, a kiedy wrócił — jakieś trzy minuty później — już jej nie było. Znowu zaparkował przed głównym wejściem. Była za dziesięć dziesiąta.

Ralph Bales patrzył, jak w powietrzu unoszą

się opary mgły, a promienie słońca odbijają się od wysokiego łuku; czuł metaliczny zapach zmieszany z wonią spalin. Na wschodnim brzegu Missisipi fabryki od rana pracowały pełną parą. Serce nadal trzepotało mu się w piersi... Może to wina kofeiny w porannej kawie. Popatrzył w dół, pod nogi. Zostawił w samochodzie papierowy kubek, niebiesko-białe z wizerunkami greckich bogów, a może olimpijczyków. Kubek pokryty odciskami jego palców. Bardzo nierozważnie z jego strony. Nachylił się i sięgnął po niego, a następnie zmiął go w dłoni i wsunął do kieszeni. Dokładnie w tym samym momencie kosz na śmieci — jeden z tych wielkich, pomarańczowych, brudnych paskudztw — wpadł przez tylną szybę do samochodu.

Jezus Maria...

No, może niedokładnie „wpadł”. Nawet tanie amerykańskie samochody mają całkiem mocne szyby. Dolna krawędź kosza wepchnęła szybę do środka na parę centymetrów, a szkło pociemniało, pokrywając się gęstą siatką drobnych pęknięć. Kosz natomiast stoczył się z bagażnika i spadł na ulicę.

— Co do jasnej...

Kiedy się odwrócił, żeby pociągnąć za klamkę,

tuż przed oczami zobaczył lufę rewolweru; drugą ręką napastnik przekręcił kluczyk w stacyjce.

Wtedy to do niego dotarło. Ralph Bales dokładnie rozumiał, co się właśnie stało.

— Połóż broń z tyłu — rozkazał facet od piwa. — Na podłodze. Ralph Bales zaczął: — Nie mam żadnej...

Spokój w głosie tamtego przeraził go. — Połóż broń z tyłu na podłodze samochodu.

— Okej, jak sobie życzysz.

— Połóż...

— Słyszałem — odparł Ralph Bales. — Właśnie zamierzałem to zrobić.

— Natychmiast.

— No już.

Przypomniało mu się, jak w dniu śmierci Gaudii zaskoczył go tamten policjant. Tyle że tym razem w pobliżu nie było Stewiego Floma udającego wariata, który wyskoczyłby z bocznej uliczki i go uratował. Poczł nagłe, nieprzyjemne ssanie w żołądku i pomyślał, że już chyba wie, co spotkało Stewiego Floma. Rzucił swojego colta na tył wozu. Mężczyzna otworzył tylne drzwi i chwycił go. Potem usiadł z tyłu i przyłożył mu lufę swojego starego rewolweru do ucha. — Opróżnij kieszenie. A jeśli teraz zjawi się tu tamta strażniczka?

Chryste, gość może spanikować i zastrzelić ich oboje.

— Nie mam nic w kieszeniach, to znaczy żadnej broni czy...

— Opróżnij wszystkie kieszenie.

Ralph Bales usłuchał, wytrząsając zawartość kieszeni na siedzenie pasażera. Facet od piwa przejrzał wszystko uważnie — pieniądze, portfel, zgnieciony papierowy kubek i scyzoryk. — Okej, możesz to schować. Wszystko poza scyzorykiem. Scyzoryk zostaw.

Ralph Bales zaśmiał się. — Scyzoryk? Chyba żartujesz.

Tamten jednak nie żartował. Ralph Bales zrobił, co mu kazano.

Mężczyzna zapiął pas. — Jedziemy do Maddox. Ruszaj.

— Ale...

— Jedź, mówię.

Bales chciał zapiąć pasy.

— Pojedziesz bez pasów. — Mężczyzna wcisnął lufę rewolweru w kark Ralph Balesa.

— Ten rewolwer nie jest wyposażony w mechanizm samonapinania Wiesz, co to znaczy?

— Że zanim pociągnie się za spust, trzeba ręcznie napiąć kurek— wyrecytował Ralph

Bales, niczym uczeń odpowiadający nauczycielowi.

— Właśnie go napiąłem. Módl się, żeby nie drgnął mi palec.

— Okej, zrozumiałem. A co będzie, jeśli wóz podskoczy na wybojach...?

— Na twoim miejscu jechałbym bardzo wolno.

Co za wspaniały sen.

Była w nim taka piękna.

Nina Sassower uważała, że mężczyźni podrywają ją — a robili to dosyć często — wyłącznie ze względu na rozmiar jej biustu i szczupłe nogi. Uważała, że przymykają oko na jej twarz, która jej zdaniem była zbyt wąska, o ostrych i napiętych rysach.

Jednak w tym śnie stało się coś dziwnego. Może przeszła operację plastyczną, a może po prostu przez całe życie miała mylne wyobrażenie o własnej urodzie. Nie wiedziała, co się zmieniło w jej wyglądzie, ale osoba, którą widziała w tym śnie, była wysoka i smukła, o jasnych, inteligentnych, pięknych oczach.

Wizja ta nie trwała długo. Szybko zastąpił ją inny obraz, obraz ulicy, której nie rozpoznawała. Potem pojawiły się tam inne osoby i sen się urwał.

Obudziła się.

Przez jakieś dwie sekundy delectowała się wspomnieniem sennego marzenia.

Nagle usiadła na łóżku, spojrzała na zegarek i jęknęła: — O, nie! Niech to szlag!

Właśnie wybiła dziewiąta.

Ściągnęła koszulę nocną i jednym

szarpnięciem otworzyła szufladę komody.

Majtki, stanik — nie ma stanika. Nie mogła

żadnego znaleźć. Szukała na oślep. *Trudno,*

daj spokój! Prędko założyła sweter, myśląc, że pierwszy raz od czasu, gdy skończyła

trzydzieści lat, wychodzi z domu bez

biustonosza. Luźne spodnie, skarpetki... *Me*

pasują do siebie, gdzie jest druga od pary,

gdzie? Do diabła z tym! Wyjdź już wreszcie!

Beżowe pantofle.

Biegiem, biegiem, biegiem!

Nina narzuciła niebieską, dżinsową kurtkę. Nie

zdążyła umyć twarzy i teraz czuła na czole

lepką pot. Przystanęła przed lustrem, żeby

przeczesać włosy, i zrobiła to tylko po to, żeby nie wyglądać podejrzanie.

Nie mogła wzbudzać podejrzeń, jeżeli chciała

doprowadzić do końca to, co sobie

zaplanowała.

Wypadła z domu i podbiegła do samochodu.

Uruchomiła silnik, po czym zajrzała do torebki,

chcąc upewnić się, że to, co do niej włożyła poprzedniego wieczoru, nadal się tam znajduje.

Ciężki wojskowy półautomat kaliber czterdzieści pięć, klasyczny colt 1911, leżał spokojnie pomiędzy puderniczką Estee Lauder a plastikowym różowym pojemnikiem na tampony.

Nina знаła tę broń niemal tak dobrze, jak znała swoją maszynę do szycia marki Singer. I chociaż nie potrafiłaby go rozłożyć z zawiązanymi oczami, radziła sobie na tyle dobrze, żeby regularnie czyścić i oliwić przewód lufy oraz części pistoletu, i robiła to za każdym razem, gdy z niego strzelała. Tak się złożyło, że identycznym modelem posługiwali się gangsterzy z szajki Rossa w „Missouri River Blues”, jednak pistolet Niny miał w magazynku dziesięć sztuk ostrej amunicji i nie był zarejestrowany ani przez władze federalne, ani przez nikogo innego. Nina ruszyła z miejsca i nie zwalniając na czerwonym świetle ani przed żadnym znakiem stopu, przemknęła przez staroświeckie, ciche miasteczko Cranston w stanie Missouri, po czym z piskiem opon zjechała na autostradę i pognąła na południe, tam gdzie spodziewała się znaleźć Johna Pellama.

Jako prawnik zdążył przyzwyczać się do przepisywania i poprawiania dokumentów. Ronald Peterson nigdy nie postawił swojego podpisu pod listem, wezwaniem, skargą, wnioskiem czy aktami sprawy, jeżeli wcześniej nie poświęcił kilku godzin na odpowiednie ich zredagowanie. Lecz napisanie dwustronicowego oświadczenia dla prasy, ogłaszającego fakt postawienia Petera Crimmins'a w stan oskarżenia w związku z zabójstwem Vince'a Gaudii, zajęło mu więcej czasu, licząc od słowa, niż jakiegokolwiek innego dokumentu na przestrzeni wielu lat. Przed chwilą jednak dotarło do niego, że to oświadczenie nigdy nie trafi do dziennikarzy.

— Rozmyślił się?! — syknął Peterson, z trudem hamując wściekłość.

— Tak przekazał sekretarce — odparł niepewnie Nelson, unikając gniewnego spojrzenia swojego szefa. — Jego telefon nie odpowiada, mam na myśli aparat w przyczepie. Posłałem więc agenta do Maddox. Ta przyczepa zniknęła z kempingu. Człowiek z ekipy twierdzi, że Pełtam stracił pracę i nikt

nie wie, gdzie teraz jest.

— Myślisz, że Crimmins go dopadł?

— No cóż, zdaniem sekretarki nie sprawiał wrażenia zastraszonego.

— Dlaczego go ze mną nie połączyła, do cholery?! Już tu nie pracuje. Słyszysz? Zwalniam ją!

Nelson wtrącił delikatnie: — Pellam *nie życzył sobie* z panem rozmawiać. Chciał tylko zostawić wiadomość.

— Co dokładnie powiedział?

— Tylko tyle, że się rozmyślił. To wszystko. Peterson siedem razy strzelił palcami. — A co z podsłuchem u Crimminsa?

— Nic, co by nas zainteresowało. Interesy i nic więcej. Można to tłumaczyć na dwa sposoby: albo korzysta z bezpiecznej linii, żeby rozmawiać ze swoim cynglem, albo wie o konferencji prasowej, ale z jakichś względów nie martwi go, że facet zdecydował się zeznawać.

Jak taka wiadomość mogłaby go nie zmartwić?! Jest tylko jedno wytłumaczenie: że to jednak nie on siedział wtedy w lincolnie.

— Jednego nie rozumiem — myślał głośno Nelson — dlaczego Pellam miałby z nami w ten sposób pogrywać?

Peterson nie wspomniał nikomu o wolnym

strzelcu z FBI, którego nastął na dziewczynę Pellama, a potem także na samego Pellama, i który miał za zadanie „odświeżyć” mu pamięć w związku z Crimmin-sem, ale wkrótce potem zapadł się pod ziemię. Nelson nie wiedział również i o tym, że dokumenty federalne dotyczące broni Tony'ego Slo-ana były w jak najlepszym porządku. Nie mógł zatem wiedzieć, że Pellam miał bardzo dobre powody, aby z nimi pogrywać. — Pewnie się zląkł — podsunął prokurator.

— A co z pierwszą opcją? Tą, według której Crimmins go uciszył? Peterson pokręcił głową.

— Nawet Crimmins nie byłby taki głupi. Do diabła, prasa znowu nas obsmaruje!

— Co pan zamierza z tym zrobić? — Nelson zerknął na leżące na biurku oświadczenie.

— Jakie twoim zdaniem mamy szanse na przyszpilenie Crimminsa bez zeznań Pellama? Mówię o zabójstwie Gaudii. Nelson namyślał się przez chwilę. Peterson założył sobie na palce gumkę recepturkę i bacznie przyglądał się swojemu protegowanemu, którego zmrużone oczy i ściągnięte wargi tylko częściowo zdradzały olbrzymie zdenerwowanie, jakie w tym momencie odczuwał. — Myślę, że

moglibyśmy go aresztować na podstawie uzasadnionego podejrzenia popełnienia przestępstwa. Ale nie udałooby się postawić go w stan oskarżenia. — Nelson odchrząknął nerwowo.

— A nasz oryginalny akt oskarżenia dotyczący korupcji i przynależności do organizacji przestępczej? Oczywiście, bez zeznań Gaudii?

— Uniewinnienie. Szanse jak sześćdziesiąt do czterdziestu. — Nelson miał taką minę, jakby za moment tuż obok niego miała wybuchnąć bomba, a on nie miał gdzie się schować.

Ale Peterson jedynie zacisnął mocniej szczęki. Przez jakiś czas słychać było tylko świszczący między zębami oddech, gdy prokurator żuł własny język, pogrążony w niewesołych myślach. Z wolna docierało do niego, że sprawa Crimminsa w równym stopniu stanowi dla niego zagrożenie, co szansę na dokopanie „tym złym”.

Najwyższa pora dać sobie spokój.

Powiedział to Nelsonowi i dodał: — Zadzwoń do adwokata Crimminsa. Wybadaj, czy przyzna się do zarzutów w zamian za niższy wyrok.

Nelson skwapliwie przytaknął. — Już się robi

— po czym chłodno skonstatował, że polecenie to równa się przekreśleniu dwóch lat ich ciężkiej pracy. — A co z Pellamem? Ktoś nadal może chcieć go dopaść. Mam powiedzieć Brackenowi albo Monroe, żeby zajęli się tą sprawą? Ten gość nadal może mieć poważne kłopoty...

Peterson nakręcił miniaturkę Kaczora Donalda; zabawka pokonała kilkanaście centymetrów blatu, po czym natrafiła na akt oskarżenia i jeszcze przez chwilę dreptała w miejscu, dopóki mechanizm się nie zatrzymał. — Teraz to już problem Pellama. Niech sam sobie radzi. Nam nic do tego.

Pędziła przed siebie główną ulicą Maddox, mijając po drodze opustoszałe witryny sklepowe, ciemne biura pośrednictwa w handlu nieruchomościami, sklep z artykułami użytkowymi. Pęd powietrza za samochodem wzbijał w górę chmury suchych, poszarzałych liści.

Z Cranston pojechała prosto do St. Louis, pod Budynek Federalny. Nigdzie nie znalazła Pellama, chociaż jego przyczepa stała zaparkowana w zatoczce po przeciwnej stronie ulicy. W środku nikogo nie było. Gdzie on się podziewa? W panice przemierzała

chodnik wszerz i wzdłuż. Nagle ją olśniło. Wskoczyła do samochodu i pognąła z powrotem do Maddox.

Teraz, jadąc wyludnioną Main Street, Nina nie była już taka pewna, że podjęła słuszną decyzję. Otaczająca ją zewsząd pustka zdawała się z niej kpić. Gdzie on u diabła jest? Gdy z piskiem opon pokonywała zakręt w pobliżu opuszczonych silosów, przez myśl przelatywały jej różne obrazy. Pellam stojący na środku pola, nad brzegiem toczącej brązowe wody Missouri, celujący w nią obiektywem swojego polaroida. Ona sama nakładająca makijaż drobnej aktorce o blond włosach, w letniej żółtej sukience podziurawionej przez kule. Pellam leżący obok niej w łóżku. Potężna siła odrzutu automatycznego colta, która wprawiała w wibracje całą jej rękę, od nadgarstka aż po ramię, za każdym razem, kiedy pociągała za spust.

Powiedzieć ci coś zabawnego? — zapytał Ralph Bales; pytanie rozbrzmiało głośnym echem w pustym budynku fabryki. Szybko zerknął za siebie, zaskoczony powracającym dźwiękiem własnych słów.

Gość od piwa nie wydawał się zainteresowany. Mimo to Ralph Bales powiedział: — Nawet nie wiem, jak się

nazywasz.

Nie doszło jednak do wzajemnej prezentacji. Mężczyzna ponaglił go tylko, niecierpliwym ruchem wciskając mu w plecy lufę swojego kowbojskiego gnata.

Ralph Bales nie czuł się jednak zagrożony, pomimo tej wciskającej mu się w plecy lufy. Może chodziło o to, w jaki sposób tamten trzymał broń — bez większego napięcia, bardziej jak butelkę piwa niż rewolwer. A może wyczytał to w jego oczach, które nie były już tak przerażająco chłodne, jak na początku. Teraz malowała się w nich raczej determinacja, jakby mężczyzna chciał z nim tylko porozmawiać.

W głębi magazynu, pod ciągnącym się wyżej balkonem, znajdowało się niewielkie ślepe pomieszczenie. Było tam bardzo ciemno; słabe światło sączyło się jedynie przez wysokie, łukowate okna o brudnych, zakurzonych szybach. Na podłodze również leżała gruba warstwa kurzu, na którym wyraźnie widać było liczne ślady stóp. Dokładnie pod wiszącym na ścianie plakatem zespołu Bee Gees stało składane, drewniano-płócienne krzesło z napisem „Reżyser”. Ralph Bales zatrzymał się. Facet od piwa wskazał mu krzesło. — Siadaj.

Ralph Bales posłusznie usiadł. — Fajne miejsce. Kręcicie tu ten wasz film?

— Załóż je. — Mężczyzna podał mu dwie pary kajdanek. — Najpierw na prawą rękę. Potem przykuj się do poręczy.

— Masz pomysły, bracie. — Ralph Bales przyjrzał się z bliska kajdankom. Z boku miały napis „Własność posterunku policji w Maddox”. — Skąd je wytrzasnąłeś?

— Zakładaj.

Ralph Bales jeszcze bardziej się rozluźnił. Facet tego pokroju, na dodatek amator, *na pewno* nie zrobi krzywdy człowiekowi przykutemu do krzesła. Założył sobie jedną parę na prawy nadgarstek i przykuł rękę do poręczy krzesła. Następnie zakuł sobie lewą rękę. Gość od piwa wolno zrobił krok w jego stronę i przypiął kajdanki do drugiej poręczy. Mechanizm zaskoczył z metalicznym szczękiem.

Potem odsunął się do tyłu i przyjrzał mu się wzrokiem stolarza oceniającego dobrze położoną podłogę. Wyciągnął colta zza paska spodni. — A teraz gadaj. Kto był wtedy w lincolnie?

A więc wcześniej ukrył tu gdzieś magnetofon i teraz chciał wymusić z niego zeznanie. — W jakim lincolnie?

- Kto to był?
- No nie — rzucił Ralph Bales z rozbawieniem, udając lekkie zniecierpliwienie.
- To jakiś absurd.
- Mężczyzna w lincolnie. Kto to był?
- Nie wiem, o czym...
- Dlaczego czekałeś na mnie przed Budynkiem Federalnym? Ralph Bales uniósł w górę ręce, na tyle, na ile pozwalały mu na to kajdanki. Zabrzęczały metalowe łańcuszki. — Chciałem z tobą pogadać, to wszystko.
- I co zamierzałeś mi powiedzieć?
- Okej. Miałem ci zapłacić, żebyś siedział cicho i nie mówił nikomu, co widziałeś.
- Ale w kieszeni miałeś broń i jedyne... — Mężczyzna zmrużył oczy, usiłując coś sobie przypomnieć — ...czterdzieści dolców gotówką.
- Chciałem ci zapłacić kupę forsy — więcej, niż można bezpiecznie nosić przy sobie...

- Kto siedział w lincolnie? — powtórzył z uporem facet od piwa.
- Naprawdę nie wiem. Bardzo mi przykro.
- Szkoda, że nie chcesz ze mną współpracować — odparł z rozczarowaniem tamten i strzelił Ralphowi Balesowi prosto w

brzuch.

John Pellam nie czekał, aż rozwieje się chmura siarkowego dymu. Podszedł do Ralpa Balesa i przyjrzał się z bliska ranie. — Nawet tak bardzo nie krwawi — oznajmił. Ralph Bales z przerażeniem spojrział na swój brzuch. Jego usta były szeroko otwarte. — Za co...? — wyszeptał. — Strzeliłeś do mnie... Boże, ale boli...

— Kto był wtedy w samochodzie?

— Dlaczego to zrobiłeś, dlaczego to *zrobiles!*

— Kto — powtórzył spokojnie Pellam — siedział wtedy w lincol-nie?

— Chryste Panie —jęknął Ralph Bales, wpatrując się w Pellama z oszołomieniem. — Ja umrę.

— Owszem. Jeśli mi nie powiesz, oberwiesz jeszcze raz.

— Ja naprawdę... Pellam ponownie wystrzelił.

Rozległ się huk eksplozji. Kula trafiła w ciało kilka centymetrów na lewo od pierwszej rany.

— Nie, błagam, nie... Przestań! Powiem ci.

— Ralph Bales odrzucił do tyłu głowę, bo pot zalewał mu oczy. — W porządku! To był Philip Lombro! A teraz wezwij karetkę!

— Co to za jeden?

Ralph Bales go nie słuchał. — Błagam! Zaraz wykrwawię się na śmierć. Proszę...

— Co za Philip?

— Lombro! Lombro!

— A co to za jeden?

— Rany, zaraz zemdleję...

Pellam ponownie odciągnął kurek. — *Co to za jeden?*

— Nie, nie, człowieku, proszę cię, nie strzelaj! Facet siedzi w nieruchomościach. Nie strzelaj!

— Przeliteruj.

— Co mam przeliterować...? Człowieku, zlituj się...

— Jego nazwisko.

— L-O-M-B-R-O.

— Dlaczego zlecił zabójstwo Gaudii?

— Nie wiem. Nie pytałem. Zaraz zemdleję.

O cholera... To jakieś osobiste porachunki.

Przysięgam na Boga! Zapłacił mi, żebym go sprzątnął. Człowieku, ja się tu wykrwawiam!

— Gdzie on mieszka?

— Nie mam pojęcia. Uwierz mi, człowieku!

Nie wiem. Gdzieś w Maddox. Ma biuro przy Main Street, tylko tyle wiem. Znajdziesz go w książce telefonicznej. Czego jeszcze ode mnie chcesz? Na rany boskie, wezwij karetkę! — I

zaraz dodał płaczkliwie, z rozbrajającą szczerością: — Jestem porządnym katolikiem.

Pellam nie ruszył się z miejsca. Uśmiechał się.

— No nie, człowieku. Nie rób tego.

Zostawisz mnie tutaj, tak? Nie pozwól mi umrzeć! Powiedziałem ci wszystko, co chciałeś. Wezwij gliny. Niech mnie aresztują. Ale na litość boską, sprowadź do mnie lekarza!

— I będziesz zeznawać przeciwko Lombro?

— Oczywiście. Człowieku, zrobię wszystko, co tylko chcesz. Pellam powtórzył cicho: —

Oczywiście. — Lewą ręką potarł lufę colta. Ralph Bales płakał. Jego łzy najwyraźniej zirytowały Pellama. Rzucił: — To były woskowe naboje. Ralph Bales nadal szlochał.

Pellam powiedział jeszcze raz, rozdrażniony:

— Przestaniesz się wreszcie rozklejać? To nie były prawdziwe naboje.

— Co takiego?

— Przestańże wreszcie — mruknął Pellam, mając na myśli jego pochlipywanie.

Ralph Bales wziął głęboki oddech. Z wolna się uspokajał. Marszcząc brwi, spojrzał w dół na swój brzuch — na dwie spore, krwistoczerwone plamy. Na tyle, na ile pozwoliły mu kajdanki, rozsunał poły koszuli. W miejscach,

w których dosięgły go kule, widniały dwa duże, zaczerwienione ślady, ale skóra była nienaruszona. Tam, gdzie ciemna krew splamiła koszulę, widać było przyklejone do tkaniny odpryski białego wosku.

Z oczu Ralpha Balesa znowu pociekły łzy, lecz tym razem były to łzy histerycznego śmiechu. — Ty skurwysynu, ty pieprzony...

W tym samym momencie na podłogę za ich plecami padł cień.

Obaj mężczyźni natychmiast odwrócili głowy. Zobaczyli praktyczne pantofle, damskie spodnie, dżinsową kurtkę i pobladałą, śliczną twarz Niny Sassower.

W ręce miała pistolet.

— Nina! — zawołał Pellam. Ralph Bales rozluźnił się. Pellam spytał: — Co ty tu robisz? Jej głos dobiegł go z oddalenia, jakby mówiła przez kilka warstw jedwabiu czy gazy. — Wiedziałam, że cię tu znajdę.

— Powinnaś stąd iść. Po co ci broń? To nie ma nic wspólnego z tobą.

Podeszła bliżej; wyglądała mizernie i była bardzo blada. Jej skóra straciła blask, a oczy wyglądały jak dwie dziury wypalone w kocu. Spojrzała na nich obu, po czym szybko przeniosła wzrok na brzuch Ralpha Balesa.

— Boże, Pellam...

Wyjaśnił jej, że strzelał ślepyimi nabojami, i zmrużył oczy, widząc, z jakim przejęciem przygląda się przykutemu do krzesła mężczyźnie. — Znasz go? — zapytał. Odwróciła się do niego. — Przykro mi, Pellam. — O czym ty...? — Ruszył w jej stronę. Szybko podniosła swojego wielkiego colta i wycelowwała w jego klatkę piersiową. — Stój. Zostań tam, gdzie jesteś. — Nina! — Połóż go na podłodze. Twój rewolwer. Rzuć go! Pellam usłuchał. Potem zaśmiał się z goryczą. — Więc to wszystko było ukartowane, tak? — Wszystko było ukartowane — powtórzyła szeptem. — Zaczepiłaś mnie w szpitalu, doprowadziłaś do tego, że znalazłem ci pracę na planie... Dla kogo ty pracujesz? Dla Lombro? Czy dla Crimminsina? A może dla Petersona? Co? — Przepraszam cię, Pellam. Bardzo mi przykro. Ralph Bales zawołał: — Phil cię przysłał? O rany... — Z jego ust wydobyło się westchnienie ulgi. — No dalej, kotku. Wydostań mnie stąd. Nina zmrużyła oczy, niemal przymknęła

powieki. Pellam wiedział, co to oznacza. Rzucił się na podłogę dokładnie w chwili, gdy trzy potężne wystrzały z automatu Niny wstrząsnęły pomieszczeniem. Szyby w oknach zadrżały, a kurz, który latami zbierał się na cynowym suficie, spłynął na nich troje niczym szary śnieg. Za oknami przemykały cienie wystraszonych gołębi.

24

Pellam podniósł się powoli. Po upadku kręciło mu się w głowie, a w uszach dzwonił jeszcze huk wystrzałów.

Niechętnie spojrział w drugi koniec pomieszczenia.

Wszystkie trzy kule trafiły Ralpa Balesa w klatkę piersiową. Impet uderzenia nie przewrócił krzesła, na którym siedział, a tylko obrócił je w bok o jakieś czterdzieści pięć stopni. Przykuty kajdankami do poręczy mężczyzna spoczywał na nim nieruchomo, ze spuszczoną głową, zwrócony twarzą do okna, jakby tylko drzemał w słabym, porannym słońcu.

Nina wyjęła z komory pozostałe naboje i wysunęła magazynek. Broń, z odciągniętym

rygłem zamka, powędrowała z powrotem do torebki. Kobieta pochyliła się i niecierpliwie, lecz niezwykle starannie zaczęła zbierać z podłogi wystrzelone łuski, zupełnie jakby przed odkurzaniem zbierała porozrzucane po dywanie sypialni skarpetki.

Pełną szybko zdjął Balesowi kajdanki, schował je do kieszeni i wytarł z krzesła wszystkie odciski palców. Następnie wyprowadził Ninę na zewnątrz i wsadził do samochodu. Jego obawy, że zaskoczy ich policja, okazały się jednak nieuzasadnione; nikt nie słyszał odgłosu strzałów, a jeśli nawet, najprawdopodobniej przypisał je ekipie filmowej, kręcącej ostatnie sceny „Missouri River Blues”. Uruchomił silnik i pojechali do pobliskiego parku nad brzegiem rzeki.

— Wiesz, skąd mam ten pistolet? — szepnęła Nina. — Ojciec trzymał go w biurku na piętrze, u nas w domu. — Otarła z oczu łzy. — Szkoda, że nie widziałeś tego biurka — podjęła po chwili. — Właściwie to był sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem. Chyba dębowy. Ciemne drewno, z takimi cienkimi, żółtymi pasmami. Otwierało się go mosiężnym kluczem, który wiecznie trzeba było polerować. Kiedy przekręcało się go w zamku, rozlegał się taki miły trzask. Potem

podnosiło się żaluzję, a pod spodem były dziesiątki przegródek wyłożonych zielonym filcem. Niektóre z nich miały... Niektóre z nich...

Zaczęła płakać. Pełam nie zrobił niczego, żeby ją pocieszyć.

— Niektóre przegródki miały takie małe drzwiczki z gałką. Zawsze szukałyśmy między nimi tajnych skrytek. Wyjmowałyśmy szuflady i zaglądałyśmy od spodu, opukiwałyśmy biurko od tyłu, nasłuchując głuchego odgłosu. Kiedy znalazłyśmy pistolet, obie byłyśmy jeszcze małe i niewiele nas to obeszło. Całymi latami nie myślałam o tym biurku. Przypomniałam sobie o nim dopiero w ubiegłym tygodniu. Przypomniałam też sobie o pistolecie i pojechałam do domu matki, żeby go odszukać. Od tamtej pory ćwiczyłam strzelanie. To wszystko sprawiło, że wróciły wspomnienia. My dwie, myszkujące w biurku ojca. Dwie małe dziewczynki. Szukające czegoś do zabawy, choćby spinaczy do papieru... — Łzy płynęły jej ciurkiem po twarzy. — Moja siostra i ja...

— Twoja siostra — powtórzył Pełam i dopiero teraz wszystko zrozumiał. — To ona była wtedy z Vincentem Gaudią, to ona była tą kobietą, która zginęła tamtego wieczoru.

Nina odparła: — Gazety rozpisywały się o Gaudii i policjancie, który został ranny Nikt nawet nie wspomniał o Sally Ann. Nikogo nie obchodziła. Po jej śmierci całą noc rozmyślałam, jak odnaleźć tego, kto ją zabił. Postanowiłam, że zaczekam, aż policja go złapie, i zastrzelę go podczas procesu. Ale to mogło trwać wiele miesięcy. Bałam się, że nie starczy mi już wtedy odwagi, żeby to zrobić. Dlatego zdecydowałam się porozmawiać z Donniem. W gazecie znalazłam jego zdjęcie. Napisali, że leży w szpitalu Maddox General. Postanowiłam go poznać i nakłonić, żeby wyjawiał mi nazwisko zabójcy.

— Zamiast tego poznałaś mnie. A twoja matka wcale nie leży w szpitalu?

— Nie. Siostra była całą moją rodziną. To ona była tą bliską mi osobą, którą niedawno straciłam. Pamiętasz, wtedy w przyczepie? Mówiłam ci o pogrzebie. Kiedy szukaliśmy tego pola... Skłamałam, że chodziło o ciotkę. Dlatego się wtedy rozplakałam.

— Słyszałaś, jak Donnie się ze mną kłócił. Słyszałaś, jak mówił, że widziałem mordercę. Przytaknęła. — Przepraszam cię, Pellam. — W jej głosie słychać było smutek. Ale skrucę? Nie, żadnej skruchy.

— Po co ci była jednak ta praca na planie?

— Wiedziałam, że będą cię szukać.
Pomyślałam, że prędzej czy później cię
znajdą.

— I przez cały ten czas miałaś przy sobie
broń?

— Najczęściej tak.

Wyjaśniła, że to dlatego tak się zdenerwowała
po tamtym napadzie w fabryce. Nie miała przy
sobie pistoletu i żałowała, że straciła taką
świetną okazję.

Okazję, żeby zastrzelić agenta FBI. Pellam nie
powiedział jej jednak tego. Rzekł tylko: — Ale
tamta dziewczyna miała inne nazwisko. Mam
na myśli twoją siostrę.

— To prawda. Sally Ann nazywała się
Moore. To było nazwisko jej męża. Rozwiedli
się kilka lat temu. Powiedz, Pellam — czy źle
zrobiłam? Pomyśl: policjant został ranny, bo
wykonywał swoją pracę. \ Gaudia był
przestępcą i dlatego zginął. Ale jedyną winą
mojej siostry było to, że dała mu się zaprosić
na kolację. Nie zrobiła niczego złego.

Pellam miał wątpliwości, czy umawianie się z
Vincem Gaudią rzeczywiście nie było niczym
złym. Mimo to uważał, że Nina słusznie po-
itąpiła. W końcu on sam włóczył się z bronią
po wyludnionych ulicach iladdox dokładnie w
tym samym celu — żeby pomścić śmierć

Stile'a.

— *Chciałam go zabić* — wyznała. — Nie mogłam spokojnie myśleć

0 tym, że po prostu trafi do więzienia.

Musiałam wziąć sprawy w swoje ręce.

Pellam nic na to nie powiedział.

Nachylił się tylko i otoczył ramieniem jej szczupłe plecy. W jej włosach wyczuł kwaśną woń prochu strzelniczego. Potarł czołem o jej skroń. Zrobił to jednak bez większego przekonania, bo jego myśli były już gdzie indziej.

Ruszyli i przez kilka minut krążyli w poszukiwaniu budki telefonicznej. Pellam zatrzymał się i wysiadł z samochodu.

— Powiesz o mnie policji?

Popatrzył na nią przeciągle, ale nic nie powiedział. W odpowiedzi opuściła osłonę przeciwśłoneczną na przednią szybę i przeglądając się w lusterku, zaczęła rozczesywać swoje delikatne, jasne włosy.

Pellam jeszcze raz spojrział na wizytówkę, którą trzymał w portfelu,

1 wykręcił numer.

Męski głos o lekko wyczuwalnym obcym akcencie rzucił w słuchawkę: — Słucham?

— Panie Crimmins, mówi przyjaciel — ten, z którym rozmawiał pan wczoraj wieczorem...

Pellam zadzwonił do niego poprzedniego dnia, żeby go uprzedzić o konferencji prasowej Petersona. Nie chciał, żeby facet wpadł w panikę, słysząc, że ma wkrótce zostać aresztowany.

— A, tak, rzeczywiście. Jak się pan miewa?

— Świetnie. A pan?

Crimmins zachichotał, rozbawiony tą wymianą uprzejmości. — Wspaniale. Domyślam się, że wszystko ułożyło się po naszej myśli.

— Wystąpiły pewne komplikacje.

— Poważne?

— Nie, raczej nie.

— To dobrze.

— Chciałem tylko zapytać, czy mógłby mi pan przydzielić do pomocy pańskiego współpracownika, pana Stettle'a. Na mniej więcej godzinę.

— Myślę, że dałoby się to załatwić.

— W takim razie proszę mu przekazać, żeby za pół godziny spotkał się ze mną w centrum Maddox, na rogu Main i Piętnastej.

— Czy w grę może wchodzić jakieś ryzyko?

— Nie sądzę. Ale czy mógłby go pan poprosić, żeby wziął ze sobą kilka worków na śmieci?

— Worków na śmieci?

— On będzie wiedział, o co chodzi.

Spotkali się w szpitalnej poczekalni i fakt, że miało to miejsce tam, a nie jak zwykle w jego sali, sprawił, że Donnie Buffett uznał, że to najlepsza rzecz, jaka go w tym roku **spotkała** — lepsza nawet niż wieczór spędzony z Niną.

— Nie powinnaś palić — skarcił Wendy Weiser, gdy ta zapaliła zwyczajowego papierosa.

— Wiem. — Zaciągnęła się trzy razy i zgasiła. — Jak widzisz, nie palę wiele. I tylko dwa razy dziennie. No, może trzy razy. Kiwnął głową, kwitując w ten sposób jej kłamstwo, i przyjrzał jej się uważnie. Tego dnia nie miała dyżuru i przyszła wyłącznie po to, żeby się z nim zobaczyć. Miała na sobie obciste, sprane dżinsy i skórzaną kurtkę narzuconą na T-shirt z jakimś nadrukiem. Poprosił, żeby odsłoniła napis, i przeczytał: „Kiedyś myślałam, że się mylę. Nie miałam racji”. Podobały mu się jej kolczyki: z jednego ucha zwieszał się maleńki złoty widelec, a z drugiego pasujący do niego nóż. Ich spotkanie było dla niego o tyle wyjątkowe, że nareszcie nie czuł się jak więzień. A dokładnie mówiąc, stał się więźniem innej kategorii. Wcześniej przebywał w zakładzie o zastrzonym rygorze, teraz przeniesiono go

do takiego, gdzie odsiadka upływała w całkiem znośnych warunkach. Nie był jeszcze na wolności, ale dało się wytrzymać. Po raz pierwszy od prawie dwóch tygodni Buffett miał wrażenie, że się porusza — zmieniał pozycję względem innych nieruchomych przedmiotów, zamiast sam być jednym z nich. Szpitalne powietrze było z lekka zatęchłe, przepojone wonią środków dezynfekujących i zapachami dochodzącymi z kuchni, ale mimo to wyczuwało się w nim pewien *ruch* i to było wspaniałe.

Jego pierwsza podróż na wózku. Uparł się, że sam nim pokieruje, a Weiser nie sprzeciwiła się, chociaż zaznaczyła, że to wbrew regulaminowi. Miał wrażenie, że wyrobiła sobie już zdanie na temat tego, co władze szpitala mogą zrobić ze swoim regulaminem, i zapewne często informowała o tym kolegów i przełożonych. Z całej siły odepchnął się od framugi drzwi. Okazało się jednak, że ma więcej siły w rękach, niż podejrzewał, i natychmiast stracił panowanie nad wózkiem. Odbił się od dystrybutora wody i pośladków praktykantki, zanim udało mu się wyczuć, jak działa jego nowy pojazd.

Gdy jechali — i szli — korytarzem, Buffett zastanawiał się, czy powiedzieć Weiser o

nocy spędzonej z Niną Sassower. Było to coś, o czym prawdopodobnie powinna wiedzieć; taka informacja mogła być przydatna w jego dalszej terapii. A jednak postanowił nie puszczać pary z ust. Nie chciał, żeby Nina miała z jego powodu jakieś kłopoty. A poza tym zawsze istniała szansa, że jeśli będzie dyskretny, ona jeszcze kiedyś go odwiedzi. Był ciekaw, czy mógłby to zrobić trzy razy z rzędu tej samej nocy.

W poczekalni znajdowało się kilkanaście jaskrawoniebieskich i odrapanych plastikowych stolików. Pod pomalowaną na pomarańczowy kolor ścianą stały stare i mocno sfatygowane automaty z kawą i gorącą czekoladą, słodyczami oraz napojami gazowanymi. W tym ostatnim przepaliło się kilka żarówek i napis na froncie głosił: — „OCA OLA”.

Zapytała, czego się napije.

Buffett powiedział, że ma ochotę na „ole”.

Śmiejąc się, odparła: — W takim razie ja wezmę „ietetyczną ole”.

— Dlaczego „ietetyczną”? Masz świetną „igure”.

Roześmieli się oboje, po czym Weiser podeszła do automatu ze słodyczami. Kupiła paczkę krakersów z masłem orzechowym. —

Mój obiad — oznajmiła.

Niewiele brakowało, żeby poprosił ją wtedy, aby się z nim umówiła — zapytałby mimochodem, ot tak, niezobowiązująco, jak gdyby po prostu głośno myślał, czy nie chciałaby kiedyś wybrać się z nim do jakiejś knajpki. Jednak nagły atak paniki zdusił mu słowa w gardle i okazja do zadania pytania minęła. Ona tymczasem rozsiadła się przy stole, zapaliła, zaciągnęła się dymem i zgasiła papierosa.

Poczuł nagłe rozczarowanie, gdy wyjęła z aktówki tekturową teczkę. To sprawiło, że ich spotkanie nabrało charakteru bardziej oficjalnego, a mniej towarzyskiego. Położyła ją przed sobą na stole, ale na razie jej nie otwierała.

— Donnie, wyszedłeś już ze stanu szoku rdzeniowego. W przypadku wielu czynności życiowych nastąpiło przywrócenie czucia i polepszenie kontroli mięśni. Myślę, że niemal w pełni odzyskasz kontrolę nad zwieraczami pęcherza i odbytu. Jak też wspominałam, nie widzę powodu, dla którego twoja sprawność seksualna nie miałaby ostatecznie powrócić do normy...

Buffett musiał przygryźć policzek, żeby powstrzymać uśmiech. — Ostatecznie —

powtórzył.

— Wiadomo już, że najpoważniejsze i trwałe uszkodzenia dotyczą sprawności twoich nóg. Możesz odczuć pewną poprawę, ale najprawdopodobniej ograniczy się ona do występowania słabych reakcji na bodźce zewnętrzne. Jeśli chodzi o to, czy kiedyś będziesz jeszcze chodził

0 własnych siłach, to... W tej kwestii nic się nie zmieniło, Donnie.

Poczęstowała go krakersem. Pokręcił głową.

Schrupała go sama

1 popiła colą.

— W tej dziedzinie cały czas prowadzi się badania — głównie są to próby wyizolowania pewnych substancji, hormonów i protein strukturalnych...

Uśmiechnął się pod nosem, czując, że tonie w trzęsawisku naukowych faktów. Jej umysł go fascynował.

— ...które wpływają na to, jak neurony docierają do receptorów w komórkach nerwowych i przekazują im impulsy...

Donnie przytakiwał, sprawiając wrażenie — taką przynajmniej miał nadzieję — bardzo zainteresowanego.

— ...coś, co nazywa się ENM...

— Enigmatyczna... — Chciał zażartować,

ale zabrakło mu koncepcji.

— Elektrostymulacja nerwowo-mięśniowa.

— Jej oczy błyszczały, jak zwykle, gdy rozprawiała na tematy naukowe. Wyjaśniła mu, na czym to polega: do nogi podłącza się urządzenie emitujące małe dawki prądu, który w odpowiedniej kolejności pobudza różne mięśnie. Dzięki temu urządzeniu można nawet, wykonując nieskoordynowane ruchy nogami, poruszać się o kulach lub przy pomocy chodzika.

Lekarka mówiła dalej, lecz Donnie Buffett już jej nie słuchał. Obiecał sobie w duchu, że bez względu na to, czym jest ta cała elektrostymulacja, on nigdy nie zgodzi się, aby podłączono go do jakiejś maszyny. Wiedział, że jest w stanie spędzić resztę życia na wózku; wiedział też, że czasami będzie płakał, czasami krzyczał, a czasem, jeśli obejrzy o jeden odcinek teleturnieju za dużo, może nawet rzuci lampą w telewizor. Potrafił sobie wyobrazić, jak wyjeżdża z domu na wózku w poszukiwaniu pracy. Albo uczy się samodzielnie pokonywać krawężniki i jeździć w przechyle na jednym kole, a wreszcie wyrabia sobie szeroką klatę i potężne jak u kulturysty bicepsy. Ale nie widział w tym swoim nowym życiu miejsca na żadne dziwne

urządzenia. Podobnie, straciwszy wzrok, posługiwałby się laską, ale nigdy nie zaufałby psu przewodnikowi. Właściwie sam nie wiedział, na czym polegała różnica, dla niego była jednak tak oczywista, jak różnica pomiędzy żywym, bijącym sercem a sercem zimnym i martwym.

Dotarło do niego, że Weiser przestała mówić, i domyślił się, że zadała mu pytanie. Ale nie miał ochoty prosić, aby je powtórzyła. Zamiast tego zapytał: — A umówisz się ze mną? — I zaraz dodał: — No wiesz, na kolację?

Odmówiła, czego się w gruncie rzeczy spodziewał. Na szczęście nie towarzyszyły temu szok ani skrępowanie albo — co byłoby jeszcze gorsze — protekcjonalny, matczyzny uśmiech. Posłała mu tylko zaintrygowane spojrzenie mężatki podrywanej na przyjęciu przez atrakcyjnego mężczyznę.

Lekki żal zamiast nieprzyjemnego zaskoczenia.

Na koniec dodała: — Lepiej będzie, jak pozostaniemy przyjaciółmi.

Kiedy to powiedziała, panika ścisnęła Donniemu Buffettowi wnętrzości tak mocno, że aż pot wystąpił mu na czoło. Potem jednak zwinęła się jak kot w najdalszym zakamarku jego umysłu i — przynajmniej na jakiś czas —

zapadła w głęboki, kamienny sen.

25

Jakiś człowiek do pana. Mówi, że nazywa się Pellam.

— Pellam? Czy ja go znam? — Philip Lombro w zamyśleniu przecierał kawałkiem giemyz swoje eleganckie mokasyny.

— On twierdzi, że zna *pana*.

— Jestem zajęty. Niech zostawi swoją wizytówkę.

Lombro oparł się wygodnie o zagłówek swojego skórzanego fotela i wbił wzrok w podłogę. Przeptywające za oknem gęste chmury rzucały rozmyte cienie na zieloną wykładzinę; co kilka chwil do gabinetu wpadały promienie ostrego słońca.

Ponownie rozległ się dzwonek interkomu i wybił go z zamyślenia. Metaliczny głos odezwał się: — Ten pan mówi, że przychodzi w sprawie zmarłego pana Balesa.

Lombro odchrząknął. — Wpuść go.

Do gabinetu wszedł Pellam. Rozejrzał się, przesuając spojrzeniem po bordowych i granatowych grzbietach książek — poważnie wyglądających woluminach poświęconych

biznesowi i prawu. Biurko.

Splątane cienie chmur tworzące intrygujący wzór na soczyście zielonej wykładzinie. Widok za oknem, miękkie linie budynku z czerwonej cegły w stylu art deco po przeciwnej stronie ulicy.

Nie czekając na zaproszenie, Pellam zajął miejsce w fotelu naprzeciwko Lombro. — Pański płatny zabójca nie żyje.

Lombro przełknął ślinę i starannie złożył kawałek giemy. Tak. To był ten człowiek. Mężczyzna z kartonem piwa, ten sam, który go wtedy widział. — To pan jest tym świadkiem.

— Świadkiem. — Pellam wolno powtórzył ostatnie słowo, jakby je smakował, przeciągając miękkie **ś**.

— I nazywa się pan James?

— Nie, Pellam.

Lombro pokręcił głową, zdezorientowany. Potem odezwał się ostrożnie: — Oszukał mnie pan.

Pellam zmarszczył brwi. — Słucham?

— Wziął pan ode mnie pieniądze i mimo to poszedł do prokuratora stanowego.

Słyszałem, co mówili na konferencji prasowej.

— Jakie pieniądze?

— Pięćdziesiąt tysięcy. Pieniądze, które

przekazał panu Ralph...

Urwał i Pellam doszedł do tego samego wniosku, który najwyraźniej formował się właśnie w umyśle Lombro. Mężczyźni wymienili niewesołe uśmiechy.

Lombro mruknął: — Teraz rozumiem.

— Jakość usług świadczonych przez pańskich wspólników pozostawia wiele do życzenia.

— Na to wygląda. Przyszedł pan tutaj, żeby mnie zabić? — Pytanie zostało zadane rzeczowym tonem.

— Nie — odparł Pellam.

— Przysięgam, że zabroniłem Ralphowi pana krzywdzić. Miał tylko panu zapłacić, żeby...

— Rozumiem. Ale mimo to wczoraj czekał na mnie z bronią przed Budynkiem Federalnym. A pan o tym wiedział.

Lombro zacisnął usta i przyglądał kilka srebrzystych kosmyków na swojej skroni.

— Chcę wiedzieć, dlaczego zlecił pan zabójstwo Gaudii.

— Jest pan z policji?

— Nie.

— Ale ma pan na sobie podsłuch.

Pellam zdjął kurtkę i wywrócił kieszenie koszuli i džinsów. Lom-bro, nie odrywając

wzroku od wystającej Pellamowi zza paska rękoności colta, wziął jego kurtkę lotniczą i pomacał jej kieszenie.

— Po prostu chcę to wiedzieć — powtórzył szczerze Pellam. Lombro skrzyżował nogi i chwyciwszy się prawą ręką za kostkę, zaczął pocierać ją palcami. Nie zdążył uporządkować myśli, chociaż już od jakiegoś czasu nosił się z zamiarem opowiedzenia komuś tej historii. Na przykład swojemu oskarżycielowi. — Kocham moje siostrzenice i bratanice jak własne córki. Nigdy nie byłem żonaty. Nie mam własnych dzieci. A pan? Pellam nie odpowiedział.

— Jedna z nich właśnie skończyła osiemnaście lat. Była słodką, dobrą dziewczyną. Była też nieco przy kości i w związku z tym brakowało jej pewności siebie. Uczyła się i pracowała dorywczo jako kelnerka w restauracji, w której czasami jadał Vincent Gaudia. Gaudia nie liczył się z pieniędzmi. Dawał jej dwudziestodolarowe napiwki. Potem pięćdziesięciodolarowe. A potem obiecał jej sto dolarów. Może się pan chyba domyślić, co nastąpiło później. Spędzili razem kilka nocy, po czym Gaudia najzwyczajniej w świecie zapomniał o jej istnieniu. A tymczasem to biedactwo

ubzdurało sobie, że jest zakochane. Próbowałem przekonać ją, że to nie miłość, ale była niepokieszona. On nie odbierał jej telefonów i nie odpowiadał na listy. W końcu poszła do niego do domu. Późnym wieczorem, zaraz jak tylko skończyła swoją zmianę w restauracji. Wyszła o drugiej nad ranem i w drodze do domu przejechała na czerwonym świetle. Jej samochód zderzył się z ciężarówką, a ona zginęła na miejscu. Godzinę wcześniej piła alkohol i odbyła stosunek. Sekcja zwłok wykazała, że był to rodzaj seksu, którego wolałbym tutaj nie opisywać.

— Jedna z dwóch tysięcy — odezwał się w zamyśleniu Pellam.

— Słucham?

— Podobno Gaudia miał mnóstwo kobiet. Była jego kolejną zdobyczą.

— Dokładnie tak.

— Policja stwierdziła, że do wypadku doszło z jej winy, ale rzecz jasna tak nie było. Winę ponosił Vincent Gaudia. To on uwiódł moją bratanicę. Równie dobrze mógłby ją własnoręcznie zamordować. Gaudia skrzywdził moją rodzinę i kiedy mój brat nie chciał niczego zrobić, żeby pomścić śmierć córki, postanowiłem sam się tym zająć.

— Staromodna wendeta.

)

— Jak zwał, tak zwał.

— Pan wiedział, że Bales — albo jego wspólnik — zabił kobietę, która była wtedy z Gaudią. Postrzelił też tamtego policjanta. I zamordował mojego przyjaciela... Lombro pokręcił głową. Na jego twarzy odmalowało się zdenerwowanie i żal. — Wszystko poszło nie tak. Całkiem nie tak! Powinienem być postąpić jak mężczyzna. Powinienem być sam go zabić i ponieść tego konsekwencje. Nie jestem tchórzem. Po prostu nie zdawałem sobie sprawy, jak to wszystko funkcjonuje. Zawiadomił pan policję?

— Jeszcze nie — odparł Pellam. Rozejrzał się po gabinecie, taksując wzrokiem boazerię i obrazy na ścianach. — Ile jest pan wart?

— Co proszę?

— Mówię o pieniądzach. Ile ma pan pieniędzy?

— Właściwie to sam nie wiem.

— Milion? — podsunął Pellam.

Lombro uśmiechnął się. — Znacznie więcej. Dlaczego pan pyta?

— Co to znaczy — „znacznie więcej”?

— Nie wiem *dokładnie* — odparł ostro Lombro.

- Zajmuje się pan nieruchomościami?
Lombro strzepnął pyłek ze spodni. — Pracuję w tej branży wystarczająco długo, żeby wiedzieć, kiedy ktoś próbuje złożyć mi ofertę.
- Wie pan — podjął Pellam — że w niektórych stanach mają taki fundusz. Nazywa się to chyba Fundusz Pomocy Ofiarom Przestępstw, czy coś w tym rodzaju. Słyszał pan o czymś takim?
- Nie.
- Kiedy kogoś okradną albo zgwałcą, taka osoba dostaje rekompensatę. A jeśli kogoś zabiją, pieniądze otrzymuje rodzina.
- Sugeruje pan, że powinienem panu zapłacić.
Pellam zawahał się, po czym prychnął śmiechem. — Tak. Dokładnie to sugeruję.
- Ile? — Lombro wysunął szufladę.
Najwyraźniej jednak doszedł do wniosku, że wypisanie czeku nie jest w tej sytuacji najlepszym posunięciem, i szybko ją zamknął.
- Myślę przede wszystkim o tym policjancie, który został postrzelony.
- Wszystko jedno. O jakiej kwocie pan myślał?
- Jest sparaliżowany. Ten gliniarz. Nigdy już nie będzie mógł chodzić. Jego życie stanie się bardzo kosztowne. Opiekunki, specjalne

samochody. A tak nawiasem mówiąc, przez pana wylali mnie z roboty.

Lombro oderwał spojrzenie od swoich butów i postawił obie stopy na podłodze. — Byłem z panem szczery, kiedy powiedziałem, że nie chciałem, aby stała się panu krzywda, tak jak nie chciałem, żeby zginął ktokolwiek poza Gaudią. Mam nadzieję, że zgodzi się pan, iż miałem... no cóż, zrozumiały motyw, żeby zrobić to, co zrobiłem. I nie sądzę, aby zechciał mnie pan skrzywdzić.

— Rzeczywiście — przytaknął Pellam — nie mam zamiaru pana krzywdzić.

— Oczywiście może pan pójść na policję i opowiedzieć im, co zaszło. Będzie to jednak pańskie słowo przeciwko mojemu.

Uczestniczyłem w swoim życiu w wielu sprawach sądowych. Prawnicy nazywają coś takiego pojedyńkiem kłamców. Kto komu uwierzy? Myślę, że mam takie same szanse, aby przekonać ławę przysięgłych, jak pan. Jestem w tym mieście wpływową osobą. Jako jeden z niewielu biznesmenów nadal jestem w stanie płacić podatki, co zresztą robię, przeznaczając na to znaczne kwoty. Znają mnie świetnie w urzędzie podatkowym i w miejskim ratuszu. Więc chociaż współczuję panu i pańskiemu znajomemu, nie ma pan

nade mną żadnej przewagi. Powiedzmy, że każdy z panów otrzyma ode mnie po dziesięć tysięcy...

— Nie, to za mało. — Pellam wyjął z kieszeni złożony kawałek materiału i rzucił go na biurko. — Niech pan na to spojrzy. Lombro otworzył zawiniątko i w środku ujrzał wizytownik. Otworzył go, wzruszył ramionami i odłożył z powrotem na chustkę, w którą był zawinięty. Pellam starannie owinął wizytownik i schował go do kieszeni.

— Kto to jest — zapytał Lombro — ten agent specjalny Gilbert?

— To człowiek, którego ciało zostało pogrzebane w fundamentach jednego ze stawianych przez pana domów. Na budowie pod St. Louis. Nazywa się chyba Foxwood. Strasznie kręcą mnie nazwy tych wszystkich nowych osiedli. Stonehenge. Windcrest. Czy ludzie faktycznie...

— *O czym pan mówi?* Nikt nie jest pochowany w...

— Z przykrością muszę dodać, że zastrzelono go z broni, która została następnie zakopana w pańskim ogrodzie.

— To niemożliwe. Ja nie mam broni.

— Nie mówię, że ma pan broń.

Powiedziałem tylko, że broń została ukryta na

terenie pańskiej posiadłości.

— To jakiś nonsens.

Srebrzystą twarz Lombro pokrył krwisty rumieniec, oczami strzelał nerwowo na boki. Szanowany biznesmen zrównany z przestępcami.

Potężny biznesmen pozbawiony swej władzy.

— Ten pański znajomy policjant. Czy to on panu pomógł... — Lombro popatrzył na kieszeń kurtki Pellama. Wyszeptał: —A teraz jeszcze ma pan moje odciski palców na jego wizytówce, prawda?

— Nie twierdzą, że pana skazała. Ale agent Gilbert *był* zamieszany w zabójstwo Gaudii. Groził mnie i mojej znajomej. — Po chwili dodał: — Poza tym, jako dobry znajomy prokuratora stanowego, czułbym się zmuszony współpracować z wymiarem sprawiedliwości. Uznałbym to za swój obowiązek.

Philip Lombro spojrział przez okno na ceglany mur budynku po przeciwnej stronie ulicy. Potem opuścił wzrok, zwilżył śliną palec i zdjął drobinę papieru czy pyłek kurzu z obcasa swojego buta — ciem-nowiśniowego, eleganckiego mokasy na z frędzelkami, wypolerowanego tak, że dało się w nim przejrzeć. Pellam chciał coś powiedzieć, ale

zamilkł. Urwał i marszcząc brwi, wpatrywał się w buty Lombro, jak gdyby już je kiedyś widział, ale nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie.

Oficjalnie Tony Sloan nadal nie odzywał się do Pellama, zrobił jednak wyjątek, aby poinformować go, że ponieważ pistolety maszynowe zostały wytwórni zwrócone i udało się w końcu nakręcić finałową scenę filmu, Pellam otrzyma jednak połowę należnego mu wynagrodzenia. Pozostałą część honorarium Sloan postanowił zatrzymać tytułem pokrycia kosztów opóźnienia w realizacji zdjęć.

— Jak uważasz, Tony. W takim razie spotkamy się w sądzie. Sloan wzruszył ramionami i wybierając znowu opcję milczenia,

wrócił do montażowni, gdzie na jego reżyserską wizję czekało blisko sto pięćdziesiąt kilometrów taśmy filmowej i bardzo zniechęcony montażysta.

Pellam zaś zszedł na dół i udał się prosto do sali bankietowej imienia Hucka Finna w hotelu Marriott, gdzie wprosił się na przyjęcie wydane z okazji zakończenia produkcji.

Pił szampana Sloana i jadł kawałki suma z kukurydzianymi grzankami, gawędząc przy tym z ekipą i obsadą filmu. Wszyscy byli tak wykończeni ostatnimi nerwowymi dniami na

planie, że nie zdawali sobie sprawy — albo po prostu nie obchodziło ich to — że wciąż ciąży na nim piętno człowieka wyklętego.

Rozejrzał się po sali i dostrzegł w rogu grupę charakteryzatorów; Niny Sassower jednak między nimi nie było.

Podszedł do Stace'a Staceya, który — choć równie zmęczony, jak pozostali — stale zachowywał niczym nie zmańczony dobry nastrój. Pellam zwrócił mu niewykorzystane woskowe naboje i ślepą amunicję kaliber 0,44, którą od niego pożyczył. Rzucił przy tym: — Lepiej, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Stace schował naboje do kieszeni i przyłożył palec do ust.

Pellam powiedział mu, że Sloan zamierza potracić mu połowę wynagrodzenia. Po trzecim czy czwartym cuba libry Stace był wyraźnie rozluźniony. — Próbuje cię wyrolować, co? Ten gość to stuprocentowy sukinsyn — odparł; Pellam nigdy wcześniej nie słyszał, aby zbroj-mistrz używał równie mocnych określeń.

— Mimo to będziesz z nim pracował, jeśli cię poprosi.

— Jasna sprawa. A ty ustawisz się w kolejce zaraz za mną.

— Najprawdopodobniej tak będzie —

mruknął Pellam.

W drzwiach sali bankietowej stanęła kobieta.

Pellam rozpoznał

jedną z sekretarek Sloana. Zamachała

kawałkiem papieru, dając mu

znak, że to coś ważnego. Pomyślał, że Sloan

mógł zmienić zdanie i —

jakkolwiek niechętnie — wypłacić mu jednak

resztę honorarium. Nie,

żeby miało to jakieś znaczenie. Firma

inwestycyjna Philipa Lombro

przełała właśnie pięćdziesiąt tysięcy dolarów

na jego konto w banku

w Sherman Oaks.

— John, przyszedł do ciebie faks. Z

Budapesztu, od Marty'ego Wellera.

Pellam zamierzał dokonać wkrótce kolejnego

przelewu, żeby sfinansować produkcję

swojego filmu „Czas środkowoamerykański”.

Sekretarka podała mu papier, odwróciła się i

ruszyła w kierunku grupki aktorów. Nie dotarła

tam jednak; w połowie drogi zatrzymał ją

Stace Stacey, objął w pasie i stanął na

palcach, żeby szepnąć jej coś do ucha.

Kobieta zachichotała.

Pellam rozłożył faks. Marty Weller

potrzebował całej strony producenckiego

bełkotu, żeby oznajmić mu, co następuje:

wytwórnia Tri--Star przejęła projekt Paramountu i wyłożyła pieniądze na film o terrorystach, który Weller miał teraz wyprodukować zamiast „Czasu środkowoamerykańskiego”. Węgrzy postanowili przejść razem z nim do Tri-Stara. Prosilili Weller, żeby go pozdrowił. Mają wrażenie, jakby znali Pellama od dawna, i nazywają go swoim amerykańskim mistrzem. Wyrazili też nadzieję, że kiedyś uda im się jeszcze coś zrobić w sprawie jego „błyskotliwie napisanego, zabójczego, kultowego filmu kina *noir*”.

Pellam złożył faks i wsunął go do tylnej kieszeni spodni. Od przechodzącego z tacą kelnera wziął jeszcze jeden kieliszek szampana. Zamknął oczy i przycisnął schłodzone szkło do rozpalonego czoła. Chwilę później dołączył do niego Stace. Sekretarka zniknęła, lecz mina zbrojmistrza świadczyła o tym, że nie dostał kosza. Uśmiechając się promiennie, zagadnął Pellama: — Co ty na to, żebyśmy jutro rano narobili razem trochę huku? Weźmiemy rewolwery i postrzelamy do puszek. A może nawet znajdziemy gdzieś grzechotniki... Pellam otworzył usta, by odmówić, ale zamiast szukać wymówki, odparł: — O ile tylko nie

każesz mi się zrywać bladym świtem, Stace.
— O, nie. Co to, to nie. Film skończony. Teraz jesteśmy na wakacjach.

Boisko do koszykówki przy Leonard Street w Maddox jest zwykle zamknięte. Chociaż stanowi część terenu szkoły, Departament Edukacji uznał, że jeśli ma ciąć koszty, nie stać go na utrzymywanie boiska poza godzinami zajęć szkolnych i w związku z tym brama zamykana jest równo o piątej po południu. Nie, żeby to cokolwiek zmieniało; miejscowe dzieciaki wycięły w siatce dziurę na tyle dużą, że można swobodnie wśliznąć się do środka i o dowolnej porze ćwiczyć rzuty czy podania.

Nawierzchnia boiska jest asfaltowa, a otaczające je ceglane ściany pokrywa gęsta plątanina graffiti: imiona, nazwy gangów, a także wielkie szpanerskie trójwymiarowe litery i rysunki, w których specjalizują się utalentowani punkowcy. Sam asfalt jest jednak czysty jak czarny marmur posadzki kościoła. Nikt nie śmie zamazywać wytyczonych linii.

Tego ciepłego, dusznego, grudniowego wieczoru przy ogrodzeniu boiska staje dwóch mężczyzn. Dziura w siatce jest wystarczająco duża, żeby obaj mogli się przez nią

przecisnąć, ale jeden z nich jest na wózku inwalidzkim. Wózek jest nieduży i zgrabny, wykonany z ciemnoniebieskiego stopu, co nadaje mu sportowy wygląd. Koła są nieco przechylone — na dole ich rozstaw jest szerszy niż na górze. Stojący obok wózka mężczyzna rozgląda się bacznie, po czym wyjmuje z dużego, płóciennego worka nożyce z hartowanej stali przeznaczone do cięcia metalu. Opiera jedną długą rękojeść o biodro i naciskając drugą obiema rękami, przecina siatkę najpierw z jednej, potem z drugiej strony.

Wchodzą na boisko. Mężczyzna na wózku pędzi naprzód, odpychając się silnymi, ciemno owłosionymi ramionami.

Pellam mówi: — Miej litość dla staruszka, dobra?

Mija pewien czas, zanim Donnie Buffett opanuje sztukę kozłowania. Całymi latami grał nieźle w ataku i potrafi trzymać piłkę z dala od ciała, jednocześnie ją kontrolując. Ma jednak pewien kłopot, bo teraz musi używać obu rąk, żeby podjechać do kosza i oddać rzut. Kiedy próbuje odpychać wózek jedną ręką, kręci się w kółko. Kładzie więc sobie piłkę na kolanach, przyspiesza i odbijając piłkę o tablicę, pakuje ją do kosza.

Pellam głośno wtedy gwizdże i woła: — Faul!

— Dlaczego wróciłeś do Maddox? — pyta potem Buffett, zaliczając kolejny rzut. — Chodzi o ten wasz film, „Missouri River Blues”?

— Nie. Ten jest już w postprodukcji. W lipcu premiera. Właśnie procesuję się z reżyserem o swoje honorarium i o to, żeby moje nazwisko znalazło się w czołówce filmu.

— Przykra sprawa.

— Ryzyko zawodowe. Wróciłem, żeby zrobić dokumentację do nowego filmu.

— Jaki będzie miał tytuł?

— „Czas środkowoamerykański”.

— To chyba jakaś nuda. Kto w nim gra? Powinieneś obsadzić Gee-nę Davis. Fajna babka. Albo kogoś w tym stylu.

— Na razie nikt w nim nie gra. Nikt go nawet jeszcze nie zaczął *kręcić*. Kiedy byłem tu ostatnio, wpadło mi w oko kilka naprawdę niezłych plenerów. Chciałem sprawdzić, jak wyglądają o tej porze roku. Wtedy, kiedy toczy się akcja filmu. W zimie.

— Dwa filmy w ciągu roku. Po prostu rewelacja! Może Maddox stanie się drugim Hollywood?

— W Hollywood na początku była tylko pustynia — zauważył Pellam.

— Długo zostaniesz?

— Tydzień albo dwa. Potem na święta wybieram się do matki. Mieszka na północ od Nowego Jorku.

Większość rzutów Buffetta trafia do celu, co niezwykle frustruje Pellama. Przez cały sezon chodził na mecze Lakersów. Teraz usiłuje z wyskoku wrzucić piłkę do kosza, ale pudłuje. Fatalny z niego zawodnik. A kowbojki tylko utrudniają mu zadanie.

Buffett odbiera Pellamowi piłkę i zalicza kolejny rzut.

— Do diabła z tym — sapie Pellam. —

Poćwiczmy lepiej wsady. Grają jeszcze przez pół godziny, po czym robią przerwę na piwo.

Odpowiadając na pytanie Pellama, Buffett mówi, że nie spotyka się z Niną. — To już skończone. Przelotny romans. Nie mogłem jej rozgryźć. Często dopadał ją kiepski nastrój. Zupełnie, jakby ukrywała jakąś wielką tajemnicę, albo coś w tym rodzaju.

— Tak, też to zauważyłem. — Pellam ociera usta rękawem, myśląc, że chyba im odbiło, żeby pić piwo w grudniu.

I grać w kosza o tej porze roku.

— A mówiłem ci już? — odzywa się nagle Buffett.

— O czym?

— Penny się wyprowadziła. Bierzemy rozwód.

— Co bierzecie?

— Rozwód. Zamierzamy wziąć rozwód.

— Boże — wzdycha Pellam.

— Wiesz, jak to jest...

— Myślę, że to okropne.

Buffett odwraca wzrok, niezmiernie zażenowany, i pociąga spory łyk piwa. — Tak bywa.

— Dowiedziała się o Ninie?

— Nie. Do tej pory nic nie wie.

Pellam kręci głową i wykonuje taki gest, jakby chciał wskazać ręką nogi Buffetta, ale zmienia zdanie i zamiast tego ogarnia ramieniem boisko. — Postanowiła cię zostawić, po tym wszystkim?

— Nie, Pellam. To nie tak. To *ja* wystąpiłem o rozwód. Pomysł wyszedł ode mnie. Penny przenosi się do rodziców.

— Och. — Pellam dochodzi do wniosku, że to też nie ma sensu. Przez dłuższą chwilę przygląda się Buffettowi. — Zostawiasz ją, *po tym wszystkim?*

— Właśnie.

— Dlaczego?

— Byłeś u nas w domu. Naprawdę musisz

pytać?

— I będziesz mieszkał zupełnie sam? W twojej sytuacji? Buffett wzrusza ramionami. — Na to wygląda.

Pellam robi taką minę, jakby chciał powiedzieć „Tym lepiej dla ciebie” i ćwiczy kozłowanie.

Piłka mu się wymyka. Dogania ją jednym sussem i zatrzymuje w miejscu. Potem pyta: — A widziałeś się ostatnio z doktor Wendy?

— Uhm.

— Ico?

— Nic nowego. Ta sama diagnoza.

— Chcesz o tym pogadać?

— Nie.

Przez kilka minut popijają piwo, wymieniając uwagi na temat Knicksów i Lakersów. Potem Buffett mówi: — Wypróbowywali na mnie nowy lek. Bez efektu.

— Nadal zamierzasz się zabić?

— Raczej nie. Może kiedyś. — Buffett nie żartuje, ale też nie mówi poważnie.

— Wiesz, właśnie przyszło mi coś do głowy. Grasz w pokera? Buffetta bawi naiwność tego pytania. Śmieje się. — Jasne, że gram.

— A lubisz chili?

— Nie. Nie cierpię.

Zrywa się lekki wiatr i nagle robi się zbyt chłodno, żeby dalej siedzieć i popijać piwo, wracają więc pod kosz i znowu zaczynają grać. Pellam wykonuje szybki manewr i odbiera piłkę Buffettowi. Kozłuje jak w transie, po czym wyrzuca piłkę szerokim łukiem. To rzut za trzy punkty, ale Pellam wie, że nie ma szans trafić. Piłka uderza o krawędź kosza, chwieje się przez chwilę w tę i z powrotem, by w końcu spaść jednak przez zardzewiałą obręcz prosto w wyciągnięte ręce Buffetta.

m

Jeffery Deaver PŁYTKIE GROBY



AUWS „KOieSCIOIIRA tOiC
JEFFERY DEAVER

PŁYTKIE

CRDBV

John Pellam, były kaskader, jest dokumentalistą i przemierza kraj w poszukiwaniu plenerów do filmów. Kiedy jedzie

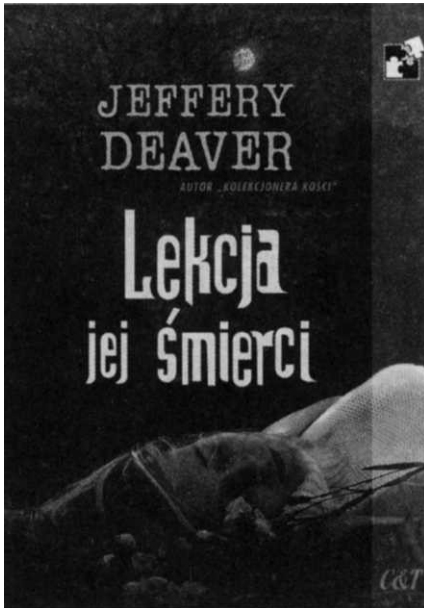
główną ulicą miasta, mieszkańcy zwykle tłoczą się, głośno domagając się szansy na swoje pięć minut sławy. Ale nie w cichym i spokojnym Cleary. Tutaj Pellam doświadcza całkiem innego przyjęcia.

Najpierw ktoś wypisuje „Żegnamy” na jego samochodzie. Potem tajemniczo ginie jego współpracownik — podobno w wypadku. I niby pod wpływem narkotyków. Wyraźnie podrzyconych.

Wszystkich dokoła interesuje jedno: kiedy Pellam wyjedzie. No, może poza Meg Torrens, która wyraźnie czegoś oczekuje od przybysza...

Br

Jeffery Deaver LEKCJA JEJ ŚMIERCI



New Lebanon to miasto uniwersyteckie. Tylko jak długo jeszcze? Skoro już druga studentka została bestialsko zamordowana.

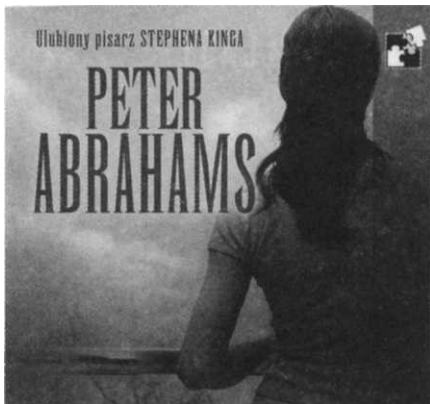
Miejscowi żyją w strachu, bo podobno chodzi o zbrodnie rytualne, a Księżycowy Zabójca jest ciągle na wolności.

By go osaczyć, Bill Corde musi mieć czas, fundusze i ludzi. Tyle że szeryfowi Ribbonowi potrzebny jest teraz szybki sukces, a nie drobiazgowe, długotrwałe śledztwo, bo nowe wybory wkrótce.

A przy takim postępowaniu kolejne tragedie są nieuchronne. I ofiary. Bo morderca lubi dawać lekcje — policjantom nawet bardzo. Zwłaszcza gdy mają córki sprawiające problemy...

S'

Peter Abrahams GRANICE ICH MARZEŃ



GRANICE ICH MARZEŃ

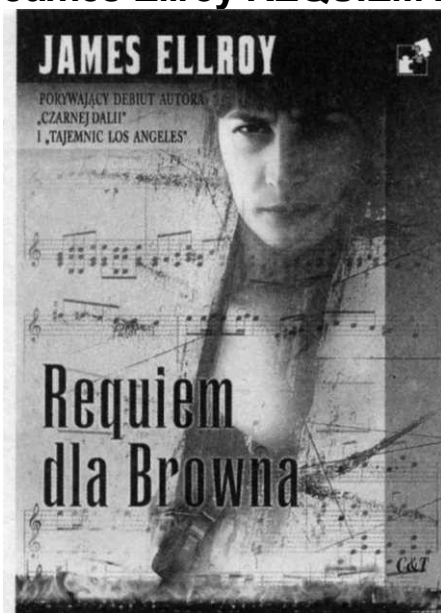
Mackie wydaje się, że po rozwodzie z mężem w życiu jej i córki Lianne zapanuje spokój. Bo specjalnością Kevina były tylko matactwa, wizje i zdrady. Jednak gdy okaże się, że długi eks-męża są na jej głowie, koszmar powróci. Ze zdwojoną siłą. Bo teraz zostanie też bez mieszkania, jeśli nie znajdzie dobrze płatnej pracy...

Czy w takiej sytuacji rola striptizerki w lokalu na meksykańskiej granicy może jej uwłaczać? Zarobione pieniądze pokazują, że chyba jednak nie. Do czasu... Bo Lianne też nie

próżnuje, pozbawiona rodzicielskiej kontroli. Piękna nastolatka od razu wpada w oko miejscowemu przystojniakowi. Z wzajemnością. A Jimmy Marz ma jeszcze plan, który może przynieść obojgu zakochanym fortunę i szczęście. Choć najlepiej, i bezpieczniej, po drugiej stronie meksykańskiej granicy...

Br

James Ellroy REQUIEM DLA BROWNA



Kiedyś był policjantem w Los Angeles. I alkoholikiem. Ale to zamierzchnia przeszłość dla Fritza Browna. Teraz zarabia na życie jako prywatny łaps, przejmując niespłacone samochody. A do tego słucha dużo... muzyki poważnej.

I tak by pewnie zostało, gdyby nie wizyta Freddyego „Spaślaka” Bakera w zatęchłym biurze Browna. Ten dziwaczny caddy od noszenia kijków za graczami w golfa zleca Fritzowi pierwszą w jego życiu poważną sprawę, jak się wydaje.

Chodzi o śledzenie siostry Bakera, Jane. Bo od czasu przeprowadzki do dużo starszego, bogatego Sola Kupfermana, Jane wyraźnie odsunęła się od brata. A ten dobrze pamięta, jak kiedyś w świątku przestępczym Solly miał sporo do powiedzenia. Co nie może wróżyć nic dobrego, zdaniem Bakera.

Brown szybko jednak odkryje, że to właśnie za sprawą wiolonczelistki Jane może zmienić własne życie na lepsze...